Artur Andrus

osławiony między niewiastami

Prószyński i S-ka

Artur Andrus

osławiony między niewiastami

Prószyński i S-ka

Siedemnaście książek

wstęp

Każdego, kto zabiera się do pisania, musi w końcu dopaść proste pytanie: po co? Byłoby najlepiej, gdyby dopadało przed rozpoczęciem aktu twórczego, ale wiem z doświadczenia, że najczęściej dopada dopiero wtedy, kiedy się przeczyta, co się napisało. Jeśli człowiek ma jeszcze w sobie odrobinę krytycyzmu, niejednokrotnie powinien wtedy pytanie „po co?” poprzedzić symbolicznym słownym wezwaniem matki.

Po tym jednym przychodzą następne: „do kiedy?”, „dla kogo?”, „za ile?”. Autor musi wyznaczyć jakiś cel swojej twórczości. Może to być literacka Nagroda Nobla, ale nie radzę, bo to często dzieło przypadku. Może się okazać, że Nobla nie dostaniemy tylko dlatego, że nie mieliśmy szczęścia do tłumaczy, a członkowie Komitetu i Akademii nie znają na tyle języka, w którym tworzymy, żeby docenić kunszt dzieła. „Drack jag i Spała, sov jag i Piła” nie brzmi tak samo, jak „Piłem w Spale, spałem w Pile”. W szwedzkim tłumaczeniu nie ma już tego dźwięku mazowieckiej kuźni, szerokiego oddechu pól obsianych żytem i gaworzenia gęsi, którym na tej szczęśliwej ziemi grozi, co najwyżej, oskubanie z pierza.

No więc, jeśli nie Nobel, to co? Nie ukrywam, że mam z tym pewien problem. To znaczy miałem. Na szczęście niedawno przeczytałem w gazecie tekst o autorze światowych bestsellerów Jamesie Pattersonie, który podpisał kontrakt z wydawnictwem Hachette i „zobowiązał się do stworzenia 17 książek w ciągu dwóch lat; 11 z nich to powieści sensacyjne dla dorosłych, a sześć – powieści młodzieżowe. Ma za nie otrzymać 150 mln dolarów”.

Artykuł *Bestseller to ja* wyciąłem, cytowany wyżej fragment zaznaczyłem na zielono, dopisałem czerwonym flamastrem „DO ROBOTY, DURNIU!!!” i powiesiłem przy komputerze. Policzyłem. Nie muszą być przecież grube – tak do 300 stron. Odjąłem święta, bo przecież nie wypada pisać 11 listopada czy w Boże Ciało, założyłem tydzień choroby w roku i tydzień urlopu (wiem, że mało, ale trzeba się sprężyć, a potem będzie za co wypoczywać). Wyszło po siedem stron dziennie. Dam radę.

Dziewczyna z końca pętli to będzie powieść o kobiecie, która wraca wcześniej z pracy i przyłapuje męża na oglądaniu koncertu finałowego Światowego Festiwalu Polonijnych Zespołów Folklorystycznych Rzeszów 2011. Pojawi się też tajemnicza postać, którą bohater będzie widywał zawsze o tej samej porze na końcu pętli tramwajowej, tuż przy barze Burza. O, proszę, już jest nawet pomysł na refren piosenki do filmu, gdyby ktoś (w co nie wątpię) chciał to kiedyś przenieść na ekran:

Tuż przy barze Burza
Czarna kwitnie róża,
Kim jesteś,
Dziewczyno z końca pętli?

Piętnaście następnych jeszcze nie wiem o czym będzie opowiadało, ale siedemnasta będzie o facecie, którego żona przyłapuje na oglądaniu koncertu finałowego Światowego Festiwalu Polonijnych Zespołów Folklorystycznych Rzeszów 2013.

To w przyszłości. A na razie proszę sobie poczytać to, co mi się uzbierało. Dokładnie od 13.09.2006, bo wtedy pojawił się pierwszy mój wpis na „Blogu niecodziennym" Wirtualnej Polski. Większość zamieszczonych tutaj tekstów to te z Internetu, ale są również takie, które drukowałem w papierowych gazetach. Wszystkim przerażonym objętością tej książki chciałbym się wytłumaczyć – to pięć i pół roku regularnego pisania, co tydzień tekst na blogu i w białostockim „Kurierze Porannym", raz w miesiącu coś dla policjantów („Policja 997"), dla mężczyzn („Prime"), od niedawna dla lekarzy („Gazeta Lekarska"). No i uzbierało się. A po co to wydawać? Bo jakoś ciągle nie wierzę Internetowi. Boję się, że kiedyś ktoś wykręci bezpiecznik (bo jak świeci, to musi mieć bezpiecznik, a ekran mojego komputera świeci) i wszystko gdzieś zniknie. Co na papierze, to na papierze!

À propos papier. Dawno temu dostałem w prezencie czarną, podniszczoną teczkę z napisem: „Społem Koszalin w służbie narodu i kraju. Festiwal Piosenki Żołnierskiej Kołobrzeg 1974". Od lat wkładam do niej różne „papiery firmowe". Takie kartki z nadrukiem. Zabierałem z hotelu, znalazłem podczas porządków w redakcji, ktoś mi dał jako notatnik reklamujący firmę. Pochodzenia niektórych nie jestem w stanie ustalić. Nie miałem też pojęcia po co mi te papiery. Ale się przydały. Przepisałem na nich ręcznie moje wiersze i piosenki, i dorzuciłem do tej książki. Wiem – prawdziwi poeci pisali na serwetkach… Jaki poeta taka serwetka!

I jeszcze sprawa tytułu. Wydaje mi się, że jest bez sensu. Najpierw wymyśliłem, potem zacząłem się nad nim zastanawiać. Tylko „Blog" się

zgadza. Ale jakoś się przyzwyczaiłem i żal mi było wyrzucić. Miałem nawet zamiar wmówić czytelnikom, że sprawdziłem i okazało się, że zwłaszcza wśród kobiet, ten mój blog ma „głośną, ale często nie najlepszą reputację, złą sławę” („osławiony” wg *Słownika języka polskiego*). Nie będę kłamał. Niczego nie sprawdziłem. A tytuł „Blog osławiony między niektórymi niewiastami i częścią mężczyzn”, chociaż już bliższy prawdy, nie podoba mi się. Niech już zostanie „Blog osławiony między niewiastami”. Nie ja pierwszy wymyślam takie tytuły.

A „Żółta łódź podwodna”?

Wiersz o ważnych pytaniach, które nasunęły się autorowi podczas trwającej cztery dni emigracji do Szwecji.

60160 TAXI

Spacerując po szwedzkich ulicach,
z przyjacielem – Północnym Chłodem,
Pytam: „Ile z blasku księżyca
Emigruje razem z narodem?

Które wiatry do nas należą?
Zagubionych w zamorskiej dali?
Czy są jeszcze tacy, co wierzą
W święte prawo do morskiej fali?

Czy po skandynawskich uliczkach
Może stąpać Polak - Katolik?
Czy została we mnie Wieliczka?
Ile we mnie z Wieliczki soli???

Dokąd gnam z podróżną torbą,
Przyjaciółko Poniewiecko?
Ile tu kosztuje Volvo
Ze skórzaną tapicerką?

/ Malmö - październik 2000/

www.taxi60160.at

Podanie o nieułatwianie

Zwracam się z uprzejmą prośbą o natychmiastowe zahamowanie rozwoju cywilizacyjnego. Chodzi mi o to, żeby już nikt nie wymyślał niczego, co ma mi ułatwiać życie. Bo mi to życie utrudnia. W sobotę wieczorem pękła rura w łazience. Rzuciłem się z jakąś szmatą, podstawiłem wiadro. Kiedy już było prawie pełne i pochyliłem się, żeby je wymienić, usłyszałem charakterystyczne „chlup”. Już teraz wiem, jaki dźwięk wydaje telefon komórkowy wpadający do wiadra z wodą. Sytuacja stawała się krytyczna. Wody było coraz więcej. Nie mogłem zadzwonić po pomoc, bo mi zalało telefon. Wybiegłem z domu w poszukiwaniu automatu. Znalazłem trzy z napojami, jeden z papierosami, dwa z gazetami i jeden z prezerwatywami. Ale żadnego telefonicznego. Zalewa ci mieszkanie, a tu cywilizacja proponuje coś do picia, palenia, poczytania i… Postanowiłem poprosić kogoś o użyczenie telefonu. Facet w mokrym garniturze wzbudza zaufanie. Pan Janusz, nasza domowa „Złota Rączka, Srebrny Ząb”, był po kwadransie. Co z tego, kiedy nie mogliśmy się dostać do klatki schodowej, bo kod do domofonu miałem zapisany w telefonie? Ktoś życzliwy pokazał mi kiedyś, jak dużo informacji można zmieścić na karcie SIM. I teraz nie mam żadnego numeru do znajomych, nie znam kodu PIN do karty bankomatowej, nie pamiętam swojego NIP-u…

Następnego dnia podczas poszukiwania numeru telefonu serwisu nawigacji satelitarnej GPS popsuł mi się Internet. Przy uruchamianiu mówili, że gdyby coś szwankowało, mam wysłać mejla. Ale jak mam wysłać mejla, jak mi Internet nie działa? Dobrze, że zdążyłem zapisać namiary na serwis nawigacji satelitarnej. Poprosiłem sąsiada, żeby zadzwonił i spytał, co mam zrobić, bo mi się zepsuła. Powiedzieli, że mam przyjechać do nich. Na ulicę Postępu 12. Ale jak mam przyjechać, jak mi się nawigacja satelitarna zepsuła? Na szczęście znalazłem prymitywny, drukowany plan miasta, odszukałem kwadrat 38 B1 i pojechałem. Gdybym nie spotkał listonosza, nigdy bym się nie dowiedział, że Postępu 12 jest obok Postępu 7, na rogu Kolczykowej. A dokładnie naprzeciwko jest Postępu 74. Teraz już rozumiem, dlaczego zaczęli handlować nawigacją satelitarną. I po co nam to wszystko? Nie chodzi o to, żeby od razu anulować wynalazek druku, maszyny parowej czy elektryczności. Chociaż… Gdyby tego wszystkiego nie było, taki Lenin siedziałby sobie spokojnie w Symbirsku, strugał fujarkę z drewna i przez myśl by mu nie przeszło, że „Socjalizm – to władza radziecka plus elektryfikacja kraju”. A ja to wszystko, co teraz piszę, wyskrobałbym gęsim piórem na pergaminie, przepisał w odpowiedniej liczbie egzemplarzy i rozwiózł konno wszystkim zainteresowanym czytelnikom. Podczas mojej drogi powrotnej każdy mógłby wrzucić do konia (dokładniej do sakwy przywieszonej do siodła) swój komentarz, i tak stworzylibyśmy prymitywne forum internetowe. Ale poważnie – jeszcze raz uprzejmie proszę o zaprzestanie ułatwiania ludziom życia. Przyjmijmy, że ostatnim sensownym wynalazkiem było uruchomienie telewizji. Á propos – z napisu na billboardzie dowiedziałem się, że w najnowszej edycji programu *Taniec z gwiazdami* występuje kolejna córka byłego prezydenta RP. Po Aleksandrze Kwaśniewskiej – Maria Wałęsówna. Wychodzi na to, że w przyszłym roku propozycję

udziału w programie dostanie Monika Jaruzelska. Oczywiście policzyłem dalej. Biorąc pod uwagę Bieruta… Albo nie, Bieruta nie biorę. Uwzględniając sześciu prezydentów na uchodźstwie, trzech II Rzeczypospolitej, naczelnika państwa i królów, wychodzi mi, że w 2015 powinna tańczyć posłanka PO Małgorzata Kidawa-Błońska. W Internecie (już mi naprawili, bo poszedłem do nich piechotą) wyczytałem, że „jest prawnuczką prezydenta RP Stanisława Wojciechowskiego i premiera Władysława Grabskiego”. Proszę, można? W roku 2022 atrakcją będzie udział Leelee Sobieski – hollywoodzkiej gwiazdki polskiego pochodzenia. No to: raz, dwa, trzy, cza, cza, cza Państwu.

13 września 2006

Spisane późnym wieczorem, żeby do rana nie zapomnieć

Jeśli to prawda, że potrzeba jest matką wynalazku, to wiem, co może być jego ciotką. Pazerność. Myślałem, że w dziedzinie wymyślania sposobów na sprzedaż jak największej dawki reklam w mediach zrobiono już wszystko. Bo i przerywanie filmów, i kilku sponsorów do jednego programu, i słynne zdanie „a o tym, kto zabił, dowiedzą się Państwo po przerwie na reklamę” – do tego już się przyzwyczaiłem. A jednak mnie zaskoczyli. Jadę sobie samochodem, radio gra cichutko… Słyszę charakterystyczne pikanie oznaczające równą godzinę, a po nim uśmiechnięty głos lektora oznajmia: „Sygnału czasu posłuchaliśmy dzięki hurtowni budowlanej »Zygmunt«”. No tak, i doszło do tego, że jeśli zaświeci jutro słońce, będzie to zasługa firmy farmaceutycznej Farfocel, która sponsoruje prognozę pogody. A za to, że będzie 14.00, powinienem podziękować sieci stacji benzynowych Dolewka. Ja wiem, że kapitalizm, ale chociaż parę lat już to trwa, ciągle mnie dziwi.

Wydawałoby się, że ludzkie marzenia są czymś najbardziej intymnym. Gdzie tam! Nawet tutaj marketing się wtrąci. Siedzę w restauracji, a przede mną napis: „Skomponuj sałatkę swoich marzeń”. A skąd oni wiedzą, że ja marzę akurat o sałatce? Może ja śnię banalnie o jakiejś wielkiej miłości

albo podróży dookoła świata? Może stosunek sałaty lodowej do kapusty pekińskiej i kalafiora jest mi zupełnie obojętny? Po prostu mi to… Oj, przepraszam bardzo, zagalopowałbym się. Ale to efekt lektury. Jestem świeżo po przestudiowaniu trzech słowników: wulgaryzmów, polszczyzny potocznej i eufemizmów. Zmobilizowała mnie do tego wypowiedź, którą kiedyś usłyszałem w telewizji. Otóż pewien polityk mówiąc o pracach nad jakąś ustawą, użył zwrotu: „Przepraszam, że się tak brzydko wyrażę – ruszyliśmy z kopyta”. Zaciekawiło mnie, co też tak brzydkiego jest w tym ruszaniu z kopyta? Nie jest to określenie wulgarne, a nawet sugeruje coś pozytywnego – „zacząć coś robić od razu, szybko, nagle”. Więc dlaczego „brzydko”? Osobiście jestem jak najbardziej za kulturą, ale jej nadmiar też może być szkodliwy. Chyba że ten pan obawiał się, że słuchacze zbyt dosłownie potraktują te „kopyta”? Że niby on i jego koledzy z partii je mają? A jak ktoś ma kopyta, to i rogi się znajdą… Niepotrzebnie uznajemy za szpetne coś, co szpetne nie jest. Swoją drogą, w każdym radiowym i telewizyjnym studiu, przy każdej mównicy powinien się znaleźć słownik eufemizmów. Jakże by wtedy miło, jak ciekawie brzmiały wszelkie dyskusje. Na przykład jeden pan drugiemu panu chce powiedzieć, że jest głupi, ale w porę łapie słownik i mówi: „Wydaje mi się, że jest pan posiadaczem jednej, przeraźliwie samotnej szarej komórki” albo „Szanowny pan ma poprzestawiane na strychu”, albo „Przy panu okna można trzymać otwarte”. A później awantura przenosi się do restauracji. Już na końcu języka panowie mają słowa, których potem musieliby się wstydzić, a tutaj kelner przynosi słownik i rozmowa wygląda tak:

– „Idź mi stąd, bo za chwilę użyję rzeczownika z zakresu dolnej części korpusu”.

– „Nie będę się z tobą kłócił, bo jesteś oddany specjalności kieliszka”.

– „*A canis tibi faciem lingebat*”.

Wszystkie cytaty, których przed chwilą użyłem, zostały zebrane i opublikowane przez poważnych naukowców. Zatem gdyby ktoś chciał się przypadkiem oburzyć na to, o czym piszę, wyjaśniam – to nie ja, to inteligenci. Jednak na wszelki wypadek pożegnam się już z Państwem i z kopyta ruszę do łóżka. Że się tak brzydko wyrażę, „Dobranoc”.

12 października 2006

Numer pudełka

Bezwzględny polski kapitalizm zmusza mnie do kupowania w dużych galeriach handlowych. Mam takie uczucia wobec tych przybytków, że już sama nazwa „galeria” nie kojarzy mi się z miejscem prezentacji sztuki, ale miejscem, w którym czuję się jak galernik. Jestem miłośnikiem małych osiedlowych sklepików. Ale sprawdziłem – u Pana Henia jest drób, jest świeże pieczywo, ale nie ma stojących wieszaków drewnianych w kolorze mahoniowym. Rzadko bywają wieszaki w sklepie spożywczym. Nie ma rady, trzeba pojechać do galerii handlowej. W środku jak zwykle tłum. Już wiem, że za chwilę, kiedy tylko kilka razy zakręcę się w obrotowych drzwiach, on mnie porwie, a ja mu się poddam. Pójdę nie tam, gdzie chcę, ale tam, gdzie on mnie poniesie. Mam nadzieję, że chociaż na chwilę pozwoli się zatrzymać w okolicy stojącego wieszaka drewnianego w kolorze mahoniowym. Ale cóż to? Zaraz za wejściem obserwuję coś, co pamiętam z dzieciństwa. Kolejka. Kilkanaście osób ustawionych gęsiego. Niemożliwe. Rok dwa tysiące szósty, centrum Unii Europejskiej i kolejka? Zaciekawiony podszedłem bliżej. Zainteresowała mnie struktura tej kolejki. Otóż byli to dorośli z dziećmi. Ale nie matki z dzieckiem na ręku, którym przysługuje obsługa poza kolejnością. Dzieci stały samodzielnie. Dorośli

coś pisali na kartkach. O, jakiś konkurs literacki – ucieszyłem się i już miałem pierwszą zwrotkę piosenki:

Gdzie w Warszawie jest ciekawie
Chciał pokazać szczurek mrówce…
Więc ją szybko zaprowadził
Tam gdzie cukier po złotówce.

Niestety, to nie był konkurs literacki. Dorośli wypełniali jakieś dokumenty. „Formularz oddania dziecka pod opiekę galerii handlowej na czas zakupów”. Naprawdę tak to się nazywa. Wziąłem taki jeden. Mam go przed sobą. Zaczyna się od daty, a potem są dwie rubryczki: „godzina wejścia dziecka” i „godzina wyjścia dziecka” potwierdzane podpisem pracownika punktu opiekuńczego. Niżej hasło „numer pudełka”, pod spodem w kolejności należy wpisać: imię dziecka, wiek, adres, telefon, imię i nazwisko rodzica. Dalej jest formułka: „Tylko wymienionej wyżej osobie wydane zostanie dziecko z pokoju zabaw”. Poniżej rodzic powinien podpisać dwa razy: pierwszy przy pozostawieniu dziecka, drugi przy odbiorze… I to wszystko. Może histeryzuję, ale coś mi się tutaj nie podoba.

Po pierwsze – za dużo niewiadomych. Formułka jest niedokładna. „Tylko wymienionej wyżej osobie wydane zostanie dziecko z pokoju zabaw” – ale nie określono, czy na pewno to samo, które się oddało pod opiekę? Czy na przykład dzieci wydawane będą w porządku alfabetycznym albo w kolejności zgłaszania się po nie? Ma to niebanalne znaczenie, zwłaszcza w czasie zakupów. Kupimy pluszaka i kredki, a odbierzemy siedemnastoletniego chłopca zainteresowanego heavy metalem. Zabawki do wyrzucenia, trzeba wracać po większą ilość jedzenia.

Po drugie – dane są za mało szczegółowe. Przecież niezbyt rozgarnięty albo już oszołomiony perspektywą zakupów rodzic, poganiany jeszcze

przez współmałżonka, może wypełnić podane rubryki w sposób następujący:

Imię dziecka: Marcinek

Wiek: XXI

Adres: marcinek@waw.pl

Telefon: jeszcze nie ma, ale babcia obiecała mu kupić taki na kartę, jak tylko skończy zerówkę.

No i najważniejsze – co to znaczy „numer pudełka”? Czyżby nasze dzieci w taki sposób były przechowywane w czasie, kiedy my lekką ręką wydajemy ciężko zarobione pieniądze?

Skandal! No dobrze, przepraszam, może niepotrzebnie się unoszę. Ale to dla dobra naszych najmłodszych rodaków, dla ich szczęśliwego dzieciństwa. Zróbmy wszystko, by za kilkadziesiąt lat spacerując po mieście ze swoimi wnukami, z łezką w oku mogli wspomnieć i westchnąć: „Widzisz wnusiu, dziadziuś wychował się w tym hipermarkecie”.

24 października 2006

Wybierać, wyborca, wyborczy, wybór

Partie polityczne powinno się karać finansowo za nudne kampanie. Dawniej po wyborach miałem co najmniej kilkanaście cytatów z ulotek i wypowiedzi polityków różnego szczebla, które dowodziły, że dobrze może nie jest, ale wesoło na pewno. A dziś? Gdyby nie jedna lodówka, która informowała, że zostaliśmy oszukani, i kandydat na prezydenta Białegostoku, który rzekomo wie, „jak zlikwidować papierosy, jak wszystko zlikwidować” – nie byłoby na czym oka ani ucha zawiesić. Przepraszam, mam jeszcze jedną zdobycz – ogłoszenie zamieszczone w gazecie przez sztab prezydenta Łodzi Jerzego Kropiwnickiego. Pod fotografią uśmiechniętego kandydata umieszczono napis „Nie obiecuje, a spełnia”. To ciekawostka przyrodnicza. A co spełnia? Bo jeśli to, co obiecuje, to za dużo tego nie ma. A jeśli spełnia to, czego nie obiecuje, to też strach. Dotychczas wiedziałem tylko, że „Nie je, nie pije, a chodzi i bije” to zegar, od teraz wiem, że „Nie obiecuje, a spełnia” to prezydent Łodzi.

I jak tu nie wierzyć w metafizykę? Oglądałem reklamówki komitetów wyborczych. Obok telewizora zobaczyłem kopertę. To był list od pani Agnieszki z Wrocławia, mojej radiowej korespondentki. Spojrzałem na datę – 12.7.2003. Trzy lata tu przeleżał, czekając na okazję. W środku był

wycinek z gazety. Ludzie wiedzą, że zbieram takie ciekawostki, więc mi je przysyłają. To jest relacja z rozgrywek turnieju piłkarskiego o puchar prezydenta Wrocławia. Na końcu podane są wyniki. I jakie fantastyczne nazwy drużyn! „FC Ogórki” – „Wrocław Leć za Piłką” 0:3, „Znajomi Sędziego” – „Szybcy i Wściekli” 4:4, „Pogoń za Bramką” – „Demony Futbolu” 2:34 (ten wynik wywołał we mnie wątpliwości, czy to na pewno był mecz piłkarski). Grały też „Ultra Sedesy” (przegrały z „Sołtysowicami” 7:8) oraz „Potężne Kaczory” (pokonane przez „Grunwald” 8:18). A gdyby tak komitety wyborcze wykazały tyle inwencji w wymyślaniu nazw? Jak ładnie by to brzmiało: „Najwięcej mandatów w radzie miasta zdobyli »Szybcy i Wściekli«, nie mają jednak większości pozwalającej na samodzielne rządzenie. Mówi się o możliwej koalicji ze »Znajomymi Sędziego«”. Albo: „Przewodniczący klubu »Szybcy i Wściekli« stwierdził, że gotów jest na współpracę ze wszystkimi poza »Ultra Sedesami«”.

E tam, w głowie mi się przewraca. Nudna kampania wyborcza! Po prostu za dobrze mi jest i szukam dziury w całym. Zauważyłem, że im większy mam wybór, tym bardziej marudzę. Kilka dni temu wszedłem do salonu samochodowego. Szukam takiego modelu, który spełnia tylko jedno kryterium – żeby jeździł. Wszedłem, powiedziałem: „Dzień dobry, czy są jakieś samochody?”. I się zaczęło. Pan sprzedawca przedstawił mi tyle możliwości, a ja się tak rozkaprysiłem, że kiedy po dwóch godzinach zaproponował „wykończenie plastikiem imitującym drewno”, oznajmiłem, że wolałbym „wykończenie drewnem imitującym plastik”.

– Wie pan – powiedziałem tonem znawcy – to niby drobiazg, ale zawsze po sękach w drewnianym wykończeniu będzie można określić wiek samochodu.

15 listopada 2006

Gastroatlas Polski

Minęła już niestety epoka „Książek skarg i wniosków” wywieszanych w sklepach i tak zwanych punktach gastronomicznych na kawałku sznurka oryginalnie przeznaczonego do snopowiązałki. Już nikt nie napisze, że: „Pani ekspedientka nie obsługuje w kolejności, gdyż twierdzi, że klient powinien się najpierw wyszumieć”. Ale jest coś nowego. W prawie każdej restauracji, każdym przydrożnym barze – a widziałem nawet na plastikowym stoliku obok leśnego grilla – jest księga pamiątkowa. Albo pamiątkowa ściana. Właściciele tych lokali starają się uwieczniać spotkania ze znanymi gośćmi, którzy zatrzymali się, żeby chwilkę odpocząć i coś zjeść. Aktorzy, piosenkarze, gwiazdy telewizji, sportowcy i politycy jeżdżąc po kraju, zostawiają pisemne ślady swoich kulinarnych przygód. „Było smaczne. Ekipa *M jak Miłość*”, „Dziękuję za gościnę. Donald Tusk”. Zdarzają się wiersze: „Zupa smakowałaa nam. Pozdrawiamy. Grupa Maanam”, „Tu rosołek był wspaniały. Z uściskami Adam Małysz”. Ten sympatyczny zwyczaj mógłby mieć wielkie znaczenie dla polskiej nauki. Za kilkaset lat grupa archeologów może trafić gdzieś w okolicy Białobrzegów na świetnie zachowane ruiny przydrożnego baru w kształcie autobusu Autosan H-9 z napisem Świeżonka.

W środku księga pamiątkowa. A w niej informacja: „Tu raczyli się świeżonką Krzysztof Krawczyk wraz z małżonką. 16.6.2006”. Pozostanie tylko połączyć ze sobą fakty, wyciągnąć wnioski i opublikować je w rozprawie naukowej „Migracja gastronomiczna polskiego show-biznesu na początku XXI wieku”. Niestety wartość poznawcza tych dokumentów jest dość wątpliwa. Po prostu jest dużo fałszerstw. Albo może delikatniej – żartobliwych przekłamań. Sam jestem autorem jednego. Kilka miesięcy temu zatrzymałem się w przydrożnym barze. Typowa polska chata z drewnianych bali, kryta strzechą. Nazwa też swojska. Vesuvio czy jakoś tak. Zamówiłem coś do jedzenia. Dostałem mniej więcej to, co zamówiłem, i się zaczęło. Poczułem na sobie ciekawskie spojrzenia obsługi restauracji. Domyśliłem się, że zostałem rozpoznany. Pewnie z racji moich konferansjersko-kabaretowych występów telewizyjnych. Podszedł pan kelner. W ręku trzymał flamaster i bardziej stwierdził, niż zapytał:

– Pan Bałtroczyk, prawda?

– No nie do końca. Ale prawie – bardziej mruknąłem, niż powiedziałem.

– No, panie Piotrze, pan jak zwykle żartuje. A ja mam taką prośbę. Czy mógłby nam pan na pamiątkę podpisać się tu na ścianie? – bardziej rozkazał, niż poprosił.

– Oczywiście, z przyjemnością – bardziej zażartowałem. Napisałem: „Jadłem tutaj, było świetne, jeszcze tu przyjadę. Piotr Bałtroczyk”. I data. Wiem już z relacji zaprzyjaźnionych osób, że mój kolega Piotr dotarł niedawno do tej restauracji i też poproszono go o wpis. Zdziwił się, kiedy zobaczył, że już tam był i jadł. I podobno zrobił małą awanturę, bo nie uwierzył, że był w takim stanie, by mu się aż charakter pisma zmienił. Mnie zabolało najbardziej to, że nie zwracano się do niego per „Panie Arturze”. Te wpisy są mało wiarygodne, bo nie pokazują całej prawdy.

Nie wierzę, żeby właściciel lokalu, będący nawet największym fanem i kolekcjonerem autografów, zachował w księdze notatkę, w której klient gani jedzenie. Na przykład: „Karkówka była przypalona. Pozdrawiam. Elton John. Mogielnica 12.9.2000”.

Ciekawe, w jakim kierunku może się rozwinąć ten ruch kronikarsko-gastronomiczny? Czy na przykład w jadłospisach obok nazw potraw nie pojawią się wkrótce nazwiska gości, którzy je jedli. „Żurek konsumowali: Maryla Rodowicz, Irena Szewińska, ks. bp Sławoj Leszek Głódź”, „Pierogi z kapustą i grzybami raczyli spożyć: Ich Troje (ale tylko dwie porcje) i taki jeden prowadzący teleturniej w TVN-ie, taki, że się pojawiają literki i trzeba odgadnąć, jaki to wyraz (też dwie porcje)”. Rację miał poeta, twierdząc, że *Dziwny jest ten świat*. Są jednak różne jego części. Bardziej i mniej dziwne. Niech Państwo zgadną, w której żyjemy? No to jeszcze tylko podpis na pamiątkę.

Tu pisałem. Artur Andrus.

27 listopada 2006

Wesoła k. Radości, ulica Dowcip 12

Kiedyś już wypowiadałem się na temat nazw ulic i zabawnych (moim zdaniem) skojarzeń z instytucjami przy nich umiejscowionymi. Zaczęło się od reklamy: „Hotel Orka, ul. Na Ugorze 7”. Chciałem upowszechnić ten zwyczaj. Żeby każdy wiedział, że Wytwórnia Łóżek jest na ulicy Madeja, a Urząd Pracy przy Syzyfa. Odzew na mój apel był zaskakujący. Zwrócili mi Państwo uwagę, że tego nie trzeba robić, że to już jest. I posypały się przykłady: że Urząd Skarbowy w Gdańsku mieści się przy Rzeźnickiej, a przy Rzeźniczej w Krakowie jest Centrum Krwiodawstwa. W Stalowej Woli przy ulicy Niezłomnych jest Wytwórnia Wódek, Izba Wytrzeźwień w Krakowie na Rozrywki 1 (jeśli ktoś bywa częściej, to można powiedzieć, że nawet na „Powtórki z Rozrywki” – zażartował autor tekstu). Zachęcony tymi informacjami rozpocząłem własne poszukiwania. Jeśli niektórzy z Państwa pomyśleli w tej chwili – cytuję: „Dorosły facet, a traci czas na pierdoły”, to znaczy, że stajecie mi się coraz bliżsi. To jest sentencja, którą kilka razy dziennie słyszę z ust moich, coraz bardziej zatroskanych, domowników.

Wracajmy do badań. Skoncentrowałem się na urzędach. Zwłaszcza moich ulubionych: skarbowym i ZUS-ie. Mój urząd skarbowy, ten do którego każdego roku z uśmiechem na twarzy idę oddać pieniądze, które mi

się nie należą, mieści się przy ulicy Wynalazek. W Kędzierzynie-Koźlu i Grójcu PIT-y składa się przy ulicy Skargi. Co prawda Piotra, ale jeśli pominąć imię, to przeżycie pasuje emocjonalnie do nazwy ulicy. W Zielonej Górze ta sympatyczna instytucja znajduje się na ulicy Pieniężnego 24, ale najładniej dobrano miejsce dla Urzędu Skarbowego w Limanowej – ul. Matki Boskiej Bolesnej 9.

A teraz o oddziałach, inspektoratach i biurach terenowych ZUS-u. Tylko w Pionkach jest na ulicy Spokojnej. Jeszcze w Rudzie Śląskiej na Niedurnego 44, ale już w Suwałkach – Utrata 4b. Przebojem jest dla mnie adres ZUS-u w Zabrzu – ulica Szczęść Boże 18. I to się akurat zgadza. Zazwyczaj tyle mają do powiedzenia, kiedy się tam przychodzi po emeryturę.

W czasie poszukiwań albo – jakby powiedział rzecznik policji w telewizyjnym programie informacyjnym – „w toku przeprowadzonych czynności śledczych” zauważyłem pewną niemiłą prawidłowość. Zestawiłem adresy szpitali. W Przemyślu na Słowackiego, w Ełku – Kościuszki, w Katowicach – Reymonta, w Łodzi – Piłsudskiego, w Swarzędzu – Staszica. I co? Otóż to są wszystko nazwiska ludzi, którzy już dawno nie żyją! Znowu wychodzi z nas wrodzony pesymizm! A jestem przekonany, że upamiętnianie ludzi aktualnie uchodzących za okazy zdrowia w nazwach ulic przyszpitalnych może działać terapeutycznie. Na przykład: „Samodzielny Publiczny Szpital Kliniczny Akademii Medycznej w Białymstoku, ul. Niepalącego Rowerzysty Chodzącego Trzy Razy w Tygodniu na Basen”. Nie jest optymistyczniej?

Wiem już, co dostanę pod choinkę. Znalazłem w szafie. Tabliczkę z wygrawerowanym hasłem. Taką do stawiania na biurku. Clinton miał swoje „Gospodarka, głupcze!”, a ja będę miał „Dorosły facet, a traci czas na pierdoły”.

1 grudnia 2006

Zwierzenia początkującego narciarza

Dzieciństwo miałem beztroskie. I nudne. Do najodważniejszych na podwórku nie należałem. Kiedy moi koledzy strzelali z procy, skakali z drzewa albo pływali w niedozwolonych miejscach, ja jako ministrant służyłem do mszy. Było to najbardziej ekstremalne przeżycie, na jakie wtedy pozwalali mi rodzice. Nigdy nie należałem do żadnej subkultury. Ale już należę. W ramach nadrabiania zaległości z dzieciństwa postanowiłem rzucić się w nurt szaleństwa. Białego. Od niedawna jestem narciarzem. Kolega prawnik (a zimą również instruktor) twierdzi, że biorąc pod uwagę moje umiejętności i styl jazdy, nazywając siebie „narciarzem", narażam się na proces cywilny o naruszenie dobrego imienia przedstawicieli tej dyscypliny sportu. To on zaproponował mi pracę na kursach dla dzieci. Chciał mnie wypuszczać przed grupą i mówić swoim podopiecznym: „Jak nie będziecie grzeczne, to będziecie jeździć jak ten pan". No rzeczywiście, jeśli styl zjazdu porównywać do kobiecej urody, to nie jestem ci ja Claudią Schiffer stoku narciarskiego. Chyba lepiej wychodzi mi pisanie wierszy.

Pierwsze kroki w butach narciarskich stawiałem pod okiem majora Krzysztofa P. – byłego komandosa. Z tego, co wiem, jego odejście ze służby nie było efektem mojego szkolenia narciarskiego, ale na pewno jego służba miała wpływ na skuteczność procesu nauczania. Wiedziałem, że

nigdzie się nie schowam, że nie ucieknę. Próbowałem nawet nawiązać kontakt z oddziałem mafii włoskiej w rejonie Madonna di Campiglio, ale odmówili mi ochrony. Major Krzysztof P. był tak zadowolony z moich postępów w nauce, że na koniec turnusu w nagrodę podarował mi koszulkę z napisem „Fundacja Byłych Żołnierzy Jednostek Specjalnych GROM". Mam ją do dziś i wkładam zawsze, kiedy chcę wejść do jakiejś szczególnie obleganej dyskoteki. Działa. Nigdy żaden z bramkarzy nie odważył się zagrodzić mi drogi. Wszyscy się nabierają. A gdyby tylko uważniej przyjrzeli się mojej muskulaturze wylewającej się spod T-shirta, domyśliliby się, że w jednostkach specjalnych mogłem służyć co najwyżej w pionie kwatermistrzowskim, w sekcji rozdzielania wysokokalorycznych porcji żywnościowych.

Ale wracajmy do narciarstwa. Od kilku sezonów uprawiam tę dyscyplinę sportu dla satysfakcji. Ale nie swojej, tylko tych, którzy zjeżdżają razem ze mną. Jakżeż wzrasta poczucie wartości u każdego, kto widzi mnie na stoku. A nie widzieć mnie nie można. Kupiłem sobie najjaskrawszy kombinezon świata. To ze strachu przed zagubieniem. W przypadku wypadku pies tropiący nie musi nawet opuszczać swojej budy. Z odległości kilkunastu kilometrów może łapą wskazać czerwony punkcik przebijający się przez białe pokrycie. To będę ja przysypany lawiną. Nie mam tego jak sprawdzić, ale podejrzewam, że teraz z kosmosu widać gołym okiem dwa punkty: Wielki Mur Chiński i mój kombinezon na stoku narciarskim. Mur jest dłuższy, ale ja jestem wyraźniejszy.

Własnej satysfakcji szukam w poświęconej narciarstwu pracy naukowo-literackiej. Zbieram materiały do *Słownika narciarstwa potocznego* (to jest wymyślony przeze mnie styl jazdy – ja się potaczam z góry na dół). Oto kilka przykładowych haseł:

* **Orczyk Jędrzej** (1859–1935) – bogaty góral z Białki Tatrzańskiej, uważany za ojca wyciągów narciarskich. 17 stycznia 1906 w Zakopanem, podczas wesela jednego z synów Curusia, Orczykowi skradziono nowe sanie Forda. Następnego ranka Jędrzej wpadł najpierw na pieniek do rąbania drewna, a potem na pomysł. Założył narty i podróż powrotną do domu odbył, jadąc za koniem. Obraz górala narciarza wyciąganego pod górę na linie (a tak naprawdę były to lejce) został utrwalony na malowidle wykonanym na szkle przez córkę Orczyka – Jagnę. Dzieło, przypadkowo odnalezione w roku 1937 przez grupę archeologów z Uniwersytetu Jagiellońskiego na ścianie po słowackiej stronie domu Jadwigi Orczykówny, zainspirowało grupę inżynierów z Politechniki Lwowskiej do zaprojektowania pierwszego wyciągu narciarskiego, nazwanego na cześć odkrywcy Orczykowym.

* **Skipas** – podłużny, wykonany ze skóry przyrząd do dyscyplinowania nieposłusznych narciarzy.

* **Wyciąg krzesełkowy** – maść stosowana w przypadkach stłuczeń i opuchnięć kończyn. Wyrabiana przez górali z Poronina poprzez rozpuszczenie niewielkiego krzesła z drewna sosnowego w spirytusie i serwatce. „Wyciąg krzesełkowy forte” zawiera dodatkowo odrobinę wysuszonej burej kociej sierści, zrzuconej na trawę w czasie pełni, w marcu, za stodołą.

I jeszcze może przykład twórczości literackiej:

Śniegu. Biały śniegu.
Leżysz sobie z brzegu,
Leżysz sobie z boku,
Leżysz ty na stoku.
Słońce w tobie lśni. Śniegu nasz.

A chłopaki na ratraki!
A dziewczęta tak się śmieją,
Tak radośnie, bo im płatki
Śniegu wpadły do pałatki.
Oj, ty śniegu, ty figlarzu…

Wspominałem już, że lepiej mi idzie pisanie wierszy niż jazda na nartach. To teraz proszę sobie wyobrazić, jak ja jeżdżę.

13 grudnia 2006

Załosna skarga niezadowolonych kolendników

Proszę sobie wyobrazić współczesnego kolędnika. Mężczyzna koło trzydziestki. W stroju kurpiowskim. Z pochodzenia góral. Mówiąc i śpiewając, trochę mazurzy. W ręku trzyma gwiazdę z kłapiącym dziobem (taki gwiazdoturoń). Stoi na skrzyżowaniu dwóch ruchliwych ulic w dużym mieście. I śpiewa. Akompaniuje mu, grając na fletni Pana, student z Wenezueli.

Załosna skarga niezadowolonych kolendników

Ty zrobiłeś niebo, moze*,
Północ i Południe.
Popats na nas, Duzy Boze,
Jak nam coraz trudniej.
Jak nam coraz trudniej chodzić
Po zawianych drogach,
Zeby śpiwoć, ze się rodzi
Syn Duzego Boga.

Bo te ludzie się nie znajom!

Ziemia to nie śrubka!
Kolendnicy syćkich krajów,
Zbiórka koło złóbka!

Casy idom niewesołe
I zjawiska dziwne:
Stajnia, złóbek i osiołek
Som pejoratywne.
Pozmieniało się tu duzo,
Najświentsa Osobo,
Ciebie to na pewno wkuzo*
Nam się nie podobo.

Bo te ludzie się nie znajom!
Ziemia to nie śrubka!
Kolendnicy syćkich krajów,
Zbiórka koło złóbka!

Ludzie do dom nie wpuscajom
Kolendników tera.
Na Wigilie one majom
Sianko z dekodera…
W telewizji jest pasterka
Oraz inne hity:
Gada z karpiem prezenterka,
Christmas Reality…

Bo te ludzie się nie znajom!

Ziemia to nie śrubka!
Kolendnicy syćkich krajów,
Zbiórka koło złóbka!

Jest to jakaś sansa moze,
Ze dzisiaj w Betlejem…
Ródź się sybko, Mały Boze!
Zobac, co się dzieje!
Ródź się sybko, Boze Dziecie!
Mów do ludzi onych!
Niech nie dłubią ludzie w świecie!
Ze jus jest zrobiony!

Bo te ludzie się nie znajom!
Ziemia to nie śrubka!
Kolendnicy syćkich krajów,
Zbiórka koło złóbka!

21 grudnia 2006

* [← powrót do tekstu] Chodzi o takie „moze”, w którym jest słona woda i można się w nim latem kąpać.

* [← powrót do tekstu] „Wkuzenie” – ludowa forma zdenerwowania.

Międzynarodowy dzień międzynarodowego dnia bez dnia

Jeśli ktoś lubi święta, to właściwie codziennie może coś obchodzić. Zwróciłem uwagę na dziesiątki dni i świąt pracowników różnych działów gospodarki, przedstawicieli różnych kół zainteresowań czy kręgów towarzyskich. Znalazłem publikację, w której obok tak znanych jak Dzień Matki, Dzień Ojca czy Dzień Kobiet są wymienione między innymi:

Dzień Filatelisty, Dzień Sprzątania Biurka, Dzień Konsumenta, Dzień Metalowca, Dzień Radia, Dzień Sapera, Dzień Sekretarki, Dzień Drogowca i Transportowca, Dzień Hutnika, Dzień Leśnika, Dzień Bibliotekarzy, Dzień Farmaceuty, Dzień Piwowara, Dzień Mleka, Dzień Bociana Białego, Dzień Dziennikarza, Dzień Policjanta, Dzień Mańkuta, Dzień Chłopaka, Dzień Tramwajarza, Dzień Górnika.

Zauważyłem, że twórcy tych kalendarzy nie zwracają uwagi na przedstawicieli najnowszych zawodów – nie znalazłem dnia maklera, akwizytora, pracownika marketingu. A szkoda. Zbieraliby się przy suto zastawionych stołach i śpiewali piosenki branżowe – na przykład maklerzy:

Hej, chłopiec najpiękniejszy
Jest w pablik rilejszyn,

Hej, kocha się w nim Jagoda,
Co ma ksywkę A Zero,
Bo obsługuje ksero,
Oj dana…

Przecież aż się prosi, żeby swój dzień miały kadry zarządzające – na przykład taki Światowy Dzień Wiceprezesów Zarządów Jednoosobowych Spółek Skarbu Państwa. Albo Światowy Dzień Menedżerów z Kontraktami Gwarantującymi Odszkodowania Powyżej Jednego Miliona Złotych.

Są też wśród tych świąt tak zwane „dni bez”. Dzień bez Papierosa, Dzień bez Kupowania, Dzień bez Samochodu, Dzień Trzeźwości (no, ten się nie nazywa bez, ale wiadomo bez czego musi być, skoro ma być trzeźwości). Niektóre z nich zostały perfidnie zaplanowane obok siebie. Na przykład 29 października obchodzony jest Dzień bez Kupowania, ale już 31 października jest Dzień Rozrzutności. Czyli 24 godziny na podliczenie tego, co się zaoszczędziło, i galopem na zakupy. Można sobie wyobrazić łączenie takich świąt – na przykład obchodzony 25 maja Dzień Piwowara można rozszerzyć do: Dnia Trzeźwości Piwowara bez Samochodu i bez Papierosa. Czyli w skrócie mogłoby się to nazywać Dniem Smutnego Piwowara. Niektóre święta należałoby uszczegółowić, skonkretyzować. Na przykład 28 grudnia jest obchodzony Międzynarodowy Dzień Pocałunku. Ale nie piszą jakiego albo w co. 29 grudnia ogłosiłbym Międzynarodowym Dniem Pocałunku w Pewną Część Ciała. Podczas uroczystej akademii recytowałoby się słynny wiersz Tuwima:

Socjały nudne i ponure,
Pedeki, neokatoliki,
Podskakiwacze pod kulturę.
Czciciele radia i fizyki,

Uczone małpy, ścisłowiedy

Co oglądacie świat przez lupę
I wszystko wiecie: co, jak, kiedy,
Całujcie wy mnie wszyscy w dupę.

Przepraszam, Szanowny Czytelniku... Ten tekst miał się skończyć zupełnie inaczej, ale szukając puenty, dosłownie przed chwilą, wysłuchałem wiadomości w radiu. I tak zacytowałem najłagodniejszy fragment.

11 stycznia 2007

Puchar Świata. Amen

W gazecie napisali:

„Górale, dla których odwołanie zawodów byłoby prawdziwą katastrofą finansową (na każdy z dwóch konkursów sprzedano już po blisko 26 tys. biletów), zamawiają msze w intencji mrozu i śniegu. Wierzą, że w modlitwie wesprze ich kardynał Stanisław Dziwisz – zdecydował już, że przyjedzie na Puchar Świata. Pod Tatrami zjawi się też premier Jarosław Kaczyński”…

No to ja napisałem coś takiego:

Wiersz o tym, że zbyt częste angażowanie najwyższych czynników w codzienne sprawy obywateli Rzeczypospolitej Polskiej może przynieść odwrotny skutek

Górale modlą się o śnieg.
Chcą, żeby było biało, ślisko…
„Sypnijze, dobry Panie Boze,
Garstecke choć na Kościelisko!
Osroń kamycek haj na bzegu
I ośnies kudły carnej owcy”…

W tym samym czasie o brak śniegu
W Licheniu modlą się drogowcy.
A Pan Bóg na obłoczku stoi
W niebiańskośnieżnoczystej todze:
„Żebym się, kurcze, nawet troił,
Polakom i tak nie dogodzę.
Bez przerwy tylko: Daj nam! Daj nam!”
Tu wezwał Bóg aniołów dwóch,
Z worka z napisem *Made in China*
Kazał im sypać biały puch.
I wszędzie się zrobiło ładnie…
Dzieci na nartach i na sankach…
A Pan Bóg mruknął:
„Cieszcie się, bo w lutym to wam co najwyżej spadnie
Oprocentowanie lokat w bankach”.

18 stycznia 2007

Strzelające diabełki

Życie etatowego satyryka to jedno wielkie pasmo udręk. Cotygodniowe pasmo. Jest termin, trzeba coś napisać, a tu zastój. Nic się nie dzieje, nikt nie powiedział niczego śmiesznego. No i wymyśl tu człowieku jakiś zabawny temat.

Ślęczy człowiek godzinami przed ekranem komputera i szuka jakiegoś punktu zaczepienia. O, może to… Znalazłem obok szkoły. Kolorowe pudełko po fajerwerkach. Bawiły się tym dzieci. Wielokrotnie widziałem, jak rozbawieni młodzieńcy wychodząc ze szkoły, rzucają coś takiego wybuchającego pod nogi swoim przerażonym koleżankom. Taka współczesna forma podrywu.

– Mamo, jak poznałaś tatę?

– Rzucił we mnie petardą. Tak, że aż mi tornister upadł. Boże, ile w nas wtedy było młodzieńczej fantazji!

Intrygująca nazwa i opis zabawy: „Strzelające diabełki – rzucając pojedynczo o twardą powierzchnię, powodują wystrzał. Wspaniała zabawa dla dzieci powyżej 6 lat. Nie brać do ust!”.

No ale co z tym zrobić? Porównać „Strzelające diabełki” do koalicji? Albo opozycji? Banalne, głupie, proste. Trzeba szukać dalej…

A jeszcze po paru latach pisania najdzie ochota na wydanie tych tekstów. I aż zżera ciekawość, czy ktoś to czyta. Teraz można to sprawdzić w Internecie. Wstukuje się w wyszukiwarce tytuł swojej książki i znajduje się komentarze i recenzje czytelników. Z tym że głównie trafia się na oferty księgarni wysyłkowych prześcigających się w obniżce cen książki. Znaczy, że niespecjalnie się sprzedaje. Ale jakich rzeczy można się dowiedzieć o swojej twórczości! Ja swoje teksty zebrane w niewielkich rozmiarów książeczce znalazłem na jakimś portalu w dziale „Ogrody miłości”. No, no… Okazało się, że nie wiedziałem, o czym piszę. Swoją drogą dobrze, że nie zakwalifikowali jej do kulinariów albo poradników dla majsterkowiczów samodzielnie naprawiających samochody z silnikami Diesla. Ale co to? Jednak parę osób ją kupiło! U dołu strony znajduję informację o tym, jakie inne książki kupili nabywcy mojego dzieła. Pod formułką „Klienci zainteresowani tą pozycją wybierali również” wymieniono następujące pozycje: *Zertifikat Deutsch – Schriftliche Prüfung 1*, *Poradnik podrywacza*, *Przewodnik po Gdańsku, reprint z 1939 roku*, *Droga do finansowej wolności*, *Bajka o jeżyku*, *Nasze zdrowie. Jak skutecznie radzić sobie z lękiem*, *Mumia zmartwychwstała* i wreszcie *Historia powszechna dla zagubionych*. Łał! Jaki rozrzut zainteresowań! Gdyby na podstawie tych tytułów chcieć (tak dla zabawy) stworzyć obraz przeciętnego czytelnika mojej książki, to wychodzi, że jest to: mężczyzna mówiący po niemiecku, starszy, bo już w 1939 roku podrywał w Gdańsku, ciągle na dorobku albo na czyimś utrzymaniu, z rozchwianą osobowością (jeżyk, lęk, mumia, zagubieni).

Poeta też nie ma łatwo. Próbowałem. Napisałem kilka śmiesznych wierszy i zostałem zaszufladkowany. Teraz trudno się pozbyć etykietki wesołka. Niedawno wspiąłem się na wyżyny liryki, poszukałem natchnienia w najwrażliwszych zakamarkach duszy i napisałem poważny wiersz na ślub

moich przyjaciół. Zadzwonili do mnie, żeby podziękować za tak oryginalny prezent. „Świetny wierszyk, dawno się tak nie uśmialiśmy”.

Jeśli zauważycie, że Wasze dziecko zaczyna pisać do rymu, wymyślać opowiadania, rysować, śpiewać, grać na fujarce, zbierać patyczki i układać je w jakieś kompozycje – reagujcie natychmiast. Co robić? Kupcie im „Strzelające diabełki”. Niech nawiązują kontakt ze swoim pokoleniem w sposób dla niego charakterystyczny. Przy okazji takie petardy można wykorzystywać w żmudnym procesie wychowania dziecka. Jeśli już umie czytać, a nie słucha, pyskuje i się mądrzy – można wprowadzić drobną zmianę w nadruku na pudełku. W ostrzeżeniu „Nie brać do ust!” zamalowujemy „Nie”. Satysfakcja na widok zdziwionej miny smarkacza gwarantowana. Wspaniała zabawa dla dzieci powyżej 30 lat.

26 stycznia 2007

Internetowe centrum osobliwości

Rodzina zaczyna mnie podejrzewać o kleptomanię. Rzeczywiście, znoszę do domu coraz więcej kawałków gazet, ulotek, zdjęć, więc nie dziwię się, że rodzina mnie podejrzewa. Ale ja już z przedszkola przynosiłem misie o śmiesznym zgryzie i zabawnie połamane foremki do babek (czy babki do foremek? – nie pamiętam). Więc dlaczego dopiero zaczyna podejrzewać? Mam mało spostrzegawczą rodzinę. W związku z tym, że na ulicy zaczepiają mnie ludzie, wręczają coś wyrwanego albo sfotografowanego z pytaniem „To pan zna?” – postanowiłem utworzyć „Internetowe Centrum Osobliwości To Pan Zna?” i zamieszczać w nim to co znajdę albo Państwo mi podrzucą.

Eksponat 0001/07

Ogłoszenie prasowe zamieszczone 22.1.07 w „Życiu Warszawy”:

„Hotel w Warszawie poszukuje kandydatów na stanowisko: KIEROWNIK ZMIANY. Od kandydata oczekujemy:

– doświadczenia na stanowisku kierowniczym w restauracji o profilu sportowym

– dyspozycyjności

– kreatywności

– umiejętności prezentowania profesjonalnej gościnności”.

Nie wiedziałem, że są restauracje o profilu sportowym. Co tam podają? „Golonka i sześć pompek”, „Tatar na bieżni”, „Żeberka przez płotki”? Chociaż zaraz. Kiedyś już byłem w restauracji o profilu sportowym. Przynajmniej tak można było wnosić po stroju gości. Wieczorowe dresy, bo przecież karnawał… A ta profesjonalna gościnność? Ciocia Halinka byłaby świetną kandydatką. Nikt tak jak ona nie potrafi udawać, że „Cieszę się, że was widzę”.

Eksponat 0002/07

Plastikowa butelka z nadrukiem: „Mydło w płynie z wyciągiem z sześciu ziół. Nie zawiera mydła”. A zawiera chociaż wyciąg? Z tym eksponatem łączy się branżowo:

Eksponat 0003/07

Reklama pewnego kosmetyku, po którego zastosowaniu „97 procent kobiet zauważyło zdecydowaną redukcję zmarszczek”. Po pierwsze nie ma informacji, czy ta redukcja nastąpiła u kobiet, które używały tego kremu, czy u kogoś innego. Bo jeśli 97 procent kobiet zauważyło redukcję zmarszczek u swoich koleżanek, to nie jest to dla nich środek poprawiający samopoczucie. A jeśli u siebie, to może tak naprawdę „zauważenie” nie wynika z zanikania zmarszczek, tylko z pogorszenia się wzroku uczestniczek badania. Po prostu taki krem, który psuje oczy i nie widzi się zmarszczek.

Eksponat 0004/07

Menu restauracji Młyn pod Mariaszkiem. Na pierwszej stronie pod wykazem dań umieszczono tekst: „Na życzenie gości podajemy pół porcji –

dania płatne 75%”.

Lepszy jest tylko ZUS: „Na życzenie gości być może przez 10 lat wypłacimy po 600 złotych emerytury miesięcznie, pod warunkiem że wcześniej przez 30 lat potrącimy miesięcznie po 2000 złotych”.

Eksponat 0005/07

Fotografia budynku Zakładu Pogrzebowego „Hermes” w Sławnie. Na szybie wystawowej napis: „Do każdego pogrzebu trąbka gratis!!!”. Ciekawe, czy ta promocja wpłynęła na zwiększenie umieralności wśród miłośników jazzu? Gdybym prowadził konkurencyjny zakład pogrzebowy, przebiłbym ofertą całej sekcji rytmicznej.

Dziękuję wszystkim, którzy dostarczyli mi eksponaty. Ale ostrzegam tych, którzy myślą sobie, że jak będą chcieli zrobić porządek na strychu, to wystarczy zadzwonić po mnie. Proszę nie przesadzać, bo mogę stracić umiejętność prezentowania profesjonalnej gościnności i może być nieprzyjemnie.

2 lutego 2007

W miłej atmosferze

To, co Państwo tutaj czytują, ja piszę tylko w jednym celu. Żeby wprowadzić Państwa w dobry nastrój, próbować stworzyć miłą atmosferę. Ale niedawno dopadły mnie wątpliwości. Czy aby robię to skutecznie? Czy istnieje jakieś ogólne pojęcie „miłej atmosfery”? Przecież każdemu co innego może sprawiać przyjemność. Zacząłem się nad tym zastanawiać, czytając prasowe ogłoszenie:

„Nasz hipermarket poszukuje kandydatów na stanowiska:

rzeźnik

oferujemy: system szkoleń, możliwość rozwoju zawodowego, ciekawą i odpowiedzialną pracę w miłej atmosferze”.

Prawdę mówiąc, trudno mi to sobie wyobrazić. Ja, kiedy chcę się wprowadzić w miły nastrój, włączam radio. Ale nie zawsze się udaje – czasem zamiast w stan ukojenia, wpadam w zadziwienie. Kilka dni temu słuchałem nocnej audycji muzycznej. Kolega prezenter snuł opowieści o piosenkach, ich twórcach, o czasach, w których powstawały, i nagle stwierdził: „Ten wielki artysta w tym utworze grał na saksofonie poniekąd”. I popłynęła muzyczka. W środku nocy zadzwoniłem do znajomego saksofonisty:

– Słuchaj, co to jest „poniekąd saksofon”?

Najpierw usłyszałem kilka słów, których użycia nie spodziewałem się po kimś, kto z wyróżnieniem ukończył akademię muzyczną, a potem:

– Klarnet to jest poniekąd saksofon – rzucił oschle. Słuchawką telefonu też rzucił. Niemniej oschle.

A następnego dnia rozmawiałem z panem, który zaproponował mi prowadzenie pewnego koncertu. Cytuję fragmenty wypowiedzi: „Pan niejako jest w tym bardzo dobry… To będzie niejako miły koncert… Wystąpi niejako Patrycja Markowska…”. Akurat w tym ostatnim zdaniu chciał pewnie powiedzieć „niejaka Patrycja Markowska”.

W naszym bloku miłą atmosferę tworzy sąsiad z drugiego piętra. Przez kilka miesięcy remontował mieszkanie. Najpierw codziennie budził mnie radosnym dźwiękiem młota pneumatycznego uderzającego w posadzkę. Słyszałem, jak chwalił się dozorcy, że teraz podłogę w przedpokoju będzie miał jak autostrada A2. Tylko nie wiem, co miał na myśli. Taką gładką, taką krótką czy taką drogą? Dlaczego nie A1? Że niby ma korytarz ze Wschodu na Zachód?

Potem zaczęło się wiercenie w ścianach. Taki budzik udarowy. No cóż, trzeba było grzecznie przeczekać. W państwie demokratycznym, w demokratycznym bloku każdy ma konstytucyjnie zagwarantowane prawo do remontu. Chociaż akurat w tym przypadku jestem zwolennikiem dyktatury. W budownictwie wielorodzinnym powinien być stosowany system remontów równoczesnych. Jedna osoba powinna decydować, kiedy remontuje się mieszkania w całym budynku. Jeśli chodzi o mój blok, to najlepiej, żebym ja był tą osobą. Sąsiad remont skończył. Ale wiercić nie przestał. Z tym że teraz nie budzi mnie do pracy. Przejął to od niego sąsiad z czwartego piętra. A tsamten wierci tylko w sobotę. Zawsze o 9.00. Postanowiłem sprawdzić, skąd ta godzina. Na razie jedyne na co wpadłem,

to fakt, że mniej więcej o tej porze w telewizyjnej dwójce kończy się serial *M jak miłość*. I tak od 9 grudnia co tydzień. Mam to wszystko ponotowane. Odpuścił tylko w przeddzień Wigilii… Nie wierci dużo… Ale też i dużo nie trzeba – trzy dziury wywiercone o 9.00 rano w sobotę załatwiają ci nastrój na cały weekend! 30 grudnia wywiercił tylko dwie. Do 3 lutego – dwadzieścia sześć otworów! Po co mu tyle? Czy normalny człowiek może żyć w mieszkaniu podziurawionym jak dobry żółty ser? Takie hobby? Inni stawiają sobie ścianki do wspinania, a ten do wiercenia? Powinno się jak najszybciej wprowadzić obowiązek rejestracji wiertarek! Albo nawet obowiązek posiadania pozwolenia na wiertarkę!

Przepraszam, trochę się uniosłem. Ja naprawdę piszę tylko po to, żeby wprowadzić Państwa w miły nastrój. Ale każdemu mogą puścić nerwy. Po prostu niejako mam już wszystkiego poniekąd potąd!

8 lutego 2007

Meble kute konferansjer

Zastanawiam się nad weryfikacją mojego dyplomu ukończenia studiów. Wniosę o przyznanie mi tytułu „magister niekompetencji”. Ostatnio coraz częściej wypowiadam się na tematy, na których w ogóle się nie znam. Przy okazji występu reprezentacji Polski w mistrzostwach świata w piłce ręcznej pani dziennikarka poprosiła mnie o komentarz.

– Ale ja, proszę pani, nie mam zielonego pojęcia o sporcie – wyznałem szczerze.

– A w czasie mundialu wypowiadał się pan na temat piłki nożnej.

Miała rację. Jak się powiedziało „a”, trzeba wymienić kilka następnych liter alfabetu.

– Dobrze, proszę pytać.

– Ja bym chciała, żeby pan skomentował mecz. Tylko mam taką prośbę. Ten mecz jest dopiero dziś wieczorem, a ja to muszę mieć nagrane już teraz, bo potem wyjeżdżam, a musimy to nadać jutro rano. Jakby mógł pan mi nagrać dwie wersje – jedną gdybyśmy wygrali, drugą jak przegramy.

Zaskoczyła mnie. Ale nie na tyle, żebym nie odpowiedział.

Oczywiście wierszem.

Wersja optymistyczna:

W związku z tą wygraną, oczywiście
Należy się szacunek polskiemu szczypiorniście.

Wersja pesymistyczna:
Mimo tej porażki, oczywiście
Należy się szacunek polskiemu szczypiorniście.

To wina dziennikarzy. Jak można zadawać takie pytania? A jak już zadają, to wiadomo, że trzeba odpowiedzieć. Widziałem kiedyś relację z konferencji prasowej Sophii Loren podczas jej pierwszej wizyty w Polsce. Oto fragment odtworzony z pamięci:

Pani dziennikarka:

– Jak się pani podoba Warszawa?

Sophia Loren:

– Warszawa to piękne miasto. Kiedy wrócę do domu, opowiem moim synom, że żyją tu wspaniali ludzie.

Biorąc pod uwagę fakt, że konferencja odbywała się na lotnisku kilka minut po opuszczeniu samolotu, wnoszę, że gwiazda zachwyciła się urodą naszego pasa startowego oraz serdecznością celników, strażników granicznych i obsługi portu lotniczego na Okęciu.

Jednym z najtrudniejszych pytań, jakie człowiek może sam sobie postawić, jest to słynne: „Kim jestem?”. Ja już wiem. Odpowiedź znalazłem kilka dni temu w skrzynce mejlowej. Ktoś mi podesłał kopię strony z encyklopedii internetowej, na której umieszczono biografię Artura Andrusa. Na górze jest moje zdjęcie z mikrofonem w ręku (zatem zapewne z jakiegoś występu, gdybym trzymał nóż, byłoby trudniej ustalić okoliczności sfotografowania – noża używam do jedzenia, otwierania bagażnika w samochodzie, ostrzenia ołówków i otwierania butelek). Poniżej notatka. Nie

byłoby w niej nic dziwnego, gdyby nie wirtualne zamieszanie. Otóż do treści mojej notki biograficznej wkradły się, wskutek jakiegoś błędu technicznego, zupełnie przypadkowe słowa z jakiejś innej strony. A dokładniej są to fragmenty reklam. W efekcie wygląda to tak (zachowuję oryginalną pisownię):

Artur Andrus (ur. 27 grudnia 1971 w Lesku) – polski dziennikarz, reklama, poeta, kuferki na biżuterię, autor tekstów piosenek, przeprowadzki, artysta kabaretowy i konferansjer. Redaktor programu Powtórka z rozrywki, meble, gospodarz spotkań w warszawskiej Piwnicy pod Harendą oraz w łódzkiej Przechowalni, meble kute konferansjer imprez kabaretowych, bombki choinkowe promotor wielu młodych kabaretów felgi.

Prawie wszystko się zgadza.

22 lutego 2007

Symbol, aluzja, liczebnik

Motto: *Czy to jabłko? Czy to gruszka?*

Nie, to cioci Basi nóżka!

Rację miała moja licealna matematyczka. Humaniście też się przyda umiejętność liczenia. Wszyscy mówią o „pierwszej aferze czwartej Rzeczypospolitej”. Łatwo sobie wyobrazić, że już niedługo na studiach historycznych trzeba będzie udowodnić, że „suma kwadratów kosztów trzeciej afery drugiej Rzeczypospolitej i czwartej afery pierwszej Rzeczypospolitej jest równa kwadratowi dwóch trzecich kosztów drugiej afery trzeciej Rzeczypospolitej”.

Ludzie potrzebują symboli. W obozie obrońców Doliny Rospudy są już: krzyże, znicze i kosy (przyniesione przez zwolenników budowy obwodnicy) oraz Andrzej Gwiazda (sam przyszedł). W dobie narastających konfliktów ktoś, kto otworzy firmę kompleksowo obsługującą różne protesty, zarobi duże pieniądze:

Zakład Usług Symbolicznych (ZUS) proponuje profesjonalną organizację wszelkiego rodzaju manifestacji i zgromadzeń.

Oferujemy:

– zestaw standardowy: flagi, świece, transparenty, sprzęt nagłaśniający, pieśni protestacyjne (również w systemie karaoke);

– zestawy specjalne: kosy, mundury historyczne, trumny ze sklejki, chór, aktor recytujący wiersze w stroju księdza różnych wyznań (może być też ksiądz prawdziwy, ale mniejszy wybór wyznań), konie parskające hasła protestacyjne, prezentacje na wysokościach (do sześciu metrów, bo wyżej koń się boi);

– możliwa równoczesna obsługa dwóch stron konfliktu (rabaty);

– chleb i sól gratis.

A tam, gdzie symboli nie ma, ludzie i tak się doszukają. Kilka miesięcy temu prowadziłem pewien koncert. W finale pierwszej części zauważyłem, że urwał mi się guzik od marynarki. Publiczność też zauważyła, że ja zauważyłem. No trudno, zdarza się. Nie takie rzeczy urywają się ludziom na scenie. W czasie przerwy cały teatr aż huczał, że tym symbolicznym oberwaniem strasznie przyłożyłem pewnemu słynnemu politykowi, którego kilka dni wcześniej pokazano w telewizji bez guzika przy marynarce.

I teraz to ja sobie mogę mówić, że ten wierszyk, który umieściłem na wstępie jako motto, to taka głupota, że to żadna aluzja. I tak mi nikt nie uwierzy. Może po prostu poniżej zamieszczę jeszcze jeden:

Czy jest Cerro Las Minas*
Hen w dalekim Hondurasie
Dwa tysiące razy wyższy,
Niż ma ciocia Basia w pasie?

Prawidłowe odpowiedzi należy wybrać spośród możliwych:

A/tak

B/nie

C/nie

D/tak

i razem z podpisaną godłem odpowiedzią na pytanie: „Komu tym wierszem przyłożył?” podrzucić w zalakowanej kopercie pod drzwi najbliższego biura poselskiego. Do wygrania takie bańki do stawiania i zestaw dwóch ołowianych żołnierzy, z których jeden stoi, a drugi leży.

28 lutego 2007

* [← powrót do tekstu] Najwyższy szczyt, położony w paśmie Celaque na zachodzie Hondurasu – 2865 m n.p.m.

A w strażnicy do swej miłej żołnierz pisał list…

Przekraczałem granicę. Nawet kilka granic. Mój Boże… Jak w ciągu kilku lat posmutniały te, niegdyś tak radosne, miejsca.

Wracało się z Czechosłowacji*, przewoziło w ukryciu trzy woreczki orzeszków ziemnych i słynne lentilki, a emocje takie, jakby się wiozło w plecaku co najmniej mały reaktor jądrowy. Pamiętam taką rodzinną wycieczkę na Węgry, kiedy to zdemaskowani przez celnika musieliśmy wrócić do strefy nadgranicznej, zjeść trzy kilo salami, popić pięcioma litrami soku ananasowego i pożuć kartonikiem gum balonowych z kaczorem Donaldem. Przecież nie wyrzucimy, a przewieźć nie pozwolili. Zabawy było co niemiara. To znaczy przynajmniej do pewnego momentu, bo tego, co się działo z nami później, nie nazwałbym zabawą.

Andrzej Waligórski pisał w *Krtkej opowesti o pripadkowe demokrace w Czechoslowace*, że *Kraj bił sympaticzen ako czeski celnik.* I rzeczywiście, usłyszeć taki komplement – że jest się sympatycznym jak czeski celnik – to prawie tak, jakby po wizycie w perfumerii dowiedzieć się, że się było w szambie (o. ks. dyr. T. Rydzyk *Myśli zebrane*, tom XIV, rozdział *O kobietach*, str. 987, wiersz 12)*.

A teraz? Cisza, spokój. Nikt nikogo nie niepokoi (dygresja – jakie piękne zdanie! – cztery słowa i wszystkie zaczynają się na „ni”). Ale wróćmy do granicy. Podjeżdżam, siedzi pan żołnierz i coś pisze. Pewnie do swej miłej list. Pamiętam taką piosenkę sprzed lat:

Tam za lasem jest granica,
Na granicy jest strażnica,
A w strażnicy do swej miłej
Żołnierz pisze list.

Tak brzmiała w oryginale, ale na imieninowych imprezach, po odpowiedniej dawce imieninowych napojów, wujek Władek, który sam kiedyś służył w takich wojskach, pięknie mieszał dwie piosenki:

Tam za lasem jest granica,
Na granicy jest strażnica,
Na strażnicy siedział zając i nogami wywijając, śpiewał tak:
Tam za lasem jest granica… i tak dalej.

Pan żołnierz spojrzał w paszport… Zadrżałem – mam zdjęcie sprzed kilkunastu lat, bez okularów, bez zarostu. Kiedyś kazałby mi zdjąć okulary, ogolić się. A teraz – grzecznie powiedział: „Dziękuję” i życzył miłej podróży. Kiedyś te życzenia brzmiałyby jak dobry żart, bo znaczyłyby tyle, co: „Nie ciesz się, nas masz z głowy, ale tam, za szlabanem czeka celnik enerdowski* i dopiero zobaczysz, jak niebezpiecznym towarem mogą być trampki męskie chińskie numer 43”. Teraz nic, żadnych dreszczy. Podejrzewam, że nawet gdybym wyglądał na tym zdjęciu na dwudziestoletnią śliczną blondynkę, a w rubryce „Imię” miał wpisane Aldona zamiast Artur – pan żołnierz nie odezwałby się słowem – przecież nie będzie ingerował w moje intymne sprawy, nie będzie się mieszał do

mojego prywatnego życia. Mógłbym ostentacyjnie paradować przed nim w trampkach męskich chińskich numer 43 z widoczną metką sklepu przy Pragauer Strasse w Dreźnie – najwyżej zapytałby, ile kosztowały, bo też by sobie takie kupił.

No oczywiście można jeszcze zdecydować się na przekraczanie granicy na Wschodzie, ale o sportach ekstremalnych opowiem Państwu innym razem.

Mimo niewielkich wrażeń z przejść, z wyjazdu jestem zadowolony. Na granicy czesko-austriackiej kupiłem czekoladowego wielkanocnego zająca. Wygląda tak samo jak renifer, którego kupiłem na Boże Narodzenie, tylko na złotku ma rogi przemalowane na uszy.

15 marca 2007

* [← powrót do tekstu] Jeden kraj złożony z Czech i Słowacji, który potem podzielił się na dwa, żeby później oddzielnie wstąpić do zjednoczonej Europy.

* [← powrót do tekstu] Książka tak bardzo science fiction, że w ogóle jej nie ma.

* [← powrót do tekstu] Niemiecka Republika Demokratyczna – państwo, w którego nazwie tylko „niemiecka” mniej więcej się zgadzało. Więcej informacji w podręcznikach historii.

Na czas. Na pewno. Na cholerę

Pan kurier miał mi przywieźć przesyłkę. W firmie, z której ją wysyłano, ktoś omyłkowo wpisał stary adres. Pan kurier zadzwonił:

– Dzień dobry, mam dla pana przesyłkę, ale tu nikogo nie ma.

– Przecież ja tu jestem – odpowiedziałem ostrożnie, na wszelki wypadek rozglądając się, czy aby na pewno jestem, a jeśli jestem, to czy na pewno tu.

– Mickiewicza 12 mieszkania 245, przecież dzwonię.

– A to możliwe, że mnie tam nie ma – na razie pozwalałem sobie na żarty. – Od pół roku mieszkam na Słowackiego 14 mieszkania 9.

– To co teraz? – zatroskał się pan kurier.

– A nie może mi pan podrzucić na Słowackiego? – zatroskałem się ja.

– Nie, bo ja jeżdżę tylko do Reymonta, a dalej kolega. To ja może przekażę w biurze, żeby jutro panu przywieźli na Słowackiego. O której pan będzie w domu?

– Rano do dziewiątej i po osiemnastej.

– Zapisałem. Do widzenia.

– Do widzenia.

Minęło jutro, minęło pojutrze. Trzy dni później. Godzina 9.30. Telefon.

– Halo. Ja mam dla pana przesyłkę. Kolega zaznaczył, żeby dowieźć na Słowackiego do dziewiątej.

– Tak, ale dwa dni temu. Teraz jestem we Wrocławiu.

– Aha. A jutro rano będzie pan w domu?

– Będę.

– Do której?

– Do dziewiątej.

– To nie zdążę. Tak do jedenastej to bym przywiózł – pan kurier świetnie zagrał zakłopotanie.

– Dobrze, poczekam do jedenastej. Tylko żeby na pewno – nieźle zagrałem lekkie poirytowanie.

Nazajutrz. Godzina 10.50. Telefon.

– Dzień dobry. Tu jest przesyłka dla pana – nie znałem wcześniej tego głosu. To musi być jakaś potężna firma. Mają co najmniej trzech kurierów.

– Wiem, bo czekam na nią.

– Ale ja dzwonię i nikogo nie ma. Mickiewicza 12 mieszkania 245…

Mógłbym Państwu dalej opowiadać, ale mnie to nie bawi. Zwłaszcza że zdarzyło się naprawdę. Mógłbym pisać, jak dzwoniłem do Działu Obsługi Klienta i nikt tam nie odbierał telefonu, ale po co? Skończyło się tak, że wsiadłem w samochód i ruszyłem w miasto w poszukiwaniu kuriera. Powiedział mi, gdzie stoi, podszedłem do oznakowanego samochodu, pokwitowałem i odebrałem. Że też nie wpadłem na pomysł uruchomienia firmy kurierskiej, do której adresaci muszą sami zgłaszać się po przesyłki! Ktoś z moich znajomych wymyślił jeszcze coś innego – firma kurierska odbierająca przesyłki od firm kurierskich, które nie mają czasu ich doręczyć. Duże pieniądze do zarobienia! A może tak właśnie można usprawnić działanie wielu służb? Straż pożarna – zamiast ruszać do akcji

zaprasza do wypożyczalni sprzętu gaśniczego? Rozdawanie wiader, gaśnic, drabin odbywałoby się na podstawie aktualnego zaświadczenia z administracji, że się pali. Policja wyjeżdżająca do włamań tylko w poniedziałki i środy, a do napadów z bronią w ręku tylko wtedy, jeśli między napadającym a napadanym jest co najmniej 10 cm różnicy (chodzi o wzrost). Karetki pogotowia dojeżdżające tylko w wyznaczone miejsca – tak zwane punkty reanimacyjne, do których potrzebujący pomocy musi sam dojść albo muszą go dostarczyć bliscy. Albo lepiej. Niech Narodowy Fundusz Zdrowia podpisze umowę na dostarczanie pacjentów z tą opisaną firmą kurierską. Problem zbyt dużej liczby chorych sam się rozwiąże. Drastycznie, ale skutecznie.

21 marca 2007

Z archiwum pieśni sanatoryjnej

Wstyd się przyznać, ale jestem sentymentalny. Wzruszam się, słuchając piosenek o miłości. Ostatnio wieczorami słucham jednej. Znalazłem w radiowym archiwum opowieść pewnej pani, która zakochała się w pewnym panu. Miało to miejsce w sanatorium. Dokładniej w Lądku-Zdroju. Jeszcze dokładniej przy źródle „Jan”. Uczucie wzmocnione leczniczym działaniem wód mineralnych przerodziło się w coś trwałego. Zostali małżeństwem. Po latach ona, niesiona na fali… Zaraz, w pijalni wód zdrojowych fala jest raczej rzadkim zjawiskiem… Niesiona na strużce wspomnień, proponuje swojemu ukochanemu:

Pojedźmy, kochanie, do Lądku,
Zacznijmy od początku,
Nim słońce się stoczy do złotych gór
W kolorach zachodu jak w wieńcu z piór,
Staniemy zdumieni na vis à vis,
Znów ty i ja, znów ja i ty.
Pojedźmy, kochanie, do Lądku,
Zacznijmy od początku…

Gdy słońce powróci zza złotych gór,

A ptaki się złączą w poranny chór,
Obudzisz się przy mnie, miły mój.
Znów ty i ja… I Lądek-Zdrój.

Od razu sprawdziłem, czy akcja tej opowieści mogłaby się rozegrać w innych polskich uzdrowiskach. Niektóre odpadają – Krynica, Szczawno, Polańczyk. Można niby zrymować, ale utwór traci liryczny charakter.

Pojedźmy, kochanie, do Szczawna,
Zacznijmy, kochanie, od dawna...
Pojedźmy do Krynicy,
Zaczniemy tam od piwnicy…
Pojedźmy do Polańczyka,
Bo w kręgosłupie mnie strzyka...

Jakieś to infantylne. Ale na przykład Rymanów i Połczyn mogą być.

Pojedźmy do Rymanowa,
Zaczniemy wszystko od nowa.
Pojedźmy też do Połczyna,
W Połczynie się świetnie zaczyna.

Wiedziony wstydliwym sentymentem wybrałem się do rodzinnego Sanoka. Miły spacer szlakami dzieciństwa, wśród uśmiechających się, znajomych twarzy. Nagle:

– Panie!

Jeśli ktoś tak zaczyna swoją wypowiedź, to raczej nie w celu ożywienia wspomnienia, jak to dwadzieścia parę lat temu cała klatka schodowa trzymała za mnie kciuki. Stawiałem wtedy pierwsze kroki w show-biznesie. Zapisałem się do ogniska muzycznego na zajęcia w sekcji instrumentów

dętych. W domu miałem trąbkę. I cała klatka schodowa trzymała za mnie kciuki – żeby mi się wreszcie odechciało, żebym zrezygnował. Tak oto przepływ negatywnej energii moich sąsiadów spowodował, że nie zostałem Rafałem Blechaczem trąbki. Mogłem powiedzieć, że nie zostałem drugim Tomaszem Stańką, ale po co mówić jaśniej, jak można coś pokomplikować? Wracajmy jednak do spaceru:

– Panie! – zaczepił mnie sąsiad z klatki. – Pan tam jesteś u góry. Weź pan coś zrób. Dlaczego tu na Podkarpaciu gaz taki drogi? Jak tu pod nami tyle gazu?

Zamurowało mnie. Mój Boże, jakie szerokie jest pojęcie „tam u góry”. Przecież ja tylko wymyślam mniej lub bardziej zabawne rzeczy, opowiadam je w radiu lub na scenie. Jaki mogę mieć wpływ na cenę gazu na Podkarpaciu? A jeśli bym nawet miał, to gdyby się udało to jakoś załatwić, ruszyłaby lawina próśb. Przecież mam znajomych w Łodzi:

– Panie! Dlaczego tu takie drogie ubrania? Jak tu tyle firm odzieżowych?

Na Kaszubach:

– Panie! Dlaczego tu ryby tyle kosztują? Jak tu jeziora i morze? Ludzie! Nie bądźcie naiwni! Nie każdy, kto występuje w radiu czy telewizji, może wszystko załatwić. No, a teraz już muszę kończyć, bo umówiłem się na spotkanie z Marylą Rodowicz i Michałem Żebrowskim. Musimy podjąć decyzję, co dalej z lustracją, czy rozwiązujemy parlament i przeprowadzamy wcześniejsze wybory, oraz jaka ma być stawka VAT w budownictwie.

A, jeszcze jedno:

A potem pojedźmy do Rabki,
Bo w Rabce urocze są babki.

5 kwietnia 2007

Już za parę dni, za dni parę…

Nie chce mi się. Nie opłaca się rozpędzać w pracy. Jeszcze po mieszkaniu kręcą się baranki, kurczaczki i zajączki, jeszcze rzeżucha do końca nie zżęta, a już wkrótce trzeba będzie z szafy wyjmować walizkę i ruszać na potwornie długi weekend. Na przykład do gospodarstwa agroturystycznego Pod Bocianim Dziobem. Trzeba się fizycznie i psychicznie przygotować na folklorystyczne kuligi rowerowe, wieczorne zajęcia kulturalne z quizami w stylu „Jak robi krowa?”, konkursami na najszybsze oddzielanie jaj kaczych od kurzych z równoczesnym rozpoznawaniem i podziałem na jaja od Krawczyków i Biernackich.

Jeszcze o świętach. Kiedyś były dwa wielkanocne zwyczaje, które mnie irytowały. Pierwszym był śmigus-dyngus. We wszystkich opracowaniach naukowych można było przeczytać, że ten zwyczaj polega na „zalotnym polewaniu zimną wodą młodych dziewcząt przez wiejskich kawalerów” – zawsze i ja się załapałem na jakiś kubełek. Zdaje się to potwierdzać teorię, że jest taki wiek w życiu człowieka, są takie style ubierania i takie typy urody, że trudno stwierdzić, czy to, co wraca z rezurekcji, to chłopiec, którym jeszcze się nie interesuje nawet Wojskowa Komenda Uzupełnień, czy panna na wydaniu. Ale to już minęło.

Od kilku lat nie jestem polewany wodą w śmigus-dyngus. I teraz trochę mi żal. W przyszłe święta, chodząc po wsi, będę musiał chyba bardziej eksponować swój płowolniany warkocz. A ten drugi, ciągle denerwujący zwyczaj, to żartobliwe przekręcanie życzeń świątecznych. Niby można zwyczajnie: „Wesołych Świąt, smacznego jajka, mokrego dyngusa”. Ale nie, zawsze znajdzie się ktoś, kto woli życzyć: „Wesołego jajka, mokrego baranka”. Zresztą ta zabawa przeniosła się również na inne święta. Wiele lat temu, w Święto Pracy, zobaczyłem na murze hasło: „Niech się święcą Piersi Mai”.

Jeśli ktoś nie ma jeszcze planów na weekend majowy – polecam Bieszczady. Pięknie, wesoło, niebanalnie. Przy drodze z Sanoka do Leska zauważyłem ciekawy znak drogowy. Żółty ostrzegawczy trójkąt – „uwaga, inne niebezpieczeństwa”. Ale ciekawszy był napis umieszczony pod nim: „Kierowco, jedź ostrożnie! Podkarpacka Fabryka Okien”. Trochę nie rozumiem związku, ale… Znaków mamy w Polsce mnóstwo, gdyby tak pod każdym umieścić jakąś informację? Kierowca jest zobowiązany do zwracania uwagi na znaki, to co mu szkodzi jeszcze coś przeczytać? A im bardziej abstrakcyjnie, tym lepiej:

– pod zakazem skrętu w lewo: „Kierowco, zapiąłeś pasy? Cukrownie Wielkopolskie”,

– pod ograniczeniem prędkości do 40 km/h: „Kierowco, nie gadaj przez telefon! Kamieniołomy Zachodniopomorskie”,

– pod oznaczeniem przejazdu kolejowego z zaporami: „Kierowco, która godzina? Nadleśnictwo Olsztyn”,

– pod znakiem pierwszeństwa przejazdu dla nadjeżdżających z przeciwka: „Kierowco, wysiądź i zrób trzy przysiady. A teraz już wiesz, że nie powinieneś czytać głupot wypisanych pod znakami, tylko uważać na

drodze. Polska Wytwórnia Gwintów do Żarówek Holenderskich Produkowanych w Chinach”.

Wiele lat temu w jednym z pism satyrycznych ukazał się taki oto rysunek: pod znakiem „obustronne zwężenie jezdni” tabliczka z napisem: „Życzymy szerokiej drogi”. No i proszę, życie dopisuje dalszy ciąg do satyrycznych rysunków.

Już odliczam dni. Nie mogę się doczekać tych cowieczornych spotkań edukacyjnych przy potrawach regionalnych w gospodarstwie agroturystycznym Nad Zieloną Kumkającą Żabką. A może ktoś z Państwa wie, czy góralska maślanka może być przezroczysta? I czy zawsze po niej tak głowa boli? Bo odnoszę wrażenie, że prowadzący te zajęcia przedstawiciel Koła Gospodarzy Wiejskich im. Osiągnięć Siedemnastohektarowego Gospodarstwa Prezesa PSL czasem sobie z nas żartuje. I czy aby nie obraża nas, organizując mecze „Normalni Stąd” kontra „Miastowe Ćwoki”?

19 kwietnia 2007

Ciociobabcia

W maju ciocia Ela kończy 87 lat. Jest uroczą dziwaczką uwielbianą przez całą rodzinę. Nazywamy ją Ciociobabcią.

– Ciociobabciu, pobawimy się w ciuciubabkę? – od tego pytania zaczyna się każda niedzielna wizyta u cioci Eli.

Ma problemy z pamięcią i orientacją. Najgorsze, że nigdy nie pamięta, czy dzisiaj wzięła już tabletki na poprawę pamięci. Do niedawna nie pamiętała też, gdzie je położyła. Teraz jakoś sobie radzi. Wymyśliła ćwiczenie: na szuflady, komody, szafy i szafki nakleja kartki z krótkimi opisami. Ale nie są to informacje typu „Sztućce”, „Naczynia”, „Dokumenty”. To byłoby za proste. Ciocia Ela wymyśliła „orientację przez negację”. Podchodzisz do regału, a tam kartka „Tu nie ma tabletek”. I tylko ona wie, że teraz trzeba się odwrócić, przejść przez pokój po przekątnej i tam są tabletki. System rozwija się w zastraszającym tempie i niebezpiecznym kierunku. Na drzwiach wejściowych do mieszkania zobaczyliśmy niedawno wywieszkę „Tu nie ma pieniędzy” (złodziej, który poznałby tajniki kodu cioci Eli, od razu wiedziałby, że są u Nowaków pod siódemką), a na drzewie obok bloku wisi kartka „Do sklepu to nie tędy”. Ostatniego narzeczonego miała w 1955 roku – młodego, świetnie zapowiadającego się tapicera. To był jej ulubiony narzeczony. Dlatego jego

zdjęcie wisi po przekątnej fotografii, na której ciocia Ela głowę ustrojoną welonem lekko pochyla w stronę twarzy posępnego wujka Władysława. Pod ślubnym portretem – kartka z napisem „To nie jest Stefan”. Tu ciekawostka – zmarłego dziesięć lat temu wujka Władysława nikt w rodzinie nie nazywał Wujkodziadkiem i nigdy nie proponowaliśmy mu zabawy w ciuciubabkę. Był świetnym tapicerem. Ciocia Ela jakoś zawsze wiązała się z tapicerami. Twierdziła, że każdy powinien trzymać się jakichś – nawet dziwacznych – zasad i że jeśli to prawda, że „za mundurem panny sznurem”, to „za tapicerem panny szpalerem”. W tym, że to był trafny wybór, utwierdziła ciocię Elę jej najlepsza przyjaciółka Basia – obecnie szefowa fundacji Moralność Przyzwoitość Odnowa (MPO), a w latach pięćdziesiątych jedna z najpopularniejszych fetyszystek i nimfomanek Mazowsza. Basia twierdzi, że poznała cały Cech Rzemiosł Różnych i że tapicer jest najlepszy.

Telewizję ciocia Ela ogląda rzadko. Tylko reklamy i programy, w których śpiewają piosenki. Czasem coś komentuje. Parę dni temu reklamę jakiegoś kremu czy podkładu, który „sprawia, że wyglądasz o pięć lat młodziej!”, skwitowała krótkim: – No, już lecę! Wydać sześćdziesiąt złotych, żeby wyglądać na osiemdziesiąt dwa lata! A słuchając wycia pewnej popularnej piosenkarki, podeszła do ekranu i nakleiła kartkę „To nie jest Ordonka”.

Po co ja to piszę? Tylko po to, żeby przypomnieć „zasobom ludzkim w wieku produkcyjnym”, że od czasu do czasu nie zaszkodzi z sympatią spojrzeć na tych dużo od siebie starszych. A jedni i drudzy niech wiedzą, że to nieprawda, że „starość nie radość, młodość nie wieczność”. Ten slogan można przetwarzać w różnych kombinacjach – „starość nie młodość, radość nie wieczność”, „wieczność nie starość, radość nie młodość”…

I co? Nic. Namawiam Państwa do niezbyt poważnego traktowania słów „starość”, „młodość”, „wieczność” i życzę możliwie częstego odczuwania zjawiska „radość”.

27 kwietnia 2007

Grypsera *is easy*

Zacząłem się zastanawiać, co mógłbym robić w życiu, gdybym nie robił tego, co robię. Sporządziłem wykaz zawodów, których nie biorę pod uwagę z różnych względów: piłkarz, kucharz, lekarz, kosmonauta… Doszedłem do wniosku, że mógłbym uczyć języków. Jeśli chodzi o ten najbardziej komercyjny, angielski, jest duża konkurencja. Nie wspomnę o jeszcze jednym szczególe – nie znam angielskiego. Znam natomiast język, który w najbliższej przyszłości może się bardzo spopularyzować. W związku z planowanym zaostrzeniem przepisów kodeksu karnego i oczyszczaniem kraju z różnych patologii i afer. Przestudiowałem *Słownik tajemnych gwar przestępczych* i zamierzam utworzyć szkołę języka więziennego dla przyszłych mieszkańców zakładów karnych. Wszystko, co poniżej napisałem, jest w pełni zgodne z tym słownikiem. Kurs będzie się nazywał „Grypsera *is easy*”. Będzie również nadawany przez przewodową telewizję więzienną w wersji dla zaskoczonych aresztowaniem. Celowo używam sformułowania „przewodowa”, a nie „kablowa”, bo „kablowa” w języku przestępczym to żona donosiciela. Oto przykładowe zajęcia:

Lekcja pierwsza

Oto minirozmówki, które mogą ci się przydać w więziennej stołówce. Podajemy zdania w języku, którego dotychczas używałeś, i ich

odpowiedniki obowiązujące w zakładzie karnym:

– Przepraszam, czy może mi pan podać sztućce i sól? – Kopsnij nosze, żądło, wiłki i Wieliczkę.

– Dzisiaj serwujemy kotlet mielony z ziemniakami – Wtrząsaj granat z bercami.

– Czy jest też jakaś zupa? – A oblewajka?

– Tak, mamy do wyboru kapuśniak albo krupnik – Sałamacha albo siedem kwiatów.

A teraz kącik porad językowych dla strażników i kadry kierowniczej zakładów karnych. Wzór ogłoszenia w dwóch wersjach językowych:

1. Naczelnik zakładu karnego poszukuje chętnych do pracy na następujących stanowiskach: elektryk, fotograf, kelner, kucharz, piekarz, murarz, stolarz, ślusarz, kościelny i grabarz.

2. Tata szuka do tyrochy następujących wołków: wolciarza, mordołapa, noszowca, warzygnata, mącibuły, zaprawiarza, wiórka, rdzawika, sygnaturki i transmutka.

Z moim doświadczeniem w mediach mógłbym wiele zdziałać w takiej przewodowej telewizji więziennej. Oprócz kursów językowych przygotowywałbym relacje z wydarzeń kulturalnych – Wystawa Portretu Pamięciowego „Ryło 2007”. O 19.00 nadawalibyśmy kreskówki dla najmłodszych osadzonych z napisami w języku przestępczym albo z dubbingiem. Na przykład: *Dziewczynka z zapałkami* („Łosiczka i sztrajholce”), *Kaczka dziwaczka* („Niemka palmuska”).

Przetłumaczyłem na grypserę fragment znanego wierszyka dla dzieci:

Pan Kotek był chory i leżał w łóżeczku,
I przyszedł pan doktor: – Jak się masz, Koteczku?

to po więziennemu:

Miauczyński był chory i w pryczy garował,
I przyszedł ojojek: – Coś się nafutrował?

W niedzielne popołudnia nadawalibyśmy koncert życzeń: „Najpiękniejsze piosenki zachrypimy tobie – Stasiek na szarpaku, a ja na wątrobie” (szarpak – gitara, wątroba – akordeon). Przebojem byłaby *Niepewność* Mickiewicza, tak pięknie wyśpiewana przez Marka Grechutę, z tym że u nas brzmiałaby tak:

Gdy cię nie widzę, wcale nie świruję.
Nie tracę bani, gdy cię przykikuję,
Ale gdy długo nie przychodzisz w pierzę,
Coś jestem skisły i trochę się jeżę
I sufituję długo, bom ciekawy,
Czyś ty swojacha? Czy to od pikawy?

Proponuję błyskawiczne kursy dla prezesów spółek Skarbu Państwa, zniżki dla parlamentarzystów poprzedniej kadencji i byłych ministrów. Ale płatność za cały kurs z góry. W używanych banknotach.

4 maja 2007

Strumień myśli zgryźliwych

Biologiczne zmiany w organizmie mężczyzny po trzydziestce prowadzą do stanu, w którym zacierają się różnice w znaczeniu pewnych słów. Na przykład: odwaga i nadwaga. Już dawno temu powinienem dać w mordę jednemu facetowi, ale mam za ciężką dupę i nie chce mi się jej ruszać z fotela. Przepraszam za użycie słowa przez niektórych uważanego za nieprzyzwoite. Albo nie przepraszam. Powołam się na autorytet – Stefania Grodzieńska, Mistrzyni Mowy Polskiej, promuje „dupę” jako jedno z piękniejszych słów w polszczyźnie. W prowadzonej przeze mnie audycji radiowej powiedziała, że „dupa” przestała dla niej być wulgaryzmem, a stała się komplementem. Kilka lat temu wnuk pani Stefanii, zapytany o wrażenia z dyskoteki, z której przed chwilą wrócił, odpowiedział: „Babciu, żebyś ty wiedziała, jakie tam dupy były!”. Od tego czasu pani Stefania (lat 93) marzy, żeby do niej ktoś powiedział „Niezła z ciebie dupa”. Po publicznej dyskusji, która miała miejsce w publicznym radiu na temat słowa tak popularnego między innymi w domach publicznych, dostałem list. Słuchaczka, studentka albo pracownica Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu, napisała: „Akademia Rolnicza we Wrocławiu miała zostać uniwersytetem. Różni mądrzy decydenci głowili się nad nazwą nowej uczelni i wymyślili: Dolnośląski Uniwersytet Przyrodniczo-

Agroturystyczny. Dopiero informatycy sprowadzili rektorów i dziekanów na ziemię, wyjaśniając, że adres strony internetowej będzie następujący: www.dupa.wroclaw.pl”.

Prawdziwy mężczyzna… Czy może nim być ktoś, kto się w ogóle nie interesuje motoryzacją? Rozważania na temat mocy silnika, koloru deski rozdzielczej, rodzaju tapicerki i metaliczności lakieru do niedawna były mi obce. Niestety, jak mawiał szofer W.I. Lenina: „Jeśli ty nie zainteresujesz się motoryzacją, ona zainteresuje się tobą”. Wątki samochodowe pojawiają się nawet w sprawozdaniach z procesów o zniesławienie: „Naczelny »Nie« odjeżdżał spod sądu białym jaguarem z mieszanymi uczuciami”. Słyszałem, że są samochody z ABS-em, poduszkami powietrznymi, wspomaganiem kierownicy. Ale z mieszanymi uczuciami? Ciekawe czy w standardzie, czy za dopłatą? I kto robi lepsze mieszane uczucia? Niemcy czy Japończycy?

Mój kolega z pracy, przy okazji rozmów o samochodach, potrafi w specyficzny sposób okazać współczucie komuś, komu gorzej się powodzi. Otóż zawsze nadchodzi taki moment, kiedy zapyta: „A czym jeździsz?”. Wie, że w promieniu dwustu kilometrów nie ma nikogo, kto jeździłby samochodem bardziej luksusowym od jego krążownika szos, więc spokojnie oczekuje odpowiedzi. I kiedy wreszcie pada cichutkie „E tam, wiesz, dwunastoletnią skodą”, poklepuje po ramieniu i tonem pocieszenia mówi: „A, to całkiem przyzwoite auto”. Jestem jedynym, w którego towarzystwie nie porusza tej kwestii. Na jakimś firmowym bankiecie, kiedy przedstawił mi swoją żonę, uśmiechnąłem się, poklepałem go po ramieniu i pocieszyłem: „A, to całkiem przyzwoita żona”.

10 maja 2007

Tekst z duszą

To nieprawda, że pojęcie „duszy” stworzył jakiś filozof czy teolog. Wymyślili je antykwariusze (świetny rym: „antykwariusze wymyślili duszę”). Zabawnie człowiek używa tego określenia w odniesieniu do przedmiotów. I nie chodzi oczywiście tylko o żelazko z duszą. Zegarek mechaniczny, pierwszy samochód, maszyna do pisania – poprzestańmy tylko na tych przykładach. Mam zegarek z 1972 roku. W epoce czasomierzy z napędem atomowym, z baterią o dwudziestoletniej gwarancji, sterowanych satelitarnie, posiadających margines błędu na poziomie 0,000000001 sekundy na rok, ja mam taki z duszą. To nic, że właściwie powinienem zegarmistrza zatrudnić na etacie, że patrząc na swój zegarek, i tak pytam przechodniów o godzinę albo sprawdzam, czy tę samą wyświetla telefon komórkowy. Doszło do tego, że muszę nastawiać budzik na szóstą rano, żeby wstać i nakręcić zegarek ręczny, bo inaczej przestanie chodzić, a pokrętłem można tylko naciągnąć sprężynę, ale nie można przestawić wskazówek. Dusza mojego pierwszego samochodu (Fiat 126p) decydowała o tym, czy gdziekolwiek pojadę, a dusza mojej maszyny do pisania nie dawała po nocach spać sąsiadom (charakterystyczne, rytmiczne, mocne uderzenia niosące się po całym bloku, który również miał duszę –

pan Janek z parteru wezwał pogotowie, bo nagle w środku nocy nie usłyszał chrapania sąsiada z trzeciego piętra).

Podejrzewam zresztą, że zawsze tak było. Jak wymyślono samochód, mówiło się, że bryczki miały duszę, jak wynaleziono koło, to że kwadrat miał duszę, jak zeszło się na ziemię, to że łażenie po drzewach miało duszę.

W każdym turystycznym przewodniku wymienia się miasta z duszą (oryginalna kanalizacja zaprojektowana osobiście przez królową Bonę), a w nich hotele z duszą (z pokojami, w których zachowano jeszcze wystrój z okresu pobytu królowej Bony) i lokale gastronomiczne z duszą (ze striptizerką, która występowała tutaj już za czasów królowej Bony, zatrudniona na umowę o dzieło przez Zygmunta Starego).

Nie mam więc wątpliwości, że za parę lat nasze komputery będą ją miały („ech, jak one długo się otwierały i łatwo się zawirusowywały"), nawigacja satelitarna GPS („jak ona się czasem cudownie wieszała i trzeba było sięgać po atlas"), telefony komórkowe („jak uroczo traciło się zasięg"). Już się zaczęło. Ostatnio słyszałem rozmowę dwóch panów z rozrzewnieniem wspominających komputery „ZX Spectrum", na których można było pograć w tenisa (takie dwie dłuższe kreski i jedna krótka fruwająca między tymi dłuższymi) albo w takiego ludzika (krótka kreska), który przeskakiwał z ogrodzenia na ogrodzenie (z jednej dłuższej kreski na drugą dłuższą kreskę).

Wychodzi więc na to, że „dusza" to pojęcie wyłącznie sentymentalne. Ma ją wszystko, co kiedyś może i było fajne, a teraz jest przestarzałe, psuje się i jest drogie w utrzymaniu.

I to by chyba wyjaśniało stosowane w polityce pojęcie „rząd dusz". Ale dlaczego o mnie mówią „dusza człowiek"?

17 maja 2007

Z pamiętnika melomana.
A może raczej megalomana

Jak łatwo człowiekowi może się w głowie poprzewracać… Mnie się przewróciło. Od pisarki i wielkiej miłośniczki krzyżówek Stefanii Grodzieńskiej dostałem prezent. Mała, postrzępiona kartka. Krzyżówka. Na górze – kratki do wpisywania haseł, poniżej – teksty naprowadzające na hasła. Ot, banalnie proste do rozszyfrowania: „podgatunek jelenia żyjącego w syberyjskich lasach” czy: „iglaste drzewo, którego gatunkiem jest wejmutka”. I nagle! Uwaga! „Imiennik Rubinsteina i Andrusa”. Rozwiązaniem jest oczywiście hasło: Artur. No, bardziej mojej próżności połechtać nie można było. Napuszyłem się jak paw, do sąsiadów na klatce schodowej zacząłem mówić „Bą żur”, zadzwoniłem do sklepu muzycznego, żeby zapytać, ile kosztuje najdroższy fortepian. „Imiennik Rubinsteina i Andrusa” – proszę, już nas, dwóch Arturów, stawiają w jednym rzędzie. Co prawda na razie tylko w krzyżówkach, ale to przecież kwestia czasu. Dotychczas nie przywiązywałem wagi do swojego imienia, ale jak widać ma ono znaczenie symboliczne. Zdjąłem z regału pierwszy tom encyklopedii PWN z hasłami od A do C. Nie ma mnie tam jeszcze. No, ale to zrozumiałe. To jest wydanie z 1995 roku. Znalazłem jednak swoje miejsce. Będę pomiędzy: „Androsteron – steroidowy męski hormon

płciowy” a „Andrusov Dimitrii (1897–1976) – geolog słowacki pochodzenia rosyjskiego”. Na mojej stronie jest też, z czego się bardzo cieszę: „Andrycz Nina – aktorka” oraz – z czego już się mniej cieszę – „Andropow Jurij – sowiecki działacz polityczny, sekretarz generalny KC KPZR”.

Chociaż może lepiej jeszcze się zastanowić? Czy to opłaca się być genialnym? Mojemu krzyżówkowemu przyjacielowi Arturowi Rubinsteinowi postawili na Piotrkowskiej w Łodzi pomnik, do którego można wrzucać monetę i kazać mu grać. Zresztą inni wielcy też łatwo nie mają. Chopina się pije. Sam byłem świadkiem, jak na imieninach cioci Grażynki wujek Stefan po każdym podniesieniu kieliszka Chopina, krzyczał: „No to Bach! Na drugą nóżkę!”. Nie dość, że patologia, to jeszcze połączona z brakami w edukacji muzycznej. Albo Mozart. Do czego to ludzie nie wykorzystają tego wybitnego kompozytora… Przeczytałem w gazecie, że na stacjach metra, na których nadawana jest muzyka Mozarta, spada liczba kradzieży… Że krowy, którym pewien hodowca odtwarza płyty z utworami Mozarta, dają więcej mleka… Że w szpitalu w Koszycach na Słowacji niemowlakom na te maleńkie uszka nakłada się słuchawki i kołysze się je do snu dźwiękami menueta z serenady *Eine Kleine Nachtmusik*, budzi *Marszem tureckim*, karmi w rytm 6 sonatin wiedeńskich. Swoją drogą, jeśli muzyka Mozarta tak bardzo łagodzi obyczaje, to musi być też taka, która powoduje wzrost liczby kradzieży na stacjach metra i spadek wydojności krów. Po obejrzeniu ostatnich eliminacji do festiwalu Eurowizji mam swoje typy.

Jednak chyba nie chcę być wielkim. Żeby ktoś kiedyś nazwał moim nazwiskiem jakiś jogurt? Już słyszę te matki biegające z łyżeczką po piaskownicy: „Małgosiu, zjedz Andrusa, Andrus jest zdrowy”. Albo ktoś mnie całego w brązie dosadzi do fortepianu mojego krzyżówkowego

przyjaciela i za złotówkę będę śpiewał swoje piosenki… A za dwa złote Artur będzie mi musiał akompaniować. Dlaczego ja za złotówkę, a on za dwa razy więcej? Bo jestem dobrze wychowany. Z wrodzonej skromności nigdy bym się nie zgodził na zrównanie naszych honorariów. Jak łatwo człowiekowi może się w głowie przewrócić… Zwykła krzyżówka. „Imiennik Rubinsteina i Andrusa”… Ale zaraz – ARTUR – pięć liter… AKIBA – też pięć. A może to chodzi o „Rubinsteina Akibę – największego polskiego szachistę, zwycięzcę wielu turniejów na początku dwudziestego wieku”? Eee, nie, przecież Akiby Andrusa nie ma. Jeszcze. Może takie imię wybiorę dla drugiego syna. Pierwszego nazwę jakoś zwyczajnie i skromnie. Na przykład Piotr Maria? Po Czajkowskim i Skłodowskiej.

24 maja 2007

Piłem w Spale, spałem w Pile
(czyli piosenka o tym, że człowiek powinien się czymś interesować i do czegoś dążyć).

Idą sobie polną drogą,
Tacy, którzy dużo mogą,
Trąbka im do marzeń gra...
Dyrektory i prezesy,
Łase tylko na sukcesy,
A tymczasem ja:
Piłem w Spale, spałem w Pile,
I to jak na razie tyle, hej! O hej!
Znak szczególny mam na ciele:
Wytatuowany jeleń, hej! O hej!
On ma rogi, gdzie ja mieszkam,
Jak ja schudnę, to on wyższnie, hej! O hej!
Piłem w Spale, spałem w Pile
I to jak na razie tyle, hej! O hej!
Na co mi tam, do cholery,
Te zaszczyty, te ordery,
Raty, gale, te pe?..
Mnie do szczęścia nie potrzeba
Ani igrzysk, ani chleba,
Mówię tylko, że:
Piłem w Spale, spałem w Pile...

A najgorsi to są młodzi,
Świat przez młodych na psy schodzi,
Żadnych marzeń, tylko pić!
Syn studiuje medycynę,
Martwię się tym moim synem,
Nie osiągnął nic:
Nie pił w Spale, nie spał w Pile,
Życia już zmarnował tyle, hej! O hej!
Dobrze, że choć na kolanie
Ma tatuowaną Tanię, hej! O hej!
Jak przykucnie, to jest biedna,
Jedna cała w genach,
W czasie studiów jego matka biedną miała na Topolach! Hej! O hej!

ROTUNDA

SOCJALISTYCZNY ZWIĄZEK STUDENTÓW POLSKICH
STUDENCKIE CENTRUM KULTURALNE
UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO „ROTUNDA"
UL. OLEANDRY 1, 30-060 KRAKÓW, TEL. 361-60, 335-38
KONTO BANKOWE PKO I ODDZIAŁ KRAKÓW
35510-4633-132

L. dz. ..... ROT/198..... r. Kraków, dnia ..... 198.. r.

Drobniutki tekścik o show-biznesiku

Staram się uważnie obserwować zmiany zachodzące w naszym show-biznesiku. Jestem jego – co prawda niewielką – ale jednak częścią, zatem aby nie wypaść z rynku, muszę się orientować w obowiązujących aktualnie trendach. I co zauważam? Po pierwsze brakuje nam współczesnej twórczości zaangażowanej. Weźmy piosenki. Niczego nie załatwiają, nie piętnują. Takie smędzenie o tym, że ktoś kogoś kocha albo ktoś kogoś nie. Są ważniejsze sprawy. Dlatego zabrałem się za zbieranie materiału do recitalu *Do roboty*. Zacznie się od piosenki o Angliku podróżującym po Polsce:

Jechał sobie Anglik Jerry
Autostradą A4.
Kierownicę ujął w dłonie
I już autostrady koniec.

Ref.
Nie jedź pod Radom, nie jedź pod Radom
Bo tam nawierzchnię nową kładą…

A później będzie coś sentymentalnego:

Małe mieszkanko na rogu Czerskiej
Ściany i okna, nic więcej…
Wykończenie deweloperskie
Za metr dwanaście tysięcy.

Zauważyłem, że spora zmiana nastąpiła ostatnio w sposobie nazywania się artystów. Proste imię i nazwisko albo pseudonim artystyczny typu: Jan Nowak, Zula Pogorzelska czy Artur Andrus już nie wystarczają. Teraz imprezy dyskotekowe prowadzą „Didżeje”. „Didżej”, jak wnoszę, to imię, bo po „DJ” umieszcza się na plakacie drugi człon – pewnie nazwisko. Jakiś czas temu widziałem afisze informujące, że imprezy poprowadzą: „DJ Skubany”, „DJ Deszczu Strugi”, „DJ Dobry Chłopak”, „DJ Antybiotyk” oraz „DJ Dobrze Nie Będzie”. Ten ostatni pseudonim mogliby przyjmować kolejni prezesi Narodowego Funduszu Zdrowia. Pasuje jak ulał. Ale wracajmy do artystów. Ciekaw jestem, jak wygląda szałowa impreza dyskotekowa prowadzona przez takiego „DJ-a Dobrego Chłopaka”. Myślę, że pseudonim nie jest przypadkowy i odnosi się do charakteru posługującego się nim artysty. Wyobrażam więc sobie, że staje za stołem mikserskim, puszcza dymy z maszyny i światło na świecącą kulę, i łagodnym głosem mówi: „Heja ziomale, teraz zaskreczuję wam czadowy kawałek o miłości do rodziców i o tym, że należy w tramwaju ustępować miejsca starszym. Joł”.

Zmiany w sposobie nazywania się artystów można też zauważyć, śledząc listę wykonawców tegorocznego festiwalu polskiej piosenki w Opolu. Trwa moda na zdrobnienia i pieszczotliwości. Ania Dąbrowska, Ania Szarmach, Gosia Andrzejewicz, Kasia Cerekwicka, Kasia Kowalska, Hania Stach. Tak są oficjalnie przedstawiane (nie: Anna, Małgorzata Katarzyna, Hanna – tylko Ania, Gosia, Kasia, Hania). Panie, jak sądzę, mają już dowody osobiste, ale jak widać tak teraz jest lepiej. Ciekawe, czy

to pójdzie dalej i konferansjer (przepraszam – konferansjerek) będzie wkrótce zapowiadał występy zespołów: Maanamek, Perfekcik, De Monko i Budka Suflerka – albo nie, trzeba jeszcze bardziej upieszczotliwić – Budeczka Suflereczka.

Nic nie mam do zdrobnień i pieszczotliwości, ale raczej w domu, w sytuacjach intymnych i w stosunku do najbliższych. Jakoś śmieszy mnie wizja uroczystości pięćdziesięciolecia pracy twórczej wybitnej wokalistki Justynki X prowadzonej przez DJ-a „Deszczyku Strużki”, podczas której prezydent, premier i minister kultury będą się do siebie zwracać per: „Misiu”. I oczywiście impreza odbędzie się w Salce Kongresowej Pałacyku Kulturki i Nauczki w Warszawce. Pozdrawiam. Arti.

31 maja 2007

Zrób to! Sam!

Zachwyca mnie wystrój współczesnych lokali gastronomicznych. Ten tekst piszę w kawiarni w centrum Warszawy, a przed oczami mam żurawia wystającego ze ściany. Artysta niechybnie coś tutaj „umetaforzył”. Przemijanie. Albo rozpacz. Rozpacz przemijania. Dla mnie ta instalacja jest wyłącznie symbolem żurawia, który lecąc przez Warszawę, przez przypadek wpadł do środka kawiarni i uderzył w ścianę. Prostak jestem.

Pamiętam, że kiedy dwadzieścia lat temu wujek Genek odbierał fabrycznie nowego malucha, miał do wyboru dwa egzemplarze. Z tym że w jednym białym nie domykały się drzwi, a w drugim białym nie działały wycieraczki. Życzliwy pan magazynier (teraz to się nazywa kierownik sprzedaży) poinformował wujka, gdzie najbliżej od fabryki samochodów mieści się warsztat, w którym wyregulują mu drzwi, albo – jeśli zdecyduje się na drugi – naprawią wycieraczki.

Już dzieci przygotowywało się do działania, kiedy coś nie działa. Całe pokolenia wychowały się na pogadankach telewizyjnych pana Słodowego, który zachęcał nas, żeby zrobić to samemu. Nigdy niczego z proponowanych przez niego urządzeń nie udało mi się zbudować, ale tak to działało na moją dziecięcą wyobraźnię, że postanowiłem ze starej beczki, zestawu spławików, gumowego koła ratunkowego i kierownicy od syreny

zrobić łódź podwodną. Na szczęście tata zdążył zareagować na chwilę przed wodowaniem. Dzisiaj „Zrób to! Sam!” można co najwyżej usłyszeć w scenach erotycznych angielskojęzycznych filmów, ale jeśli ktoś sobie myśli, że te czasy już szczęśliwie minęły, to tylko sobie tak myśli.

Po tym jak mi ukradli oryginalne kołpaki postanowiłem kupić takie, których nie będzie im się chciało kraść. Taki model, który luksusowe auto zbliża estetycznie do wozu drabiniastego. Teraz ich nie kradną, ale same odpadają. Policzyłem, że średnio co 128 km gubię jeden kołpak. Dokupiłem drugi komplet, ale też już się kończy. Znajomi doradzili mi inwestycję w alufelgi, ale na taki wariant nie zgodził się ubezpieczyciel, bo wtedy wartość mojego wozu zakupionego dokładnie dzień po tym, kiedy w czasie nabożeństwa w Krzyżowej padli sobie w objęcia premier Mazowiecki i kanclerz Kohl, podwoiłaby się. Poszedłem do hurtowni motoryzacyjnej. Miły pan kierownik sprzedaży (dawniej to się nazywało magazynier) polecił mi takie plastikowe paski, którymi kołpaki można przywiązać do koła. Ale nie potrafił wyjaśnić, dlaczego nie sprzedaje się ich w komplecie, skoro wiadomo, że będą odpadać.

Inna branża – tekstylia. Czas – dwa tygodnie temu. Miejsce – sklep w Wałbrzychu. Cel – spodnie. Wszedłem, zobaczyłem, przymierzyłem, chcę kupić. Tyle że podczas przymierzania odpadł guzik. Pani sprzedawczyni z rozbrajającym uśmiechem mówi:

– One często odpadają. W domu pan sobie go przybije młotkiem, to jest taki nit. Ja też tak robię.

– Ale wie pani, ten zamek jeszcze jakoś trudno zapiąć.

– One się często zacinają. Ale w domu posmaruje pan zamek świecą albo mydłem. Ja też tak robię.

Właściwie tylko czekać, kiedy autobus komunikacji miejskiej do każdego kolejnego przystanku będzie prowadził inny pasażer. W aptece

dostaniemy zestaw składników do samodzielnego wymieszania i uformowania w tabletkę:

– Na koniec doda pan trzy suszone brwi żaby i całość przeczyści sprężonym oddechem kota, ugniecie w pajęczynie i już gotowy lek na bóle reumatyczne.

Po prostu dziadostwo nie przemija! Jeśli ta puenta jest za słaba, niech ją sobie Państwo sami w domu przybiją młotkiem, posmarują świecą albo mydłem. Ja też tak robię.

6 czerwca 2007

Recydywa, recykling, recytator

Stowarzyszenie ekologiczne zwróciło się do mnie z propozycją przygotowania wykładu na temat recyklingu. Już miałem grzecznie odmówić, informując zgodnie z prawdą, że się na tym nie znam, kiedy stanęły mi przed oczami twarze znanych rodaków, którzy też się wypowiadają na tematy, o których nie mają zielonego pojęcia. Przyjąłem zlecenie i oto fragment moich rozważań pod tytułem:

Recydywa, recykling, recytator

Niby wszyscy wiedzą, co to jest recykling. Ale chyba nikt się nie spodziewał, że ta metoda ochrony środowiska może znaleźć tak szerokie zastosowanie we współczesnym świecie. Nie chodzi nawet o cały świat. O niewielką jego część. Taką w kształcie prawie kwadratu, ograniczoną od góry morzem, nad którym sprzedaje się oscypki, od dołu górami, w których sprzedaje się termometry z kotwicą. Tę część świata, do której jeden z najwybitniejszych jej synów zwracał się per „Litwo”. Czyli o Polskę. Otóż tutaj recykling może służyć na przykład do bycia artystą. W Polsce organizuje się Festiwale Recyklingu. Sam widziałem w Krakowie plakaty reklamujące taką imprezę.

Słowo „festiwal” najbardziej kojarzy mi się z konkursem piosenki. Domyślam się zatem, że na tym krakowskim śpiewano jakieś songi o

recyklingu. Może i ja bym spróbował? Jakoś delikatnie, niezbyt nachalnie. Może o kończącej się miłości między dwojgiem ludzi? A od czasu do czasu wtrącę coś à propos.

Nim resztka uczuć z nas uleci,
Przytul mnie mocno,
Segreguj śmieci.
Coś najczulszego na koniec powiedz…
Coś o szkarłacie gorących ust…
Wtórny surowiec, wtórny surowiec, wtórny surowiec… Blues.

Słownictwo recyklingowe dawno wkradło się do języka opisującego stosunki międzyludzkie. Kobiety mówią o „facetach z odzysku”. Mężczyźni o „panience z drugiej ręki”. I tu ciekawostka: o ile mężczyzna może pochodzić z wielokrotnego odzysku, o tyle „panienka z trzeciej ręki” to już nie brzmi dobrze. To trochę taka dziewczyna po mutancie. Jestem za wprowadzeniem ułatwień identyfikacyjnych. Kobieta, która była już czyjąś narzeczoną, powinna nosić w klapie marynarki czy na ramiączku sukienki znaczek w kształcie zielonego trójkąta złożonego z trzech strzałek tworzących obieg zamknięty. Oczywiście nie ma powodu, żeby takie znaczki nosili mężczyźni. Oni z zasady są uczciwsi i na początku znajomości mówią wprost: „Ale wiesz, ja już jestem żonaty”.

Znam paru dyrektorów i prezesów firm wykorzystywanych jako surowce wtórne. W jakimś miejscu się zużył, to się go wysyła gdzie indziej. Ale może to raczej recydywa, a nie recykling? Podobne zjawisko występuje w polityce. Tutaj osiąga ono formę klasycznemu recyklingowi jeszcze nieznaną. Otóż z makulatury nie robi się szkła, z plastiku trudno wyczarować aluminium, a z miastowego prawicowca bez problemu można uzyskać lewicowego działacza chłopskiego.

Szanowny Czytelniku! Każdego dnia, w każdej sytuacji możesz w swoim życiu wprowadzać zasady ochrony środowiska. Przeczytałeś gazetę. Coś Cię w niej zdenerwowało. Nie wyrzucaj do pieca ani do kanalizacji. Zanieś do punktu skupu makulatury. Pomyśl tylko – na papierze, który powstanie z tego, co chciałeś wyrzucić, może napisać coś drugi Hemingway. Albo więcej – na tym skrawku zawierającym sprasowane włókna celulozowe, po ich ponownym przetworzeniu, mogą być wyemitowane przez Narodowy Bank Polski banknoty – prawny środek płatniczy w Polsce. Może to właśnie one mają stanowić podwyżkę Twojego wynagrodzenia, o której od dawna myśli szef Twojej firmy. A Ty co? Spaliłeś. To teraz idź do żony (do męża, jeśli jesteś kobietą), idź do dzieci, i powiedz im, że nie pojedziecie na wakacje. I jeszcze nie zapomnij dodać: „Oj, głupi ja, głupi...” („Oj, głupia”, jeśli jesteś kobietą).

21 czerwca 2007

Instytut im. Dobrego Imienia

W Bogatyni jest biblioteka. Co prawda znam kilka innych miast, w których jeszcze są biblioteki, ale ta zwróciła moją uwagę ze względu na patronów – Biblioteka Publiczna im. Polskich Noblistów. To się nazywa pragmatyzm. Ktoś, kto to wymyślił, dobrze wie, że jednym z pierwszych posunięć nowych władz po rewolucjach, przemianach, przewrotach ideologicznych jest weryfikacja wszelkich patronów. Gdyby więc kiedyś wpadli na pomysł, żeby bibliotece użyczyli swoich nazwisk Władysław Broniewski czy Włodzimierz Majakowski (może i zdolni, ale piszący za i dla komuny), trzeba by zmieniać. Za parę lat z kolei może komuś nie pasować patronat biskupa Krasickiego czy księdza Twardowskiego. A tak, proszę – do Polskich Noblistów nikt się nie przyczepi. Co prawda może ktoś nagle opublikować zawartość dokumentu z twardego dysku jednego z wydziałów carskiej ochrany z roku 1904, z którego wynika, że dwóch członków Svenska Akademien było rosyjskimi agentami (ps. „Wania” i „Kola”), i to oni załatwili nagrodę Sienkiewiczowi (ps. „Natasza”). Ale wtedy zawsze można powiedzieć, że patronką biblioteki jest bardziej Wisława Szymborska niż Sienkiewicz. Dla świętego spokoju nazwę bym uściślił – Biblioteka Publiczna im. Szlachetnych i Nieskalanych Polskich Noblistów.

Nadając imiona, wybierając patronów, trzeba być przewidującym, zdawać sobie sprawę z konsekwencji ewentualnej zmiany. Tabliczki z nazwami ulic, pieczątki, druki firmowe – to wszystko kosztuje. Nie szedłbym aż tak daleko, żeby po prostu wszystko ponumerować. „Cześć, mieszkam w siódmym co do wielkości mieście województwa mazowieckiego, na siedemnastej ulicy, w bloku czterdziestym drugim, klatka szósta, piętro trzecie, mieszkanie dwanaście. A, zapomniałbym – nazywam się Milijon”. Albo: „Chodzę do klasy piątej, szkoły numer dwadzieścia sześć im. Piętnastu z Prawie Dwóch Tysięcy Czwartaków z Roku 1830”. Nie jest to zgodne z naszą tradycją, brzmi niezbyt ciekawie, zapamiętać trudno. Mam trzy pomysły racjonalizatorskie. Po pierwsze – można używać nazw na tyle ogólnych, że nie będą budziły żadnych wątpliwości: Hufiec ZHP im. Szczerych Ludzi, Uniwersytet im. Wybitnych Humanistów, Zakład Naukowy im. Uzdolnionych Adiunktów. Po drugie – można używać nazwisk znanych osób, ale nie wymieniać imion. Każdy już sobie wybierze, co i kto mu bardziej odpowiada. Na przykład „Wałęsa Airport”. Jeśli komuś nie pasuje Lech – przyjmuje, że to na cześć Danuty – matki znanej tancerki, albo Marii – znanej tancerki. Albo ulica Sapiehy – do wyboru jest co najmniej dziesięciu (w tym paru szlachetnych i jeden marszałek konfederacji targowickiej). Po trzecie – podawać imiona, a nie podawać nazwisk (przedszkole imienia Edwarda – dla niektórych rodziców bardziej Gierka, dla niektórych Nortona), albo wprowadzać zamieszanie (Szkoła Młodych Talentów im. Seweryna – dla niektórych Andrzeja Seweryna, dla innych Seweryna Krajewskiego). A pieniądze zaoszczędzone na ocalonych przed wymianą tysiącach tabliczek, pieczątek, druków przeznaczyłbym na jakiś szlachetny cel. Na przykład kupiłbym sobie coś.

29 czerwca 2007

Wesoły autobus

Nie wiem, czy jest to normowane w umowach, ale są ludzie, którzy będąc w pracy, zobowiązani są do ciągłej gotowości na żart. I nie myślę tutaj o satyrykach i kabareciarzach. Weźmy na przykład przewodników turystycznych, pilotów wycieczek czy opiekunów turnusów wczasowych (teraz mówi się na nich rezydenci biur turystycznych). Staram się przynajmniej raz w roku wyjechać na wycieczkę z przewodnikiem i uważnie obserwuję jego zachowanie. Każdy ma w zanadrzu żarty na różne okazje, większość z gatunku erotyczno-alkoholowych. Spisuję je sobie, tworząc „Księgę dowcipu turystycznego”.

Zaczyna się od poprzedzonego mrugnięciem oka powitania w autokarze: „No, proszę państwa, mówi się, że taka będzie pogoda w czasie wycieczki, jak grzeczni byli państwo dzisiaj w nocy” (w domyśle, że jak spaliśmy spokojnie, to będzie ładnie, a jeśli będzie padało, to znaczy, że wybraliśmy się w podróż z grupą kilkudziesięciu niewyżytych seksualnie hulaków i hulaczek). Podczas zwiedzania jaskini pani przewodniczka oświetla latarką jeden ze stalagmitów i mówi: „A to jest żaba – proszę zwrócić uwagę: tu ma oczy, tu język. Legenda mówi, że jest to zaklęta księżniczka, która czeka na młodego, pięknego księcia. Czy jest ktoś odważny, kto chce ją odczarować?”.

Zazwyczaj wszyscy reagują cichym chichotem i przechodzą dalej, ale zdarza się, że z tłumu wyrwie się jakiś lekko wstawiony pan i czule cmoknie krystaliczny naciek. Ku uciesze reszty wycieczki pani przewodniczka reaguje natychmiast: „No i nie udało się! Mówiłam, że ma być młody i ładny!”. Są żarty, które przewodnicy przekazują sobie z pokolenia na pokolenie, wymieniają się nimi między sobą. Odnoszę wrażenie, że niektóre z nich tworzą działy marketingów obiektów zabytkowych. Można co prawda o zagłębieniu w murze zamkowym nic nie mówić, ale można też stwierdzić, że jest to wyrwa powstała na skutek uderzenia koniem i rycerzem Bolkiem z Cięciwy uciekającymi przed królewną, którą uwolnili z tej wieży. Taka była paskudna. Oczywiście nikt nie uwierzy, ale też nikt sprawdzać nie będzie. A gdyby jednak trafił się ktoś bez poczucia humoru i dociekliwie pytał o badania naukowe potwierdzające prawdziwość tej historii, można powiedzieć, że ostatnio archeolodzy odnaleźli szczękę rycerza Bolka, która została porównana z dokumentacją stomatologiczną konia odnalezioną u miejscowego weterynarza.

W jednym ze skansenów na południu Polski, zaraz po przejściu przez mostek koło jakiejś zagrody, przewodnik pokazuje dzwonek zawieszony na słupie i z niekłamaną satysfakcją oznajmia: „Jest taka legenda, że kiedy po tym mostku przejdzie chociaż jedna dziewica – dzwonek zadzwoni”. Panie oblewają się rumieńcem, panowie uśmiechają się pod wąsem, bo oczywiście tym razem nie zadzwonił. Przewodnik nie omieszka dodać, że kiedyś miał taką zabawną wpadkę, bo powiedział o tym dzwonku i właśnie wtedy sobie przypomniał, że prowadzi wycieczkę zakonnic, ha, ha, ha. Co ciekawe, w tym skansenie słyszałem tę opowieść trzy razy – za każdym razem z ust innego przewodnika – potem jeszcze kilka razy w zupełnie innych zakątkach kraju, a nawet za granicą. Może przy zdobywaniu

uprawnień do oprowadzania wycieczek zdaje się egzamin z anegdot turystycznych? A może to wynik zbyt długiego przebywania w dużych grupach ludzi? Ludzie w stadzie zachowują się dziwnie. Te spontanicznie tworzone przyśpiewki, wierszyki… „Kto nam dzisiaj piwo stawia? Pani Wiesia, bo z Wrocławia!”.

Życzę Państwu miłych wakacji. W niewielkich grupach. A, i proszę pamiętać, że nazajutrz będzie taka pogoda, jak grzeczni będą Państwo poprzedniej nocy. Hi, hi, hi.

5 lipca 2007

Ty czarownico!

Przez wszystkie możliwe łamy, strony, programy, audycje, publikacje przetoczyła się burzliwa dyskusja na temat rzekomych wykładów rzekomo Ojca, rzekomo Dyrektora. Dlaczego tak dużo „rzekomo”? Posłuchałem tych nagrań i muszę stanowczo stanąć w obronie bezpodstawnie oskarżanego o ten czyn Tadeusza R. To jest jakaś manipulacja, prowokacja, agresywny atak. Po pierwsze – wykład to według Słownika Języka Polskiego „dłuższa, zaplanowana wypowiedź ustna służąca przekazaniu słuchaczom wiedzy na jakiś temat”. I o ile mogę uwierzyć, że była dłuższa, zaplanowana i ustna, o tyle wiedzą bym tego nie nazywał. Po drugie – nie wierzę, żeby takich słów używała osoba wykształcona, duchowna, kierująca się w swoim życiu wyłącznie zasadą miłości bliźniego. To, co tam zostało nagrane, mówiło jakieś chamidło podszywające się pod kogoś innego. Na pewno spreparowane. Ale nawet z takich przykrych zdarzeń należy wyciągać wnioski, trzeba się czegoś uczyć.

Osoba udająca Ojca Tadeusza R. w pewnym momencie mówi: *Jak oni ładnie mówią. Pani prezydentowa z taką eutanazją? Ty czarownico! Ja ci dam! Jak zabijać ludzi, to sama się podstaw pierwsza. Nie uwłaczając.* A już prawdziwy Ojciec Dyrektor, komentując całą tę przykrą sprawę, stwierdził, że „trzeba się trochę znać na retoryce i trzeba widzieć cały

kontekst”. Pewnie nie znam się aż tak dobrze jak autor tych słów, ale chcę się uczyć od najlepszych. W związku z tym, że mam do załatwienia pewną zadawnioną sprawę z jednym z byłych moich znajomych, a dotychczas nie umiałem tego wyrazić, napisałem:

Wiersz o tym, że trzeba się trochę znać na retoryce i trzeba widzieć cały kontekst

Tępy palancie w „de” kopany,
Synu najgorszej kurtyzany,
Paskudna mordo, zły pomiocie
Sklejony z genów po idiocie,
Żmijo obmierzła, wredna, śliska,
Gnijąca warstwo torfowiska,
Skutku uboczny chorób licznych
(W tym – przede wszystkim wenerycznych),
Świeża padlino, brudna ściero,
Trądzie, tyfusie i cholero,
Ścierwo, klejnocie ciemnogrodu,
Żywe ucieleśnienie smrodu,
Jamo, do której plują ptaki,
Ryju podobny do kloaki,
Nędzna przybłędo spod Sodomy,
Świńskie koryto pełne pomyj,
Potwór! Wywłoka! Kreatura!
Krzyżówko skunksa, pchły i szczura,
Poczwaro ty ropnistooka,
Ozdobo szamba i rynsztoka,
Klonie sparszywiałego chwostu,

Odmiano ścieku i kompostu,
Szmato, na której psy siadają,
Bękarcie zła! Nie uwłaczając.

11 lipca 2007

Hipertensja puli eminentnego jurysty

czyli podwyższone ciśnienie krwi tętniczej owczarka węgierskiego

należącego do wybitnego prawnika

Spokojnie, nikt mnie nie uderzył *Słownikiem wyrazów obcych*. Wyjaśni się później. Chcę tym tekstem załatwić kilka zasadniczych spraw: kwestię podziału ludzkości, troski o zwierzęta, zbyt wysokiego poziomu wykształcenia Polaków i naszej niskiej samooceny.

Parę miesięcy temu z ostatniej strony pewnej gazety wyciąłem sobie tytuł artykułu: *PAŁKA NIE SPUDŁOWAŁA!*. Dużymi literami i z wykrzyknikiem. Tak jakby ktoś wcześniej miał już sto procent pewności, że nasza biathlonistka, pani Krystyna, nie powinna trafić w tarczę. Może już niedługo przyjmiemy tę zasadę i będziemy się dziwić na pierwszych stronach gazet, że: *BURMISTRZ NIE WZIĄŁ ŁAPÓWKI!*, *POLICJANT NIE UCIEKŁ PRZED BANDZIORAMI!*, *LEKARZ WYLECZYŁ!*? Skąd w nas ten brak optymizmu i niewiara w czyjąś wartość? W radiu usłyszałem informację o wyścigu kolarskim, w którym biorą udział „najlepsi kolarze świata i reprezentacja Polski”. Ktoś wyraźnie daje do zrozumienia, że kolarze dzielą się na najlepszych na świecie i naszych. Zresztą, proszę tylko

spojrzeć, jak ludzie sami się dzielą. To niezwykłe, jakie kryteria się przyjmuje. Parę lat temu na ulicy w Warszawie wisiały plakaty międzynarodowego festiwalu organowego. Wypisano na nich nazwiska artystów i kraje, które reprezentują. Wyglądało to tak: „Janina Nowacka – Polska, Istvan Sabo – Węgry, Jürgen Hintz – Niemcy, Pavel Novotny – Czechy, Janusz Kowalczyk – Radom, Eugen Rakos – Węgry”. W tym przypadku świat się podzielił na Radom i resztę. Albo z wiadomości sprzed kilku tygodni: „Rozpoczyna się szczyt państw G8 – siedmiu najbogatszych państw świata i Rosji”. To tak jakby urządzić sympozjum naukowe na jakimś poważnym uniwersytecie z udziałem „Dwunastu intelektualistów i Zbyszka Ygrekowskiego”. Znaczy, że Ygrekowski sponsoruje to spotkanie albo ma jakiegoś haka na rektora. Swojej narzeczonej powiedział, że strasznie śmiesznie wygląda w gronostajach, i chce jej to pokazać. Albo lokalne wybory miss, w których weźmie udział „Siedemnaście urodziwych mieszkanek naszej gminy i pani Teresa Iksińska”. Od razu można założyć, że pani Teresy nie da się zaliczyć do urodziwych, ale na przykład jest córką wójta i dostała się do wyborów z innego klucza.

Ludzie sami się dzielą. Albo dzieli ich los. Na optymistów i pesymistów. Grubych i chudych. Starych i młodych. Bogatych i biednych. Jedynie podział na głupich i mądrych jakoś ostatnio się nie sprawdza. Mam kolegę, doktora prawa. Kiedy tylko obronił doktorat, postanowiliśmy uczcić to wspólnym wyjściem do kina całą grupą przyjaciół. Po filmie, w czasie kolacji, oświadczył nam, że „fabuła *Godżilli*” jest mocno naciągana”. A kiedy zrobił habilitację, doszedł do wniosku, że teraz już nie wypada, żeby jego pies wabił się po prostu „Igor”. Nazwał go „Interlokutor”. Na spacerach woła teraz: „Interlokutor! Do mojej dolnej kończyny!”. Żeby Państwo widzieli, jak bardzo zdziwiony wyraz pyska może mieć pies, który czochrany przez pana wychodzącego do pracy słyszy: „No, Interlokutor,

okaż serwilizm i wysłuchaj admonicji; jeśli będziesz argusem parafernaliów podczas mojej nieobecności powodowanej uczestnictwem w przewodzie sądowym przeciwko pewnemu segregacjoniście, może to implikować wyjście na hesperyjski spacer”. Zbyt wysoki poziom wykształcenia społeczeństwa może doprowadzić ten kraj do ruiny. Ktoś natychmiast powinien się tym zająć. Może Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami?

19 lipca 2007

Czajniktown

Już wiele razy dawałem wyraz swojemu niezadowoleniu ze zbyt szybkiego rozwoju cywilizacyjnego. Nowinki techniczne przyjmuję z dużą niechęcią i jeszcze większym opóźnieniem. Prawdę mówiąc, chciałbym, żeby to się już skończyło. Wymyślili samolot, samochód i komputer – i wystarczy! Wydawało mi się na przykład, że już wiem, do czego służy telefon komórkowy. A tutaj oczywiście ciągle coś nowego – może być aparatem fotograficznym, stoperem, kalkulatorem, kalendarzem, może służyć do wysyłania esemesów, a to z kolei daje szansę na wygranie czajnika bezprzewodowego w jakimś konkursie radiowym albo telewizyjnym. O właśnie – czajnik. Nie dość, że bezprzewodowy, to jeszcze inteligentny. Przeczytałem, że Anglicy wymyślili czajnik uruchamiany esemesem. Że można (na przykład wychodząc z pracy) wysłać wiadomość do czajnika i on będzie wiedział, na którą godzinę ma zagotować wodę. No niby pięknie, ale mnie to przeraża. Regularnie dostaję cudze wiadomości – wczoraj przyszła taka: „Stefciu, kocham Cię” (a nie przypominam sobie, żebym używał tego imienia). Biorąc więc pod uwagę częstość pomyłek, jaką mam gwarancję, że ktoś przypadkiem nie wyśle esemesa do mojego czajnika w momencie, kiedy nie będzie mnie w domu? I jeszcze w czajniku zabraknie wody? Tragedia gotowa.

Podobnie zaczyna mnie przerażać stopień specjalizacji we współczesnym świecie. Na ulicy zobaczyłem reklamę prywatnej szkoły średniej. „Liceum Dyplomacji i Rynków Kapitałowych”. Czyli co? Szkoła przygotowuje do bycia ambasadorem bezpośrednio po maturze? Kiedyś zdaje się były wyższe wymagania. Chociaż „jeszcze bardziej kiedyś” paru ambasadorów pewnie nie miało matury. A rynki kapitałowe? „I matura, i chęć szczera już wystarczą na maklera?”.

Wczoraj z kolei przejeżdżałem obok „Polsko-angielskiego przedszkola muzyczno-informatycznego”. Rozumiem, że trzylatki uczą się tam po angielsku piosenek o procesorach, sterownikach i twardych dyskach. I wierszy typu:

W pokoiku na stoliku
Stał laptopik kolorowy,
Miał na katar nielegalny
Program antywirusowy…

Proszę Państwa, oto mysz,
Lecz nie mówmy jej: a kysz!
Myszka w norce się nie schowa,
Bo to mysz bezprzewodowa.

A specjalizacja w nieco starszej grupie wiekowej? Zajmijmy się pewnym słynnym nakryciem głowy. Moherowe berety. Jakiś czas temu stały się wręcz symbolem walki politycznej. Niektórzy się na nie obrażali, inni je wyśmiewali, jeszcze inni próbowali wykorzystać propagandowo. Otóż chciałem poinformować, że moherowy beret nie jest – jak może nam się wydawać – polskim, narodowym nakryciem głowy. Przed kilku laty, w dniu święta narodowego Francji, na przystanku autobusowym w centrum

Paryża na własne oczy widziałem prawdziwą, sędziwą Francuzkę, w prawdziwym, moherowym berecie. Po czym poznałem, że to Francuzka? Otóż na tym berecie miała wyhaftowaną… wieżę Eiffla w barwach narodowych Francji, a pod nią napis: „Paris – France”. To jest dopiero przykład patriotyzmu! Gdyby tak u nas to upowszechnić? I gdybyśmy nagle na czapkach, beretach, kapeluszach, bejsbolówkach, zaczęli nosić biało-czerwone Zamki Królewskie, Wawele… Trochę kłopotu mieliby mieszkańcy Łodzi, bo nie wiem czy są takie długie berety, na których zmieściłaby się cała Piotrkowska. Ale jak łatwo można rozpoznać się w tłumie: „Przepraszam, czy to co ma pan na uszatce, to ratusz w Ostrołęce?”.

Polecam Państwu. A teraz wkładam na głowę beret z wyhaftowaną zaporą w Solinie i biegnę na obiad do przyjaciół. Po drodze wyślę jeszcze esemesa o treści „Włączcie czajnik”. Może i u nich ten angielski wynalazek już działa?

9 sierpnia 2007

Aluzja, podtekst, niedopowiedzenie…

Były formami, którymi my, Polacy, posługiwaliśmy się przez dziesiątki lat, kiedy nie można było mówić wprost tego, co się myśli. I chyba mamy to już w genach, bo takie sygnały wymownego mrugnięcia okiem do odbiorcy znajduję wszędzie. Wejdźmy do księgarni. I proszę, nawet tutaj w sposobie ustawienia książek na półkach można wyrazić jakąś opinię, dać dowód swojego poczucia humoru. W dziale Biografie stoją obok siebie: *Putin* i *Rasputin*, w dziale Poradniki: *Twoja firma – od pomysłu do sukcesu* i *Jak robić, żeby się nie narobić*. A na półce z literaturą dla dzieci stoją łeb w łeb (przepraszam, grzbiet w grzbiet): *Przyjaciel wesołego diabła* i *183 przepisy siostry Anastazji*. Nie wiem, czy to księgarz wpadł na taki pomysł, czy któryś z dowcipnych klientów poprzestawiał książki na półkach. Prawdopodobniejsze jest raczej to drugie. Zwłaszcza że sam, tuż przed wyjściem z księgarni, książkę z tekstami piosenek Jana Kaczmarka *Pero pero, bilans musi wyjść na zero* postawiłem w dziale Ekonomia, a na regał z napisem Dom i Wnętrze wstawiłem *Pamiętnik znaleziony w wannie* Stanisława Lema.

Aluzja nie musi być tak do końca czytelna. Nawet lepiej zostawić odbiorcy możliwość własnej interpretacji. Parę dni temu w restauracji w Bytowie znalazłem coś interesującego. Otóż w karcie dań po zupach,

daniach głównych, niedaleko surówek i deserów, są „dodatki”. A w dodatkach dwie pozycje:

– zapałki

– prezerwatywy.

Można takie menu potraktować jako ekstrawagancję właściciela albo przejaw jego wysokiej świadomości zdrowotnej. Ale można też odczytać jako porozumiewawcze mrugnięcie okiem: „To, co u nas zjecie, tak was rozpali, że przydadzą się prezerwatywy”.

Wyczytałem gdzieś informację o badaniach, z których wynika, że 17 procent Polaków jest uzależnionych od oglądania telewizji, „czuje się nieswojo, kiedy telewizor jest wyłączony”. Gdyby to były informacje z zimy – wszystko byłoby jasne – nasi rodacy traktują odbiornik telewizyjny jako jeszcze jeden ze sposobów ogrzewania mieszkania w mroźne dni. Pamiętam, mieliśmy kiedyś radziecki telewizor kolorowy Rubin, który dawał dużo ciepła. Po kilku historiach, jakie usłyszeliśmy od naszych sąsiadów, tata zadzwonił do sklepu rtv z pytaniem: dlaczego do rubinów nie są dołączane gaśnice? Teleholicy, bo tak fachowcy nazwali uzależnionych od telewizora, oglądają podobno wszystko całymi dniami. Problem jest poważny, wpływa na kontakty międzyludzkie, osłabia więzi, powoduje rozpad związków. Muszę powiedzieć, że mam nieco inne doświadczenia. Wspólne oglądanie programu telewizyjnego może wzmacniać więzi międzyludzkie. Z tym że polecam dość specyficzny sposób oglądania. Wyłączamy fonię. Jeśli chcemy sobie czegoś posłuchać – włączamy radio. Zostawiamy samą wizję, patrzymy na tych, którzy tam występują, i rozmawiamy o nich. Z tego rozmawiania wziął mi się taki wiersz:

Rozmowa przy włączonym telewizorze, czyli wiersz o tym, że gdyby nie to „nie” na początku, byłoby wszystko w porządku

– Kto Cię, kochany, drażni?
Kto Ci, kochanie, szkodzi?
– Nieobliczalnie odważni,
Nieprzyzwoicie młodzi,
Nieludzko zdrowi i sprawni,
Nieszablonowo ubrani,
Niesamowicie zabawni,
Niemłodzi, ale zadbani…
A ciebie, miła? Niech zgadnę…
Choć ciebie złość nie dotyczy,
Złoszczą nieziemsko zgrabne,
Bo niejedzące słodyczy…
– A kto ich wszystkich zadziwi
Któregoś zwykłego dnia?
Spotykanie szczęśliwi.
Ty i ja.

16 sierpnia 2007

Łopata Stradivarius

Każdy etap życia człowieka zaczyna się od jakiegoś wyraźnego sygnału, od zdarzenia, które może być symbolem wspinania się na kolejny szczebel rozwoju. Zagubienie ostatniego smoczka, pierwsze uderzenie łopatką w głowę kolegi z piaskownicy, a co za tym idzie utrata zęba mlecznego, pierwsze pociągnięcie za warkocz koleżanki z ławki. Jedną z boleśniejszych w życiu dorosłego mężczyzny jest sytuacja, kiedy wstaje rano i pierwszą rzeczą, jaka wpada mu do głowy, jest pytanie: „A może zaparzę sobie mięty albo rumianku?”. Straszne uczucie. Ale od czego męska ambicja? Nie poddam się! Nie pozwolę ustępować sobie miejsca w autobusie! Nie będą mi kilkunastoletnie dziewczęta pomagały wnosić zakupów na drugie piętro. Zresztą nie o sprawność fizyczną tutaj chodzi. Zacząłem od stawiania coraz wyższych wymagań swoim szarym komórkom.

Ostatnio jeżdżę po Polsce z programem *Księga świąt staropolskich – walentynki*. Wiem, że jeszcze daleko, ale nie da się odwiedzić wszystkich miejsc w Polsce jednego dnia, więc ruszyliśmy pod koniec sierpnia, żeby 14 lutego podsumować tę podróż wielkim galowym koncertem w jakiejś warszawskiej hali na 70 osób. Ja jestem konferansjerem, koleżanki i koledzy śpiewają piosenki o miłości. Postanowiłem na każdym takim

występie napisać wiersz na zamówienie publiczności. Wygląda to tak, że widzowie ustalają, ile ma mieć zwrotek, i podają kilka słów, które mają się w nim znaleźć. Zapowiadam artystów śpiewających, schodzę ze sceny na 15 minut i wracam z gotowym utworem. Zadanie niełatwe, ale musiałem sprostać. Chodzi o honor środowiska polskich poetów. Gdybym stchórzył, co by o mnie pomyśleli Wisława Szymborska i Adam Zagajewski? Pewnie to samo, co myślą teraz, czyli nic, ale trzeba podejmować wyzwania.

Przy okazji tego eksperymentu wyszło na jaw, jak bezwzględni, okrutni i nieczuli potrafią być ludzie. Myślałem, że wiem, co mogą zaproponować. Że będą chcieli dwuzwrotkowych wierszy ze słowami typu: serce, kocham, róża, miłość. Już nawet miałem przygotowane do rymu: rozterce, Zocha, burza, było. Ale gdzie tam. Weźmy przykłady zamówień publiczności z dwóch przypadkowych spotkań. W czasie jednego postanowiono, że wiersz ma mieć pięć zwrotek i szóstą na bis, i że mają się w nim pojawić słowa: grzebień, śledzie, murmurando, zielony i synteza. Na drugim zaproponowano, żeby było osiem zwrotek z użyciem słów: łopata, wiedźma, Stradivarius, macierzanka, kefir, wywrotka. W pierwszej chwili miałem ochotę uciekać, ale to tylko krótkotrwałe załamanie. Mięta, rumianek… I do boju.

Na pierwsze zadanie odpowiedziałem tekstem:

Ty mnie chyba jeszcze lubisz,
Ty jak zwykle grzebień zgubisz,
I tak smutny będziesz siedział,
A ja ci przyniosę śledzia…
Jesteś mi niedźwiadkiem pandą,
Mruczysz czasem murmurando,
Jesteś dla mnie piesek, kotek…
Myk, myk myk i już pięć zwrotek!

Dam ci oczy, dam ci usta,
To już bis, bo to już szósta,
Dam Ci najcenniejszy prezent,
No, to czas już na syntezę:
Misiu mój, ja kocham Ciebie!
I pal sześć zielony grzebień!

W związku z drugim zleceniem po piętnastu minutach przeczytałem tekst:

Hej wysoko w Karpatach
Leżała łopata,
Ktoś zakrzyknął: – Jedźmy
Do okrutnej wiedźmy,
Która w pustą szklankę
Sadzi macierzankę,
Przykrywa ją kirem,
Podlewa kefirem
Trzonkiem od łopaty
Wiedźmy nos garbaty
Chudy jak zaskroniec,
Wielki jak wywrotka,
Ale to już koniec,
Bo to ósma zwrotka.
Tylko ludzie mali
Albo ludzie prości
Myślą, że to nie był
Wierszyk o miłości!

Już myślałem, że odniosłem sukces, że mi się udało, a tu się podnosi wrzawa na sali. Że pominąłem słowo „Stradivarius”.

– Nie pominąłem – odparłem grzecznie – tylko zapomniałem państwu powiedzieć, że ten wiersz nosi tytuł *Miłosna bajka o łopacie Stradivarius*.

Obawiam się, że pisanie takich wierszy też może być symbolem. Schodzenia o szczebel niżej od etapu „A może zaparzę sobie mięty albo rumianku?”.

30 sierpnia 2007

O Gruzinie, który przeciąga samochody przywiązane do ucha

Byłem u dentysty. Na drzwiach gabinetu zobaczyłem naklejkę z napisem: „Fundacja Promocji Zdrowia Jamy Ustnej”. Taka organizacja ma pewnie prezesa, zarząd, strukturę. Jeśli wszyscy pracują za pieniądze, jest to pomysł na zatrudnienie paru osób i obniżenie poziomu bezrobocia w naszym kraju, jeśli społecznie – na znalezienie im pożytecznego i ciekawego zajęcia. Bo dlaczego niby tylko jedna jama w człowieku ma mieć swoją fundację? Zapytałem znajomego lekarza, w ciągu paru sekund wymienił mi jeszcze dziesięć innych, godnych uwagi. Proszę sobie wyobrazić, że wszyscy mamy jamy: czaszki, krtani, brzuszną, klatki piersiowej, pęcherzyka żółciowego, otrzewnej, opłucnej, nosową, miednicy i bębenkową. Właściwie można by dojść do wniosku, że człowiek to jedna wielka jama. Gdyby tak powołać fundacje promocji zdrowia każdej z wymienionych przed chwilą? Gdyby ich szefowie spotykali się na specjalnych sympozjach i wymieniali doświadczeniami? I wizytówkami:

Jan Iksiński
Prezes Fundacji Promocji Zdrowia Jamy Klatki Piersiowej

lub

Stefan Ygrekowski

Sekretarz Generalny Międzynarodowego Porozumienia Fundacji Promocji Zdrowia Jamy Pęcherzyka Żółciowego

Sympozjum odbyłoby się oczywiście w Krakowie i zainaugurowałby je uroczysty apel pod Smoczą Jamą. A potem uczestnicy w barwnym pochodzie przemaszerowaliby do Jamy Michalika. Pokazano by zdjęcia z wizyty Honorowego Przewodniczącego Fundacji Promocji Zdrowia Jamy Opłucnej na Fudżi Jamie, odczytano list szefa Japońskiej Fundacji Rozwoju Motoryzacji pana Jama Moto i oklaskami powitano gościa specjalnego – ambasadora Jamajki.

Państwo mogą pomyśleć, że pozwalam sobie na żarty z poważnych spraw. A i owszem. Z niepoważnych nie ma sensu żartować. No, bo co zabawnego może być w informacji, którą dawno temu przeczytałem na jednym z portali internetowych, a teraz odnalazłem w notesie:

„Gruziński zapaśnik Lasza Pataraja przeciągnął na odległość ponad 41 metrów dwa samochody, przywiązane do jego prawego ucha. Dzięki temu ma nadzieję po raz drugi trafić do *Księgi rekordów Guinnessa*. Minibusy o łącznej wadze 4,5 tony połączono łańcuchem i przywiązano do ucha Patarai nylonową linką. Ciągnąc je, Gruzin pokonał dystans 41 metrów i 10 centymetrów. Pataraja co prawda już figuruje w księdze rekordów – za przeciągnięcie minibusa na odległość 48 metrów. Wtedy jednak posłużył się oboma uszami”? Niestety informator nie podał, czy teraz użył jednego z konieczności, bo po poprzedniej próbie tylko to zostało, czy po prostu podniósł sobie poprzeczkę. Z moich wyliczeń wynika, że przy każdej próbie traci jakieś siedem metrów. Zatem następnym razem, nie zaczepiając o nic, bo trzeciego ucha to chyba nawet gruziński zapaśnik nie ma, przeciągnie dwie ciężarówki na odległość 34 metrów. Jeśli będą to te same

samochody, to w sumie będą się mogły znaleźć mniej więcej o jakieś 123 metry dalej od miejsca pierwotnego położenia (41 + 48 + 34). Można więc zgłosić to do księgi rekordów w kategorii „Dwie ciężarówki przesunięte w ciągu kilku lat o 123 metry”.

Nie miałem pojęcia, że w szkoleniu gruzińskich zapaśników kładzie się nacisk na rozwój tej części ciała. A może to jakieś odkrycie? Może gdyby nasi piłkarze zaczęli kopać uszami, mielibyśmy jakieś szanse na mundialu? Ale na to na pewno nie zgodziłaby się Fundacja Promocji Zdrowia Jamy Bębenkowej. Dobrze, już dość żartów! Albo jeszcze jeden: może by tak dla hecy powołać Literacko-Historyczną Fundację Promocji Zdrowia Jam To Uczynił: Zbyszko z Bogdańca?

6 września 2007

Zjeżdżalnia gratis

Obiecuję, że nie będę wciągał Szanownego Czytelnika w kampanię wyborczą. Sama wciągnie. Jej uczestnikom zwracam tylko uwagę na fakt, że warto się wcześniej zastanowić nie tylko nad tym, czy się wygra, ale i z kim się ewentualnie przegra. Bywają przegrane wyjątkowo wstydliwe.

Zajechałem kiedyś do małego miasteczka, w którym miałem poprowadzić koncert znanych polskich artystów. Na każdym rogu wywieszono plakaty z wypisanymi olbrzymimi literami nazwiskami gwiazd i nazwami popularnych zespołów, które tego wieczoru miały uświetnić tradycyjne Święto Ziemniaka, Pomidora czy innego warzywa. Poniżej wydrukowane było logo (czyli ziemniak albo pomidor), a przy nim nazwisko konferansjera (czyli moje). I najważniejsze – informacja następującej treści: „Podczas występu artystów zjeżdżalnia gratis”. No i przegraliśmy. Przynajmniej ja przegrałem. Zjeżdżalnia w kształcie napompowanego tygryska cieszyła się znacznie większym zainteresowaniem niż moje zapowiedzi. Zresztą nie pierwszy to raz. Przegrywałem już z: kucykiem ciągnącym małą bryczkę, quadem (czterokołowym pojazdem, na który wsiadają dorośli ludzie, żeby się wybłocić, poszarpać ubranie i powytrząsać sobie wszystkie plomby),

balonami napełnianymi helem (który oczywiście natychmiast wpuszcza się w otwór gębowy, żeby mówić śmiesznym piskliwym głosikiem).

Nie będę Szanownego Czytelnika wciągał w kampanię wyborczą, ale tym, którzy biorą w niej udział, coś podpowiem. Pewnie każdy z komitetów będzie szukał jakichś oryginalnych i skutecznych sposobów docierania do elektoratu. Stanie na tle wymalowanej emblematami partii płachty na kółkach i powtarzanie słów: „Naród, Ojczyzna, Wspólne Dobro” na wypuszczonym z magnetofonu podkładzie muzycznym z pieśni patriotycznych już mnie nie bierze. Zaskoczcie mnie. Na przykład tak jak jeden z portali internetowych. Przeglądając wczoraj wiadomości, zobaczyłem tytuł: „Michaił Gorbaczow reklamuje torby Louisa Vuittona”. Akurat planuję kupić torbę, to co mi szkodzi mieć taką, jakiej używa ostatni prezydent Związku Radzieckiego. Kliknąłem. Otworzyła się strona z informacją: „Sąd Okręgowy w Toruniu zakazał prof. Andrzejowi Zybertowiczowi wypowiadać się na temat współpracy Zygmunta Solorza z wywiadem wojskowym PRL”. Może to i przypadek, w każdym razie skutek jest taki, że torby nie kupiłem, ale dowiedziałem się, czego nie może mówić prof. Zybertowicz. Skorzystajcie z tego patentu, panie kandydatki i panowie kandydaci! W zapowiedzi spotu wyborczego: „Tylko u nas! Specjalna, rozbierana sesja zdjęciowa Naomi Campbell”. A potem przez dwie minuty – twarze liderów waszego ugrupowania powtarzające w kółko „Naród, Ojczyzna, Wspólne Dobro”. No, efekt może być inny od zamierzonego, może się ktoś zdenerwować… Ale i tak się zdenerwuje, więc czy to ważne, z jakiego powodu? Życzę powodzenia i radzę sprawdzać, czy przypadkiem w czasie mityngu wyborczego nie ma w pobliżu jakiejś zjeżdżalni gratis. Wtedy będzie trudno. Chyba że potraficie takie trudne warunki wykorzystać. I na przykład zajechać pod scenę quadem, wdrapać się na zjeżdżalnię w kształcie napompowanego tygryska, zsuwać się z góry,

trzymając za ogon kucyka, i równocześnie wygłaszać przemówienie śmiesznym, piskliwym głosikiem po nawdychaniu się helu z balonika. Zaskakujcie nas. My odwdzięczymy się przy urnie. Też was zaskoczymy.

13 września 2007

Śmieszny jak pies

Niezbadane są ścieżki, którymi chadza sobie ludzka fantazja. Nie wiadomo nawet, czy te dróżki już zostały wytyczone, czy też człowiek za każdym razem, kiedy tylko daje impuls swojemu, w różnym stopniu pofałdowanemu, zwojowi mózgowemu, przedziera się przez chaszcze, których nikt wcześniej nie dotknął. Weźmy na przykład fantazję ludzką w dziedzinie tworzenia nazwisk. Kilka dni temu, oglądając napisy końcowe jakiegoś amerykańskiego filmu, zobaczyłem, że nad dźwiękiem pracował Caspar Catering. Nie znam dobrze tego języka, ale sprawdziłem w słowniku. To jest mniej więcej tak, jakby ktoś u nas nazywał się Janina Gastronomia. Albo Halina Garmażerka. W sumie można to jakoś wytłumaczyć indiańskimi korzeniami obywateli Ameryki. Może przodka Caspara Cateringa nazywano „Smaczny Bizon”, albo „Dobrze Przypieczony Udziec Indyka”? I rodzina pana Caspara w kolejnych pokoleniach zachowywała ślad tradycji, ale rozszerzała zakres nazwiska?

Zresztą, proszę Państwa. Kto to mówi? Jak można się nazywać Andrus? Skoro „andrus” to „ulicznik, łobuz, chuligan”. I ma to być niby określenie pasujące do jednego z najspokojniejszych, najzacniejszych i najszlachetniejszych ludzi, jakich znam, czyli mnie samego? Parę lat temu, kiedy napisałem tekst piosenki kabaretowej do pewnego programu

telewizyjnego, aktor, który miał to zaśpiewać, dopytywał się uparcie, czyj to jest pseudonim, ten „Andrus”, bo to niemożliwe, żeby ktoś tak się nazywał.

A ludzka fantazja w prawieniu komplementów? Też nie zna granic ni kordonów. Po jakimś publicznym występie usłyszałem od pewnej pani: – Boże, pan taki śmieszny jak pies!

Psy lubię, więc uznałem to za pochwałę. Jakiś czas później któryś z życzliwych kolegów z kabaretowej sceny starał się to tak zinterpretować: – Może nie pozwoliłeś tej pani dokończyć. Może ona chciała powiedzieć, że jesteś śmieszny jak pies ogrodnika – to znaczy, że sam się nie zaśmiejesz i innym nie dasz.

A spotkany na ulicy znajomy powitał mnie kiedyś słowami: – O, cześć, Artur. Jestem szczęśliwym posiadaczem twojej płyty. Jeszcze nie słuchałem.

I jak ja mam to rozumieć? Że jest szczęśliwy, bo ma? Czy jest szczęśliwy, bo jeszcze nie słuchał?

Albo potyczki mojego kolegi z dokarmiającą go teściową:

– Mamo, nie będę więcej jadł, bo jestem gruby!

– Jedz!

– Mamo, nie mogę tyle jeść, bo jestem gruby!

– Jedz, ty jesteś wysoki, po tobie nie widać.

– Ale czego niby nie widać? Że jestem gruby, tak?

– Jedz, nie marudź! Ty jesteś wysoki, po tobie nie widać, możesz jeść.

Arystoteles, Platon, Kant, Nietzsche, Freud, Hegel, Marks… Biorąc pod uwagę liczbę myślicieli przewracających się w swoich grobach na skutek tego, co się teraz rodzi w ludzkich głowach, nie powinny dziwić częste trzęsienia ziemi. Wysoko na Liście Przebojów Niebanalnych Wypowiedzi Prezenterów Telewizyjnych utrzymuje się coś, co usłyszałem kiedyś w

„Teleekspresie”. Po relacji z uruchomienia superszybkiej kolei w Japonii pani prezenterka westchnęła: – Żeby takie nowoczesne pociągi były w Polsce…

I natychmiast dodała: – Ale są trzy najnowocześniejsze w Polsce gastroskopy, które szpitalowi w Poznaniu podarowała fundacja…

I tak dalej. Proszę – można skojarzyć superszybki japoński pociąg z przyrządem optycznym, służącym do wziernikowania żołądka? Można. Trzeba tylko pomyśleć. A może właśnie nie trzeba? Życzę Państwu miłego dnia, a ja wychodzę z domu na ulicę trochę połobuzować i pochuliganić.

20 września 2007

OSP dla OSP

Zacznę od cytatu z 20 września: „*PSL jak piwo*. PSL ma nowe hasło: »Najprawdopodobniej najlepsza partia w kraju« – taki napis pojawił się na ulotkach wyborczych i billboardach Stronnictwa. Dla piwoszy brzmi dziwnie znajomo: »Najprawdopodobniej najlepsze piwo na świecie« to tekst z reklamy Carlsberga”.

Znalazłem tę informację w internetowym wydaniu pewnej gazety, a poniżej głosy internautów. Głównie oburzenia, z nawoływaniem do wytoczenia procesu włącznie. A niby dlaczego? Nie można jakoś pozytywnie? Marzy mi się taki pakt o nieagresji i pokojowym współistnieniu między polityką a biznesem. Firmy na czas kampanii wyborczych użyczają partiom politycznym znanych już haseł reklamowych swoich produktów, w zamian, w przypadku wygranej w wyborach, politycy zobowiązują się do oszczędnego używania w wystąpieniach publicznych słowa „oligarcha” i przesunięcia godziny rozpoczęcia tradycyjnych akcji Centralnego Biura Antykorupcyjnego na 16.30 (czyli już po zamknięciu notowań na giełdzie).

Partie polityczne mogłyby korzystać ze znanych i skutecznych sloganów, opracowanych przez najlepszych specjalistów od reklamy. Społeczeństwo nie byłoby zaskakiwane tworami typu „Żeby wszystkim

żyło się lepiej” i nie komentowałoby, stojąc pod wielkim plakatem: „Aleś wymyślił… Przecież to niemożliwe, jeśli tobie będzie żyło się lepiej, to mnie na pewno gorzej”. Żeby wykluczyć jakiekolwiek podejrzenia o korupcję, hasła byłyby losowane przez Państwową Komisję Wyborczą razem z numerami list. Przewodniczący ogłaszałby wtedy podczas konferencji prasowej:

Lista numer jeden: Platforma Obywatelska – Dłuższe życie każdej pralki;

Lista numer dwa: Prawo i Sprawiedliwość – I po bólu;

Lista numer trzy: Polskie Stronnictwo Ludowe – Najprawdopodobniej najlepsze piwo na świecie;

Lista numer cztery: Liga Polskich Rodzin – Więcej znaczy niż płyn do mycia naczyń;

Lista numer pięć: Partia Kobiet – Polska jest kobietą (oczywiście chodziło mi po głowie hasło „Najlepsze dla mężczyzny”, ale po pierwsze pomyślałem, że to banalne, po drugie, że oryginał jest na tyle zabawny, że lepiej go zostawić – przyp. AA);

Lista numer sześć, Lewica i Demokraci – Żubr występuje w puszczy;

Lista numer siedem: Samoobrona RP – Żer dla skner.

Prawda, że miła zabawa? Kłopot byłby z jednym słynnym hasłem. „Nie dla idiotów”. Bo niby każda partia chciałaby mieć taki wizerunek, ale używając takiego sloganu, od razu dystansowałaby się od części potencjalnych wyborców. Nie wiadomo też, jak zareagowalibyśmy, gdyby po wyborach przedstawiciele biznesu zażądali rewanżu. Że teraz oni będą używali haseł politycznych do reklamowania swoich produktów. Media Markt – „Zasady zobowiązują”, Biedronka – „Szacunek”, Wojskowe Zakłady Uzbrojenia w Grudziądzu – „Mądre rządy zamiast głupich wojen”.

Dość już o wyborach. Na koniec jeszcze coś z żartobliwych znalezisk. Niedawno dzieliłem się z Państwem skojarzeniami, jakie wywołała u mnie nazwa Fundacja Promocji Zdrowia Jamy Ustnej. Mam nową ciekawostkę. Otóż może nawet Państwo nie zdają sobie sprawy z faktu, że istnieje w naszym kraju Ogólnopolskie Stowarzyszenie Parkieciarzy. Pewnie zajmuje się czymś bardzo pożytecznym, ale ja od razu zaczynam sobie wyobrażać zebrania Sekcji Parkietu Dębowego, wyjazdowe posiedzenia Departamentu Parkietu Egzotycznego, referat na temat ekspansji Międzynarodowego Porozumienia Panelarzy Podłogowych. Jako że stowarzyszenie jest ogólnopolskie, zdarzają się pewnie sympozja na temat różnic w usękowieniu klepki jesionowej z okolic Ustjanowej i Kolbuszowej. Może jakieś naukowe wykłady na temat „Parkietu dworków szlacheckich Pierwszej Rzeczypospolitej”? Można również zorganizować konferencję „OSP dla OSP” (czyli Ochotnicza Straż Pożarna dla Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Parkieciarzy) pod hasłem „Przypadki samozapłonu źle polakierowanej klepki czereśniowej w latach 1989–2006”.

27 września 2007

Wspomnienia z dwudniowej wycieczki na Lubelszczyznę *czyli „Małej Wyprawy w 80 dni dookoła świata”*

Stwierdziłem ostatnio, że nie znam li tego kraju. I to nie tylko tego, gdzie cytryna dojrzewa, ale nawet tego, gdzie w delikatesach kosztuje 3 złote i 69 groszy za kilogram. Trochę wstyd, więc postanowiłem każdą nadarzającą się okazję wykorzystać na zwiedzanie li tego kraju i sprawdzanie, czego blask majowe złoci drzewa, które akurat są już październikowe. Na początek ruszyłem na Wschód. Byłem w Lublinie nazywanym niegdyś „Jerozolimą Królestwa Polskiego”, Zamościu „Padwie Północy” i Krasnobrodzie określanym jako „Mała Częstochowa”. Wszystko to wyczytałem w moim przewodniku (nazywanym od tego czasu przeze mnie „Małą encyklopedią tego, co nazywane jest małym czymś albo czymś czegoś”). To niesprawiedliwe, ale takie wymyślanie określeń nie działa w dwie strony. Nikt nie wpadł na to, żeby w przewodniku *Let's go Italy* napisać o Padwie jako „Zamościu Południa”, Częstochowa dla nikogo nie jest „Dużym Krasnobrodem”, a Jerozolima „Lublinem Izraela”. I kiedy pomyślałem sobie, że powinienem coś napisać na ten temat, przypomniałem sobie, że już kiedyś napisałem:

Wiersz o tym, że po co te porównania?

Już wiem, że kiedy przyjedzie
Z Holandii ciotka Gerda,
Nie omieszka powiedzieć,
Że Gdańsk to „Mały Amsterdam”.
Zawsze gdy wpada w gości,
Rzuca to mądre stwierdzenie,
Lecz z racji jej zrzędliwości
Pomija się je milczeniem.
I tylko Bazyl, brat Gerdy,
Zwany w rodzinie „Kolosem”,
Patrząc w sałatkę z konserwy,
Zaczyna mruczeć pod nosem:
– No tak… No jeszcze mi powiedz,
Że to jest „Małe Przyjęcie”,
Postój taksówek w Piotrkowie
To takie „Małe Okęcie”,
Że weekend na ogródkach
To takie „Małe Wakacje”,
Pół litra to „Mała Wódka”
(No tu akurat masz rację),
Seicento państwa Korbielów
To taka „Mała Rakieta”,
Ty jak nałożysz kapelusz…
„Mała Królowa Elżbieta”…
Wyznam, że z wujem Bazylem
Poglądy mamy tożsame.
Bo Gdańsk jest Gdańskiem. I tyle!

Amsterdam jest Amsterdamem!
Zalew Soliński – Solińskim,
A na nim łódki jak łódki…
Ten wiersz napisał Gałczyński.
Co z tego, że malutki?

Trochę to zabrzmiało jak powoływanie się na siebie samego jako klasyka. Ale po pierwsze – miło sobie uświadomić, że jeszcze się coś pamięta, po drugie – utwierdzić się w przekonaniu, że kiedyś miało się rację, po trzecie – w czasach powszechnej konieczności autoprezentacji można rzucić hasło: „Obywatelu, czytuj innych, ale cytuj siebie samego”. Kończę ten popis autorskiej skromności obietnicą, że znowu coś napiszę, jak sobie to przypomnę.

4 października 2007

Od M do Z bez N

Gdyby ktoś chciał wydać drukiem zestaw cech charakteryzujących przeciętnego Polaka, na jednym z pierwszych miejsc musiałby wymienić złośliwość. Wiele razy publicznie wyrażałem współczucie dla rządzących naszym krajem – swoim kolegom po władzy z innych państw mogą pozazdrościć potulnych, delikatnych, ułożonych, grzecznych narodów. Zresztą ta typowa polska złośliwość nie jest kierowana tylko pod adresem polityków. Ileż dostaje się urzędnikom! Weźmy dowcipy opowiadane u cioci na imieninach wujka:

„Późnym wieczorem wraca do domu grabarz. Żona widzi, że jest potwornie zmęczony, więc pyta:

– Stasiu, co ci jest? Coś taki zmizerowany?

– A daj spokój, Krysia, strasznie ciężki pogrzeb dzisiaj miałem.

– Jaki? Co się stało?

– Chowaliśmy naczelnika urzędu skarbowego. I jak już zakopaliśmy, to się zerwały takie oklaski, że musieliśmy siedem razy bisować”.

No i proszę. Ileż tu złośliwości w stosunku do instytucji dbającej o nasze wspólne dobro. I to nie tylko finansowe. Również o rozwój intelektualny. Znalazłem w notesie zapisek z jednej z wizyt urzędzie

skarbowym. Na drzwiach biura, mogę podać konkretnie – pokój 426 na IV piętrze Urzędu Skarbowego Warszawa Mokotów przy ulicy Wynalazek 3 – zobaczyłem wywieszkę o treści: „Informacja podatkowa dla osób z pierwszą literą nazwiska od M do Z bez N”. Czyli panowie: Makowski, Opaliński, Podlaski aż do Zawadzkiego dowiedzą się, ile mają zapłacić, a pan Nawrocki nie. A dlaczego nie? Bo tak! Zresztą ograniczenie tego ograniczenia do jednej litery jest moim zdaniem pójściem na łatwiznę. Urzędnik, który coś tak genialnego wymyślił, mógł się przecież wysilić i dodać jeszcze kilka warunków. Na przykład: „Informacja podatkowa dla osób z pierwszą literą nazwiska od M do Z bez N, ale z nazwiskami co najmniej trzysylabowymi i pod warunkiem, że »ę« nie występuje w nich częściej niż raz i nigdy po »b«. Pierwszeństwo dla osób posiadających ucho prawe bardziej odstające niż lewe, bo naczelnik też tak ma”. I już widzę te tłumy petentów biegających od pokoju do pokoju, liczących sylaby w nazwisku, pytających sąsiada:

– Przepraszam, pan nie wie, czy jak ja jestem Cieciorkiewicz, to mam iść do 412, gdzie są nazwiska na C, czy 317, tam gdzie kończące się na „-ewicz”?

Te komunikaty radiowe:

– Pan Janusz Iksiński, który wyszedł trzy tygodnie temu do urzędu skarbowego w Jaśle, widziany ostatnio w pobliżu pokoju z informacją podatkową dla Ygrekowskich, proszony jest o pilny powrót do domu w ważnej sprawie rodzinnej.

Mam nadzieję, że dożyjemy czasów, w których zamiast złośliwych historyjek na temat urzędów skarbowych, będzie można usłyszeć, jak matka czyta dziecku na dobranoc: – Dawno, dawno temu w maleńkim domku mieszkała dziewczynka, którą ze względu na przeszłość jej ojca nazywano Czerwonym Kapturkiem. Czerwony Kapturek przez wiele lat nosiła babci

mieszkającej za lasem: serek, szyneczkę i masełko. Ale już nie musi, bo urzędy skarbowe tak skutecznie zbierają pieniądze od podatników, a ZUS tak sprawiedliwie i hojnie rozdziela je emerytom, że babcia wszystko zamawia sobie w sklepie internetowym www.produktydlababci.pl. Oczywiście korzystając z ulgi internetowej…

Pozdrawiam serdecznie. Artur Adrus (normalnie Andrus, ale tym razem bez N).

11 października 2007

Wojskowa Komenda Niezupełnie

Nie rozumiem dlaczego, ale ostatnio, kiedy ktoś zabiera się do mówienia o wojsku, otwiera wcześniej szufladkę z napisem „Patos” i wyciąga z niej najbardziej napuszone słowa świata. Minister obrony żegnając się ze swoim stanowiskiem, pochlipuje, wyznając, że „kocha ten resort”, w czasie defilady wszyscy mają takie miny, że wystarczyłoby zrobić jedno zdjęcie, a potem używając jakiegoś programu komputerowego wklejać do kolekcji albumów „Najsłynniejsze pogrzeby”. Tymczasem są ludzie, którym armia kojarzy się niekoniecznie dobrze, ale zabawnie. Przypomniałem sobie o tym podczas audycji, w której z moim gościem – Andrzejem Poniedzielskim – rozmawialiśmy o takich prawdziwe męskich zajęciach. Zaczęło się od westernu, a zaraz potem zeszło na wojsko. Jako miłośnik nieistniejącego już niestety festiwalu w Kołobrzegu zacytowałem kilka hitów z tamtych czasów, między innymi mój ukochany:

Kiedyś cięły chłopcy nasze
Ciach pałaszem! Ciach pałaszem!
Ale teraz to już nie to:
Buch rakietą! Buch rakietą!

Na nasz apel o przysyłanie opowieści o zabawnej stronie wojska posypało się tyle listów, że aż serwer radiowy zaczął charakterystycznie posapywać. Z tych kilkudziesięciu minut uzbierałoby się opowieści na małą książkę. I kto wie, może kiedyś coś takiego uda się wydać, tymczasem, żeby ocalić od zapomnienia prawdziwe wojskowe przeżycia, postanowiłem kilka z tych listów zacytować tutaj:

Opowieść Cezarego ze Szczecina:

„Trafiliśmy na kilka miesięcy do jednostek OC… Dowódca o twarzy towarzysza »Wiesława«, w randze podpułkownika, miał ksywę »Pomarszczony« i był mistrzem języka polskiego. Skrzętnie notowaliśmy co lepsze cytaty. Na powitanie dowiedzieliśmy się, że teraz to poznamy prawdziwy smak służby, i że »przydupasów nie będzie w kibini mater i fale sobie Dunaju«”.

Opowieść Włodzimierza:

„Brałem udział – jako podchorąży student SGGW – w następującej sytuacji: Tuż przed opuszczeniem budynku uczelni – zwolniliśmy się z zajęć Studium Wojskowego u swego dowódcy kompanii – łapie nas dowódca batalionu pułkownik CH. i pyta:

– A dokąd to moi kochani?

Na to mój kolega Waldek bez namysłu odpowiada:

– Z rozkazu zastępcy dowódcy Studium Wojskowego idziemy po asymptotę!

Nasz pułkownik chwilę pomyślał i pyta dalej:

– A czemu aż dwóch?

Odpowiedź Waldka:

– Bo to jest długa asymptota!

Pułkownik:

– To idźcie i szybko wracajcie!”.

Opowieść Staszka:

„Oryginalny tekst naszego PeOwca z liceum: Jak w czasie wojny jest epidemia, to jest bardzo niebezpiecznie i trzeba przestrzegać higieny przez wysokie C”.

Opowieść Krzysztofa:

„Na studium wojskowym w Częstochowie major rysował schemat ostrzału i parabole lotu pocisków w kierunku muru, i jak powinien wyglądać mur oporowy dla chowających się za nim. Ktoś zapytał, dlaczego nie można położyć tej paraboli o 90 stopni i zagiąć wroga z boku? Major po namyśle stwierdził: – Nie stosuje się!”.

Opowieść Radosława:

„Witam, zawodowym żandarmem jest mój rodzony brat. Kiedyś wchodzi do domu naszych rodziców i widząc mnie na kanapie, pyta:

– Matka jest?

– Nie wiem – odpowiadam.

– To idź do kuchni i stwierdź!”.

I może na koniec Joanna:

„Moja siostra jako pielęgniarka jest kapralem rezerwy. Po odbyciu kursu podoficerskiego dostała z WKU pismo, w którym z osłupieniem przeczytaliśmy: »Zaświadcza się, że Katarzyna S., SYN ZBIGNIEWA, odbyła szkolenie w zakresie… itd.«. Tata trochę się zdziwił, że przez 25 lat nie wiedział, że ma w domu syna”.

Można radośnie o wojsku? Można. A o czym następnym razem? Proszę tu zajrzeć i stwierdzić!

25 października 2007

Janek

Mam po Nim pamiątkę. To jest kartka, na której u góry napisał: „Dlatego nie ma w nas, Arturze, wiary, że naprawimy świat (Kofta do Rimbaud)”. Poniżej jest Jego karykatura (sam mawiał, że ludzie poznają Go po głosie albo po nosie) i dedykacja: „Arturowi – Janek 10.4.2000”.

„Z głębokim smutkiem…”, „Z żalem…”, „Odszedł od nas…”. Coraz częściej, niestety, zdarzają się sytuacje, w których dociera do mnie, po co ludzie wymyślili takie zwroty. To pomaga zacząć, kiedy nie wie się od czego.

Zmarł Janek Kaczmarek. Kiedyś spotykaliśmy się bardzo często. Na estradzie, w radiu, potem w szpitalu. Na każde z tych spotkań, i z każdego z nich, zawsze się cieszyłem. Bo Janek, mimo że fizycznie sponiewierany przez ciężką chorobę, rozdawał dużo optymizmu. Nawet w szpitalu. Jedną z pierwszych rzeczy, jakie zrobił po przyjeździe do kliniki na warszawskim Bródnie, było wypisanie, narysowanie i wywieszenie gazetki ściennej. Miała tytuł „Życie na Bródno – gazetka ścienna pacjentów sali numer…”, nakład dwóch egzemplarzy, jeden wisiał nad łóżkiem Janka, drugi nad łóżkiem współpacjenta – Zdzisława Leśniaka. Ostatni raz widzieliśmy się kilka lat temu. Najpierw choroba zdjęła Go ze sceny, potem odebrała Mu głos i zabroniła przychodzić do ukochanego radia, na koniec nawet nie

mógł pisać. Kilkanaście lat nierównej walki z czymś, na co sobie nie zasłużył. Janek był człowiekiem gołębiego serca. Dowcipny, liryczny, celny w satyrycznych komentarzach, ale nie złośliwy. Mądry. I skromny. Tak wielka skromność przy takim talencie uważana jest dzisiaj za wadę, ale tak naprawdę jest po prostu dowodem wielkości Janka. Nie pouczał. Po prostu bezbłędnie nazywał pewne rzeczy, których my sami nie potrafiliśmy nazwać, zwracał uwagę na coś, na co sami w codziennym pędzie nie zwrócilibyśmy uwagi.

Tak się goni przez to życie
Jak kopnięta ćma,
Nie ma czasu na spożycie
Tego, co się ma,
Nie ma chwili, żeby sobie
Między dniem a snem
Usiąść przy swym sutym żłobie
I pogadać z psem…
…Jak te głupie kołowrotki,
Jak te pneumatyczne młotki,
Przepychanka, ruch, gonitwa,
Tu półetat, tam pół litra.
Ciągle się łapkami grzebie,
I do siebie, i do siebie…
No a wreszcie gdzie,
Gdzie to słynne ludzkie:
Eeeee?

Może, żeby trochę usprawiedliwić zaniedbania wobec kogoś bliskiego, wymyślili ludzie, że po rozpoczynającym „Z żalem…” dodaje się, że miało

się coś zrobić i się nie zdążyło. Ja od paru miesięcy zabierałem się do pisana listu do Jasia. Ale musiałbym tam napisać, że jestem wściekły na świat. Że on, ten świat, taki piękny, taki mądry, „poniklowany, złoty”, nie potrafi Mu pomóc. Nie wiem czy by Mu to dodało otuchy. Ale mogłem przynajmniej napisać, że Go lubię, że tęsknię za Jego piosenkami. Nie zdążyłem.

A na zakończenie? Co powiedzieć? Że „Tam Mu na pewno jest lepiej”? Ja nie wiem jak Mu jest Tam. Wiem tylko, że mnie tutaj jest od wczoraj znacznie gorzej.

Mknąc w zaświatów dal,
Pomyślimy sobie pewnie,
Że, cholera, żal…

15 listopada 2007

Profesjonalnie wykonujemy prace amatorskie

Szyld z takim napisem wisi nad wejściem do pewnego zakładu fotograficznego w Poznaniu. I doszedłem do wniosku, że ja mam tak samo. To znaczy odwrotnie. Amatorsko wykonuję prace profesjonalne. Wczoraj zadzwonił do mnie dziennikarz telewizyjny. Rozmowa wyglądał mniej więcej tak:

– Dzień dobry, panie Arturze, przygotowuję taki materiał na jutro do porannego wydania naszego programu i chętnie nagrałbym pana komentarz.

– Ale na jaki temat?

– O teściowych.

– Ja się nie znam za bardzo.

– To my będziemy z kamerą za jakąś godzinkę.

No i zaczyna się. Wrzucam w wyszukiwarkę na swojej prywatnej stronie www.pofałdowanyzwój.pl hasło „+teściowa +inteligentnie +śmiesznie +albo przynajmniej zabawnie”, lekkim uderzeniem w czoło uruchamiam „enter” i przypominam sobie:

– jeden dowcip (teściowa z zięciem, stojąc na balkonie, patrzą na spadające gwiazdy, na grad meteorytów lecących z nieba, zięć wypowiedział w myślach jedno życzenie, teściowa już nie zdążyła);

– dwie weselne piosenki – „Teściowo, teściowo, ty stary rowerze” (że „rowerze” to rozumiem, taki żart, ale dlaczego stary?) i drugą:

Szła teściowa przez las,
Pogryzły ją żmije,
Żmije pozdychały,
A teściowa żyje.

I już. Wystarczy dodać na początku „dzień dobry”, do tej ostatniej piosenki komentarz, że „wynika z tego, że teściowa jest instytucją nader pożyteczną, bo może w sytuacji zagrożenia życia służyć za naturalnego producenta surowicy”, na koniec „dziękuję” i zrobione. Takie amatorskie wykonywanie prac profesjonalnych ma tylko jedną wadę. Honoraria za pracę są zazwyczaj amatorskie. Kilka tygodni temu zadzwoniła sympatyczna pani, pracująca przy pewnym programie:

– Dzień dobry, panie Arturze, przygotowuję taki materiał na jutro do porannego wydania i chętnie zaprosiłabym pana do studia, żeby pan skomentował ten materiał.

– Ale na jaki temat?

– Donosów obywatelskich.

– Ja się nie znam za bardzo.

– Dobrze by było, żeby pan był u nas tak przed dziewiątą. Tutaj zazwyczaj się kończy rozmowa, i rzeczywiście przed dziewiątą jestem grzecznie w umówionym miejscu. Ale tym razem, przeszkolony przez nieco bardziej obytych w kapitalizmie kolegów, w ostatniej chwili wstrzeliłem się z pytaniem:

– Przepraszam bardzo, a czy państwo za taką wizytę coś płacą?

– Zazwyczaj nie.

– To znaczy kiedy tak, a kiedy nie?

– No, jak panu zależy, to zapłacimy.

– To mnie by zależało…

Ja wiem, wychodzę na takiego, co za przyjemność występowania w telewizji bezczelnie chce jeszcze wydrzeć trochę kasy (żeby nie było wątpliwości, nie z „naszych pieniędzy” – to była telewizja komercyjna). Wiem, ktoś może powiedzieć, że ważniejsza od pieniędzy jest radość życia. I ma rację, tyle że, jak pisał Marian Załucki:

Więc i ja czasem w myślach
Pogrążam się skrycie –
Odkrywam nie odkryte…
Już wiem, CO TO ŻYCIE!
I nikt definicji mej nie zdoła pobić,
ŻYCIE TO JEST TO,
NA CO TRZEBA ZAROBIĆ!

Zresztą, żeby nikt nie miał wątpliwości co do tego, że jestem stanowczy i niezłomny – poszedłem do tego programu następnego dnia rano i jakoś nie miałem już odwagi powiedzieć, że nadal „mi zależy”. I było jak zazwyczaj.

22 listopada 2007

Na ratunek

W życiu każdego mężczyzny musi się kiedyś zdarzyć trudny moment powrotu do domu po spotkaniu z kolegami. Trudny nie tylko dlatego, że niełatwo trafić do miejsca zamieszkania, bo panu taksówkarzowi, nie wiadomo dlaczego, wydało się polecenie „Na Wały Chrobrego!”. Na zdecydowany kontratak w postaci „W Wałbrzychu nie ma Wałów Chrobrego!” rzuca się „To na jakiekolwiek Wały!”. Po paru godzinach staje się jednak pod blokiem. Jeszcze tylko rzut okiem na tabliczkę z adresem, wymamrotana pod nosem skarga: „Dlaczego ja właściwie mieszkam na Żeromskiego? Nigdy go nie lubiłem. Się stąd wyprowadzam… A co to za numer 18?! Beznadziejny numer! Ktoś taki jak ja zasługuje na więcej”. Jakaś nieznana siła podprowadza pod właściwą klatkę, niewidzialna ręka wkłada klucz do zamka. Pokonało się trudności zewnętrzne, przed nami jeszcze tylko jedna – wewnętrzna, bo wewnątrz mieszkania czeka Ona. I co w takiej chwili powiedzieć? Ja proponuję:

Wiersz o tym, że mimo wszystko i bez względu na wiek, mężczyzna jest potrzebny

Motto na początek*: Jacy koledzy? Nie piłem! To wszystko zależy od punktu widzenia, bo według mnie to Ty się chwiejesz!*

Kto Ci w łazience wkręci żarówkę? Kto Twemu życiu nada sens?
Kto bez szemrania wyjmuje stówkę
Na nowy tusz do rzęs?
Kto bryłę z posad bez sensu ruszy?
Kto się do błędu nigdy nie przyzna?
Kto cię rozśmieszy, a czasem wzruszy?
Mężczyzna, tylko mężczyzna!

Młodzi nie za starzy
Starzy nie za młodzi,
No i o to, no i o to,
No i o to chodzi.
Trochę dystansu do świata,
Bo wie się, o co w nim biega.
Wieku mężczyzny nie liczy się w latach,
Tylko w dobrych kolegach.

Motto na środek: *Bo mężczyzna jest jak dobre czerwone wino. Najlepszy w temperaturze pokojowej… A Ty mnie schładzasz. A chociażby takim powitaniem.*

I kto Cię wesprze drugą stóweczką,
Bez żadnych kłótni, żadnych burz,
Na takie nowe francuskie mleczko,
Którym się zmywa tusz?
Kto własnoręcznie postawił namiot?
Kto skonstruował pierwszą rakietę?
A feministki bezczelnie kłamią!
Kopernik była facetem!

Młodzi nie za starzy
Starzy nie za młodzi,
No i o to, no i o to,
No i o to chodzi.
Trochę dystansu do świata,
Bo wie się, o co w nim biega.
Wieku mężczyzny nie liczy się w latach,
Tylko w dobrych kolegach.

Motto na koniec: *Kobieto, zastanów się nad tym, co krzyczysz! Co z tego, że się włóczę z moimi kolegami? Jak wolisz, mogę się zacząć włóczyć z Twoimi koleżankami.*

Nie przypuszczam, żeby pomogło załagodzić kłopotliwą sytuację, ale przynajmniej wyszło się z niej z twarzą. Z jaką, to już zależy od stopnia porywczości małżonki.

13 grudnia 2007

Grajcież Mu

Sezon firmowych i towarzyskich wigilii. Pracownicy naukowi instytutu chemii jednego z uniwersytetów popijając barszczyk, niby żartem wymieniają się najnowszymi danymi na temat zawartości rtęci, kadmu ołowiu i arsenu w karpiu. Szefowie firmy budowlanej łamią się opłatkiem ze swoimi pracownikami w sali wystylizowanej na „Stajenkę kartonowo-gipsową impregnowaną 12,5 mm”. Informatycy dyskutują o możliwościach usprawnienia Osiołka… Kilku, do niedawna wysoko postawionych, facetów tęskni za żłóbkiem… I w czasie wszystkich tych spotkań, gdzieś w tle – muzyka. Ale na tych, którzy grają, nikt nie zwraca uwagi. No to ja zwrócę.

Wiersz o tym, że Włosi nieprzypadkowo mówią „Bambino Jesu” *

Może Tobie idą ząbki?
Albo Ty masz kolkę?
A możeś Ty, Dziecineczko,
Już zmęczona folkiem?

Dwa tysiące lat Ci grają
Pastuszki i drwale,

W każdej szopce Krakowiacy,
Kurpie i Górale.

My Ci w darze przynosimy,
Mały Panie Jezu,
Zestaw chwytów na gitarę
Z *Antologią jazzu*.

Może Ty już nie chcesz słuchać
Średniowiecznych bardów?
Może byś się ukołysał
W rytm naszych standardów?

Może zamiast harf anielskich
I kościelnych dzwonów
Wolisz w *Lulajże Jezuniu*
Solo saksofonu?

Żebyś mógł posłuchać sobie,
Gdy ścichnie stajenka,
Położymy Ci na sianku
Małego „diskmenka”,

Żebyś mógł narobić czasem
Ładnego hałasu,
Tu masz takie pokrętełko
Do podbicia basów…

Słuchaj jazzu, Mały Jezu!
Niech Ci skatem śpiewa wiatr!
Daj nam w zamian za muzykę
What a Wonderful Świat.

20 grudnia 2007

* [← powrót do tekstu] Czytaj: Bambino Dżezu.

Styczeń 1 Wtorek Mieszka, Mieczysława

Mam lekką szajbę na punkcie kalendarza. Używam takiego normalnego, papierowego. Nie interesują mnie wynalazki typu terminarz w telefonie komórkowym. Muszę mieć gdzie wrzucić jakieś kartki z zapiskami, wizytówki, rachunki z restauracji, bilety. A do telefonu komórkowego trudno się wkłada bilety i paragony. Nie potrafię na klawiaturze wystukiwać fragmentów ludzkich wypowiedzi, cytatów z zasłyszanych rozmów. A w kalendarzu papierowym zapisuję.

Na przykład – 29 września: Lublin. Na Starówce minąłem się z wycieczką kobiet. Jedna z nich poprosiła o wspólne zdjęcie.

Jedna z nich: – Dziewczyny, patrzcie to pan Andrus.

Ja: – Dzień dobry.

Druga z nich: – O, rzeczywiście, nawet głos podobny.

Potem opowiedziały, że są pielęgniarkami ze Śląska. Odchodząc, słyszę za plecami: Ja kiedyś Masztalskich widziałam, ale to takie chude…

Mam też coś takiego: 5.01 – 3AT5B4, 1.02 – 3TLZYL, 28.04 – 3EYC7M. Ja wiem, że to są kody rezerwacji biletów lotniczych, ale kto wie, co mógłby sobie pomyśleć funkcjonariusz Centralnego Biura Antykorupcyjnego, przeglądając mój kalendarz wygrzebany spośród stu sześćdziesięciu siedmiu markowych piór wiecznych, które otrzymałem jako

wyraz wdzięczności od różnych artystów za nadawanie ich piosenek w radiu?

Mam strefy czasowe, tabelę odległości (dzięki czemu wiem, że Amsterdam jest oddalony od Delhi o 3954 kilometry), kalendarz świąt (na przykład do RPA nie ma co jechać na zakupy 9 sierpnia albo 24 września).

Poszukiwanie tego na następny rok zaczynam w okolicach czerwca. Wstępuję do sklepów papierniczych, księgarni. Zupełnie niepotrzebnie, bo i tak w listopadzie kupuję taki sam jak ten poprzedni. Nie ulegam żadnym marketingowym chwytom, nie poddaję się snobizmom. To nie jest jakiś cudaczny terminarz z sentencjami na każdy dzień, z horoskopem… Zwykły, prosty, legendarny kalendarz, taki, jakiego używali Hemingway, van Gogh, Chatwin, Picasso. Samego mnie to śmieszy, ale ta magia działa. Ostatnio zauważam u siebie duże zmiany w pisaniu i rysunku. Piszę jak Picasso, rysuję jak Hemingway.

Nie kolekcjonuję, ale mam parę kalendarzowych ciekawostek. Pierwsza, to „Kalendarz rezerwisty” sprzed paru lat. Sprośne dowcipy, wzory gustownych chust dla wychodzących z wojska, wierszowane wyliczanki:

Hej, Małgosiu, maluj brwi,
Sto trzydzieści dziewięć dni.
Marta puder ma na nosie,
Jeszcze sto trzydzieści osiem.…

Druga to kalendarz podkarpackich hurtowni mięsa, wędlin i drobiu. Pod adresami i numerami telefonów oddziałów w Sanoku, Krośnie i Jaśle olbrzymie zdjęcie atrakcyjnego półnagiego mężczyzny (nagie jest to górne pół) trzymającego w dłoni młot pneumatyczny. Zmarnowałem kilka tygodni na rozszyfrowanie metafory, ale w końcu się poddałem. Ciekawostka

trzecia to kalendarz ścienny łódzkiego ogrodu zoologicznego. Na zdjęciu lew, a u dołu hasło: *Zoo Łódź – dzikie zwierzęta na wyciągnięcie ręki*. Od razu sobie to wyobraziłem i moim zdaniem w tym tekście brakuje jednego słowa. Powinno być „na ostatnie wyciągnięcie ręki”.

Na pierwszej stronie można wpisać życzenia na nowy rok. Tylko czego sobie życzyć? Mój kolega, poeta, udzielał kiedyś wywiadu pewnej młodej dziennikarce. Na błyskotliwe pytanie „Co pan uważa za swój największy sukces w mijającym roku?” – odpowiedział: „Proszę pani, ja w sierpniu z ośmiu metrów trafiłem ogryzkiem w wiadro”. Korzystając z tego zawoalowanego wzoru na marzenia, życzę Państwu, żebyście w przyszłym roku z dowolnej odległości, kiedy tylko zechcecie, trafiali czym chcecie, w co tylko Wam się zamarzy.

27 grudnia 2007

TELEWIZJA POLSKA SA
17 J.P. Woronicza Str. 00-999 Warsaw, POLAND
phone (+48) 22 / 547 80 00

WIERSZ O CHŁOPCACH Z PLAKATÓW

Chłopcy! Zejdźcie z plakatów!
Idźcie wy, chłopcy, do domu!
A po to wasza zabawa
Potrzebna, chłopcy, komu?

Czyście spytali dzieci?
Czy ktoryś z was się odważył?
Zapytać, co one czują,
Gdy wam ktoś maluje potwarzy?

Gdy wam na czołach gwiazdy,
A na policzkach skazy,
Kiedy przy waszych nazwiskach
Piszą brzydkie wyrazy?

A może one się wstydzą?
Ojcom Wagi Państwowej,
Powiedzieć, że wolą na ryby,
I że chcą watę cukrową?

Chłopcy! Zejdźcie z plakatów!
Zdejmijcie z broni bagnet,
Wróćcie do swoich dziewczyn,
Powiedzcie im, że są tedne,

A nie, że „... białe!", że „... czarne!",
Że „... Wielka Rodzina Polaków!",
Że „... Wspólny Dom!", że „... Ojczyzna!",
Obierzcie, chłopcy, ziemniaków,

Napijcie się, chłopcy, mleka
/ stoi na półce z miodem /,
Zajmijcie się, chłopcy, sobą.
Po co od razu narodem?

/ wrzesień 2000, kampania wyborcza /

Tradycyjna góralska fletnia Pana

Kilka przedświątecznych dni spędziłem w naszych górach. Na Krupówkach rozbrzmiewały kolędy. Ale nieczęsto dało się słyszeć swojskie, podhalańskie. W paru miejscach usłyszałem jakieś importowane – na przykład *Oj, Maluśki* śpiewane przez trio indiańskie. Dwóch wokalistów w pióropuszach i trzeci – instrumentalista w prawdziwym góralskim kapeluszu grający na fletni Pana. Im dziwniej, tym lepiej. Pomyślałem, że skoro każdy może być góralem, to czemu nie ja? Usiadłem pod karcmą i napisałem wiersyk:

Po granicnej zecce pływa sobie kacka
Ciekawe, cy nasa, cy ona słowacka?
Kiedysik po turniach włócyła się owca,
Godali ze ona psysła ze Smokowca.
Cosik tak w tym świecie syćko nie do pary:
Owca była młoda, a Smokowiec Stary.
Jasiek miał dziewcyne po słowackiej stronie,
Ale parę roków nie chodzi jus do niej,
Bo mu kiedyś pedzioł pewien mądry baca,
Ze po nasym psystąpieniu do Unii Europejskiej to jus się nie opłaca,

Ze skoda Jasieńka na taką mitrenge,
Niech lepiej zaceka do Układu z Sengen.

Święta minęły tradycyjnie, czyli: jedzenie, jedzenie, spanie, jedzenie, jedzenie, jedzenie… Ale zupełnie inaczej było w sylwestra. Zaprosiłem przyjaciół. Trochę się obawiałem, bo staram się żyć w zgodzie z moimi sąsiadami, a wiedziałem, że zajrzy do mnie grupa ludzi niezważających na fakt, że na przykład to, po czym oni skaczą, to nie tylko moja podłoga, ale równocześnie czyjś sufit. Na wszelki wypadek przygotowałem Regulamin Zabawy Sylwestrowej, który wywiesiłem przy drzwiach wejściowych. Oto jego fragmenty:

1. Goście Przychodzący powinni nałożyć filcowe pantofle wypożyczone na ten wieczór z Zamku Królewskiego w Warszawie.

2. Do tańca służy wyłącznie miejsce w kształcie koła o średnicy ok. 1,5 m – zaznaczone czerwoną wstążką, wyjście poza czerwoną wstążkę będzie karane czerwoną kartką, czyli zakazem spożywania białego wina.

3. Wchodzący na parkiet używają słuchawek bezprzewodowych podłączonych do odtwarzacza CD i tylko w ten sposób słuchamy muzyki.

4. Nadawane będą wyłącznie utwory z kręgu Krainy Łagodności, np. Stare Dobre Małżeństwo, Elżbieta Adamiak, Grzegorz Turnau (przy okazji osoby, które akurat nie tańczą, mają obowiązek czytania tekstów utworów, do których para dyżurna akurat pląsa).

5. Od drugiej godziny zabawy można pić tylko miętę i dziurawiec.

To był jeden z najspokojniejszych sylwestrów, jakie przeżyłem. I najkrótszych. Wszyscy wyszli razem z pierwszym dziurawcem. Swoją drogą łatwiej byłoby organizować takie imprezy w blokach, gdyby ludzi kwaterowano według ich temperamentów. Na przykład gdyby ktoś

mieszkał w klatce „Żywioły”, na piętrze „Tornado”, wiedziałby, jakiego sylwestra może się spodziewać. Pewnie wielu było takich, których w Nowy Rok po nocnych szaleństwach bolało wszystko. Mnie tylko jeden palec, którym zmieniałem kanały na pilocie telewizora. A w telewizji było jak w święta w górach. Był taki program, w którym Zespół Pieśni i Tańca Mazowsze zaśpiewał a capella *Autobiografię* Perfektu. Jeszcze *Miałem dziesięć lat, gdy usłyszał o mnie świat* śpiewane ładnymi ustawionymi głosami jakoś brzmiało, ale kiedy zobaczyłem, jak te uśmiechnięte, owinięte w korale panie śpiewają: *Alpagi łyk*, prawie straciłem przytomność. Teraz czekam, aż Perfect w rewanżu zaśpiewa *Ej, przeleciał ptaszek kalinowy lasek, siwe piórka na nim zadrżały*. Pięknie by wyglądał Grzegorz Markowski w wypożyczonym od Krzysztofa Cugowskiego stroju biłgorajskim, czyli męskiej sukmanie z brązowego sukna, ozdobionej prostym szamerunkiem w kolorze niebieskim, i w sukiennej czapce „gamerce” z niebieskimi pomponami.

4 stycznia 2008

Kopernik + Modrzejewska = BWM

Polska: jesień, muzyka, fantazja, dusza… Polskie: drogi, wierzby, zboża… Po polsku: gościć, bawić się, mówić, myśleć… To kilka określeń z tych, które znałem dotychczas. Ale parę tygodni temu dopisałem do słownika nowe. Znalazłem krótką informację pod tytułem *Francuz na lotnisku kopał, pluł i przeklinał po polsku*. Chodziło o jakiegoś pana, który, niezadowolony z obowiązku poddania się kontroli granicznej na lotnisku w Krakowie, zaczął się awanturować. Jeśli chodzi o przekleństwa, to rozumiem – wiadomo, jakie słowa podsuwamy zagranicznym znajomym na początku nauki języka polskiego. I ile radości sprawia nam, kiedy już wmówimy im, że to takie małe, okrągłe, co się kupuje w piekarni na śniadanie, nazywa się „dupa”, a to na czym siedzisz to jest „bułka”. I ten dreszczyk emocji, kiedy po raz pierwszy wysyłamy go do sklepu spożywczego. Ta radość, kiedy zamiast trzech bułek przynosi w garści ulotkę z numerem telefonu agencji towarzyskiej Purpurowa Chryzantema. Ubaw po pachy, kiedy znajomy cudzoziemiec orientuje się, że padł ofiarą głupiego żartu, ale jeszcze się pogrąża, dukając w zdenerwowaniu: „Pocauj mje w bułke”. Przekleństwa rozumiem. Ale kto tego Francuza nauczył kopać po polsku i po polsku pluć? Czy to też jakiś fragment naszej narodowej tradycji? Od razu zaczynam się zastanawiać, jak pluł

Kościuszko, a jak kopała Maria Dąbrowska? Czym się to nasze plucie i kopanie różni na przykład od skandynawskiego czy greckiego? Jest słowiańskie, czyli takie tęskne, rzewne? Tęskne plucie i rzewne kopanie.

Powinniśmy szukać różnych sposobów uzewnętrzniania naszej narodowej dumy i odrębności. Parę miesięcy temu stanie w kolejce do wejścia na wieżę katedry we Florencji umilałem sobie, czytając napisy na październierzowym ogrodzeniu, przy którym kolejka się ustawia. Większość to proste ślady pobytu typu „Marc, Paris VII 2004”, oznaki miłości „Ivana a Marek = Velka Laska 2005”, sporadycznie żartobliwe „Min niet”. Ale wśród tych bazgrołów znalazł się taki napis, który spowodował, że stanąłem na baczność i zacząłem cichutko nucić *Już tam ojciec do swej Basi mówi zapłakany…* Otóż mniej więcej pośrodku tej ogrodzeniowej płyty napisał ktoś „Waldorff 2002”. No dobrze, przyznam się – drugie „f” na końcu ja dopisałem. Ale to dlatego, że nie wierzę, żeby ktoś obok katedry we Florencji pisał o Waldorfie, czyli mieście w Minnesocie, albo Waldorfie Astorii, sieci hoteli. Na pewno chodziło o naszego Jerzego Waldorffa, więc tylko skorygowałem błąd. A żeby już nie było żadnych wątpliwości, zaraz obok dopisałem „Kisielewski 2007”. Może właśnie tak? Zamiast głupawych, rzewnych wierszyków typu:

Za sto lat zniknie Twoje ciało,
A to Colosseum ciągle będzie stało.
Ewuni kochający Marek. Rzym maj 2004

– przypominać o Wielkich Polakach? Tylko bez przesady. Nie tak, żeby obok Sfinksa w Gizie musiały się znaleźć napisy „Tu byłam. Halina Czerny-Stefańska”. Z jakimś pomysłem. Na przykład, może paru naszych rodaków mieszkających w Londynie zatroszczyłoby się o to, żeby gdzieś w pobliżu wejścia do sklepu, do którego chadza Doris Lessing, w niezbyt

eksponowanym, ale widocznym miejscu pojawiły się delikatne przypomnienia typu: „Sienkiewicz”, „Reymont”, „Miłosz”, „Szymborska”? Niech wiedzą, że Polacy nie gęsi i dumę narodową oraz różne przyrządy do pisania mają.

10 stycznia 2008

Tekst, który nie został napisany w związku z brakiem pomysłu

Czasem lepiej nic nie napisać. Napisze się byle co, a potem jakiś młody Hemar przyłoży fraszką:

Myślałem, że w tym tygodniu
Nie napisze, odpocznie.
Jest przecie strajk śmieciarzy.
Wyłamał się widocznie.

Lepiej od razu, uczciwie przyznać się ludziom, że nic ciekawego się nie wymyśliło i dlatego się nie napisało. Można też inaczej – bezczelnie złożyć samokrytykę. Kiedyś późną nocą zobaczyłem końcówkę pewnego zaskakującego filmu. Wyglądało to tak, że reżyser chodził z kamerą między roznegliżowanymi panienkami i mówił im, jakie będą sławne. A na koniec, na napisach, widzowi tracącemu powoli przytomność w związku z poziomem artystycznym filmu, twórcy zafundowali piosenkę. Śpiewa ją sam reżyser. I śpiewa tak (cytuję z pamięci, ale mam jeszcze w miarę dobrą):

To co, że słaby scenariusz?
Ja nie jestem Wajda, tylko Mariusz.

Właściwie od razu chciałoby się powiedzieć, że to widać, że nie musiał tego śpiewać. No i już po sprawie. Reżyser złożył samokrytykę i wara od niego i jego dzieła. Genialny pomysł! Przecież to można zastosować właściwie wszędzie i w każdej okoliczności. Pijany kierowca na drodze mówi policjantowi:

To co, że przeze mnie wypadek?
Ja nie jestem Hołowczyc, tylko Tadek

– i idzie do domu.

Lekarz spartaczył operację:

To co, że pacjent nie przeżył?
Ja nie jestem jakiś wybitny amerykański profesor, tylko Jerzy

– i prokurator może mu nadmuchać w stetoskop.

Nie udaje się rządzić krajem:
To co, że Polska w kryzysie?
Ja nie jestem Grabski, tylko Rysiek.

I proszę – samokrytyka złożona, ale nigdzie nie pada słowo „przepraszam”. Więcej – z tego typu samokrytyki wynika, że to tamci są frajerzy. Reżyser Mariusz pokazuje się w telewizji, mimo że miał słaby

scenariusz – Andrzej Wajda musiał zrobić dobry film, żeby dojść do tego samego. Oczywiście „tego samego” w pojęciu reżysera Mariusza.

W przypadku braku tematu na cotygodniowy tekst można odpowiedzieć na listy czytelników. Pod warunkiem, że są. Szczęśliwie są. A dokładniej jest. Pani Hania z Kalisza napisała do mnie, że czyta, że jest „nowoczesną nastolatką w średnim wieku”, że przyjaciele nazywają ją „śmieszką”, że jest „niska wzrostem, ale wielka duchem”. I na koniec:

„Pozwolę sobie zadać pytanie: jak Pan sobie wyobraża nastolatkę w średnim wieku? Może będzie to temat do następnego Pana felietonu?”. Na cały tekst chyba nie wystarczy, ale na końcówkę? Zajrzałem do *Narodowego Planu Rozwoju Rzeczypospolitej Polskiej na lata 2004–2006* przyjętego przez Radę Ministrów 14 stycznia 2003 roku (nie wiem skąd u mnie w domu są takie publikacje, zastanawiam się, czy przypadkiem ktoś nie podrzucił mi jakichś dokumentów z likwidowanych Wojskowych Służb Informacyjnych). I tam w punkcie 8 znalazłem informację, że przeciętna długość życia kobiet w Polsce w roku 2000 wynosiła 78 lat. I że na 100 mężczyzn przypadało 106 kobiet. Z kolei w innych źródłach doczytałem, że w roku 2001 średni wzrost polskich poborowych wyniósł 177,4 cm. Zatem nastolatka w średnim wieku to nastolatka, która w roku 2000 miała 39 lat i była w niezbyt komfortowej sytuacji, bo przypadało na nią niecałe 0,95 mężczyzny, czyli jeden poborowy z roku 2001, ale o wzroście 168,5 cm. Jasne?

To co, że w tym nie ma żartu?
Ja nie jestem Laskowik, tylko Artur.

Z pokorą przyjmę recenzję jakiegoś drugiego Hemara, który po przeczytaniu tego, na co dzisiaj nie wpadłem, napisze:

Pośród felietonistów wielu
Dziesiąta woda po Kisielu.

17 stycznia 2008

Twoja stara

Fascynuje mnie poszukiwanie podobieństw w zjawiskach teoretycznie się wykluczających. Ot, na przykład, czy można być subtelnie wulgarnym? Można. W związku z pewnym projektem telewizyjnym od paru miesięcy przeglądam archiwa Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi. Niedawno trafiłem na coś zachwycającego. Zrealizowany kilkadziesiąt lat temu film poświęcony higienie dzieci. Jest tam na przykład instruktaż, jak „w warunkach budownictwa bezłazienkowego” własnoręcznie wykonać „urządzenie natryskowe” (wystarczą: miednica, konewka, hak do zawieszenia konewki i już dziecko zadbane). Można usłyszeć zachętę do czytania fachowej literatury związanej z tematem, pokazane są okładki różnych książek. Ten fragment trwa tylko kilka sekund, ale uważnie mu się przyjrzałem, przewijając kilka razy i zatrzymując w odpowiednim momencie. Okazuje się, że rozszerzono zakres prezentowanej literatury. Być może o tematy, którymi zainteresowani byli realizator i operator? Otóż obok książek: *Jaś idzie do I a*, *Na ciebie patrzy dziecko*, *Higiena dziecka w wieku szkolnym* leżały na stole: *Zapalisz? A może się napijemy?*, *Bóle głowy*, *Wątroba*.

Ale wracając do subtelnej wulgarności. Jest w tym filmie pewien kłopotliwy moment. Otóż twórcy postanowili zasugerować widzowi, że

szczególną uwagę należy zwracać na mycie intymnych części ciała. W filmie adresowanym do studentów medycyny być może mogliby używać sformułowań typu „penis” czy „żeńskie narządy płciowe”. Ale jak takimi określeniami dotrzeć do spłoszonego dziecka, o którego higienę w wieku szkolnym ma zadbać nie mniej wystraszony rodzic, który właśnie przed chwilą własnoręcznie wykonał „urządzenie natryskowe” z konewki? Używać wulgarnego języka budki z piwem czy szkolnej szatni? Nie! Można inaczej. Otóż nagle na ekranie pojawiła się animowana postać, zarys człowieka. Rysownik nie wdawał się w szczegóły – człowiek był ciemną plamą, jedynymi widocznymi na rysunku szczegółami anatomicznymi były ręce, nogi i głowa. W miejscu wspomnianych kłopotliwych narządów pojawiły się białe kółka, a lektor oznajmił: „Szczególną uwagę należy zwracać na mycie miejsc zaznaczonych kółkiem”. I już. Obraz był tak sugestywny, że gdybym go zobaczył kilkadziesiąt lat temu, nie wchodziłbym do łazienki bez zaznaczenia na swoim ciele kółkiem miejsc, które powinienem umyć. Na przykład po każdym posiłku zaznaczałbym kółkiem zęby. A co to ma wspólnego z subtelną wulgarnością? Otóż ten pomysł zaczerpnięty ze starego oświatowego filmu można wykorzystywać w codziennych sytuacjach kryzysowych. Kiedy mam ochotę komuś nawrzucać, mogę zamiast wulgarnego „Ty…” (tutaj chamskie określenie męskiej lub żeńskiej części ciała w zależności od tego, czy mówię do mężczyzny, czy kobiety) użyć subtelnego „Ty miejsce zaznaczone kółkiem”. Jednym z najobrzydliwszych przekleństw, jakie można rzucić pod adresem przeciwnika, jest to odnoszące się do jego matki, kończące się na „mać”. Poeci szukają subtelnych zamienników, Andrzej Waligórski w *Balladzie o rogach* pisał:

Powstał książę, wdział spodnie,
Obraził słownie matkę,

Chwycił w rękę pochodnię,
W drugą chwycił armatkę.

Tymczasem na odkrywczy pomysł wpadła współczesna młodzież. „Twoja stara klaszcze u Rubika” – to przekleństwo podobno już weszło do języka potocznego młodych Polaków. W programie kabaretowym usłyszałem niedawno: „A twoja stara ma zero znajomych na Naszej Klasie”, studenci w Poznaniu dorzucili mi „Twoja stara ciągnie rzepkę w Familiadzie”. Powiedzeń ze „starą” w roli głównej są już podobno setki. I nie obrażajcie się, drogie mamy, za „starą”. Po pierwsze – nie da się ukryć, że musicie być starsze od Waszych synów czy córek, po drugie – „stara” to brzmi dumnie. Poeci pisali o „starych” (*Powiedz, stary, gdzieś ty był…)*, poświęcano im nazwy miast (Starogard, Stary Sącz), filmy (*Star Trek*). A młodym gratuluję pomysłu połączenia subtelności z wulgarnością, inwektywy z komplementem. Bo przecież jest wielu takich, którzy marzą o tym, żeby zobaczyć mamę na próbie klaskanej kolejnej *Symfonii Sanockiej* czy odpowiadającą na pytanie: „Co jest najbardziej podobne do bigosu?” w popularnym teleturnieju.

27 stycznia 2008

W piątek, świątek i niedzielę niech nam żyje *Meles meles*

„Zapraszamy na pączki z niespodzianką – ukryty złoty pierścionek” – taką wywieszkę zobaczyłem w wigilię tłustego czwartku na drzwiach cukierni w Łodzi. Jeśli czyta ten tekst szczęściarz, który trafił, to niech napisze, w którym momencie konsumpcji zorientował się, że trafił na niespodziankę. I czy skończyło się na dentyście, czy potrzebna była interwencja lekarza, który za pomocą odpowiedniego sprzętu tam sięga, gdzie dentysta nie sięga? Kiedy opowiedziałem o tej wywieszce w mojej radiowej audycji, któryś słuchacz zapytał: „Ciekawe, czy ta promocja była planowana, czy ogłosili ją, kiedy zauważyli, że osoba ugniatająca ciasto zgubiła pierścionek?”. A inny napisał, że zobaczył na szybie wystawowej sklepu jeszcze ciekawsze hasło: „Dziś tłusty czwartek. Polecamy rajstopy wyszczuplające”.

Ale dzisiaj nie o pączkach, tylko o zwierzętach. Usłyszałem w radiu reporterską relację z akcji charytatywnej, w czasie której dzieciom rozdawano pluszowe zabawki. Pan dziennikarz „tym tonem” (to znaczy takim samym, jakim mówi o wyprzedaży w sklepach, korkach na ulicach i wybuchu bomby atomowej)

oznajmił całemu światu: „Właśnie stoję w jakimś wielkim stosie pluszaków. Tutaj misie. Tutaj z kolei też misie. W ogóle misie dominują!”. To prawda. Zwrócili Państwo uwagę, jak bardzo? Miś Uszatek, miś Puchatek, miś Yogi. W niemieckim zoo histeria, bo urodził się niedźwiadek. Byle panda ruszy łapką, już pokazują to wszystkie telewizje świata. Piszą o misiach piosenki:

Jestem sobie mały miś, śmieszny miś,
Znam się z dziećmi nie od dziś.

Hej dziewczyno, spójrz na misia aa…

Wciąż tęsknię za Tobą,
Śnisz misie po nocach…

W ogóle misie dominują. A co z innymi, równie przyjemnymi zwierzątkami? A taki borsuczek (*Meles meles*)? Ile osób wie, że ma: silną budowę, sierść sztywną, wierzch szary, brzuch i nogi czarne, na głowie dwie czarne pręgi, oczy i uszy małe, łapy zakończone pięcioma palcami i długimi pazurami? Że prowadzi życie nocne? Że jest wszystkożerny? (Wymieniony zestaw cech pasuje jak ulał do opisu jednego z moich kolegów ze studiów). Kto wie, że borsuk nie zamieszka w jednej norze z lisem, bo nie znosi lisiego niechlujstwa? (To już nie pasuje, to lis by nie wytrzymał w jednej norze z tamtym). Że w czasie snu zimowego traci na wadze – nieraz 7 kilogramów? Ale że nie śpi przez całą zimę, bo jak zrobi się troszkę cieplej, to wychodzi coś zjeść albo się czegoś napić? Że pora godowa borsuka trwa od lutego do października? W reakcji na dominację misiów postanowiłem napisać:

Wiersz o dziewczynce, która w lutym ubiegłego roku znalazła borsuczka

Córka mojej córki,
Czyli moja wnuczka,
Na rogu Kasprzaka
Znalazła borsuczka.
Znalazła borsuczka,
Wsadziła w bagażnik,
Potem wyszło na jaw,
Że to nie borsuczek,
Tylko miejski strażnik.
Teraz mojej wnuczce
Płaci alimenty
Facet jak borsuczek –
Strasznie zarośnięty.

Pewnie się Państwo zastanawiają, czy nie ma poważniejszych tematów, czy nic ważniejszego się na świecie nie dzieje? Może i są, może i się dzieje, ale nie pozwólmy, żeby w związku ze strajkami celników, protestami w służbie zdrowia, spięciami na linii prezydent – premier zapominać o borsukach. To jest jaskrawy przykład dominacji misiów.

1 lutego 2008

Miednica bez tajemnic

W jednej z gazet znalazłem kiedyś duży artykuł opatrzony tytułem: *Miednica bez tajemnic*. A poniżej informacja: *W Wysowej spotkali się najlepsi polscy ortopedzi…* Tytuł tak intrygujący, że postanowiliśmy go sobie zapożyczyć. My, to znaczy Koło Mężczyzn Wrażliwych im. Kobiet Intrygująco Urodziwych, Na Przykład Wandy Wasilewskiej. Wyrywamy się z domów w każdy piątkowy wieczór, żeby spędzić kilka godzin z kolegami w ramach Ekstremalnych Spotkań Poetyckich „Miednica bez tajemnic”. Ich ekstremalność polega na tym, że każdy z uczestników ma za zadanie przynieść ze sobą jakiś wstrząsający wiersz, który znalazł (nie akceptujemy własnej twórczości) w ubiegłym tygodniu. Pochwalę się, że ostatnią edycję „Miednicy bez tajemnic” wygrałem. Przyniosłem tomik przetłumaczonych na język polski tekstów piosenek Britney Spears. W tym niedużym zbiorku żartobliwie zatytułowanym *Urodzona, by cieszyć* znalazłem między innymi wiersz *Przez ciebie szaleję*:

Szaleję ouu, ouu,
Skarbie, tak się w tobie zakochałam,
Coś w sobie masz
I nic na to nie poradzę,
Skarbie, wciąż mnie nakręcasz, ouu,

Ziemia wiruje mi pod stopami,
Ale ja jej nawet nie czuję,
Zawsze, gdy na mnie patrzysz,
Moje serce aż skacze z radości,
Łatwo to zobaczyć...

Po recytacji każdy typuje, jakie środki mogą powodować przypływ takiego natchnienia. A jest wśród typujących paru fachowców – lekarz patolog, inżynier chemik, nauczyciel etyki, który w czasie studiów w każde wakacje dorabiał w Amsterdamie jako sprzedawca w sklepach z używkami. Wybieramy najciekawszą propozycję i w dalszym ciągu wieczoru próbujemy doprowadzić się do podobnego stanu, ale wyłącznie za pomocą specyfików legalnie dostępnych w barze. Organizujemy też spotkania tematyczne. W najbliższy piątek ma się odbyć sesja gastronomiczna. W związku z tym, że niewiele jest dobrych wierszy poświęconych jedzeniu, a jakieś banalne rymowanki typu

Wiersz o tym, że portugalscy piłkarze lubią polską kuchnię

Luís Figo lubi bigos,
Jorge Andrade – śląską roladę,
Pauleta uwielbia kotleta,
Cristiano Ronaldo parówki z musztardą,
A Ricardo Costa, żeby potrawa była smaczna, ale prosta

– mogą znacznie obniżyć poziom artystyczny spotkań, postanowiliśmy dopuścić do konkursu również utwory prozą. Ja mam dwie propozycje z literatury faktu. Pierwsza to kartka z kalendarza, takiego do zrywania dzień po dniu. Na odwrocie takich kartek drukuje się porady albo przepisy kulinarne. Tym razem znalazłem przepis na „Filet z krokodyla w sosie

curry”. Zacytuję fragment: „Krokodyla pokroić w długie i szerokie paski, doprawić, wymieszać w białku i mące”… Ciekaw jestem, czy ktoś, kto wymyślił taki przepis, spróbował danie przyrządzić, a jeśli tak, to jak teraz wygląda… A drugi utwór, krótki thriller – treść ogłoszenia wywieszonego na szybie punktu gastronomicznego w Krakowie na ulicy Grodzkiej: „Szukamy chłopaka na kebap”.

7 lutego 2008

14 lutego 2008

Kiedy słyszę w słuchawce: „Dzień dobry, chciałbym Pana zaprosić do naszego programu” albo „Chciałabym zadać jedno pytanie dla naszej gazety”, patrząc w kalendarz, z dużą dozą prawdopodobieństwa mogę określić, na jakie pytania będę odpowiadał tym razem. Lipiec, sierpień – moje ukochane wakacyjne miejsca i czy wolę góry, jeziora, czy morze, listopad – depresja i czy lubię jesień, grudzień – prezenty i Mikołaj, styczeń – postanowienia noworoczne i wyprzedaże, luty… No, a jakże by inaczej! Za udzielenie dobrej odpowiedzi, że będzie o miłości, wygrali Państwo weekend w SPA ufundowany przez PSA (Podkarpacką Spółdzielnię Agroturystyczną)!

Pierwsze pytanie z tego cyklu było takie: „Za co się kocha?” – odpowiedziałem, cytując kogoś mądrzejszego, że nie kocha się „za coś”, tylko „pomimo czegoś”. Pomimo że Ona wszczyna awantury o byle osiem godzin spóźnienia… Pomimo że Ona zaczyna się do Niego inaczej zwracać. Najpierw jest „Ty wariacie” wypowiadane z nieukrywanym podziwem, potem ciepłe „Misiu”, żeby wreszcie dojść do pobłażliwego „Jurek, przestań się wydurniać”. Kocha się pomimo tego, że On pamięta o wszelkich rocznicach z dokładnością do półtora roku, ten szalony, niezapomniany weekend na Mazurach uczcił, kupując do domu olejowy

kocioł grzewczy Śniardwy… W ogóle z wiekiem On staje się romantyczny, uczuciowy i miły jak część K formularza PIT-36. Ale kochać warto. Zresztą – za duże ryzyko. Jak się nie pokocha, to nie da się sobie szansy, żeby pomimo tych wszystkich „pomimo” któregoś dnia wzruszyć się Jej pierwszą zmarszczką, Jego pierwszym siwym włosem.

A potem odpowiadałem na pytanie „Czy w miłości można się kierować rozumem?”. Można, z tym że raczej jego brakiem. Jako przykład podałem moją koleżankę z pracy, która postanowiła szukać miłości tylko w środowiskach medycznych, bo na pudełku leku antydepresyjnego, zażywanego w związku z sercowymi niepowodzeniami, przeczytała adnotację: „Przed użyciem zapoznaj się z lekarzem lub farmaceutą”. Zaczyna działać. Nastrój znacznie jej się poprawił, od paru tygodni codziennie wieczorem wystrojona, uśmiechnięta i pełna nadziei biega do Cafe Ortopedia.

Mam jeszcze prezent dla mężczyzn, którzy nie bardzo potrafią sobie poradzić z obowiązkowym uniesieniem i żądaniem poetyzowania. Nie próbujcie sami. One tylko tak z grzeczności mówią, że „to nic, że nie wyszło, jest piękne, bo to Twoje”. Tak naprawdę wiersz typu:

> Na górze słabi,
> Na dole uparci.
> Kocham Cię, Basiu,
> Na zawsze, Marcin.

– nie może zachwycić. Co robić? Przepisujcie i zgodnie z wieloletnią tradycją podpisujcie jako swoje. Fakt, jest ryzyko, że wy Jej cytatem z Różewicza:

Przyniosłem ci rękawiczki
I pierścionek ze szkiełkiem
Tuzin kopert zielonych
I skrzyneczkę z mydełkiem…

– a Ona: „to nic, że nie wyszło, jest piękne, bo to Twoje”. W takim przypadku będziecie już wiedzieli, że następnym razem nie ma co się przykładać, tylko można spokojnie zasuwać dowolnym urywkiem popowych piosenek albo korzystać z dorobku gorszych poetów. Gdyby ktoś miał ochotę, pozwalam na przepisywanie mojego wierszyka pod jakże zaskakującym tytułem *Kobieto która*:

Kobieto, która jesteś,
Kobieto, która bywasz,
Która szlachetnym gestem
Największe smutki przykrywasz,
Kobieto, która tęskniłaś,
Która urodzisz mi syna,
Kobieto, która mnie kochasz,
Kobieto, która godzina?

14 lutego 2008

Sprawozdanie ZUS 2458/II/2008

Powołany przez mnie Zakład Usług Satyrycznych (w skrócie ZUS) w pełni realizuje powierzone mu zadania. Nadal jestem jego jedynym pracownikiem, ale nie przeszkadza mi to w rozwijaniu struktur. Powołałem zajmujące się humorem ludowym, wiejskim, folkowym, Koło Rolniczych Usług Satyrycznych (w skrócie KRUS), a w jego ramach wydzieliłem jeszcze specjalną strefę usług satyrycznych – dowcipy o Maryni, a dokładniej pewnej jej części, którą nazwałem z amerykańska US MARINES. A co do najnowszych działań:

20.2.2008 – postanowiłem zgłosić pewien pomysł racjonalizatorski. Wpadłem na to, oglądając telewizyjną relację z odsłonięcia kolejnej Alei Gwiazd. W pewnym niedużym polskim mieście kilkunastu sportowców niewielkiego klubu piłkarskiego uhonorowano, umieszczając ich nazwiska na gwiazdach wmurowanych w chodnik pomiędzy oddziałem banku a przychodnią zdrowia. A gdyby tak pójść na całość? Rozdzielić w drodze losowania i nakazać osiedlom mieszkaniowym i sołectwom budowanie takich Alei? Jeśli nie będą mieli własnego pomysłu – narzucić: Aleja Gwiazd Konduktorów Kolejowych, Aleja Gwiazd Radnych Powiatowych, Aleja Gwiazd Budowniczych Euro 2012, Aleja Gwiazd Powracających z

Irlandii, Aleja Gwiazd Najczęściej Występujących w Alejach Gwiazd. Problem braku chodników i ścieżek rowerowych sam się rozwiąże.

21.2.2008 – zrezygnowałem ze zgłaszania tego pomysłu racjonalizatorskiego, bo nie wiem komu.

25.2.2008 – z okazji obchodzonego dzisiaj Światowego Dnia Powolności (naprawdę jest taki, wymyślili go Włosi) podarowałem Agnieszce i Jurkowi zestaw wierszy na magnesach do przyczepiania w różnych częściach domu i samochodu. Wyprodukowałem jeden egzemplarz, który nazwałem *Niezbędnikiem Powolnego Krótkotrwałego Rozpadu Małżeństwa*. W jego skład wchodzi 36 tabliczek (po 18 dla każdego), które można przyczepiać w dowolnym miejscu, dostosowując treść wiersza do panującej w domu atmosfery. Jest to tak zwana poezja znienacka, ponieważ zasadą jest, że pierwsza linijka wiersza nie zapowiada tego, co się wydarzy w dalszej jego części. W związku z tym, że jedno z nich (mąż) ciągle o czymś zapomina, a drugie (żona) raz w tygodniu uszkadza auto, zaczyna się od łagodnych:

> Jak mawia święty Ignacy Loyola:
> Jurek! Odbierz dziecko z przedszkola!
> i
> Mamy dwudziesty pierwszy wiek:
> Najpierw sprzęgło, potem bieg!
>
> Potem przekaz zagęszcza się, aż dochodzi do:
>
> Paryskie bulwary, moskiewskie rogatki…
> Trzynasta dziesięć masz pociąg do matki.

i

Słońce na niebie i ptaki w chmurach…

Niech ci gotuje ta pinda z biura.

26.2.2008 – w nocnym programie zobaczyłem panią wróżkę, która odpowiada na pytania telewidzów. Oto prawdziwy fragment rozmowy:

Wróżka: Jak masz na imię?

Joasia: Joasia.

Wróżka: Joasiu, kim jesteś z zawodu?

Joasia: Ekonomistką.

Wróżka (patrząc uważnie w karty): To by się zgadzało…

Postanowiłem uruchomić nowy segment działalności gospodarczej Zakładu Usług Satyrycznych (w skrócie ZUS): Wróżby Mejlowe. Ze stuprocentową pewnością będę przepowiadał ludziom, jak mają na imię, ile mają lat i kim są z zawodu. Warunkiem otrzymania wróżby jest przesłanie potwierdzenia wpłaty na moje konto odpowiedniej kwoty wraz z wypełnioną ankietą:

„Imię… Wiek… Zawód…”.

28 lutego 2008

Małżeńska Poezja Znienacka

ciąg dalszy

Podobno policjanci w proteście przeciwko zbyt niskim podwyżkom zarobków rozpoczynają protest, który ma dwie formy: albo idą na zwolnienie lekarskie, albo honorowo oddać krew. Nie wyobrażam sobie, żeby stróż prawa mógł iść na fikcyjne zwolnienie lekarskie, więc tak naprawdę chodzi o to, że na komendę zachorują. Nie wiem tylko, na co mają zamiar zapadać, więc na wszelki wypadek proszę, żeby nie łączyli ze sobą obu form protestu, jak już chorują, to niech nie oddają krwi. Ale nie o tym… Kolejny raz przekonałem się, że trzeba uważać na publiczne deklaracje. Przed tygodniem poinformowałem Państwa, że przyjmuję zamówienia na krótkie wiersze, którymi można się porozumiewać w momencie małżeńskiego konfliktu. Zamiast używać wulgaryzmów – sięgamy po wiersz i załatwiamy sprawę. Nie przypuszczałem nawet, że moja propozycja spotka się z tak dużym odzewem. Właściwie od tygodnia nie robię nic innego, tylko piszę zestawy na zamówienie. Oto przykład sprzed kilku dni. Podczas koncertu w warszawskiej Piwnicy pod Harendą przyjąłem zamówienie od pewnej pary. Pani określiła zakres tematyczny wierszy:

Żeby on nie był taki szczegółowy.
Żeby tak długo nie siedział przy komputerze.
Żeby mył po sobie szklanki.
Żeby pokochał kota.
Żeby w niedzielę wcześniej wstawał, bo teraz wstaje o 13.00.

Pan powiedział, że nie będzie publicznie prał brudów związkowych i że jemu wystarczy, jeśli opracuję mu zestaw odpowiedzi na to szarganie. Po 20 minutach miałem napisane:

1.

Ona:

Kotek: „miauku, miauku,
Piesek merdu, merdu,
Czy ty się, kochany,
Musisz czepiać pierdół?

On:

Z nieba lecą gwiazdy,
Z drzewa lecą drzazgi,
Jak Ruscy Ukraińcom zakręcali gaz,
To też mówili, że chodzi o drobiazgi.

2.

Ona:

Czas tak szybko leci,
Świat się szybko zmienia,
Za chwilę Wielkanoc,
A ty przy komputerze usiadłeś w drugi dzień Bożego Narodzenia.

On:
Uśmiechy na twarzach
I wino w kielichach,
Siedzę, bo znalazłem stronę:
www.kobietaposłusznagrzecznaicicha.

3.
Ona:
Podobno na Marsie
Jakieś stwory żyją,
Czy ty wiesz, że szklanki
Same się nie myją?

On:
Pamiętasz, miła, jakeś
Wiła kiedyś wianki?
O, jeszcze jest strona:
www.kobietyktoremyjaszklanki.

4.
Ona:
Widziałam cień orła białego,
Dostojny był jego lot,
Czy ty naprawdę uważasz, że winę za wprowadzenie stanu wojennego
Ponoszą: Kiszczak, Jaruzelski i nasz kot?

On:
Idą chłopi z pól pozbierać,

Bo obfite będzie żniwo,
Kici, kici, dobry kotek,
Chociaż mordę ma fałszywą.

5.
Ona:
Daleko do Seszeli,
Daleko też Hawaje,
Zmarnować pół niedzieli!
O której to się wstaje?

On:
Ledwo stoi młode cielę,
A słoń się na nogach słania,
O której to się w niedziele
Zadaje głupie pytania?

Z przykrością informuję, że w związku z małymi mocami przerobowymi i nawałem zamówień muszę zakończyć produkcję takich wierszy. Próbowałem przyjąć do pracy jeszcze jakiegoś poetę, który by mnie odciążył, ale okazało się, że nie mogę znaleźć nikogo, kto umiałby aż tak nisko stawiać sobie poprzeczkę poziomu literackiego. Jeśli chodzi o plany na najbliższą przyszłość, to albo będę chorował, albo oddawał krew.

6 marca 2008

O dziwacznych skrótach i o tym, jak mój kolega narodziny syna uczcił

Skrót w przekazie medialnym może powodować duże zamieszanie. Proszę zwrócić uwagę, jak w telewizji przedstawia się reporterów przygotowujących materiał. Prezenter w studiu wygłasza wstęp, podaje najważniejsze fakty, a bezpośrednio przed relacją wymienia imię i nazwisko dziennikarza, który jest lub był na miejscu. I tutaj trzeba uważać, bo sam słyszałem kiedyś coś takiego: „W czasie ćwiczeń na poligonie doszło do wypadku, najprawdopodobniej zawinił człowiek, Witold Tabaka”. Tutaj, w wersji pisanej, widzi czytelnik przecinek. W telewizji przecinka nie widać, więc od razu zacząłem się zastanawiać, co takiego zrobił ten reporter telewizyjny, kto go wpuścił na poligon i dlaczego przed ogłoszeniem wyroku już się mówi, że najprawdopodobniej zawinił Witold Tabaka, a nie Witold T.? A to skrót po prostu.

Albo coś z wczoraj. W radiu usłyszałem reklamę nowego numeru pisma dla rodziców „Dziecko”. Tutaj, w wersji pisanej, widzi czytelnik cudzysłów. W radiu cudzysłowu nie słychać, zatem proszę sobie wyobrazić, co się myśli, jak się słyszy, że: „Dziecko do nabycia w każdym kiosku”.

À propos dziecko. Narodziny potomka są jednym z najradośniejszych momentów w życiu człowieka. Ale ile wymagają hartu, jak mogą

nadszarpnąć kondycję! Zwłaszcza ojca i jego kolegów. Niedawno mojemu przyjacielowi urodził się syn. Szczęśliwy tata natychmiast rozesłał esemesy zapraszające kilkunastu najbliższych (tylko mężczyzn) na tak zwane pępkowe. Nie mogłem pójść, bo pracowałem. Poza tym trochę się bałem. Kolega mówi sam o sobie, że jest niepraktykującym abstynentem. Za życiowe motto przyjął zasłyszane gdzieś hasło: „Nie zna życia, kto nie zasnął w marynarce”. To trzecie dziecko Roberta i wiem, jak się kończyło witanie każdego poprzedniego. Nie mam już tyle zdrowia, nie przysługuje mi w tym roku aż tak dużo urlopu, ile potrzebowałbym, żeby dojść do siebie, nie zdążyłem złożyć wniosku o sanatorium. Postanowiłem jednak towarzyszyć kolegom, dzwoniąc do nich, starając się utrzymywać kontakt. Nieprzypadkowo użyłem słowa „starając”. Przy trzecim telefonie było już bardzo trudno zrozumieć, kto i co mówi. W każdym razie, jeśli zdrowie dziecka będzie wprost proporcjonalne do liczby wzniesionych toastów i ilości wypitego alkoholu, za jakieś sto trzydzieści lat na pierwszych stronach naszych gazet ukażą się tytuły w stylu: „Rekord pobity! Polak z Warszawy starszy od najstarszego Gruzina”. Oto krótki opis niekrótkiego świętowania narodzin małego Ignacego. Początek – piątek, godzina 20.00 – „pępkowe”. Kiedy zadzwoniłem w sobotę o 23.00, poinformowano mnie, że teraz trwa „parapetówka”. Na moje wyraźne zdziwienie mężczyzna, którego nie rozpoznałem po głosie (dokładnie tak samo brzmi silnik Diesla w kilkunastoletniej skodzie), powiedział: „No co? Opijamy parapet, przy którym będzie stało łóżeczko!”. W niedzielę wczesnym popołudniem odbyły się „otrzepiny kocyka”, a kiedy zadzwoniłem koło 22.00, nie zrozumiałem ani słowa z tego, co mówił Diesel, ale słyszałem wyraźnie, jak w tle ktoś uderza szklaną butelką w plastik (później się okazało, że w wanienkę) i mówi: „Płyń po morzach i oceanach”.

Ignacy z mamą są już w domu. Szczęśliwy tata całuje, przewija, cmoka, „tititituje”. Każdego dnia rano szczególnie uważnie przygląda się buźce swojego synka. Wie, że to jeszcze za wcześnie, ale już nie może się doczekać pierwszego ząbka. Wiadomo, będzie „ząbkowe”. A potem uczci się każdy kolejny. Cykl 20 imprez (bo tyle człowiek ma mlecznych) powtórzonych 32 razy (jak mleczne wypadną).

13 marca 2008

Samoocena narciarska

Do niedawna za symbole piękna uważano: żaglowiec na morzu, szybowiec w powietrzu, narciarza na stoku (powinno być „nartowiec”, ale to nie ja wymyślałem nazwy symboli piękna). Przyjaciele podarowali mi niedawno krótki film wideo, na którym uwieczniony został mój zjazd narciarski. Przepraszam, wycofuję słowo „przyjaciele”. Prawdziwi nigdy by mi czegoś tak paskudnego nie pokazali. Boże! Jakież to pokraczne! Swoimi słabymi umiejętnościami odebrałem całe piękno temu sportowi. Jakiś taki równocześnie przykurczony i rozkraczony, zwalisty i niekształtny. I proszę nie litować się nade mną, nie mówić, że mam mnóstwo innych zalet (podobno w taki sposób szlachetni paryżanie pocieszali Quasimodo). Teraz już rozumiem, dlaczego zawsze, kiedy przyjeżdżam na narty, spadają ceny w hotelach, zamykają się restauracje, a nawet za darmo rozdają karnety na wyciągi. Dotychczas bliscy wmawiali mi, że to koniec sezonu. Nie koniec sezonu! To ja odstraszam ludzi! Uważam, że najwyższy czas powołać Radę Narciarstwa Rzeczypospolitej Polskiej, która dbałaby o odpowiedni poziom i urodę tego sportu. Takim jak ja wydawałaby co najwyżej licencje na jazdę nocą na nieoświetlonych stokach (w ten sposób naturalnie regulowałaby się liczebność słabych narciarzy). Wyobraziłem sobie, co taka rada mogłaby mi zakomunikować:

Orzeczenie Komisji Weryfikacyjnej Rady Narciarskiej RP w sprawie kilkuletnich treningów narciarskich obywatela Andrus Artura

Po konsultacjach, po konsyliach,
Po kwarantannie i kwerendzie
Rada Narciarska zawiadamia,
Że z Pana nic nie będzie.
Przez cztery lata sztab trenerów
Przetoczył z Panem różne boje,
Pana się nie da ukształtować,
Pan nie rozumie pewnych pojęć.
„Kolana razem”, ale stojąc,
A Pan tak jakoś brzydko siada,
„Gogle” to nie wyszukiwarka,
„Kijek” to nie jest żadna szpada,
„Trzeba się oprzeć na językach”
To wychył w przód, a nie na dresach
Plakietki kursów British Council
I Instytutu Cervantesa.
„Krawędziowanie” to nie forma
Tak zwanych pospolitych kantów.
Pana przyłapał w zeszłym roku
Oddział szwajcarskich policjantów,
Jak Pan z laptopem i suwmiarką,
Przy zjeździe do ciemnego lasu,
Za siedem euro o trzy dni
Przedłużał ważność skipassów.

„Pługiem na orczyk” to nie to samo
Co kłonicą na bronę,
„Dupa do stoku” to nie nazwa
Narciarskiej narzeczonej.
W Pańskim narciarstwie, mimo chęci,
Nie znajdujemy żadnych zalet,
Proszę więc narty zdać do sklepu
Lub punktu skupu europalet.
I proszę się nie odwoływać,
Bo więcej zrobić się nie da.
Niech Pan spróbuje jeszcze w wojsku.
Jako żywa torpeda.

3 kwietnia 2008

Kebabem go!

Dozwolone prawem formy wyrażania emocji powinny być jasno określane przez sądy. Na przykład Niemcy nie mają z tym kłopotu, bo jak przeczytałem parę tygodni temu w jednej z gazet: „Niemiecki sąd odrzucił pozew pracownicy baru szybkiej obsługi, domagającej się odszkodowania od klienta, który rzucił w nią na wpół zjedzonym kebabem”. Klient o coś się pokłócił z panią ekspedientką i tak właśnie wyraził swoje niezadowolenie. Sędzia uznał, że oskarżony rzucając kebabem, „nie pogwałcił ludzkiej godności ani honoru”. I to rozumiem. Teraz wiadomo, że jeśli w Niemczech chce się komuś przyłożyć, ale zarazem nie urazić jego godności, idzie się do najbliższej budki z kebabem, kupuje odpowiednią ilość i po sprawie. Już sobie wyobrażam demonstracje uliczne, w czasie których ludzie o różnych poglądach rzucają w siebie czymś takim. Niejasna jest tylko sprawa rodzaju mięsa, z którego przyrządzona ma być potrawa. Bo jeśli z baraniny albo wieprzowiny, to jednak jakiś inny sąd może uznać, że zbyt bliskie było skojarzenie z baranem czy świnią, i samo rzucenie może nie, ale rodzaj mięsa jest przejawem „pogwałcenia ludzkiej godności”. Oczekiwałbym od naszych sądów opublikowania wykazu potraw, czyli instrukcji, czym i w jakich okolicznościach można się obrzucić, nawzajem się szanując. Oczywiście powinna tu być brana pod

uwagę tradycja, powinno się sprawić, żeby to było coś naszego, polskiego. Bigos odpada ze względów estetycznych, poza tym trudno określić jednostkę rzutową (garść bigosu? garnek?). Może mielonym w bułce kajzerce? Albo ruskim pierogiem? Przy okazji będzie to nawiązanie do historii, symbol rozliczenia się z krajami, które kiedyś dokonały rozbioru Polski.

Sądy powinny również określać zakres czasowy dozwolonego wyrażania emocji. Bo na razie nasze orzecznictwo pozwala chyba na zbyt wiele. Właśnie dostałem od znajomych zdjęcie pewnego nagrobka, który znajduje się (albo znajdował, bo fotografię zrobiono parę lat temu) na cmentarzu w Złotowie. Na kamieniu wyryty jest napis:

> Tu spoczywa mój mąż,
> Który dręczył mnie wciąż,
> Leżąc w tym grobie,
> Ulżył mnie i sobie.

Z opisu dołączonego do zdjęcia wynika, że podobno rodzina męża zaskarżyła żonę – autorkę tej sentencji – jednak sąd uznał, że nie ma mowy o szarganiu czyjegoś dobrego imienia, ponieważ na nagrobku nie ma żadnych danych personalnych osoby pod nim leżącej. Nie wiem też, w jakich okolicznościach zakończyło się ziemskie życie bohatera tej opowieści, ale nie zdziwiłbym się, gdyby rodzina zmarłego umieściła po drugiej stronie kamienia sentencję:

> Tutaj leży Janek,
> Leży tu przez babę,
> Co w ataku złości
> Rzuciła kebabem.

Ty tu sobie, Janku,
Spokojniutko leż,
Dręczyłeś ty żonę,
Żona ciebie też!

I to chyba jedyna rozsądna reakcja na atak: kebabem na kebab, wierszem na wiersz. Fakt, że tutaj dyskusja nie musi się zakończyć, bo może przecież pojawić się odpowiedź:

Ja go szanowałam,
On mnie miał w pogardzie,
Owszem, też dręczyłam,
Ale on mnie bardziej.

Myślę, że ostatnim elementem tej walki na nagrobki byłoby pojawienie się tabliczki z napisem:

Tylko ludzie mali,
Tylko dzikie ludy
Piorą na cmentarzach
Swe domowe brudy!
Dobry smak marnieje,
Obyczaj się karli!
Prosimy o spokój!
Pozostali zmarli.

24 kwietnia 2008

Sesja

Do wywiadu w gazecie potrzebne było moje zdjęcie. Zadzwonił pan fotograf:

– To może jutro o dziesiątej na placu Piłsudskiego?

– A dlaczego tam? – zapytałem lekko zdziwiony. – Z tego, co pamiętam, w wywiadzie nie było ani słowa o Piłsudskim?

– Bo tam mało ludzi o tej porze.

Rzeczywiście, to był argument. Zależało mi, żeby niewiele osób widziało, jak się fotografuję. W ogóle tego nie lubię, a kto wie, co mu jeszcze wpadnie do głowy? Na przykład każe mi stanąć na takiej metalowej kratce, a od spodu ktoś będzie dmuchawami wpuszczał powietrze w nogawki moich spodni. Aż tak nie było. Ale niewiele lepiej.

– Pan się tutaj położy na tej ławeczce.

– W życiu!

– Ale nikt nawet nie zauważy, tu są same biura – nie dawał za wygraną.

– I nikt nie zwraca uwagi na prezenterów radiowych leżących na ławkach, tak?

– Oj, na chwilę.

Zrozumiałem, że nie wygram. Położyłem się.

– Pan prawą ręką dotknie okularów, a lewą wsadzi do kieszeni. I teraz się pan uśmiechnie. Bardziej naturalnie…

– Uśmiechał się pan kiedyś przez zaciśnięte zęby? – miałem zapytać, ale nie chciałem podgrzewać i tak już gorącej atmosfery.

Jeśli chcą Państwo sobie wyobrazić, w jakiej byłem pozycji, kiedy prosił mnie o naturalny uśmiech, to proszę sobie przypomnieć wizytę w zoo. Często taki obrazek można zobaczyć przy klatce z małpami. Tylko proszę sobie jeszcze wyobrazić, że jest to małpa, która ma skoliozę w odcinkach: piersiowym, lędźwiowym i szyjnym. Do uważnych spojrzeń ochroniarzy biur i klientów pobliskiej kawiarni już się zdążyłem przyzwyczaić, ale troszkę się speszyłem, gdy przeszła obok mnie, prowadzona przez dwie siostry zakonne, grupa kilkudziesięciu uczniów gimnazjum. Małpa ze skoliozą uśmiechająca się do zakonnic. Bardzo oryginalny widok. Już sobie wyobrażam te sprawozdania z wycieczki do Warszawy: „Po wizycie w Zamku Królewskim, Łazienkach, Pałacu Kultury, w drodze do Grobu Nieznanego Żołnierza, widzieliśmy pana, który czasem występuje w telewizji, a wtedy leżał na ławce i się uśmiechał…”. Mam nadzieję, że szkoła zatrudnia dobrego psychologa, który będzie im w stanie wytłumaczyć, że świat taki nie jest, że nie wszyscy dorośli zarabiają na życie, kładąc się na ławkach w centrach dużych miast. Że są jeszcze lekarze, nauczyciele, górnicy, piloci… Że nie muszą się bać, że kiedyś też tak będą musieli.

Jakoś dotrwałem do końca. Pan fotograf, oglądając zdjęcia na wyświetlaczu aparatu, stwierdził jeszcze:

– A tutaj to pan wygląda jak Izdebski.

I nie można było tak od razu? Oszczędzić mi tych upokorzeń? Przecież trzeba było po prostu do ilustracji mojego wywiadu wkleić zdjęcie znanego profesora seksuologa z Zielonej Góry. Gdyby pokazać z pewnej odległości,

nikt by się nie zorientował. Redakcje powinny tworzyć grupy zdjęć na takiej właśnie zasadzie: „Foto: Izdebski – podobni: Andrus, Dymsza, Pilch, Sienkiewicz, Skłodowska-Curie, Urbaniak, Wildstein, Ziemkiewicz”. I nie zawracać głowy. No, chyba że nie mają zdjęcia profesora Izdebskiego leżącego na ławce na placu Piłsudskiego. To wtedy rozumiem.

12 czerwca 2008

Ale, bez złośliwości…

Co prawda niedosłyszę, niedowidzę i niespecjalnie znam angielski, ale zwróciłem uwagę na telewizyjną reklamę pewnego browaru. Najpierw widać ludzi wywieszających biało-czerwone flagi na balkonach, a potem selekcjoner naszej reprezentacji mówi po angielsku, że wiele rzeczy w życiu widział, ale doping polskich kibiców jest fantastyczny. No właśnie, trener mówi *is fantastic*, a w polskim tłumaczeniu, w napisach, pojawia się „był fantastyczny”. Ale, bez złośliwości…

Na zaproszenie TVN24 pojechałem na Euro 2008 (autostradą A4, samochodem z silnikiem D4D, gdyby komuś było za mało kodów). Zaproszenie było prowokacyjne, ponieważ znany jestem ze swojego słabego zainteresowania sportem w ogóle, a piłką nożną zwłaszcza. Przyjąłem, bo pomyślałem, że skoro jeżdżą piłkarze, trenerzy i działacze, którzy się prawie nie interesują piłką… Ale, bez złośliwości. No więc zostałem kibicem. Kibicem kibiców. Naprawdę fantastyczne wrażenie robią ludzie, którzy nawet wiedząc, że ich drużyna nie ma szans na spektakularny sukces, jadą ponad tysiąc kilometrów, żeby zagrzewać do boju, żeby pokazać, że „Polskaaa biało-czerwoniiii”, że Polacy nie gęsi, też swoje szaliki, kapelusze i koszulki mają. W Klagenfurcie, w dniu meczu z Chorwacją, naszych kibiców nie było zbyt wielu na ulicach. Ale za to jacy!

Od razu zaprzyjaźnili się z Chorwatami i zaczęli pełnić funkcje kierownicze. Bardzo zabawny był obrazek, który widziałem w kilku miejscach: idzie kolumna kibiców – na początku czterech naszych z biało-czerwonymi flagami, a za nimi kilkudziesięciu chorwackich fanów futbolu. I śpiewają jedną piosenkę: „*Auf Wiedersehen! Auf Wiedersehen! Deutschland, Deutschland auf Wiedersehen*”. Jedna piosenka, ale co innego znaczy dla nas, co innego dla Chorwatów… Ale, bez złośliwości.

No więc pewnie ktoś zapyta, co facet nieznający się na piłce nożnej robi na Euro 2008? Pisałem wiersze. Oczywiście tematycznie związane z mistrzostwami. Wyszedł mi cały tomik *Wierszy klagenfurckich*, z którymi teraz nie mam co zrobić. To może kilka Państwu zacytuję:

Nikotynowy
A tu w Klagenfurcie,
A tu w Klagenfurcie
Papierosy, papierosy
Strasznie drogie w hurcie.
Ale, panie Władku,
Ale, pani Walu,
Jeszcze droższe są w detalu.

Nabiałowy
W Klagenfurcie
W jogurcie
Przeznaczonym na mizerię
Austriacki Sanepid
Odnalazł bakterie.
Instytut Kontroli
Państw Członkowskich NATO,

Stwierdził, że to są bakterie Goli,
Które Polacy strzelą Chorwatom.

Bylinowo-zakonny

W Klagenfurcie,
Na furcie,
Danaż moja, dana,
Znaleźli dziś rano
Polskiego furmana.
Wszystkich bulwersuje
Ta sprawa potworna,
Bo furman był trzeźwy,
A furta klasztorna.
Zdziwiły się wielce
Różne Austryjaki,
Gdy furman zapytał:
„Gdzie zrucać ziemiaki?”,
Po czym usiadł i nogą
Podrapał się po nosie,
Na którym miał logo
Euro 2008.

Przepraszam, jeśli kogoś zawiodłem poziomem literackim tych wierszy. No, ale jaka gra… Ale, bez złośliwości. A kibicom gratuluję. Bez ironii.

19 czerwca 2008

Bezpośrednio na stolikach

Jest taki stary dowcip. Trzech kolegów opowiada sobie o przejęzyczeniach w sytuacjach domowych, o tym, co głupiego zdarzyło im się palnąć w obecności gości. Niestety, nie mogę w kulturalnym tekście, który może być czytany przez dzieci albo dorosłych przed 23.00, zacytować dosłownie tego, co powiedzieli panowie do swoich żon, ale spróbuję podać złagodzoną puentę. Trzeci mówi: „A ja kiedyś przy gościach chciałem żonę poprosić o sól, ale przejęzyczyłem się i powiedziałem: Ty cholero, zmarnowałaś dwadzieścia lat mojego życia”. Beznadziejnie brzmi dowcip w wersji złagodzonej. Proszę zapytać kogoś znajomego, jak brzmi w oryginale, a przekonają się Państwo, że jest naprawdę zabawny.

Przejęzyczenie – banalne, codzienne zjawisko, które może mieć czasem zaskakujące konsekwencje. Szczególnie trwale zapamiętywane są przejęzyczenia polityków. Wystarczy pomylić białe z czarnym, przekręcić nazwisko piłkarza, powiedzieć coś o staniu w wysokiej izbie i już ma się zapewnioną obecność w różnych migawkach telewizyjnych na kilka lat. Bywają przejęzyczenia twórcze. Parę lat temu, podczas obrad pewnej komisji sejmowej, pewna posłanka chcąc wyjaśnić, czy ktoś z kimś w jakiejś sprawie się dogadał, zadała świadkowi pytanie: „Czy zawarta była kompromitacja?”.

To niewinne przejęzyczenie uświadomiło mi, jak nudny jest język polski. Jak niewiele w nim się zmienia. Jak rzadko ludzi, którzy raz go posiedli, zmusza do wysiłku intelektualnego. A przecież to takie proste. Wystarczyłoby raz na kilka lat pozamieniać znaczenia wyrazów podobnych do siebie brzmieniowo. Powołać specjalną komisję i ogłaszać listę wyrazów, które w jakimś okresie zamieniają się znaczeniami. Na przykład: „korupcja” i „komercja”; „ordynacja” i „alienacja”; „rehabilitacja” i „reinkarnacja”; „capstrzyk” i „zastrzyk”; „demobil” i „debil”. Jak by się człowiekowi misternie fałdował zwój mózgowy, gdyby przeczytał, że: „Dowódca pułku poskarżył się na spotkaniu po zastrzyku, że wojsko dysponuje sprzętem z debilu”. Albo gdyby się wysłuchało w radiu burzliwej debaty o nowej alienacji wyborczej do parlamentu. A zaraz potem reportażu o domagającym się reinkarnacji prezesie banku niesłusznie posądzonym o czyny komercyjne…

I jeszcze coś z innej sfery. Za wycieraczkami samochodu regularnie znajduję wizytówki z propozycjami przeżycia niezapomnianych chwil w towarzystwie atrakcyjnych kobiet. Na jednej z takich ulotek pokazane było „Nowe oblicze Emilki”. Przyjrzałem się uważnie. Dotychczas wydawało mi się, że oblicze jest gdzie indziej. No i jeśli to jest nowe, to jakie było to stare? A na innej ulotce polecano: „Jedyny klub z dziewczynami tańczącymi bezpośrednio na stolikach”. To znaczy, że można też tańczyć na stoliku pośrednio? Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić. Ale o czym ja piszę? Przecież takie rozważania mnie kompromisują.

26 czerwca 2008

Bardzo Fajna Piosenka

Gdyby tak opublikować „Atlas Podrywu Polskiego” (chociaż pewnie większość zamieszczonych w nim informacji miałaby charakter międzynarodowy, więc mógłby to być „Wielki Atlas Podrywu Świata”), to jedna z jego części powinna być poświęcona „podrywowi na zwierzątko”. Chodzi o to, że podrywający facet często upodabnia się do jakiegoś przedstawiciela fauny. Pręży się, skacze, biega, ryczy, wyje, szczerzy kły… Każdy facet ma taki etap w swoim życiu, kiedy podrywa „na tygrysa”, „na lamparta”, „na rysia”. Ale w życiu każdego przychodzi też taki moment, kiedy zaczyna podrywać „na łosia”, „na żubra”, „na morsa”. I co ciekawe, w tym przypadku człowiek swoją mądrością zaskoczył resztę przyrody, bo dokonał czegoś, co wydawało się biologicznie niemożliwe. Otóż często łosiem jest były tygrys, żubrem były lampart, morsem były ryś. Jednym z najzabawniejszych obrazków jest ten, kiedy prawdziwy mężczyzna rusza na łowy i zaczyna stosować metodę „na misia”. Nawet nie „na niedźwiedzia”, tylko „na misia”. Strasznie śmieszne. Skąd wiem? Powiedzmy, że ostatnio coś takiego obserwowałem w wykonaniu jednego z moich kolegów. Robi to takie wrażenie, że postanowiłem opisać w piosence. Umieściłem w niej też sformułowanie, które wpadło mi do głowy, kiedy słuchałem w radiu pewnego wywiadu. Lider znanego zespołu opowiadał o nowej płycie tej

formacji i zapytany o jakiś utwór, skromnie odpowiedział: – To jest nasz świetny nowy kawałek.

Aż tak pewny swego to ja nie jestem. Ale prawie:

Bardzo Fajna Piosenka (czyli „Piosenka o podrywie na misia”)

Jeśli tylko będziesz chciała,
Zdmuchnę troski i kłopoty,
Wybuduję Tobie, Mała,
Pałac z terakoty.
Chodź tu do mnie… Dziś… Dziś…
Bo nie trafia ci się co dzień
Taki biedny, smutny miś,
Zaraz po rozwodzie.

Ref.:
Niech się Pani misia nie boi,
Niech się Pani misia nie lęka,
Do wesela się misio zagoi…
Bardzo fajna piosenka!

Tutaj cztery szwy na łuku,
Tu, na pleckach, mam znamiona,
Takie mi zrobiła kuku
Moja była żona.
Chodź tu do mnie… Dziś… Dziś…
Taka fajna z Ciebie babka,
Spójrz, jak biedny, smutny miś
Słania się na łapkach.

Ref.:
Niech się Pani misia nie boi,
Niech się Pani misia nie lęka,
Do wesela się misio zagoi…
Bardzo fajna piosenka!

Ślady walki mam na pysiu,
Cięć, uderzeń oraz wgnieceń,
Strasznie dużo teraz misiów
W każdej dyskotece.
Chodź tu do mnie… Dziś… Dziś…
Tul się do siwego futra,
Taki biedny, smutny miś
Przynajmniej do jutra…

Ref.:
Niech się Pani misia nie boi,
Niech się Pani misia nie lęka,
Do wesela się misio zagoi…
Bardzo fajna piosenka!

3 lipca 2008

Generalnie banalnie

W wakacje postanowiłem nie zawracać Państwu głowy poważnymi rozważaniami na temat sensu ludzkiej egzystencji i celu naszej ziemskiej tułaczki. Zresztą, przejrzałem tematy, jakie poruszałem w ciągu kilku ostatnich miesięcy, i zauważyłem, że i tak nie dawałem w nich odpowiedzi na pytanie „Jak żyć?”. No to w wakacje będzie jeszcze banalniej, trywialniej, jeszcze prościej. Bo świat lepiej oświetlony, bardziej dogrzany, człowiek miotany między kajakiem a hamakiem, między gofrem a halibutem albo w ogóle o nic nie pyta albo poszukuje odpowiedzi na znacznie prostsze pytania. Na przykład kilka dni temu, w restauracji, obok drzwi wejściowych do toalety, mijałem lekko zakłopotaną dwudziestokilkuletnią dziewczynę. W wakacje człowiek jakoś sprawniej radzi sobie z zakłopotaniem. I ona sobie poradziła – najpierw posłała mi piękny uśmiech, a potem odważnie zapytała: „Dziewczyny to kółko czy trójkąt?”. W październiku czy listopadzie zacząłbym smucić, komplikować, mówić, że „kto to tak do końca może wiedzieć?”, że „jakie znaczenie mogą mieć sztuczne podziały ludzi na kobiety i mężczyzn?”, że „sama sobie musi poszukać odpowiedzi na to pytanie, bo w tej dżungli życia nie można na nikogo liczyć…”. A teraz, proszę – oduśmiechnąłem się, odpowiedziałem i po sprawie. Chociaż rzeczywiście prostej odpowiedzi na takie pytanie nie

ma – ktoś mi ostatnio podrzucił zdjęcie drzwi wejściowych do szaletu miejskiego na rogu Kruczej i Widok w Warszawie. Jest napisane: „Damski”, a poniżej wywieszka „Wejście przez męski”. Naprawdę.

Przepraszam, ale aż tak banalnych tematów poruszać nie muszę. No to może coś z kolekcji nazw zauważonych w wakacyjnych podróżach. W Mrągowie znalazłem ciekawe napisy na szyldach sklepów z odzieżą używaną. Jeden z nich nazywa się „Odzież z przeszłością”, drugi – „Tani Armani”. Nie pamiętam dokładnie gdzie, ale zauważyłem też zabawną nazwę hotelu – Alibi. Jeżeli wyjdzie się z założenia, że w biznesie nie ma nic przypadkowego, można pomyśleć, że jest to równocześnie informacja o zakresie usług. Przyjeżdża się na przykład na kilka dni miłego wypoczynku w towarzystwie niedawno poznanej pani, a przy wyjeździe, regulując maxirachunek za korzystanie z minibaru, w recepcji odbiera się zaświadczenie następującej treści: „Uprzejmie informujemy, że Pani mąż, Kazimierz, przebywał w naszym hotelu w dniach 3–9.7.2008 wyłącznie w towarzystwie starszych od siebie, nieatrakcyjnych fizycznie mężczyzn, do których zwracał się per: »panie prezesie«, »panie inżynierze«, »Stefan, jak oceniasz ostatnie targi we Frankfurcie?«. Uczestniczył we wszystkich seminariach dotyczących logistyki wyrobów nabiałowych. Przestrzegał ciszy nocnej, gasił światło w pokoju o godzinie 22.00, na śniadaniach był zawsze o godzinie 7.30. Dyrekcja hotelu serdecznie gratuluje Pani tak porządnego męża. Mariusz Prawdzic, Marketing Manager Hotelu Rzetelność w Zaufaniu Dużym”. No niestety, pod takim zaświadczeniem nie można użyć prawdziwej nazwy hotelu, bo wszystko mogłoby się wydać. Przypadek hotelu Alibi podsunął mi pomysł na spopularyzowanie tej zasady – każda firma powinna w swojej nazwie informować o (niekoniecznie oficjalnie) świadczonych usługach. Przychodnia Zdrowia „Zwolnienie, a Nawet Renta”. Biuro Doradztwa Biznesowego i Kontaktów

z Samorządami Terytorialnymi „Wygrany Przetarg”. Imprezy Firmowe, Catering „Tarantula”.

11 lipca 2008

Pieróg szczęścia

Moi radiowi koledzy wyruszyli w wakacyjną podróż pod rosyjską granicę. Nadawali audycję z miejsca, w którym osiedliło się kilkaset bocianów i kilkudziesięciu ludzi. Swoją drogą aż dziwne, że Rosjanie jeszcze nie protestują. Przecież bocian może być elementem tarczy antyrakietowej. Zwłaszcza w takim skupisku – nietrudno sobie wyobrazić, że któryś z nich, podczas lotu, przypadkiem trafi dziobem w rakietę. Ale dajmy spokój słabym żartom. Wracajmy do audycji. Koledzy zaprosili do rozmowy panią Marię – kobietę, która w tym miejscu mieszka od kilkudziesięciu lat. Najpierw serdecznie podziękowali za gościnne przyjęcie – pani Maria podjęła ich wyśmienitymi ruskimi pierogami. Pieróg też może być elementem tarczy… Ej! Uspokój się! No więc wychwalili te pierogi, jeden z nich zapytał:

– Ile pierogów ulepiła pani dzisiaj?

– Sto pięćdziesiąt – odpowiedziała pani Maria.

A potem kilkuminutowa rozmowa na temat tego, jak było dawniej, jak jest teraz, jak tu się żyje. Na koniec kolega redaktor poprosił:

– Pani Mario, niech pani jeszcze powie, jak pani to robi, że cały dzień taka pani pogodna, uśmiechnięta, radosna…

– Bo ja kocham życie, bo życie jest piękne… Tylko… (tu pojawił się lekki smutek w głosie pani Marii) Tylko takie krótkie… Na takie stwierdzenie natychmiast zareagował drugi z kolegów redaktorów. Ratując skoczny nastrój audycji, dorzucił:

– No co też pani, pani Mario! Jeszcze tyle pięknych chwil przed panią! Jeszcze tyle pierogów do ulepienia!

W radiu niestety nie widać, więc nie zobaczyłem miny pani Marii. Jeśli lubi lepić, to może się ucieszyła, ale jeśli lepienie pierogów jest jej zmorą i lepi tylko dlatego, że musi, to raczej mało optymistyczna perspektywa. Przy najbliższej okazji muszę kolegom podziękować i pogratulować. Wynaleźli miarę ludzkiego szczęścia. Szczęśliwe chwile można liczyć w ulepionych pierogach. Te wzruszenia przy oglądaniu albumów (albo klaserów) na pierogi:

– Pamiętasz, Marku, pierogi numer 1454–1495, miejsce lepienia – Jurata, rok 1972…?

A ja w swoich wakacyjnych podróżach postanowiłem ogłosić prywatny plebiscyt na najbardziej denerwujące wakacyjne komunikaty. Mam już kilka:

– W urzędach: „Nie ma dzisiaj koleżanki, która się tym zajmuje”. To brzmi jak szlagwort piosenki. Zacząłem pisać:

Nie ma dzisiaj koleżanki,
Która się tym zajmuje,
Czarne fusy na dnie szklanki,
Nie ma dzisiaj koleżanki…

– Na dworcach kolejowych: „Za opóźnienie serdecznie przepraszamy”. Już nawet nie denerwuje mnie „Jest opóźniony o 190 minut. Opóźnienie może ulec zmianie”. Do tego się przyzwyczaiłem. Ale to przepraszanie!

Zwłaszcza że wiem, jakie szczere! Uważam, że to zdanie powinno również trafić do rankingu na najbardziej fałszywe, publicznie wypowiadane zdanie.

W tym plebiscycie też mam kilka innych:

– W telewizji: „Zostańcie państwo z nami”. Fałszywe, bo nie wierzę, żeby prezenter je wypowiadający nie zdawał sobie sprawy, że to, co za chwilę pokażą, będzie beznadziejnie słabe. Ale nigdy nie zdarzyło mi się usłyszeć: „Nie zostawajcie państwo z nami, przełączcie się lepiej na inną stację, bo u nas przez najbliższe dwie godziny będzie straszna chała”.

– W rozmowach politycznych: „Szanuję Pańskie zdanie…”.

24 lipca 2008

Pstryk, pstryk

W pokoiku na stoliku… Leży sześć cyfrowych aparatów fotograficznych. Co jakiś czas ktoś chwyci za któryś, wywołując natychmiastową reakcję pozostałych współtowarzyszy wakacji. Tak oto osiem osób, które spotkały się w jeden lipcowy wieczór, zostanie uwiecznionych na 680 fotografiach. Wyobrażam sobie to oglądanie za 30 lat. Na ekranie folder „Wakacje 2008 – zdjęcia 3006–4283”. To będzie nowa wersja zabawy znanej ze starych czasopism – znajdź 10 szczegółów, którymi różnią się te zdjęcia. „O, tu się Marcie włos zmierzwił. Nie ten, pięćset czwarty od lewej”. Bo wszystko widać dokładnie. Spojrzałem na te aparaty. Każdy wielkości papierośnicy Jamesa Bonda i z takimi samymi możliwościami technicznymi. Z 12 kilometrów można zrobić zdjęcie dna oka kozicy górskiej. Każdy z wyświetlaczem wielkości dwóch papierośnic Jamesa Bonda. Setki funkcji – jak się wciśnie specjalny program, to na każdym zdjęciu ciocia Hania z wujkiem Zbyszkiem mogą wyglądać jak Angelina Jolie z Juliem Iglesiasem. Ja wiem, że Angelina Jolie jest teraz z Bradem Pittem, ale jeszcze nie wymyślono aż tak dobrego programu, który z wujka Zbyszka zrobiłby Brada Pitta.

I jakoś mi się smutno zrobiło. Przypomniałem sobie emocje, jakie mi towarzyszyły, kiedy robiłem pierwsze zdjęcia. Aparat Druh. Prototyp

aparatu cyfrowego, bo w myśli trzeba było powtarzać cyfry, odliczyć długość naświetlania klatki filmu. „Sto dwadzieścia trzy, sto dwadzieścia trzy” – to trwało dwie sekundy. Potem smiena. Miałem ją krótko, bo tata zabrał na zagraniczny wyjazd i sprzedał arabskiemu inżynierowi za takie pieniądze, że gdyby tata miał wtedy jeszcze ze dwie takie smieny, to dzisiaj ja z moim bratem decydowalibyśmy o cenie baryłki ropy na światowym rynku. Za część tej fortuny tata kupił mi feda 5B. Miał wbudowany dalmierz, to znaczy nie trzeba było, jak w smienie, domyślać się, z ilu metrów się fotografuje, tylko kręcąc obiektywem, ustawić plamkę tak, żeby to, co jest w plamce, się nie „rozjeżdżało”. Plamki prawie nie było widać, w związku z czym nie wiadomo było do końca, czy się „rozjeżdża”, czy nie, ale już postęp. Fed był chyba robiony z tego, co zostało po produkcji radzieckich czołgów i według tej samej technologii – kilka razy upadł mi z drugiego piętra na betonowy chodnik i nic mu się nie stało, tylko w miejscu uderzenia pojawiało się zadrapanie przypominające małą bródkę. Dopiero później dowiedziałem się, że nazwa aparatu pochodzi od patrona zakładów, w którym powstawał (aparat, nie patron) – Feliksa Edmundowicza Dzierżyńskiego. Natychmiast zmieniłem na zenita. A potem, na znak mojego prozachodniego nastawienia – prakticę.

Film miał tylko 36 klatek. Jeden musiał wystarczyć na wakacje, rozpoczęcie roku szkolnego, wycieczkę klasową do Zamościa oraz Boże Narodzenie. Oczywiście był czarno-biały (bez włączania specjalnych funkcji). Kiedy kupiłem pierwszy kolorowy ORWO – po wywołaniu zdjęć okazało się, że jest jednokolorowy. Chyba że różne odcienie żółci traktować jako oddzielne kolory.

Ot, sentymenty. Ale tak naprawdę – nie tęsknię. *Tylko koni żal…*, chociaż akurat nie wiem dlaczego, bo ani konno nie jeździłem, ani koni nie fotografowałem. No, może jeszcze tego, że nazwy aparatów

fotograficznych nikogo nie sławią. Chyba że przyjąć, że leżące w pokoiku na stoliku: PowerShot A470, EasyShare M853, D-Lux 3, Luxmedia 10-XS, Caplio R7 i Premier DS-5010S to pseudonimy liderów największych polskich partii politycznych. Jeśli tak, to zdjęcia wyjdą jak ze starego filmu ORWO – w różnych odcieniach żółci.

31 lipca 2008

Jak miło spędzać deszczowe wieczory, czyli SPIPIDIDAT

Babcia opowiadała mi, jak kiedyś miło spędzało się deszczowe wieczory. Najpopularniejsze było darcie pierza: „Schodzili się znajomi z całej wioski, siadali w kręgu i śpiewając znane piosenki, darli. Wszyscy pierze, a niektórzy mordy” – tak babcia mówiła o tych, którzy śpiewać nie umieli, a byli najgłośniejsi.

Postanowiłem wrócić do rodzinnej tradycji. Zadzwoniłem do paru przyjaciół i zaprosiłem ich do siebie. Oczywiście nie powiedziałem, w jakim celu, boby nie przyszli. Kiedy tylko zajęli miejsca, szybko narzuciłem na siebie łowicką narzutkę (chociaż mogłem też opasać się podkarpacką opaską) i zanuciłem:

Gdybym ci ja miała skrzydełka jak gąska,
Poleciałabym ja za Jaśkiem do Śląska…

O dziwo, nikt się nie rzucił do ucieczki, nikt nie chwycił za telefon… Na twarzach moich przyjaciół pojawiły się radosne uśmiechy, ktoś podchwycił: *Ani na bory, ani na lasy…*

Po odśpiewaniu pełnej wersji *Życzenia* wpadliśmy na genialny pomysł. Podejdźmy twórczo do naszych spotkań – wymyślajmy nowe wersje znanych utworów. Powołaliśmy SPIPIDIDAT, czyli Studium Przeróbek Istniejących Piosenek i Dostosowywania Ich Do Aktualnych Trendów, i wzięliśmy się do roboty:

Gdybym ci ja była nie gąską, lecz panną,
Może to Jasiek poleciałby za mną… – zanuciła Ewa.

Wtórował jej Paweł:

Poleciała ci byś, by być z Jaśkiem w związku,
Tylko że nie wiesz, na którym on Śląsku…
Może na Dolnym, może na Górnym,
Ależ ten Jasiek durny…
Wyjechał z wioski wozem Pekaesu
I nie zostawił dziewczynie adresu…

Później zabraliśmy się za inne.
Do:

Czerwone jagody spadają do wody
Powiadają ludzie, że nie mam urody

Dopisaliśmy:

Kończą się kolejne panieńskie wakacje,
Zdaje się, że ludzie mają pełną rację…

Spotykamy się w każdy piątek o 19.00. Na najbliższy zaplanowaliśmy podróż sentymentalną na Kielecczyznę pod tytułem „Po coześ ty wołki

przygnał?”. Zaplanowaliśmy też wieczory tematyczne związane z ludzką pracą. Na przykład za dwa tygodnie będzie wieczór z piosenką policyjną. Każdy ma napisać jedną zwrotkę *Pieśni o Komendzie Powiatowej*. Moja brzmi tak:

Tutaj zaczniesz żyć od nowa,
Tu złe wspomnienia wyrzucisz na złom,
Komenda Powiatowa…
Komenda Powiatowa…
Cichy, przytulny dom…
Tu wiosną całe klomby w bratkach,
Bo dobry klimat i ziemia żyzna,
Tutaj komendant czuły jak matka,
Chociaż rzekomo mężczyzna…

7 sierpnia 2008

Centrum promocji turystyki

Koniec letniego sezonu turystycznego dla wielu osób w naszym kraju jest momentem rozpoczęcia przygotowań do następnego. Chodzi o wymyślanie atrakcji dla turystów, czegoś, co by ich przyciągnęło do miejsca wypoczynku. Zresztą po co wymyślać? Wystarczy przenieść na nasz grunt parę pomysłów już sprawdzonych w innych częściach świata.

Moi bieszczadzcy znajomi narzekają, że sezon zimowy jest tam marny w związku z brakiem infrastruktury narciarskiej. Ale przecież nie trzeba od razu budować wyciągów, wystarczy prosty zabieg promocyjny. W Finlandii od lat organizowane są Mistrzostwa Świata w Noszeniu Żon. Faceci z własnymi małżonkami na plecach biegają po wyznaczonych trasach, a w nagrodę najlepszy dostaje tyle piwa, ile waży jego żona. No to zorganizować w Bieszczadach Mistrzostwa Świata w Noszeniu Narciarzy pod Górę. Zawody powinny się odbywać od 8.00 do 17.00 każdego dnia w ciągu sezonu narciarskiego (chyba że stok oświetlony, to dłużej), a ten, kto wygra klasyfikację dwutygodniową, dostaje ekwiwalent w wysokości… No, żeby było po naszemu, swojsko, ale i oryginalnie, to może… Tyle kilogramów kaszanki, ile waży proboszcz miejscowej parafii, i tyle litrów piwa, ile lat ma księgowa gminnego ośrodka kultury (to może być więcej niż waży żona zwycięzcy wyścigu w Finlandii). Z kolei nocą na tym

samym torze powinny się odbywać Mistrzostwa Świata w Ciąganiu Dziadków Siedzących na Takich Specjalnych Matach. Dla utrudnienia ciągający miałby przyczepione z przodu coś w kształcie pługa. I ratrakowanie załatwione.

Warto też pomyśleć o jakichś pamiątkowych gadżetach. Tutaj pomysłów nam nie brakuje. Parę lat temu dostałem od kogoś w prezencie miniaturkę pewnego nakrycia głowy. Żółty krążek, a w środku kartka z napisem: „Moherowy berecik ręcznie robiony w Toruniu. Na terenie Torunia berecik dostrojony jest do częstotliwości 100,6 Mhz”. Taki gadżet pewnie wielu chętnie sobie zabierze na pamiątkę wakacji, ale z turystycznymi żartami trzeba uważać. Zwłaszcza z tymi „na czasie”. Nie wiem na przykład, jak popularne stałyby się pocztówki z fotografią piętnastokilometrowego korka pod Płońskiem z napisem „Pozdrowienia z wakacji”. Albo miniaturki tarczy antyrakietowej z propozycją „Gmina Słupsk zaprasza”.

Dla osiągnięcia celu promocyjnego nie wahałbym się nawet posunąć do manipulacji. Ale takiej, która nikomu zaszkodzić nie może, a pomóc – owszem. Na przykład opublikować nieznany fragment cudem odnalezionego pamiętnika anonimowej przyjaciółki Marii Skłodowskiej-Curie, w którym znalazły się takie słowa naszej wybitnej uczonej: „Wiesz, Ewo, jedyne czego w swoim życiu żałuję, to że tak rzadko jeździłam do Karpacza. Tam jest tak pięknie, tacy cudowni ludzie, takie dobre warunki i tak korzystne propozycje cenowe, zwłaszcza po sezonie, na przykład od 15 września do końca listopada… A ja z tego nie korzystałam. Jeśli kiedyś cudem odnajdzie się Twój pamiętnik, napisz w nim, że ja, Maria Skłodowska-Curie, błagałam ludzi, żeby jeździli do Karpacza, bo potem będą żałować, że nie jeździli”. Komu coś takiego może zaszkodzić? A poza tym, kto może ze stuprocentową pewnością stwierdzić, że Maria

Skłodowska-Curie naprawdę tak nie myślała, chociaż może publicznie o tym nie mówiła?

28 sierpnia 2008

Lew z tombaku

Patrząc na migawki z tegorocznego Festiwalu Filmowego w Wenecji, postanowiłem opisać swoje dokonania w świecie filmu. Pomyślałem, że nikt tego za mnie nie zrobi, a kto wie, czy dzięki temu, że taka informacja zacznie krążyć gdzieś po świecie, za parę lat, w czasie relacji z uroczystości wręczania Złotych Lwów, Grażyna Torbicka nagle nie powie: „Zanim pojawią się Meg Ryan i Pierce Brosnan, chciałabym Państwu w skrócie przedstawić aktorski dorobek Artura Andrusa…”. Zresztą nie da się inaczej niż w skrócie, bo po kilkunastu latach medialnej działalności mam na swoim koncie następujące role:

1. Konferansjera obrzucanego przez publiczność pomidorami w filmie *Dr Jekyll i Mr Hyde według Wytwórni A’YoY* (1999).

2. Milczącego przechodnia w filmie *Zamknięci w celuloidzie* produkcji Zielonogórskiej Inicjatywy Filmowej (2007).

I to tyle, jeśli chodzi o duży ekran. Na tym małym, srebrnym, jest tego równie dużo:

1. Portier w serialu *Sprawa na dziś* (2003).

2. Policjant w serialu *Niania* (2008).

Pomijam w tym zestawieniu (skądinąd bardzo dla mnie ważny) obraz będący czymś na pograniczu występu kabaretowego, serialu i ciekawostki

psychologicznej (milioner Jonathan Owens w improwizowanych *Spadkobiercach*), bo się zaraz przyczepi Polski Instytut Sztuki Filmowej, że co to za film, którego scenariusz powstaje już w czasie grania, a aktorzy wypowiadają dialogi, które akurat w czasie sceny wpadły im do głowy (a często nawet bywało tak, że mówili, zanim coś wpadło).

W każdym razie, gdyby podsumować czas moich występów w tych czterech wymienionych produkcjach filmowych, uzbierałoby się tego pewnie z 15 minut (w tym 13 to dialogi portierów w *Sprawie na dziś*).

Ale po co ja o tym piszę? Bo to kilkanaście minut okupione morderczą pracą. Moją i reżyserów. Nawet Państwo nie zdają sobie sprawy, jak trudno na przykład zagrać, że się patrzy za kimś odchodzącym po schodach. Kiedyś takie zadanie dał nam (moim partnerem w scenie był Andrzej Poniedzielski) reżyser, który po trzecim czy czwartym podejściu do nagrania powiedział: „Panowie, ale na razie to wy gracie, że chcecie stąd uciekać, a mnie chodzi o to, żebyście zagrali, że po prostu patrzycie na schody”. Podobną sytuację przeżyłem kilka dni temu na planie *Niani*. Najpierw reżyser zaproponował, żebym grał dynamicznego, głupkowatego policjanta. Z głupkowatym nie było problemu, gorzej z dynamicznym. Po kilku próbach nakłonienia mnie do chodzenia i równoczesnego patrzenia po ścianach, rozmawiania przez telefon i przenoszenia kubka z kawą pan reżyser powiedział do ekipy: „Dobrze, nie będziemy tego robić wbrew panu Andrusowi”, a do mnie: „Niech pan powie całą kwestię, nie ruszając się z miejsca i patrząc w temperówkę”. O, i ten rodzaj dynamiki byłem w stanie pokazać.

Może tymi dokonaniami filmowymi nikomu nie zaimponowałem. Może i nie zebrało się jeszcze na czerwony dywan w Wenecji. Ale na drewnopodobną wykładzinę na Mokotowie już jest. I wystarczy.

11 września 2008

Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki w Opolu

ORGANIZATORZY

Towarzystwo Przyjaciół Opola
w Opolu, Rynek — Ratusz

Urząd Miejski w Opolu

„Estrada Opolska" PPIA

Biuro Organizacyjne KFPP
45-056 Opole ul. Kośnego 32 a
tel. 391-60

Konto bankowe
NBP I. O. Opole
53019-4066

ŻYCIE JEST DZIWNE

Podczas pobytu w hufcu Grodno,
Zastęp harcerzy z hufca Lesko,
Wytropił żółtą łódź podwodną
I przemalował ją na niebiesko.
Wyrosły na niej topian i mech,
Życie jest dziwne,
Ech!

W środku znaleźli stół stalowy
I siedem pięści niewygodnych,
To taki zestaw standardowy,
Niektórych typów łodzi podwodnych.
I szafę zbitą z dębowych dech,
Życie jest dziwne,
Ech!

Nagle w tej łodzi coś zaskrzeczało,
Więc poruszono takim pilotkiem,
A tam, na mostku, dziecko stało,
W dłoni trzymało małą książeczkę.
A w drugiej portret premiera Czech,
Życie jest dziwne,
Ech!

Chłopiec na imię miał Octavian
(Ojciec Jaromir, matka Zdenka)
Ktoś się być może zastanawia,
O czym naprawdę jest ta piosenka?
Kiedyś wam powiem, zaprze wam dech,
Życie jest dziwne,
Ech!

Idą na Górę Świętej Anny
Tłumy niezmierne i pobożne,
A to jest pieśń o nieustannych
Kryzysie polskiej piłki nożnej.
Który tak samo mnie obchodzi,
Jak czeskie dziecko w podwodnej łodzi.
Bo czy to Legia, Wisła, czy Lech...
Życie jest dziwne, Ech!

Z cyklu „Moi znajomi”

Karol

Postanowiłem opisać najoryginalniejsze postacie z grona moich przyjaciół. Miejsce pierwsze – Karol. Z wykształcenia lekarz, z zamiłowania historyk. Przyrzekł sobie, że dzieciom będzie nadawał imiona ulubionych postaci historycznych i twórców literatury. A w związku z tym, że pierwsza trójka tych ulubionych to: Kazimierz Wielki, Kazimierz Pułaski i Kazimierz Przerwa-Tetmajer, nietrudno się domyślić, jakie imiona noszą jego dwaj synowie. Trzecia była córka, ale przed nazwaniem jej Kazimierzem jeszcze w czasie ciąży powstrzymała go żona, która ostrzegła, że już rozmawiała z adwokatem i ten twierdzi, że da się połączyć poród z rozwodem. Imię „Kazimiera” nie wchodziło w grę, bo oboje nie przepadają za Iłłakowiczówną. Basię, żonę Karola, też trzeba będzie opisać w Galerii Niebanalnych Postaci Mojego Kręgu Towarzyskiego chociażby ze względu na wynalazki w kuchni. Kiedyś przygotowała „dziczyznę z indyka”. To był po prostu filet z piersi tego ptaka, ale oryginalnie podawany. Obok sztućców położyła Basia przerobione za pomocą PhotoShopa zdjęcie (indyk szczerzący kły, rzucający się na sarnę) i powiedziała: – Ojciec go ustrzelił, bo podchodził w nocy na pole i wyżerał kartofle.

Matka Basi jest wegetarianką i zagorzałą przeciwniczką myśliwskiej pasji męża. Kiedy ten przyniósł do domu indyka, przez trzy tygodnie się do niego nie odzywała (do męża, do indyka zresztą też nie było sensu). Przez Basię, młodszą siostrę Basi (ulubionymi postaciami ojca Basi są: Barbara Radziwiłłówna i Barbara z *Nocy i dni*, a aktorką Barbara Krafftówna) przekazała mu ostrzeżenie, żeby miał się na baczności. I którejś nocy w kuchni wymierzyła w męża sztucer, kiedy przyłapała go na wyżeraniu kartofli. Przeżył. Stres. Sztucer nie był nabity.

Niezwykle oryginalnie wyglądają prywatki u Karolów. Na przykład w sylwestra do północy tańczy się przy ABBIE, Boney M. i przebojach polskiej muzyki lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, od północy do drugiej – przy pieśniach socjalizmu (strasznie trudno dopasować krok do pieśni „Ziemia spadła na ciało, zapachniała jak senny las, ale serce zostało na przedmieściach hiszpańskich miast… Wybuchało jak pocisk, któż odłamki pozbiera? Kto ułoży z nich serce generała Waltera?”), od drugiej do końca imprezy przy efektach dźwiękowych z *Gwiezdnych wojen*.

Karol ma bardzo specyficzny sposób złorzeczenia. Jego przekleństwa są rozbudowane jak gruzińskie toasty. Tyle że ich przesłanie nie jest przejawem życzliwości dla adresata. Ot, na przykład jedziemy drogą pełną dziur i wyrw. Karol nie potrafi powiedzieć po prostu „Żeby szlag trafił tych drogowców”. On mówi: „Żeby tych, którzy robili tę drogę, kiedy już będą mieli sztuczne szczęki, na które wydadzą dwie emerytury, ktoś przez cały dzień woził tędy nieamortyzowanym wozem drabiniastym”. Albo kiedy starszego syna chce zmusić do posprzątania pokoju: „Żeby tak nagle weszła tutaj najpiękniejsza laska na świecie i powiedziała: – Oj Kazik, ja chciałam ci dzieci rodzić, ale w takim burdelu to się żyć nie da, mimo że z honorariów za sesję do »Playboya« mogłabym zatrudnić dziesięć sprzątaczek na dziesięć lat”. Zazwyczaj odnosi to taki skutek, że Basia musi

po nim poprawiać, to znaczy tłumaczyć zdumionym dzieciom, o co ojcu chodzi.

25 września 2008

Tekst ociekający jadem

Zabawne, jak zmienia się znaczenie pewnych słów. I to nie tylko w zależności od intencji osoby je wypowiadającej, od kontekstu wypowiedzi, ale również od nastawienia odbiorcy. Weźmy na przykład słowo „jad”. Mówi się, że wypowiedzi polityków „przepełnione są jadem”. Ale coś, co dla jednego jest jadem, dla drugiego, zwłaszcza tego, który w ostatnich wyborach oddał swój głos na „jadowitego”, może być świętą prawdą i miodem lanym na serce. „Cudownie pani wygląda” wypowiedziane do kobiety uczulonej na szowinistyczne, męskie postrzeganie wyłącznie przez pryzmat jej urody (bo ona przecież, że zacytuję klasyka, „oprócz ciała ma przecież i duszę”) też może być odebrane jako „ociekające jadem”.

A teraz o czymś sympatycznym. Podczas medialnej awantury wokół Polskiego Związku Piłki Nożnej dowiedziałem się, że jednym z kandydatów na nowego prezesa tej organizacji jest Grzegorz Lato – sportowiec, były senator i (uwaga!) przewodniczący Klubu Wybitnego Reprezentanta Polski. Prawdę mówiąc, nie wiedziałem wcześniej, że coś takiego istnieje, ale postanowiłem się dowiedzieć czegoś więcej. Na przykład tego, jak się zostaje wybitnym. Okazuje się, że jest to klub zrzeszający piłkarzy, którzy zagrali co najmniej 60 razy w różnych meczach jako reprezentanci Polski w piłce nożnej. Jakie to miłe! Ileż daje powodów

do zadowolenia nie tylko członkom tego klubu, ale również członkom ich rodzin („jestem żoną Wybitnego Reprezentanta Polski”). Dlaczego takiego sympatycznego uczucia nie zafundować przedstawicielom innych grup zawodowych? Klub Wybitnego Prawnika – uczestniczący w 60 rozprawach, w których oskarżony zagrożony był karą co najmniej pięciu lat pozbawienia wolności. Klub Wybitnego Lekarza – 60 operacji od wyrostka robaczkowego w górę. Klub Wybitnego Organisty – 60 pasterek i rorat w kościołach parafialnych. Tworzenie takich klubów mogłoby mieć znaczenie dla rozwoju polskiej myśli logicznej. No bo przecież: skoro jest Klub Wybitnego Reprezentanta, należy wnioskować, że może być też Klub Niewybitnego Reprezentanta (Klubu Słabego Reprezentanta nie proponuję, żeby nie być posądzony o „jadowitość” wypowiedzi). Więcej – każdy reprezentant, zanim nim został, musiał być wybitnym piłkarzem (Klub Wybitnego Piłkarza). I teraz zadania dla studentów logiki: wykazać zależności pomiędzy zbiorem Wybitnych Piłkarzy a zbiorem Niewybitnych Reprezentantów. Dla studentów medycyny: jak długo i jak intensywnie musi trenować Wybitny Piłkarz, żeby stać się Wybitnym Reprezentantem, i po jakim czasie Wybitny Reprezentant przestaje być Wybitnym Piłkarzem? Przepraszam, może trochę zamieszałem, ale na studiach ledwo przebrnąłem przez egzamin z logiki, bo za cholerę nie byłem w stanie wytłumaczyć, czy to zbiór „Psów” jest elementem zbioru „Niepsów”, czy odwrotnie. A zresztą stopień zawiłości mojego wywodu i tak jest bardzo niski w porównaniu ze stopniem zawiłości sytuacji w polskiej piłce nożnej.

Wracając do jadowitości. Wybieram się do Kielc na Ogólnopolski Przegląd Piosenki Kąśliwej. Nie wiem, co przygotowali koledzy, ale ja mam zamiar zaśpiewać w oryginale *Malowany dzbanku* Heleny Vondráčkovej. Pieśń ociekającą jadem.

2 października 2008

Tekst napisany piórem w hotelu we Wrocławiu

Do zestawu zdarzeń, które mogą człowieka wpędzić w panikę, należy dodać brak dostępu do zdobyczy cywilizacji, od których się ten człowiek uzależnił. Wyjeżdżając z domu, nie zabrałem laptopa, a na jutro ma być gotowy tekst. W hotelu, w którym się zatrzymałem, jest co prawda „kącik komputerowy”, ale mieści się w rogu restauracji, w której wieczory spędza wycieczka niemieckich turystów. Żadne uprzedzenia – naprawdę mili, uśmiechnięci, rozśpiewani ludzie – ale nie potrafię pracować w towarzystwie kilkudziesięciu niemieckich turystów. Podejrzewam zresztą, że nie ja jeden. Już widzę lekarza operującego w towarzystwie kilkudziesięciu niemieckich turystów, górnika wydobywającego węgiel…

Chociaż są też pewnie tacy, którym taka wycieczka nie przeszkadza. Na przykład przewodnikowi turystycznemu albo kierowcy autokaru. Może to kwestia przyzwyczajenia? Może gdybym częściej pisywał, słuchając piosenek typu *Grüner Kaktus*?

W recepcji poprosiłem o kilka kartek papieru, wróciłem do pokoju, wziąłem pióro i z dużymi oporami zabrałem się do pisania, korzystając z dziewiętnastowiecznych technologii. Boże, jak dziwnie wyglądał ten

prehistoryczny, ręczny Arial. Nierówne litery, niewymiarowe spacje. Ale do rzeczy.

Zawód konferansjera, który od kilkunastu lat wykonuję, wymaga dużej elastyczności. Czasem się prowadzi koncert filharmoniczny, czasem trzeba zapowiedzieć prezesa firmy stolarskiej grającego na harmonijce ustnej. Czasem prezentuje się publiczności nowy tomik wierszy, innym razem nowy typ wiertarki. Ambitny konferansjer próbuje te tak sobie odległe światy połączyć.

Niedawno los mnie rzucił na otwarcie centrum handlowego w Słupsku. Koledzy pokazywali program kabaretowy, ja miałem wszystko spiąć jakąś klamrą. Porozmawiałem z miejscowymi, podpytałem i na koniec wygłosiłem wiersz:

> Niech pieśń wychwala dzieło nowe,
> Niech wiersz pod chmury wzlatuje,
> Wy już macie centrum handlowe,
> Koszalin dopiero buduje.

Dawno nie miałem tak żywiołowych reakcji. Po prostu oba miasta nie darzą się nawzajem dużą sympatią i podlizanie się temu, w którym się właśnie występuje, gwarantuje sukces. Urażonym mieszkańcom Koszalina wyjaśniam, że to zwykłe wyrachowanie. Jeśli zechcą zaprosić mnie na otwarcie centrum handlowego w ich mieście, chętnie wygłoszę utwór:

> Już niedługo zakwitną czereśnie,
> Zakwitną, a i owszem,
> Może i w Słupsku mieli wcześniej,
> Lecz Wasze jest najnowsze!

Polecam. Odwoływanie się do lokalnych antagonizmów jest jedną ze skuteczniejszych metod osiągnięcia choćby chwilowego sukcesu. Mam przygotowane zestawy: „Kraków – Warszawa”, „Toruń – Bydgoszcz”, „Kielce – Radom”, „Zielona Góra – Gorzów”. No dobrze, kończę i idę do „kącika komputerowego” przepisać i wysłać. A jak będzie zajęty, to wsadzę w kopertę, zalakuję, spryskam wodą kolońską i podam do pierwszego dyliżansu.

9 października 2008

Sytuujmy się

Wczoraj w radiu pani dziennikarka polecała książki. Mówiąc o nowej powieści Danuty Noszczyńskiej, stwierdziła: „Danutę Noszczyńską sytuujemy gdzieś tak pomiędzy Chmielewską a Grocholą”… A zaraz potem innego autora, Philipa Margolina, sytuuje „gdzieś między twórczością Johna Grishama a Harlana Cobena”. Oczywiście wiem, co miała na myśli pani dziennikarka, chciała pomóc ewentualnym czytelnikom w skojarzeniu charakteru literatury, ale od razu wpadłem na pomysł szerszego zastosowania takiego „sytuowania”. W przypadku książek może nam to ułatwić poruszanie się po własnej bibliotece i rezygnację z przestarzałego systemu układu alfabetycznego (wiadomo, że powieści Noszczyńskiej stoją na półce pomiędzy Chmielewską a Grocholą), a poza tym wzrośnie sprzedaż książek. Jak się będzie chciało przeczytać Margolina, to trzeba też kupić Grishama i Cobena, żeby potem mieć gdzie postawić przeczytany utwór. Ale „sytuować” można w każdej sytuacji. W sklepie: „Parówki sytuują się między szynką a serem, ale jeśli chodzi o smak, to tak między wodą a wodą z tłuszczem i solą”. Na wywiadówce w szkole: „Pani syn sytuuje się tak gdzieś między jedynką a poprawczakiem”. Żeby podnosić sprawność intelektualną odbiorcy, można rozszerzać zakres „sytuowania” bez podawania jego kryterium. Na przykład: „Jurka sytuujemy tak gdzieś

pomiędzy średniowieczną maszyną oblężniczą a jednym z kandydatów na nowego prezesa Polskiego Związku Piłki Nożnej”. I niech się odbiorca zastanawia, czy chodzi tutaj o kwestie urody, inteligencji, skuteczności działania, czy niewielkiej mobilności.

Jeszcze słowo o światowym kryzysie finansowym. Coraz więcej osób zaczyna się na ten fakt powoływać w najbardziej zaskakujących sytuacjach. Już nie tylko banki nie przyznają kredytów, deweloperzy przestają budować, a politycy histerycznie nawołują się do niehisteryzowania. Dozorca nie sprząta w związku ze spadkami na giełdzie, dzieci przynoszą do szkoły usprawiedliwienia: „Proszę o zwolnienie mojej córki Ani z lekcji wuefu w związku z kryzysem światowym. Niech Ania niepotrzebnie nie marnuje energii na bezsensowne ćwiczenia fizyczne”. Drogowcy z łataniem dziur w jezdni na odcinku między Ustrzykami Dolnymi a Górnymi czekają na ustalenia po spotkaniu Bush – Sarkozy – Barroso. Trochę mi to zaczyna przypominać starą piosenkę Wałów Jagiellońskich: „A pewien piłkarz ligowy przyłożył w ryja sędziemu, chciał w ten sposób zaprotestować przeciwko Chomeiniemu”…

Dla poprawienia nastrojów społecznych zacząłem pisać

Uspokajankę na czasy kryzysu

A przecież u nas od zawsze
Zaczyna się o poranku
Biadolenie, że źle nam idzie,
Narzeka prezes banku,
Ksiądz i dentysta, i biznesmen,
Klientka w ekskluzywnym sklepie,
Że ledwo wiążą koniec z końcem,

Że mogłoby być lepiej.
Mam zatem dla Was pociechę,
Proszę Szanownych Sióstr i Braci:
Jak się niewiele ma,
To się niedużo straci.

Na razie tyle napisałem i skończył mi się wkład w długopisie. W związku z kryzysem finansowym nie mogę kupić nowego. Zresztą jak przeczytałem ten fragment, to nie wiem, czy dalsze pisanie ma sens, bo sytuuję się gdzieś pomiędzy glebogryzarką spalinową a Adamem Asnykiem.

22 października 2008

Czy to ty ziewałeś w Gdańsku?

Co można zrobić, kiedy się usłyszy takie pytanie? Osłupieć. Jeśli istnieje jakieś stopniowanie osłupienia, to musiałem być w stanie „słup sieci wysokiego napięcia”. Zapytała mnie o to kilka dni temu koleżanka z pracy. Ziewałem? W Gdańsku? Oniemiałem. Niemy słup. Pewnie stałbym do dziś w tej pozie, być może ktoś przepuściłby już przeze mnie kable, a przez te kable energię elektryczną o napięciu 200 kV, ale się wyjaśniło.

– Jestem w sobotę w Trójmieście, jadę autobusem, nagle patrzę – na przystanku stoi Andrus i ziewa. To ty byłeś?

Rzeczywiście byłem wtedy w Gdańsku, stałem na przystanku, ale nie zwróciłem uwagi na swoje ziewanie. I być może nie tylko ja. Ludzie! Zajmując się kwestiami podstawowymi dla świata, narodu, cywilizacji, ludzkości, nie zapominajmy o sprawach pozornie błahych. Przeleci nam to życie przez palce i nawet nie zauważymy, że ziewaliśmy w Gdańsku, kichaliśmy w Krakowie, wzdychaliśmy w Rio de Janeiro… E tam, banał, w Rio de Janeiro wielu wzdychało, ale jak niewielu wzdychało w Łobozewie koło Ustjanowej!

Mogę się uważać za klasyka zwracania uwagi na rzeczy pozornie banalne. To ja kilka lat temu napisałem tekst piosenki *Piłem w Spale, spałem w Pile*. Niedawno w związku z tą piosenką spotkało mnie coś

bardzo miłego. Na zjeździe szkolnym podczas pikniku, na którym bawiło się kilka pokoleń uczniów mojego liceum, podszedł do mnie pewien pan. Starszy ode mnie o jakieś kilkanaście lat, siwy (powinienem napisać siwszy, bo ja też już jestem), elegancko ubrany w cywilny strój, stąd nie od razu wiedziałem, że jest księdzem.

– Proszę pana, ja w sprawie piosenki *Piłem w Spale, spałem w Pile*. Jak usłyszałem, że pan tutaj będzie, postanowiłem to panu powiedzieć. Uwielbiam tę piosenkę i mam dla pana pewną propozycję. Jestem proboszczem jednej z parafii w Pile – jeśli pan kiedykolwiek będzie tamtędy przejeżdżał, proszę zajrzeć – spanie ma pan zapewnione, a i nad tym drugim popracujemy.

Tak zachwyciłem się mocą sprawczą swoich piosenek, że już zacząłem pisać musical, w którym wymieniam miejscowości, gdzie mnie karmiono, ubierano, za darmo naprawiano samochód i pożyczano pieniądze.

Ale gdzież tam spaniu i piciu do ziewania. Toż to dużo większy ciężar gatunkowy zjawiska. Zwracajmy uwagę na te najlżejsze. Dlaczego niby jakieś piękne uczucie nie może się zaczynać od pytań:

– Czy to pani chrapała na polu namiotowym w Mielnie?

– Czy to pan siorbnął w barze Kojot?

Dlaczego w przewodnikach turystycznych zamiast wyświechtanych: „podziwiał”, „zachwycał się” „szukał natchnienia”, nie pisać na przykład: „to tutaj, w opactwie Holyrood, kaszlał Mendelssohn, a potem skomponował *Symfonię Szkocką*”.

Jeszcze jedno – wiem, że mogą ten tekst czytać osoby, którym na myśl od razu przyszły wulgarniejsze zjawiska, zdarzające się czasem człowiekowi w sytuacjach publicznych. Wiem, że są tacy piszący koledzy, których teksty o miłości mogą być literackim uzupełnieniem

Fotograficznego atlasu anatomii człowieka, ale ja na razie granicy siorbania i kaszlu nie przekroczę.

13 listopada 2008

Z cyklu „Następcy Szekspira i Felliniego”

Scenariusze pisane wierszem – film pt. *Nagłe wzruszenie królowej w apartamencie pałacu w Edynburgu*

(*Królowa odkłada grzebień,*
Do lustra puszcza oko
I mówi sama do siebie)
– No co tam, Moja Wysokość?
Pójdziemy do roboty?
Nie byłyśmy od wtorku,
Trzeba podpisać noty,
Przyjąć biskupa Yorku,
Tylko się cieplej odzieję,
Bo mimo że jest czerwiec,
To tutaj w Szkocji wieje,
Że mało łba nie oberwie.
Karol, kiedy był dzieckiem,
Mówił, że tu jest ładnie,
Lecz wieje jak w Kieleckiem,

Czy jakoś bardziej dosadnie…

(*Na stole srebrne widelce,*
W oczach królowej miłość)

– Mój anglikański Boże… Kielce…
Kiedy, ach kiedyż to było?

(*Przy ścianach rzeźby florenckie,*
Przodkowie na obrazach)

– To było w ramach wymiany studenckiej
„Śladami rudy żelaza”,

(*Corgi ogryza tron,*
W tle słychać szkockie dudy)

Kielce… Pamiętam… On…
Wysoki, szczupły, rudy…
Wpisał w pamiętnik:
„Dzisiaj jest środa,
Jutro jest czwartek,
Tobie na zawsze.
Tęskniący Bartek”.
A ja:
„Kiedy gwiazdka na niebie
Jasno zamruga,
Ja wspomnę Ciebie.

Elżbieta Druga”.
Mary była zazdrosna,
Pod okno co wieczór przychodził,
To była wietrzna kielecka wiosna,
Byliśmy tacy młodzi…

(*Biurko z dębiny z lasu Sherwood,*
Na biurku komiks Kiszczak i Babiuch,
Królowa smutno przygląda się berłu
I łzę ociera chustką z jedwabiu,
Wkłada królewskie okulary,
Z biurka na ziemię leci kartka.
Patrzy na zdjęcie)

– Jakiż ten Harry
Jest podobny do Bartka.

(*Akcent muzyczny, pauza, koda,*
W zbliżeniu portret lorda Byrona,
Napis końcowy)

Krew nie woda
Błękitna czy czerwona…
Niech lgnie kobieta ku mężczyźnie,
Pieszczotę ust bezczelnie kradnie,
Choć wieje jak na Kielecczyźnie,
Czy jakoś bardziej dosadnie…

20 listopada 2008

Strefa chwały

Zachwycił mnie sygnał pewnej audycji w małej stacji radiowej. Rozmowa dotyczyła czyjejś beatyfikacji czy kanonizacji, a zaczęła się od tak zwanego dżingla, w którym niski, tajemniczy głos (taki, jaki kojarzy się z tekstem „Game Over” w grach komputerowych) zapowiadał tytuł audycji: *Strefa chwały*. Niestety, autorzy nie rozwinęli tej zabawy, bo spodziewałem się, że po sygnale pojawi się jakiś rytmiczny motyw muzyczny (taki z *Klossa* albo *Siedemnastu mgnień wiosny*) i lektor powie: „Święty Franciszek już wiedział… Ale o tym w następnym odcinku pod tytułem *Tajemnica firanki siostry koletanki*”.

Użycie głosu typu „Game Over” do zapowiedzi programu *Strefa chwały* jest może zaskakujące, ale jakże skuteczne. Nie wiem, czy sam z siebie szukałbym tej audycji, a jednak trafiając przypadkowo, przez chwilę przy niej zostałem. Twórcy innych programów powinni wykorzystać ten pomysł. *Kraina łagodności*, *Filateliści*, *Domowe przedszkole*…

Może bym tak sam z siebie trochę pożartował? Zwłaszcza że są powody. Nieraz już Państwu opowiadałem, że w swojej pracy konferansjerskiej stosuję często formę „wiersza użytkowego”. Takie pisanie na konkretną okoliczność utworów jednorazowego użytku. Ot na przykład,

gdyby się zdarzyło prowadzić uroczystość otwarcia działu wiertarek w hipermarkecie, wymyśla się na poczekaniu taki:

W serca mego zakamarkach
Prócz miłości jest wiertarka
Mam gdzie swe uczucia chować…
Udarowa… Udarowa…

Wysiłek żaden, a chwilowy sukces murowany. Z tym że trzeba uważać, żeby takie wiersze nie powstawały zbyt szybko. Należy przynajmniej zachować zasadę, że najpierw się wiersz wymyśla, a potem recytuje. Nie odwrotnie. Kilka dni temu prowadziłem uroczystość, po której miał się odbyć występ pani Eweliny Flinty. Wygłosiłem jakąś zaskakującą zapowiedź typu „Przed państwem Ewelina Flinta” i zadowolony z siebie mknąłem w kulisy. Pani Ewelina zatrzymała mnie i powiedziała coś w stylu „A czy mógłby Pan wymyślić jakiś wiersz, w którym będzie rym do »Flinta«?”. Wypaliłem:

I prezydent Clinton
hciałby z taką Flintą.

I dopiero wtedy usłyszałem, co powiedziałem. Wszystkich moich dotychczasowych sympatyków zawiedzionych poziomem tego wiersza przepraszam. Postaram się jeszcze kiedyś napisać coś lepszego. I obiecuję, że zanim wydrukuję czy wyrecytuję, najpierw pomyślę. A wszystkich zachwyconych tym wierszem organizatorów imprez masowych uprzedzam, że terminy mam już zajęte do 2010 roku. Po tym występie zostałem zaangażowany do prowadzenia cyklu imprez „Oktoberfest przez okrągły rok”.

27 listopada 2008

Bajkowy świat dziecka

Dzieci są najważniejsze. Powinniśmy sobie zdawać sprawę z faktu, że gdyby nie dzieci, nie byłoby nas – dorosłych. To co prawda działa też w drugą stronę – gdyby nie dorośli, nie byłoby dzieci. Ale dzieci są ważniejsze. I właśnie dlatego „Cała Polska czyta dzieciom” i „Policja dzieciom”, i wiele innych. I słusznie, o dzieci trzeba dbać. Ale nie wygłupiać się. Nie straszyć dzieckiem. Pamiętam, jak bardzo moją (dziecięcą wówczas) główkę zaprzątała próba zrozumienia hasła wywieszanego kiedyś na plakatach: „Dziecko + zapałki = pożar”. Dlaczego tylko dziecko? A „Dorosły + zapałki = szopka krakowska”? Albo „= wiatrak”? Często widywałem wówczas w telewizji dorosłych panów zajmujących się budowaniem szopek z zapałek, a jeden z moich wujków zrobił z zapałek wiatrak, w którym była żarówka. Wiatrak się nie kręcił, ale za to żarówka słabo świeciła. Wracając do tego przeciwpożarowego równania. Zastanawiałem się, dlaczego tylko takie zadanie ktoś wywiesza na plakatach. Przecież można jeszcze inaczej: „Dziewczynka + zapałki = dziewczynka z zapałkami”, „Dziecko + mama + zapałki + kostka masła + chleb = zakupy”, „Dziecko + dziecko = dwoje dzieci”.

Zainteresowanie dziećmi wzrasta, kiedy zbliżają się jakieś święta. I to nie tylko takie typowo dziecięce, „prezentowe”, jak komunie, mikołajki,

Boże Narodzenie, Dzień Dziecka. Specjaliści od marketingu rozszerzają ten zakres i wykorzystują już każdą okazję. I czasem chyba przesadzają. Dostałem od kogoś plakat festynu „Bajkowy świat Piaseczna”, który odbył się pod koniec października tego roku. Kolorowa kartka, a na niej wymienione atrakcje. Cytuję:

„Bajkowy Świat Piaseczna. Program prowadzi »Krasnoludek Piksel« z telewizyjnego programu »Budzik«, będzie przewodnikiem w świecie krasnali… W tym bajkowym świecie ujrzymy:

– mim, szczudlarz,

– wystawa prac dzieci,

– dużo śpiewu i zabawy,

– malowanie buziek dzieciom,

– konkursy z nagrodami,

– stoisko ze zniczami, SUPERCENA”…

Przed Bożym Narodzeniem uaktywniają się poeci i wierszokleci piszący dla dzieci. Niektórzy nawet wtedy, kiedy tylko informują, że się uaktywniają, to rymują i układają. Ale to dobrzy ludzie. Ze szczerego serca, z czystej miłości i w odruchu szlachetności każdy chce podarować dzieciom coś na gwiazdkę. Jak każdy, to każdy:

Wiersz o tym, co by było, gdyby śnieg nie był biały

Gdyby ktoś spłatał takiego figla,
Gdyby ktoś zrobił takie czary,
Że z nieba spadłby śnieg na ziemię,
Ale nie biały, tylko szary.
Lub jeszcze gorzej – spadłby śnieg

Na łąki, lasy, lisy, sarny,
Ale nie taki śnieżnobiały,
Tylko na przykład czarny.
To wtedy szybko by ruszyły
Na pomoc – ja w to mocno wierzę –
Psy, koty, tchórzofretki
Oraz jeżozwierze.
Jeżozwierze i tchórzofretki
(I to minutkę by trwało)
Wzięłyby farbki i kredki
I pomalowały na biało.
A po tym, co one pomalowały,
Biegałyby psy i koty,
No bo jak śnieg jest już biały,
To co mają do roboty?

11 grudnia 2008

Przepuklina Chaplina, czyli co w okolicy pasa boli Banderasa

Dziadek Karola, emerytowany pracownik Zakładów Mięsnych im. Ignacego i Janka Krasickich, był dziwakiem. Miał sceptyczny stosunek do edukacji. Uważał, że ludzie przesadzają. Twierdził, że w życiu trzeba tylko tyle się nauczyć, żeby umieć uciec przed Niemcem.

– Nie musisz od razu najlepiej na świecie pływać, prowadzić samochód czy jeździć na nartach. Musisz tylko trochę lepiej od goniącego Niemca – często powtarzał synowi.

Czasy, w których powstała ta teoria, dawno minęły, od kilkudziesięciu lat – że zacytuję pewną kabaretową piosenkę – „dookoła sami dobrzy Niemcy”, ale w rodzinie Karola dziadkowe powiedzenie jest ciągle przywoływane. Tata Kazimierz równie wiernie trzymał się tej zasady w szkole (mocny dostateczny miał tylko z wuefu, przysposobienia obronnego i rosyjskiego), jak i w dorosłym życiu, kiedy z Niemiec zaczął sprowadzać używane samochody. Z kolei Karol poszedł na studia tylko po to, żeby uciec przed wojskiem. A jaki to niby ma związek z teorią dziadka? A taki, że komendantem Wojskowej Komendy Uzupełnień w jego miasteczku był major Władysław Niemiec. No i znowu się sprawdziło.

A teraz o mnie. W czasie studiów dziennikarskich zwracano nam uwagę na konieczność wąskiej specjalizacji w tym zawodzie. Dopiero teraz, po kilkunastu latach pracy, zauważam, jak szerokie jest pojęcie „wąskiej specjalizacji”. Zacząłem spisywać tematy, na jakie miałbym okazję wypowiedzieć się w różnych programach telewizyjnych. Mniej więcej raz w tygodniu jestem zapraszany do udziału w różnych rozmowach. Większość poświęconych jest poszukiwaniu odpowiedzi na jakże zaskakujące i ważkie pytanie: „Z czego śmieją się Polacy?”. Ale są też inne. Oto kilka (słowo honoru, że prawdziwe):

– Dlaczego z Białegostoku pochodzi tak wielu tancerzy, z Zielonej Góry kabareciarzy, a z Lublina tak wiele modelek? Odpowiedziałem, że jeszcze bym sprawdził, dlaczego ze Śląska pochodzi tak wielu górników.

– Czy spadochroniarze powinni ćwiczyć „na sucho” (to znaczy na ziemi, a nie w powietrzu)?

– Jaki samolot powinien dostać premier w prezencie od świętego Mikołaja?

– Czy Berlusconi ma poczucie humoru?

Dziadek Karola nie dałby sobie rady w tym zawodzie. Będąc dziennikarzem, nie wystarczy wiedzieć i umieć tylko tyle, żeby uciec przed Niemcem. Trzeba się znać na historii tańca, modelingu i kabaretu, spadochroniarstwie, lotnictwie i włoskiej polityce. No dobrze, wiem, tak naprawdę nie chodzi o to, żeby się znać, tak naprawdę chodzi o to, żeby znana osoba cokolwiek powiedziała. Ale ciekaw jestem, gdzie jest granica tego „czegokolwiek”? Parę dni temu zostałem zaproszony do udziału w edukacyjnym programie telewizyjnym, w którym „gwiazda” opowiadała o jakiejś chorobie, którą kiedyś przeszła, a lekarz wyjaśniał widzom, co to za dolegliwość, skąd się bierze, jakie są jej skutki. Naprawdę! Na razie

odmówiłem, ale jak będzie nagrywana druga seria, w której na przykład jedna „gwiazda” będzie sobie mogła wybrać jakiś ulubiony organ innej „gwiazdy”, a lekarz pokaże, co z nim można zrobić (wyciąć, powiększyć, skrócić, wydrapać na nim skalpelem logo patrona medialnego i sponsora), to może się zdecyduję. Zresztą, jeśli nawet ja na to nie pójdę, to kto wie, co zrobią moje prawnuki, kiedy za kilkadziesiąt lat powstanie „Stacja Ekshumacja”?

18 grudnia 2008

Najlepszego

Marta i Jacek od czternastu lat pod choinką znajdują to samo. Ona za duży stanik i pojemnik uniwersalnego, białego silikonu akrylowego, on książkę. Zawsze tę samą – *Quo vadis?* Sienkiewicza. Ona wie, że on i tak nie przeczyta, ale chodzi o to, żeby książka była gruba. Księgarz zaproponował, że po promocyjnej cenie może jej sprzedać kilkanaście egzemplarzy *Stąd do wieczności* Jamesa Jonesa. Kupi na pewno i będzie miała z głowy prezenty na następnych piętnaście lat. Po pierwsze też grube, po drugie będzie je układała naprzemian na półce, którą Jacek ma na wprost oczu, kiedy kładzie się do łóżka: *Quo vadis?*, *Stąd do wieczności*, *Quo vadis?*, *Stąd do wieczności*, *Quo vadis?*, *Stąd do wieczności*… Od czternastu lat podczas rozpakowywania prezentów rozgrywa się ta sama scena – żadnych życzeń, tylko wymowne spojrzenia na za duży stanik i grubą książkę, a w tle pastorałki w wykonaniu thrashmetalowych zespołów muzycznych (firma Jacka Karton – Gips Hurt sponsoruje Podlaską Ligę Thrashmetalową).

Kolega przeintelektualizowany doktor prawa (ten sam, który swojego psa nazwał Interlokutor) pomysłów na świąteczne prezenty szuka w książkach. Kiedy w ubiegłym roku, czytając *Ostatni zlot aniołów* Pankowskiego, znalazł fragment: „…od Heluni dostałeś na urodziny

fajansowego wieprzka w ubraniu eleganckiego masarza…”, już wiedział, co kupi najbliższym na gwiazdkę. Tyle że w całym Sanoku (dla podniesienia rangi prezentu na zakupy wybrał się do miasta, z którego pochodzi Pankowski) nie znalazł fajansowych wieprzków w ubraniach eleganckich masarzy. W tej sytuacji doszedł do wniosku, że drobne odstępstwa od literackiego pierwowzoru są dopuszczalne – wszyscy dostali po czekoladzie. Jedynie jego syn wyprosił komputer. Ojciec trochę się wahał, ale doszedł do wniosku, że student trzeciego roku informatyki na takie fanaberie może sobie pozwolić. Okazało się tylko, że w Wordzie nie działa mu „ć”. Są wszystkie inne polskie znaki – „ą”, „ę”, „ł”, „ ń”, „ó”, „ś”, „ź”, „ż”, ale „ć” nie ma. Student trzeciego roku informatyki mógłby sobie z tym problemem poradzić, ale ojciec mu zakazał, twierdząc, że taki brak może mieć znaczenie edukacyjne i pozwoli mu (synowi) dbać o więzi międzyludzkie.

– Po pierwsze będziesz musiał uważać na to, co piszesz, a po drugie chodząc do kolegów, żeby na ich komputerach poprawiać wszystkie „c” na „ć”, będziesz utrzymywał prawdziwe kontakty z żywymi ludźmi, nie zamkniesz się w świecie wirtualnym. I może poznasz wreszcie jakąś dziewczynę, bo chciałbym już mieć wnuka, który spałby w łóżeczku „z jasnego orzecha, bardzo obszernym” (Ryszard Kapuściński, *Cesarz*).

Droga Czytelniczko, Drogi Czytelniku, życzę Wam, żebyście w święta pod choinką zawsze znajdowali prezenty nieprzekombinowane, żeby to było coś, co ktoś Wam podaruje z miłości, przyjaźni albo przynajmniej ze szczerej sympatii. Pewnie wiele osób będzie Wam życzyło wszystkiego najlepszego. Nie czuję się uprawniony do wtrącania się w aż tak intymne sfery Waszego życia jak zdrowie, szczęście czy pomyślność, poza tym nie chciałbym przesadzić zbyt roszczeniowym podejściem do losu. No to życzę tylko, żeby Wam ludzie dobrze życzyli i żeby „ć” w Wordzie działało.

24 grudnia 2008

Jak nie będziesz grzeczny…

Zaczynając audycję, nigdy się nie wie, jak zareagują słuchacze. Czasem natychmiast odbiera się dziesiątki listów, nieraz długo czeka się na jeden komentarz. Ale to, co przeżyłem kilka dni temu, przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Otóż zapytałem radiosłuchaczy o to, czym (albo kim) byliśmy straszeni w dzieciństwie? Co słyszeliśmy najczęściej, kiedy rodzic zaczynał zdanie od: „jak nie będziesz grzeczny…”? Dostałem tyle listów, że kilka dni zajęło mi samo ich przeglądanie. Postanowiłem je zebrać i najciekawsze zacytować tutaj, bo to trzeba ocalić! Pomysłowość ludzka w tej sferze jest nieokiełznana.

Duchy i dziwne stwory pod różnymi nazwami (Dziad, Kręcioł, Babok, Kumoch, Hapun) to normalka. Niektóre być może nawet naprawdę istnieją: „…mój wujek straszy swojego trzyletniego wnuka »babą z PGR-u«, która przyjdzie wypędzlować buzię tym, którzy kłamią” (Ola ze Szczecina). Można w tych opowieściach znaleźć projekcje własnych marzeń: „…babcia zawsze nas straszyła, że przyjdzie »Tytko« tudzież »Dytko« z »czerwoną pytką«. Po latach, gdy nasza wyobraźnia jest o wiele bogatsza, zastanawiamy się z siostrą, czy może czasem babcia – cokolwiek by to było – sama się tego wtedy bała, choć przypuszczamy, że mogła to być tylko kokieteria starszej pani…” (Artur z Mławy*)*. Babcie, wydawałoby się

mistrzynie świata w łagodności i czułości, pedagogiczna fantazja potrafiła ponieść daleko: „…straszak mojej babci: jeśli nie będziesz grzeczna, to przyjdą kurze płucka na pajęczych nóżkach i wciągną cię za obrazek…” (Ania). Wykorzystywali dorośli braki w wykształceniu kilkuletnich dzieci: „…połknąłeś pestkę – wyrośnie ci drzewo z brzucha (Boże, jak ja bałem się tych gałęzi wystających z buzi), piłeś wodę nieprzegotowaną – żaby w brzuchu się zalęgną – tutaj strach przed mówieniem i jednoczesnym pluciem żabami” (Marcin). Starali się zaimponować wiedzą: „Mój kuzyn był straszony serią bolesnych zastrzyków ugrzeczniających o nazwie cropidum punctatum” (Gosia); „Straszono nas Gembonem Matematykiem, który mieszkał na strychu, jadł suszone logarytmy, a z niegrzecznych dzieci wyciągał pierwiastki” (Józek); „Mój tata straszył wszystkich policją municypalną i jakąś bliżej nieokreśloną komisją. Efekt był taki, że losowania totolotka budziły ogromną panikę – w końcu występowała tam komisja gier liczbowych i totalizatora sportowego” (Hania). Można było w tych „strachach” znaleźć ślady poglądów politycznych osób straszących: „A mnie tatuś straszył, że jak będę niegrzeczna, to mnie zapisze do ZMS-u” (Anna z Tarnowskich Gór); „Córeczka moich znajomych straszona jest bolszewikami. Kiedyś w górach pouczała swojego małego kolegę: – Ty się wiatru nie bój. Bolszewików się bój” (Kasia). Starali się rodzice nawet taką sytuację wykorzystać do kształtowania gustu potomka: „Mnie straszono Demisem Roussosem. To nie żart. Zawsze wydawało mi się, że ten wielki pan z brodą przyjedzie do mnie…” (Daniel z Jeleniej Góry); „… przysłuchuję się dzisiejszej audycji i nie mogę się powstrzymać, muszę napisać o pomysłowości mojej mamy, która mnie i moje siostry straszyła, mówiąc: »idzie grupa Vox«. Rezultat był znakomity” (Natalia z Bydgoszczy).

Byli oczywiście Cyganie porywający dzieci (albo w łagodniejszej wersji – kupujący od rodziców, którzy sprzedawali te niegrzeczne), była czarna wołga. Opowieść o tym luksusowym pojeździe produkcji radzieckiej znam z własnego dzieciństwa. Jak mi donieśli słuchacze, potem też były „strachy motoryzacyjne”. Podobno w latach dziewięćdziesiątych dzieci porywało białe audi. A teraz, jak ktoś zauważył, mogłoby porywać stare czarne bmw z odzianymi na sportowo młodzieńcami w środku.

Jeszcze raz przeczytałem zacytowane powyżej dowody przemocy pedagogicznej i postanowiłem jakoś zareagować. Napisałem coś, co może być odwetem na dorosłych.

Drogie dzieci, jeśli będziecie kiedyś chciały postraszyć mamusię, tatusia, dziadka bądź babcię, nie zachowujcie się jak dorośli. Nie stosujcie tanich chwytów, nie wmawiajcie im, że porwą ich Cyganie czarną wołgą (bo jeszcze jedną na chodzie mają w Pabianicach). Nauczcie się tego wierszyka i recytujcie w sytuacji wyższej konieczności.

Jak nie będziesz grzeczny, to:

Z konta znikną ci złotówki,
Żmija cię ukąsi,
Przy wkręcaniu żarówki
Mały elektrowstrząsik,
Zaboli cię kolano
I zabraknie ci tlenu,
Córka ci wyjdzie za mąż
Za działacza PZPN-u,
Zgubisz ostatni grzebień
I ząb cię rozboli,
Ktoś naśle na ciebie

Najwyższą Izbę Kontroli,
A na koniec pół Lublina
Dowie się, że masz nieślubnego syna,
I nikt nie zapłacze nad twoim losem,
Nawet grupa Vox z Demisem Roussosem.

29 stycznia 2009

Paluszek i główka, czyli żona rodzi

Dopiero kiedy zostaje się nauczycielem, widzi się, jak naiwnie brzmią różne uczniowskie wymówki. „Napisałem wypracowanie, ale go nie przyniosłem, bo tata wychodząc rano do pracy, nie znalazł papieru śniadaniowego, wyrwał kartki z mojego zeszytu i w wypracowanie zapakował kanapki”. Miałem kolegę, który wiecznie „miał babcię w szpitalu”. Wprawdzie potem się okazało, że nie kłamał, bo jego babcia była salową, ale dlaczego w związku z tym przynajmniej raz w tygodniu nie przychodził do szkoły?

Podejrzewam, że podobnie bywa z kierowcami zatrzymanymi przez drogówkę. Co tam podejrzewam, wiem. Przecież zdarzało mi się nie zauważyć, że jest się w terenie zabudowanym, i w związku z tym panicznie poszukiwać jakiegoś sensownego wytłumaczenia pośpiechu. Przypuszczam, że są kierowcy, którzy na przykład stosują metodę „Panie władzo, spieszę się, bo żona właśnie rodzi”. Oczywiście może się zdarzyć, że tę samą formułkę już drugi raz w tym tygodniu przedstawiają temu samemu policjantowi, co sugerowałoby albo wyjątkowo długi poród, albo bigamię (a za to chyba jest więcej punktów karnych niż za przekroczenie prędkości). Gdyby badania demograficzne oprzeć na wymówkach kierowców zatrzymanych przez drogówkę, mielibyśmy jeden z

najwyższych wskaźników przyrostu naturalnego na świecie. Jednak przy odrobinie dobrej woli można uznać, że to nie zawsze są kłamstwa. Przecież kierowca nie mówi, że to jego żona rodzi. A statystycznie rzecz biorąc, w każdej minucie „właśnie rodzi” czyjaś żona. Tylko dlaczego tak pędzić do porodu cudzej żony? Panowie policjanci, nie wnikajcie tak szczegółowo w intymne sprawy kierowców. Przecież może się zdarzyć, że to wy będziecie musieli kiedyś szukać jakiegoś wytłumaczenia. Jestem chyba jednym z niewielu kierowców, którym tłumaczyła się drogówka. Naprawdę! Otóż jakiś czas temu zatrzymał mnie patrol z radarem (w języku użytkowników CB „złapały mnie misiaczki z suszareczką”). Wina była ewidentna, więc nie dyskutowałem, powiedziałem tylko:

– Przepraszam, panowie, trochę się rozpędziłem, ale to dlatego, że za pół godziny mam poprowadzić w radiu audycję z ministrem spraw wewnętrznych, premierem, prezydentem i sekretarzem generalnym ONZ na temat tego, dlaczego policja tak mało zarabia i że natychmiast powinno się zrobić wszystko, żeby ją dofinansować. No ale trudno, jak nie zdążę, to zrobi za mnie kolega o służbie zdrowia.

Pan policjant wziął moje dokumenty, ale zauważyłem, że nie nimi się interesuje. Patrzy w radar i lekko puka w niego palcem. Po czym oddał mi dowód i prawo jazdy, zasalutował i powiedział, że mogę jechać.

– Jak to tak? Nawet bez pouczenia? – udałem zmartwionego.

– Nie powiem panu, o co chodzi, bo się pan potem będzie z nas w tych kabaretach wyśmiewał.

– Przysięgam, ani słowa.

– No dobra, to niech pan spojrzy na ekran radaru.

„941 km/h”. Byłem dumny. Z siebie i ze swojego samochodu. Pan policjant wyglądał na mniej zadowolonego ze stanu technicznego sprzętu, na którym pracuje. Nie oczekiwałem usprawiedliwienia. Bo co miał

wymyślać? Że przez pomyłkę wzięli radar służby kontroli ruchu lotniczego?

Dowiedziałem się, że toczą się przed sądami sprawy policjantów, którzy zbyt szybko ścigali uciekających przed nimi piratów drogowych. Na pytanie: „Dlaczego w terenie zabudowanym pędził pan za przestępcą z prędkością wyższą niż 50 kilometrów na godzinę?” spróbujcie odpowiedzieć: „Bo mam babcię w szpitalu, Wysoki Sądzie”. Może nie od razu wygracie, ale przynajmniej sprawa się przeciągnie, bo skierują was na badania.

Styczeń 2009 („Policja 997”)

W pierwszych słowach mojego listu…

…zawiadamiam Was, że jestem zdrów, którego to zdrowia i Wam życzę. Tak się zaczynał każdy list, który tata wysyłał, będąc za granicą. I można powiedzieć, że to frazes, że wata słowna. Ale kiedy się z utęsknieniem czekało na jakąkolwiek wiadomość i zaraz po otwarciu koperty dowiadywało się, że tata szczęśliwie jest zdrów i szczerze nam tego zdrowia życzy, było to naprawdę ważne zdanie. Bo otwarcie, zagajenie, rozpoczęcie są najważniejsze.

Za każdym razem, kiedy przygotowuję się do rozmowy z gościem mojej radiowej audycji, najdłużej głowię się nad pierwszym pytaniem. Jeśli ono będzie dobre, to reszta jakoś pójdzie. Oczywiście przez wiele lat korzystałem ze skarbnicy wiedzy dziennikarskiej i zadawałem pytania typu: „Jak to się zaczęło?”, „Skąd pomysł na nazwę?”, „Skąd pan/pani czerpie pomysły?”. Wtedy zazwyczaj na twarzy rozmówcy pojawiał się wyraz smutku. Dopiero po jakimś czasie zrozumiałem, że nikt przy zdrowych zmysłach nie jest w stanie bez złośliwości po raz setny odpowiedzieć na pytanie o źródło, z którego czerpie pomysły. Kiedy człowiek, przepraszam – dziennikarz, uświadomi sobie beznadziejność takich pytań, zaczyna silić się na oryginalność. I znowu najlepiej zilustrować to własnym przykładem. Sam tego nie pamiętałem, bo takie przeżycia łatwo wypieram z pamięci, ale przypomniał mi kolega ze studiów, że kiedyś zostałem wysłany przez radio na poważne sympozjum polonistów poświęcone twórczości Marii Konopnickiej. I takiemu najważniejszemu profesorowi, który napisał sześć

książek poświęconych drugiej zwrotce *Roty* i wie, w którym momencie pisania *Nocy* złamała się poetce stalówka, ja, młody redaktor, bezczelnie zadałem pytanie: „Panie profesorze, co słonko widziało?”.

Szukając inspiracji, zajrzałem do książki *Sami o sobie* – zbioru wywiadów z ludźmi kultury, które w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych przeprowadzała mistrzyni tego gatunku dziennikarstwa Krystyna Nastulanka. I trafiłem na perłę. Rozmowa z Tadeuszem Konwickim z 1964 roku. Mogła się zacząć od „czerpania pomysłów”, mogło być oryginalnie i obficie, na przykład: „Czy nie uważa pan, że literatura schodzi ze swego wieszczego diapazonu i zaczyna się przekwalifikowywać na pielęgniarza, łaziebnego, którego zadaniem jest troska o sfrustrowanego i umęczonego decybelami człowieka współczesnej cywilizacji?”. Tymczasem pani Krysia (pozwalam sobie tak pisać, bo miałem szczęście Ją znać) zaczyna rozmowę z wybitnym twórcą od pytania: „Co słychać?”. No i dalej już się samo pięknie toczy.

Panowie, którzy w centrum miasta za kilka złotych chętnie popilnują auta, intuicyjnie wyczuwają wagę zagajenia. I dlatego zwyczajowe: „Popilnować?” poprzedzają rozluźniającym „Kierowniku”, „Prezesie”, „Mistrzu”. Zauważyłem, że dostosowują się do rosnących wymagań parkujących i konkurencji na rynku. Parę dni temu usłyszałem: „Popilnować, kierowniku? I czy ulotki wyjmować zza wycieraczki, czy mają zostawać?”.

Ileż sympatyczniejsze byłyby nasze debaty publiczne, gdyby każda zaczynała się od takiego ludzkiego otwarcia. Interpelacja: „Panie Marszałku, Panie Posłanki, Panowie Posłowie, w pierwszych słowach mojej interpelacji zawiadamiam Was, że jestem zdrów, którego to zdrowia i Wam życzę…”. Gdyby w Konstytucji RP znalazł się przejaw takiego normalnego zainteresowania zwykłym człowiekiem. No dobrze, może nie

w preambule, ale na początku pierwszego rozdziału: Art. 1 – Co słychać? Art. 2 – Rzeczpospolita Polska jest dobrem wspólnym wszystkich obywateli. Art. 3 – Rzeczpospolita Polska jest demokratycznym państwem prawnym, urzeczywistniającym zasady sprawiedliwości społecznej. Art. 4 – Ulotki wyjmować?

19 lutego 2009

Skojarzenia

Z zaciekawieniem przyglądam się ludziom czekającym na korytarzach urzędów. Obserwuję, co robią. Dzwonią, wysyłają esemesy albo oddają się grom komputerowym zainstalowanym w telefonach komórkowych. Są tacy, którzy czytają gazety, niektórzy jedzą, zdarzają się panie, które robią sobie manikiur (co ciekawe, nie widziałem żadnej kobiety robiącej sobie pedikiur w poczekalni na przykład wydziału komunikacji). Wreszcie jest trochę takich, którzy z zaciekawieniem przyglądają się ludziom czekającym na korytarzach urzędów. Obserwują, co robią. Jak już mi się znudzi obserwowanie, bawię się w skojarzenia. Uważnie czytam wszystkie wywieszki, komunikaty, ogłoszenia. A potem zaczynam je sobie z czymś kojarzyć. Albo z kimś. Tam, gdzie byłem wczoraj, wywieszono tablice „Chrońmy nasze płazy”. Na tym piętrze jest wydział ochrony środowiska. „Żaba brunatna – płaz bezogonowy z rodzaju *Rana*, charakteryzujący się mniej lub bardziej brązową barwą grzbietu (z wyjątkiem samca żaby moczarowej w okresie godowym), posiada dobrze zaznaczoną ciemną plamę skroniową…”. Na przykład Jurek. Nie widziałem co prawda jego grzbietu, ale pewnie może być mniej lub bardziej brązowy. „Poza okresem godowym prowadzi lądowy tryb życia”. Zgadza się. Do czerwca, bo później na dwa miesiące jedzie na żagle. I prawdę mówiąc, jest to pewna

forma okresu godowego. Można go też uznać za samca „Moczarowej”. Tak nazywamy jego żonę. Ze względu na subtelność i delikatność do złudzenia przypominające maniery szefa ubeków z czasów komuny. Podejrzewam, że to na skutek jej działań przez ostatnie dwa tygodnie Jurek był trochę rodzaju *Rana* i miał bardzo dobrze zaznaczoną ciemną plamę skroniową. On twierdzi, że to ślad po treningu. Założył z kolegami Hokejową Amatorską Ligę Naukowców „HALINA” i przygotowują się do meczu inauguracyjnego „PAN kontra IPN”.

Znalazłem też plakat z napisem „Żaba moczarowa”. Część opisu idealnie pasuje do Haliny: „Ciało delikatnej budowy, oczy wypukłe, skóra cienka i gładka”. A że razem byliśmy kiedyś na łódce, to wiem, że również „na grzbiecie ciała wyraźnie widoczne fałdy grzbietowe”. Natomiast nie zgodziłbym się z twierdzeniem, że „jest aktywna głównie w dzień”, i że „w Polsce występuje dość pospolicie, ale wyłącznie na nizinach”. Pamiętam jej występ na dansingu w Białym Dunajcu. To było po drugiej w nocy i na pewno nie było pospolite. W każdym razie na tyle, że jacyś Słowacy zaproponowali jej podpisanie kontraktu na trzy sezony występów w barze Extravaganca w Starym Smokovcu. Ale nic z tego nie wyszło, bo najpierw ona się awanturowała, że niby dlaczego w Starym, a potem oni zrezygnowali, kiedy się zorientowali, że to nie drag queen, tylko prawdziwa kobieta, a w tym stroju chodzi czasem do pracy w szkole.

Nie po raz pierwszy dowiedziałem się też, z kim ja się ludziom kojarzę. Ale to akurat skojarzenie przyjemne. Ktoś mi przysłał wycinek z ukazującego się w Katowicach „Dziennika Zachodniego” z 23 stycznia 2009 r. Na stronie z zapowiedziami imprez kulturalnych można przeczytać: „Piotr Bałtroczyk pojawi się w Chorzowie i Dąbrowie Górniczej”. A obok… moje zdjęcie. I odesłanie do trzeciej strony. Tam z kolei wielki tytuł: „Bałtroczyk dwa razy na żywo”, obszerna opowieść o zawodowym

życiu mojego znakomitego kolegi (o tym, że bywa poetą lirycznym, że uczył studentów, o prowadzonych przez niego programach telewizyjnych) i nie mniejsza… moja fotografia. Ujęcie od dołu, znacznie poszerzające i tak już niewąską twarz Artura Andrusa, i podpis pod zdjęciem: „Piotr Bałtroczyk to kabareciarz pełną gębą”. Pełna gęba? No, najdelikatniej nie zostałem potraktowany! Ale mogło być gorzej. Gdyby ten ktoś, kto wymyśla w gazecie podpisy pod zdjęcia, bawił się w skojarzenia i cytował teksty z plakatów wywieszonych na korytarzu wydziału ochrony środowiska, to kto wie, czy pod moją podobizną nie zostałoby napisane: „pysk jak u żaby trawnej – stosunkowo szeroki, ale bardziej zaostrzony niż u żaby wodnej”.

26 lutego 2009

Żuj rzeżuchę

Na święta jak zwykle przyjeżdża z Ameryki ciotka Zośka. Tym razem nie sama. Przywozi ze sobą przyjaciółkę. Jane, emerytowana policjantka, jest podobno urocza i fascynuje się Polską. Chcąc zaimponować ciotce Zośce, zaczęła się samodzielnie uczyć naszego języka. Pierwsze słowa, jakie opanowała, pochodzą z okładki płyty Kazika, którą kilka lat wcześniej Zocha podarowała jej na urodziny. Zatem początkiem jej przygody z językiem polskim było jakże słowiańsko brzmiące: *Las Maquinas de la Muerte*.

Cała rodzina postanowiła włączyć się aktywnie w edukację Jane i przy świątecznym stole mamy zamiar nauczyć ją kilku zdań. Tylko jakich? Czasem w takich kłopotliwych sytuacjach zwracam się do bardziej doświadczonych ode mnie. Poprosiłem o pomoc słuchaczy mojej audycji. Zapytałem, jakie były pierwsze słowa, których nauczyli swoich znajomych obcokrajowców. Kiedy zaczęły spływać listy z cytatami, poprosiłem o przysyłanie „drugich słów”, bo te pierwsze nie nadają się do przeczytania w radiu. Ale w tych „drugich słowach” (czyli tych, których uczymy obcokrajowca zaraz po opanowaniu przez niego: k…, ch…, p…) wykazujemy niezwykłą pomysłowość. Oto kilka opowieści moich słuchaczy – wszystko autentyki!

Natalia: Podczas podróży autostopem po Europie poznałam we Francji pewnego Włocha, który przyjechał tam na studia. Nie znał ani jednego słowa w języku francuskim, ale za to nauczył się, będąc niegdyś w Krakowie, kilku zdań – „Babcia śpi na wycieraczce”, „Kot pali fajkę”, „A ja jestem trzeźwy”.

Przemek i Ela: Właśnie wróciliśmy z Egiptu. Tubylcy dopytywali się, co znaczy „dobra, dobra zupa z bobra”?

Kinga: W ubiegłym roku na regatach spotkaliśmy pewnego pana, bodajże Anglika, który dowiedziawszy się, że jesteśmy Polakami, powiedział z dumą, że zna trzy słowa po polsku na „dż” – „dżen dobry”, „dżenkuje” i „dżyn-tonik”.

Krzysztof: Moi irlandzcy współpracownicy w biurze architektonicznym w Dublinie znali po polsku tylko dwa słowa – żaba i kijanka. Co ciekawe – nie znali przekleństw. Nie jestem w stanie sobie przypomnieć, dlaczego były to akurat te wyrazy… Ale powtarzali je z upodobaniem.

Marek: „Pracowałem z Duńczykiem, który twierdził, że miał kiedyś dziewczynę polskiego pochodzenia i w związku z tym zna jedno słowo po polsku. Cytuję: „Krokodylek”.

Anna: Uczyliśmy polskiego znajomych Włochów. Poza typowymi zwrotami grzecznościowymi i słowami powszechnie uznawanymi za obraźliwe, jednego z nich nauczyliśmy bardzo przydatnego zwrotu „Jem kartofle”. Był bardzo pojętny, ale siadając do stołu, mówił „Dobranoc”.

Kasia: Mój kolega, chcąc pomóc swojemu koledze Hiszpanowi zabłysnąć na pierwszej randce z Polką, nauczył go kulturalnego zwrotu – „Jaką paszę preferujesz?”.

I na koniec opowieść o tym, jak się może skończyć takie nauczanie.

Łukasz: Jestem lektorem języka polskiego na Uniwersytecie Wrocławskim, dwa lata temu moi studenci (głównie Azjaci) na zakończenie kursu kupili mi kwiaty ze wstęgą „Ostatnie pożegnanie”.

Ja postaram się wmówić Jane, że jeśli podczas wielkanocnego śniadania chce komuś życzyć „smacznego”, powinna powiedzieć: „Żuj rzeżuchę i żryj żur”. Podobno najłatwiej zapamiętuje się coś napisanego do rymu, dlatego zabrałem się za układanie wiersza, który może pomóc Jane i innym obcokrajowcom uczącym się polskiego:

Żuj rzeżuchę i żryj żur,
Krokodylkiem cię postraszę,
Żuj rzeżuchę i żryj żur,
Preferujmy taką paszę.

4 kwietnia 2009

Zanika płeć?

Parę miesięcy temu we wszystkich gazetach i na wszystkich portalach internetowych pojawiła się informacja o tym, że zwalnianym z pracy szczecińskim stoczniowcom powiatowy urząd pracy zaproponował szkolenia zmieniające kwalifikacje. Między innymi kurs układania kwiatów, makijażu czy manikiuru. Złośliwym żartom na temat głupoty urzędników nie było końca. A ja chciałbym tylko zauważyć, że dyskusja na temat zmian w tradycyjnym podziale płci i co za tym idzie zmian w podziale ról w społeczeństwie trwa u nas od wielu lat. Artyści kabaretowi zwracali uwagę na ten proces wielokrotnie. Pod koniec lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku, w kabarecie „Hybrydy”, Jonasz Kofta i Jan Raczkowski ostrzegali, że:

Nie ma już mężczyzn, przegrali wyścig,
Zostali chłopcy i kulturyści,
Każdy się czuje jak zmięty śmieć!
Zanika płeć! Zanika płeć!

A jakiś czas później artyści kabaretu „Tey” zwracali się do polskiej kobiety z zestawem dramatycznych pytań:

Czy będziesz rodzić zdrowe dzieci?
Czy dasz mi tego szczęścia łyk?
Czy będziesz rodzić zdrowe dzieci?
Silne jak tur, zdrowe jak byk?

równocześnie ostrzegając, że:

…jeśli temu nie podołasz,
Zrobię ci wstyd – urodzę sam!

Czy coś się w ciągu kilkudziesięciu lat zmieniło? Chyba po prostu oswoiliśmy się z tym procesem. Nikogo nie dziwi, że konkurs piękności wygrywa policjant (proszę sprawdzić wyniki wyborów tegorocznego finału Mister Poland), że były siłacz, człowiek, który jeszcze niedawno trzymając w zębach linkę holowniczą, przeciągał wagon, na którym stał kuter rybacki wypełniony po brzegi norweskim łososiem, teraz tańczy, zachwycając jurorów i publiczność „subtelnym drganiem bioder”. Ale jakże męskich! Jedno drgnienie jego bioder podczas nagrania programu w Warszawie wywołuje natychmiastowe tąpnięcia w kopalniach na Górnym Śląsku.

Co teraz? Oczywiście można szukać winnych, chociaż to bez sensu, bo bez względu na stan faktyczny i tak znajdą się tacy, którzy stwierdzą, że zanikanie płci to efekt porozumień Okrągłego Stołu. Można zrzucić winę na dziennikarzy i żądać zmian w mediach publicznych. Na przykład zlikwidować TVP Kultura odpowiedzialną za patologiczny wzrost wrażliwości u widzów i powołać na jej miejsce TVP Kulturystyka. Wystarczy tylko lekko zmienić logo i scenografię. W związku z kłopotami finansowymi nie zmieniałbym prowadzących. A co, to nie można rozmawiać z wybitnym pisarzem, równocześnie ćwicząc na atlasie? Ale najprościej po prostu zaakceptować, przyzwyczaić się. To wszystko kwestia

umowy. No, może prawie wszystko. Wszystko poza rodzeniem dzieci. W XXI wieku zbudować dom i posadzić drzewo może każda kobieta. Nie podnośmy sobie sztucznie wymagań. Jako podsumowanie tych rozważań chciałbym zadedykować współczesnemu mężczyźnie:

Wiersz o tym, że rzekomo coś się stało z prawdziwymi mężczyznami

Dom zbudował, syna spłodził,
Drzewo wsadził w ziemię żyzną,
Oto dowód, że mężczyzna…
Że mężczyzna jest mężczyzną.

Ta zasada nie pasuje
Do mojego brata Jurka:
Mieszka w bloku, nie ma szpadla,
Urodziła mu się córka,

Nie buduje i nie sadzi,
Synem też się już nie zajął.
Oj, panowie, strasznie nam się
Wymagania obniżają…

Jak tak dalej pójdzie, to
Dwa warunki nam wystarczą:
Trzeba będzie mieć depresję
I działalność gospodarczą.

Kwiecień 2009 („Prime”)

Przejściowe trudności i chwilowe wahania

To tylko kwestia nazewnictwa. Pamiętam takie czasy, kiedy na półkach w sklepach nie było niczego poza jednym rodzajem octu, a oficjalnie w telewizji nikt nie używał słowa „kryzys”. Mówiło się najwyżej o „przejściowych trudnościach w zaopatrzeniu”. A kiedy oprócz octu do sklepów trafiały znienacka inne artykuły (na przykład kawa zbożowa, zapałki i klej „Guma arabska”), gazety natychmiast pisały o „pokonaniu przejściowych trudności w zaopatrzeniu”. A teraz? W każdym osiedlowym sklepiku: ocet balsamiczny, jabłkowy, ryżowy biały, ryżowy czarny, spirytusowy, winny, a wrzask, że „kryzys światowy”! Chyba że aktualny stan gospodarki ocenia się na podstawie dostępności gumy arabskiej? Rzeczywiście dawno nie widziałem.

W każdym razie można to jakoś delikatniej nazwać. „Chwilowe zawirowania”, „przejściowe trudności”, „krótkotrwałe i ledwo odczuwalne wahania na światowych rynkach finansowych”. Zresztą po co to rozciągać na cały świat? Wybrać losowo jakiś region i nazwać to, co się teraz dzieje, na przykład „krótkotrwałymi i ledwo odczuwalnymi wahaniami na rynkach finansowych w okolicach Brzezin i Koluszek”. Prawda, że brzmi lepiej niż „kryzys światowy”?

To zjawisko, które jakkolwiek zostałoby nazwane, podobno istnieje, wymusza na ludziach jakieś działania. Przede wszystkim trzeba pokazać, że się oszczędza. Na każdym poziomie. Parlament ogranicza finansowanie partii politycznych, w korporacjach tnie się wydatki na podróże i ciastka, częściej wyłącza ksero i jednorazowe kubki do kawy zastępuje tradycyjnymi, które do umycia należy po pracy zabierać do domu (bo służbową wodę się oszczędza). A właśnie. Słowo „oszczędzanie” też nie brzmi najprzyjemniej. Tylko czym je zastąpić? „Racjonalizacja”? Nudne i nadęte. Widząc, jak u mnie wygląda to zjawisko, nazwałbym je „precyzyjniejszym szastaniem”. Ale to się nie przyjmie. Już widzę premiera i prezydenta wygłaszających wspólne orędzie (bo to taniej niż dwa oddzielne), w którym namawiają rodaków do „precyzyjniejszego szastania”…

Doczytałem, że i w policji szuka się oszczędności. Chciałbym podrzucić parę pomysłów. Za ich sensowność nie ręczę, ale co szkodzi spróbować? Na przykład kajdanki. Widziałem gdzieś w telewizji (bo nawet jeśli używam, to się publicznie nie przyznam) takie obszyte różowym futerkiem. Można się dogadać z producentem tych gadżetów i wspólnie na tym zarobić. Te policyjne dać do obszycia i wypożyczać w godzinach, kiedy nie są używane w służbie (a to można uregulować – ustalić, że akcje z użyciem kajdanek odbywają się w godzinach 6.00–22.00, a potem należy je zdeponować w wypożyczalni). Jeśli trzeba by było sprzedać trochę samochodów służbowych – nie sprzedawać byle jak, wystawić na aukcję internetową. Jeśli każdy z radiowozów będzie miał certyfikat z informacją, kto był nim przewożony do aresztu („Masa”, Kiełbasa”, „Mortadela”), na pewno znajdą się kolekcjonerzy, którzy zapłacą dużo ponad cenę wywoławczą. Zresztą gdyby nawet sprzedawany radiowóz nie miał tak romantycznej historii, kto to sprawdzi? Skąd kolekcjoner, który parę lat

temu kupił cadillaca coupe de ville DFO 301 z 1960 roku, mógł mieć stuprocentową pewność, że jeździł nim Elvis Presley? Więc co stoi na przeszkodzie, żeby spróbować zlicytować „radiowóz KIA rocznik 2008, którym wielokrotnie była wożona Mona Lisa”? Nie trzeba od razu ujawniać, że to pseudonim mieszkającej na warszawskiej Pradze nestorki półświatka, o której mawiają, że była naocznym świadkiem powstawania najstarszego zawodu świata. Dla dobra resortu nie zawahałbym się również wystawić na aukcji srebrnego nieoznakowanego VW passata z okolic Nowego Dworu Mazowieckiego, dzięki któremu 8 punktów karnych złapał pewien artysta kabaretowy pisujący felietony do magazynu „Policja 997”.

Kwiecień 2009 („Policja 997”)

Inteligenckie Zabawy Towarzyskie

„Rymowanie do cieku”

Dostałem w prezencie kolejną partię archiwalnych nagrań z Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu. Znajomi wiedzą, że to moja pasja, więc w antykwariatach i na aukcjach internetowych kupują takie publikacje i wręczają z wyrazem sadystycznego zadowolenia na twarzy. Podejrzewam, że jest to forma eliminowania mnie z życia towarzyskiego, ponieważ zawsze, kiedy dostanę coś takiego, znikam na parę dni i słucham albo czytam. Jeśli to przemyślana taktyka tak zwanych przyjaciół, mająca na celu pozbycie się mnie na jakiś czas, to nie wiedzą, że szykuję zemstę. Z nagrań, które od nich dostałem, przygotowuję płytę, przy której będą się musieli bawić w czasie najbliższego sylwestra. Ciekawe, jak im się będzie tańczyło do następujących kawałków (wszystko autentyki): *Szoso wyboista*, *Żeby Kaśka była zdrowa*, *Kombatanci, kombatanci*, *Kołysz się, manierko*, *Beret w kolorze nieba*, *Bliźniaki, sierżant wzywa*, *Na nieparzystej stronie nieba*, *Marsz plutonu gospodarczego*?

Jedna z piosenek mojego ulubionego autora, Janusza Przymanowskiego, podsunęła mi pomysł nowej zabawy towarzyskiej. Utwór nosi tytuł *Parsęta*. To jest śpiewany, momentami drastyczny, opis walk o Kołobrzeg („Ośmiu było fizylierów w drużynie szturmowej, kiedy braliśmy gazownię, jeden dostał w głowę…"). Kończy się, podbudowaną lekkim erotyzmem, powojenną puentą: „Dziś po plaży takie chodzą frontowe dziewczyny, gdy ci błysną, to jak order za żołnierskie czyny". Ale najważniejszy jest refren:

Płynie przez Kołobrzeg – Parsęta, Parsęta.…
Dziesięć dni kto przeżył, pamięta, pamięta.

Oto zasady zabawy towarzyskiej, którą nazwałem „Rymowaniem do cieków wodnych". Siadamy naprzeciwko siebie, ktoś podaje nazwę rzeki, a ktoś wywołany ma za zadanie natychmiast odpowiedzieć wierszem, rymując do tej nazwy. Nazwa cieku ma się pojawić w wierszu dwukrotnie. Za podanie nazwy miejscowości, przez którą płynie, osoba odpowiadająca dostaje dodatkowy punkt, kolejny można dostać, jeśli historia opowiedziana w wierszu jest prawdziwa lub zaczerpnięta z literatury. Przykłady:

Płynie przez Warszawę, płynie Wisła, Wisła…
Miałem ja dziewczynę, ale z innym prysła.

Płynie przez Koniecpol – Pilica, Pilica…
Oleńka, Oleńka kochała Kmicica.

Na pewnym etapie zabawy można dopuścić używanie nazw zagranicznych cieków wodnych:

Płynie przez Santa Fe – Parana, Parana…
Nasza pani burmistrz jest skorumpowana.

Środkiem Baden-Baden płynie Oos, Oos…
Ciekawe, czy tutaj też działał Hans Kloss?

Nierówności rytmiczne i rymowe w powyższym przykładzie (długie „O” w nazwie rzeki i krótkie w nazwisku bohatera filmu) rekompensuje podwójna nazwa miejscowości, przez którą płynie dany ciek wodny. Za taką nazwę należą się dodatkowo dwa punkty.

Uwaga! Wiem z doświadczenia, że zwłaszcza w przypadku zagranicznych cieków zawsze trafi się ktoś, kto chce zagiąć i poda jakąś bardzo skomplikowaną nazwę. Kilka dni temu dostałem do zrymowania „Jangcy”. Wtedy natychmiast wprowadziłem zasadę, że nie traci punktu ten, kto wykona tak zwany Zwrot Patriotyczny. Wygląda to tak:

Płynie Jangcy, Jangcy, szlak tej rzeki kręty…
Ale gdzież tam Jangcy do naszej Parsęty!

7 maja 2009

ŚOK

Zasłyszane w księgarni:

– Ma pani przewodnik po Górnym Śląsku?

– Nie, ale mam po Dolnym.

Już miałem się wtrącić i złośliwie zapytać, czy zamiast przewodnika po Wielkopolsce pani ekspedientka poleciłaby przewodnik po Małopolsce? Ale nie zdążyłem nic powiedzieć, bo mnie zatkało. Pan pytający o przewodnik po Górnym Śląsku na propozycję kupna tego po Dolnym odpowiedział:

– Dobrze, poproszę.

Denerwują mnie tego typu propozycje. „Jest schabowy? Nie, ale są rurki z kremem”. „Jest »Rycerz Niepokalanej«? Nie ma, ale jest »Trybuna«”. „Ma pani coś skutecznego na gardło? Nie, ale mam coś nieskutecznego na żołądek”. Jednak opisane powyżej zdarzenie w księgarni dało mi do myślenia. Może nie wszystkie takie propozycje są głupie? Może komuś poszukującemu danej rzeczy chodzi tylko o jakąś część wspólną? O cokolwiek do zjedzenia, cokolwiek do poczytania, jakikolwiek lek?

Jeśli ktoś chce zwiedzić wyłącznie dolinę Stobrawy leżącej na granicy pomiędzy Śląskiem Górnym a Dolnym, to co mu za różnica, w którym przewodniku to wyczyta? Wydawcy przewodników powinni uwzględniać geograficzne i historyczne „zazębianie się” różnych terenów. Wtedy

spokojnie na pytanie: „Jest przewodnik po Czechach?” – można by odpowiedzieć propozycją: „Nie, ale jest po Polsce”. Albo: „Jest coś o Polsce? Nie ma, ale jest coś o Ukrainie”, „Są *Polskie ścieżki rowerowe*? Nie, ale są *Niemieckie autostrady*”, „Jest *Europa na weekend*? Nie, ale jest *Azja w dwa tygodnie*”.

Oczywiście wiem, że to sprawa delikatna, że opisanie Szczecina w przewodniku po Niemczech, a Lwowa czy Zaolzia w *Zwiedzaj Polskę* może być uznane za prowokację i podważanie istniejącego międzynarodowego porządku prawnego. Dlatego proponuję, nawet sztuczne, rozszerzanie tego „zazębiania się” we wszystkie możliwe strony, z równym traktowaniem wszystkich „zazębiających się” stron. Na taki pomysł wpadłem, kiedy gdzieś przy drodze zobaczyłem urzędową tabliczkę z napisem „Pradolina Warszawsko-Berlińska”. Mądra natura nie znała granic ni kordonów, cofający się lądolód nie zważał na to, w jakim języku ryczały mamuty, które w okolicy Słubic obserwowały proces cofania się lądolodu i żywo dyskutowały o przyszłości „Pradoliny Toruńsko-Eberswaldzkiej”. Rozszerzać jak się da! Kiedy ktoś za granicą zapyta, skąd pochodzisz, nie ograniczaj się do nazwy wsi, miasta czy kraju. Mów, że jesteś mieszkańcem „Wyziny (to połączenie wyżyny i niziny) Białostocko-Barcelońskiej” albo „Płaskoniżu Świnoujsko-Ułanbatorskiego”.

Oczywiście są pewne granice. Jeśli pytając w księgarni: „Czy są *Kwiaty polskie*?”, usłyszymy w odpowiedzi: „Nie, ale są pierogi ruskie”, należy stanowczo zaprotestować! To są różne światy, tak nie wolno! Albo gdyby na pytanie „Czy są jeszcze bilety na koncert U2 w Chorzowie?” ktoś odpowiedział: „Nie ma, ale są jeszcze bilety na występ Andrusa w Michałowicach”… To może nie jest najlepszy przykład. W takiej sytuacji należy po prostu powiedzieć: „A to bardzo proszę pięć, chętnie pójdę z całą

rodziną i jeszcze do tego poproszę o przewodnik po ŚOK, czyli Śląsku Obojętnie Którym”.

29 maja 2009

Dom Weselny „Zaobrączkowane Gołąbki”

Tej kwestii nie poświęcałem dotychczas uwagi, bo przypuszczałem, że wiem, jakie mogą być nazwy tak zwanych domów weselnych. „Złoty Krążek”, „Pąsowa Róża”, „Białe Gołąbki”, „Dwa Łabędzie”, „Podkowa Szczęścia” – to zaczerpnięte z symboliki ślubnej. „Raj”, „Eden”, „Dostatek” – to od życzeń wszystkiego najlepszego młodej parze; „Ewa”, „Julia”, „Marta” – to od imion właścicielek, żon, albo narzeczonych właścicieli; „ZbyMar”, „TadRom” – od imion właścicieli (Zbyszek, Marek, Tadek, Romek) albo od ich imion i nazwisk – „Piw Paw” (Piwowarczyk Paweł),

„Dong Dang” (Dong Dang). Nie doceniłem pomysłowości twórców takich lokali. Słuchaczka mojej audycji napisała, że w Zielonce pod Warszawą jest Dom Weselny „Mezalians”. Sprawdziłem. Jest. Kolega, któremu o tym wspomniałem, od razu wymyślił inną nazwę dla domu weselnego: „Intercyza”. Zacząłem szukać w Internecie, książkach telefonicznych. „Intercyzy” nie znalazłem, ale są: Dom Weselny „Gorzelnia” (oczywiście można tutaj zorganizować również chrzciny i komunię), Dom Weselny „Nestor” (ale nie znalazłem nigdzie wzmianki o specjalizacji w uroczystościach dla nowożeńców po siedemdziesiątym roku

życia). Nie ma się co czepiać. Przecież nazwy mogą być historyczne, mogą mieć jakieś lokalne znaczenie (na przykład lokal stoi na działce po przedwojennej gorzelni, a ten „Nestor” to od wodza greckiego walczącego pod Troją, który był prapraprapraprapradziadkiem szefowej kuchni). Ale warto też czasem zastanowić się, jak nazwę lokalu mogą kojarzyć osoby niewtajemniczone. Bo oto dostajemy na przykład zaproszenie na ślub Weroniki i Jacka, na którym jest napisane, że szczęśliwi nowożeńcy zapraszają na zabawę do Domu Weselnego „Ambara’s” (jest taki naprawdę niedaleko Kielc). Z ciekawości zaglądamy do słownika wyrazów obcych (bo nazwa brzmi jakoś tak nieświętokrzysko), a tam: „Ambaras – kłopot sprawiany przez jakąś osobę lub rzecz albo trudna, przykra sytuacja”.

W moim rodzinnym Sanoku w pobliżu rynku jest stary, piękny sklep – otwarta na początku dwudziestego wieku drogeria, wszystkim w mieście znana jako „U Hydzikowej”. W witrynie „U Hydzikowej” od lat wystawiane są ślubne ozdoby: kartki z gołąbkami, naklejki na weselną wódkę, obrączki do przyczepienia na masce samochodu, którym jedzie się do kościoła, tablice rejestracyjne typu „Sebastian i Sandra”, dekoracje sali z hasłem „Szczęść Boże Młodej Parze”. Specjalnie przechodzę obok „Hydzikowej”, staję przed szybą i się napawam. Szczególnie zachwycam się weselną poezją, obowiązkowo umieszczaną na każdym gadżecie. „Od teraz życie będzie ciekawsze, od dzisiaj razem, razem na zawsze”, „Ja Twą ikoną, Ty mym orężem, ja Twoją żoną, Ty moim mężem”. Oczywiście te przykłady wymyśliłem, ale to coś w tym stylu. Niedawno zauważyłem nowość – plastikowe pojemniki, w które na pożegnanie gościom pakuje się ciasto niezjedzone w czasie wesela. I te pojemniki były chyba jedynym elementem, na którym nie umieszczono weselnych wierszy. A szkoda. Przecież gościom wychodzącym z sali można wręczać takie pakunki z utworem podsumowującym ich wizytę. „Miłość i wierność na zawsze

przysiąc… Co to za chrzestny, co daje tysiąc?”, „Ksiądz związał stułą młodzieńcze ręce… Myśleliśmy, że stać was na trochę więcej”, „Znaleźli siebie w stutysięcznym tłumie… Wasza rodzina bawić się nie umie”, „Niech żyją sto lat Bartek i Hania… I teraz po Was dwa dni sprzątania”. No, podejrzewam, że gdyby zastosować w praktyce mój pomysł, poprawiny mogłyby się już odbywać w Domu Weselnym „Separacja”.

4 czerwca 2009

Wypracowanie

Parę lat temu ktoś mi podarował odbitkę klasówki. To była praca z przyrody albo biologii. Nauczyciel polecił pisemnie odpowiedzieć na pytanie: „Jakie jest znaczenie zieleni w miastach, osiedlach, krajobrazie?”. Uczeń, którego pracę dostałem, przesłyszał się troszkę i zanotował temat: „Jakie jest znaczenie jeleni w miastach, osiedlach, krajobrazie”. No i się zaczęło. Niby tylko jedna głoska, a konsekwencje nieprawdopodobne. Nie wiem, jaką ocenę dostał ten uczeń za wypracowanie, ja dałbym mu szóstkę choćby za determinację w poszukiwaniu sensu. Zacytuję kilka fragmentów (zachowuję oryginalną pisownię): „Znaczenie jeleni w miastach jest bardzo małe i niebezpieczne ponieważ jeleń nie ma tam żadnej satysfakcji życiowej. Ponieważ niemiał by jak się tam poruszać po między tyloma ludźmi i pojazdami… W osiedlach ma dobre warunki życiowe ponieważ jest tam bardzo zaludniona trawą zieloną którą jelenie wiosną, jak i późną jesienią sporzywają do codziennego posiłku… W krajobrazie bardzo ważna jest dla jeleni wolność, którą mogą się nacieszyć poprzez całe swoje życie, kiedy ktoś ich niezabije… Jeleń w krajobrazie ma bardzo duże znaczenie ponieważ ma satysfakcję na polach, łąkach, polanach, lasach ponieważ ma tam co robić na świeżym powietrzu…”.

Przysięgam, że nie zmyśliłem ani słowa. Ale postanowiłem sobie teraz pozmyślać. Wyobraziłem sobie, że znowu jestem uczniem, że siedzę zestresowany w ławce, bo pan od historii kazał wyjąć kartki. Zapisałem temat: „Polska w okresie rozbicia dzielnicowego spowodowanego testamentem Bolesława Krzywoustego”. No to zagryzam końcówkę długopisu i piszę (postaram się też o jakąś oryginalną pisownię): „Po ogłoszeniu testamentu Bolesława Krzywoustego dzielnicowy był bardzo przygnębiony. Nie spodziewał się, że tak mało Krzywousty zapisze mu w testamencie. A wtedy akurat znowu obcięto dotacje dla policji, a tak to by dzielnicowy z tego spadku mógł kupić papier do ksero i wydrukować karteczki z napisem jak się nazywa i jaki jest do niego numer telefonu, żeby porozklejać po klatkach schodowych, bo niektórzy twierdzą, że dzielnicowego nie znają. Ale większość porządnych ludzi na naszym osiedlu go zna i każdego ranka wypatrujemy go przez okno i witamy serdecznym pozdrowieniem, zapraszając do swoich domów, żeby porozmawiać o aktualnej sytuacji w dzielnicy i poinformować o niepokojących zjawiskach, na przykład, że bracia Myślowie (Janusz Myśl i Marek Myśl) wyszli z więzienia i wczoraj wieczorem ktoś widział jak dozorca spod siódemki bije się z Myślami. Dla nas dzielnicowy jest jak lekarz albo ksiądz, gdyby nosił kitel albo sutannę to byśmy do niego mówili panie doktorze albo ojcze. Tym bardziej patrząc na jego zatroskanie szeptaliśmy do siebie:

– Spójrzcie jaki nasz dzielnicowy rozbity i jaka w związku z tym w okresie jego rozbicia jest trudna sytuacja w Polsce.

Więc żeby go pocieszyć ułożyliśmy z mamą taką piosenkę:

Hejże ludzie! Czapki z głowy!
Idzie dzielny dzielnicowy!
W prawej ręce niesie zeszyt,

A na czapce polski orzeł,
Dzielnicowy cię pocieszy,
Dzielnicowy ci pomoże.
Złapie zbójów osiedlowych
I ukarze włamywacza
Dzielnicowy, dzielnicowy,
Dzielnicowy cza cza”.

Czerwiec 2009 („Policja 997”)

Z cyklu „Moi znajomi”

Weronika

Za jedną z najcenniejszych rzeczy uważa coś, co dostała od babci – małą książeczkę *Mój patron*. Dowiedziała się z niej, że święta Weronika „jest patronką praczek, tkaczy lnu, fotografów, wytwórców bielizny oraz dobrej śmierci”. W związku z tym Weronika (ale nie ta święta, tylko ta wręcz przeciwnie), w okresie burzliwej młodości, wiązała się kolejno z: fotografem, wytwórcą bielizny i praczką. Po kilkumiesięcznych poszukiwaniach, w skansenie w Olsztynku, znalazła tkacza lnu i była z nim przez półtora roku. Długo nie mogła zrozumieć, kto to jest „wytwórca dobrej śmierci”, ale wtedy tkacz wytłumaczył jej znaczenie słowa „patronka” i postanowiła, że już nie będzie szukać.

Twierdzi, że do życia niewiele trzeba. Wystarczy mieć marzenia i zasady. Jedno i drugie ma dość oryginalne. Jeśli chodzi o zasady – sama je sobie wymyśla, bo nikt jej żadnych nie wpoił. Na przykład jakiś czas temu ustaliła, że „nie rezygnuje się z fryzjera, z którym ma się dziecko”. I mimo że to najgorszy fryzjer w mieście, w dodatku męski, regularnie się u niego czesze, bo wmówiła sobie, że to dla dobra ich wspólnego dziecka. Jest dumna z wymyślonej przez siebie zasady i namawia do jej przestrzegania

wszystkich swoich znajomych. Nawet tych, którzy nigdy nie mieli dziecka z fryzjerem. Jeśli chodzi o marzenia, jedno z nich wywołało niemałe zamieszanie na lokalnym rynku nieruchomości. Otóż zgłosiła w kilku agencjach chęć nabycia domu. Pieniądze nie grały roli, dom musiał spełniać tylko jeden warunek. Musi mieć balkon z widokiem na hurtownię artykułów budowlanych. Okazało się, że bez problemu znajdzie się budynki, z których doskonale widać: spalarnię śmieci, złomowisko, oczyszczalnię ścieków, że o banalnych widokach na jezioro czy las nie wspomnę, ale z widokiem na hurtownię budowlaną jest problem. A Weronika się uparła. Po prostu wymarzyła sobie, że kiedyś zamieszka w takim miejscu, w którym co rano będzie ją budził dźwięk wózka widłowego, a zaraz potem będzie mogła rozkoszować się smakiem porannej kawy, patrząc na mieniące się w słońcu pustaki ścienne U-188, bele wełny mineralnej, piramidy kostki brukowej, rolki papy izolacyjnej W/64/1200. Po kilku latach poszukiwań jednemu z agentów udało się ją namówić do zakupu domu z widokiem na siedzibę ZUS-u. Doszła do wniosku, że to też wystarczająco perwersyjne.

W salonie ma olbrzymią bibliotekę, a w niej imponujący zbiór światowej poezji. Z prozy ma tylko dwunastotomową „Złotą kolekcję chirurgii plastycznej”. Poezją zajmuje się w sposób prawie naukowy. Skrzętnie wypisuje wszystkie metafory, których nie rozumie, i stara się wszelkimi dostępnymi sposobami odpowiedzieć na pytanie: „Co poeta miał na myśli?”. Wysyła listy do krytyków, chodzi na spotkania autorskie. Niestety rzadko traktują ją poważnie. Ale na ślady jej działalności badawczej można już tu i ówdzie trafić. Najstarszy syn – Paweł, student psychologii, przyniósł kiedyś z uczelni fragment artykułu z amerykańskiego czasopisma medycznego, w którym zacytowano jej list do dyrektora warszawskiego ogrodu zoologicznego z prośbą o ustosunkowanie się do

fragmentu wiersza „…a przez westchnienia leniwych żmij…” i wyjaśnienie, czy żmije rzeczywiście są leniwe i czy wzdychają.

Weronika jest wspaniałą matką i żoną. Darek uśmiechem na twarzy reaguje na jej różne drobne dziwactwa. Wie, że w tak oryginalny sposób żona odreagowuje stres, który codziennie towarzyszy jej w pracy. A właściwie za te drobne dziwactwa kocha ją jeszcze bardziej. Dlatego na wszystkie uroczystości rodzinne, oficjalne spotkania służbowe, na bale, prywatki, pikniki z przyjemnością zakłada coś, co dostał od Weroniki na dwudziestą rocznicę ich ślubu. Do złotego łańcucha przytwierdzony złoty orzeł, który trzyma w szponach tabliczkę z napisem: „Dariusz, mąż pani notariusz”.

1 sierpnia 2009

Kungota pri Ptuju

Co jakiś czas państwo powinno lekko potrząsnąć swoim obywatelem. Zmusić go do wysiłku intelektualnego, wywołać emocje. Można to robić, wypowiadając wojny, podnosząc podatki, obniżając emerytury, rujnując publiczną służbę zdrowia, ale można też poszukać łagodniejszych, oryginalniejszych i zabawniejszych sposobów. Jeden wymyśliłem. Tyle że wymaga on porozumienia wszystkich państw świata. Ale jak się zgodzą, będzie śmiesznie. Otóż raz na cztery lata zamieniałbym nazwy wszystkich miejscowości. Po prostu bierze się atlas i sekretarz generalny ONZ losuje, po czym się ogłasza, że od dzisiaj taka i taka miejscowość będzie się nazywała tak i tak. Pomieszać nazwy z całego świata. Człowiek gnuśnieje w tym swoim Sanoku, Ełku, Nowym Jorku czy swojej Łomży, Warszawie, Barcelonie, a tu nagle… W drodze losowania Ełk przez najbliższe cztery lata będzie się nazywał… Kungota pri Ptuju. Taką nazwę zobaczyłem na tablicy przy drodze gdzieś w Słowenii i tak mi się spodobała, że postanowiłem spopularyzować. No więc mieszkańcy Ełku mieliby trochę udręki z nową nazwą, wymiana dowodów, paszportów… Chociaż nie, to niepotrzebne koszty. Wystarczy w dowodach i paszportach przekreślić poprzednią nazwę i wpisać nową. Reszta, dla zachowania tożsamości narodowej, wspólnoty lokalnej i niewprowadzania zbyt dużego

zamieszania, pozostaje bez zmian. Na przykład: Irena Krajewska, zam. ul. Wojska Polskiego 14 m 7, 19–300 Kungota pri Ptuju, woj. warmińsko-mazurskie. Nie zmieniałbym adresów i nazw instytucji ani organizacji. I Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Żeromskiego, ul. Piłsudskiego 3, Kungota pri Ptuju. Zaraz ktoś się obruszy, że sobie żartuję z Ełku. Ale gdzież tam, Ełk bardzo lubię i dlatego wybrałem go na przykład tej zabawy. Bo to wszystko tylko dla zabawy. A poza tym wtedy, na przykład, dawny Paryż będzie się nazywał Ełk. W wiadomościach mówią, że prezydent Sarkozy przyjął defiladę na ełckich Polach Elizejskich, po czym z lotniska Charles'a de Gaulle'a w Ełku wyleciał z wizytą do Bóbrki (dawniej Moskwa). Ile nowych wiadomości do zdobycia! Ile zajęcia mieliby twórcy ludowi! Trzeba by poprzerabiać cały folklor, dostosować do nowej nazwy. Zestaw tańców kungotańskich (kungockich?) w wykonaniu zespołu pieśni i tańca „Ptujowiacy". Piosenki już zacząłem pisać:

Hej tam nad Ptujem stoi mała chatka,
Przy małej chatce stoi moja matka,
Ty sobie, matko, obok chatki stój,
Niech ci spokojnie szemrze stary Ptuj.
Snuje się Ptujem moja tęsknota,
Kungota pri Ptuju, Pri Ptuju Kungota

Jak sobota, to ochota,
Roztańczyła się Kungota,
Tańcu, tańcu, buju, buju,
Najładniejsze panny
Z Kungoty pri Ptuju.
Dzyryń, dzyś, dzyś,
Siekiereczka, Przeplatanka,

Spodobała mi się
Jedna Kungotanka.

Żeby znowu nie wpadać w jakieś schematy, należałoby ustalić, że jedna nazwa może obowiązywać maksymalnie przez dwie kadencje, a po czterech kolejnych zmianach wraca się na jedną kadencję do nazwy historycznej. Czyli na przykład dawna Kungota pri Ptuju byłaby znowu Ełkiem, a Zespół Pieśni i Tańca „Ełk” znowu mógłby spokojnie śpiewać coś typowo mazurskiego, na przykład: „W Starym Sączu na jarmarku chustki wykupione…”.

8 sierpnia 2009

Naturalnie, że tak powiem

Sam robiłem tak wiele razy, ale dopiero teraz, kiedy usłyszałem to u kogoś innego, zaczęło mnie śmieszyć. Otóż prezenterzy radiowi, a taki zawód przede wszystkim wykonuję, strasznie boją się tekstów pisanych. Uważają, że jeśli przeczytają na antenie coś, co jest napisane precyzyjnie, zabrzmi to sztucznie, zniechęci słuchacza, który poszukuje w radiu naturalności. Z drugiej strony, prezenter musi mieć jakieś informacje na kartce, bo przecież nie na wszystkim się zna. Skoro w jednej godzinie ma się wypowiedzieć na temat: nowej płyty Leonarda Cohena, formy bramkarza Legii Warszawa, decyzji Rady Polityki Pieniężnej, braku miejsc w podkarpackich przedszkolach i ciekawego odkrycia związanego z przewodem pokarmowym słonia morskiego, jest więcej niż pewne, że przynajmniej na jednej z tych rzeczy prezenter radiowy się nie zna. Na przykład jest świetny w przewodach pokarmowych słonia morskiego, ale Podkarpacie jest jedynym regionem, w którym nie ma dziecka, w związku z czym nie interesował się dotychczas infrastrukturą przedszkolną. Co wtedy robi prezenter radiowy? Bierze kartki, na których wszystko ma napisane, i czyta. Nie mógł się tego nauczyć, zresztą po co, skoro w następnej godzinie będzie już mówił o: wakacjach hiszpańskiej rodziny królewskiej, bezpłatnej pomocy prawnej dla emerytów, odnalezionym polskim akcencie w filmie

Obcy – ósmy pasażer Nostromo i przewodzie pokarmowym słonia morskiego? Zatem prezenter bierze kartkę i czyta. Ale nie byle jak. Chcąc udowodnić, że jest naturalny, że to, co mówi, to jest jego wiedza i to są jego myśli, wtrąca słowa i efekty dźwiękowe „unaturalniające" przekaz. Od czasu do czasu dorzuci znienacka jakiś żart. Ot, weźmy pierwszy z brzegu przykład. Chce prezenter przekazać swoim słuchaczom wiadomość o utrudnieniach w ruchu na ulicach Białegostoku. Bierze wydanie „Kuriera Porannego" z 18 sierpnia i znajduje tam następujący tekst: „Białystok jeszcze bardziej zablokowany. Po zamkniętej Antoniukowskiej i zwężonej al. Solidarności magistrat zamknął położoną w pobliżu ulicę Wierzbową. Autobusy linii 18 będą kursowały trasą zastępczą: aleja Jana Pawła II – Konstytucji 3 Maja – Kołłątaja – Swobodna i dalej stałą trasą. Na tej trasie będą obowiązywały istniejące przystanki. Kierowcy będą musieli jakoś sobie radzić". I co robi? Czyta go mniej więcej tak: „Sami widzicie, że Białystok jeszcze bardziej, kurczę, zablokowany. Po niestety zamkniętej Antoniukowskiej, niestety, bo lubię nią jeździć do pracy, i strasznie zwężonej alei Solidarności nasz kochany magistrat, hmm, hmm, zamknął też położoną tuż w pobliżu nieopodal ulicę Wierzbową, ech życie, życie. Autobusy linii 18, czyli tak zwane osiemnastki, w których osiemnastoletnich dziewcząt jak na lekarstwo, ha, ha, ha, będą kursowały trasą zastępczą: aleją Ojca Świętego Jana Pawła II, czyli Karola Wojtyły, który pochodzi z Wadowic, później Konstytucji 3 Maja, z której jesteśmy dumni, przez Kołłątaja, też wybitnego Polaka, ulicą Swobodną, że tak powiem, i dalej stałą trasą, czyli już wiecie jak. Na tej trasie będą obowiązywały istniejące przystanki i tam kto chce, to wysiada, a kto nie chce, jedzie dalej. Kierowcy będą musieli jakoś sobie radzić. Ale nie martwmy się, panowie i panie za kierownicami. Pomyślcie, co by to było,

gdybyście stojąc w korkach, mieli przewody pokarmowe jak słonie morskie…”.

Jeśli to zjawisko będzie dotyczyło tylko prezenterów radiowych, to jeszcze w porządku. Ale trzeba będzie zacząć ostro reagować, kiedy to na przykład dotrze do teatrów albo do szkół na lekcje języka polskiego:

„Smutno mi, jakoś tak, Boże! – Dla mnie, jak mi się wydaje, na zachodzie

Rozlałeś, że tak powiem, tęczę blasków, dajmy na to, promienistą;

Przede mną gasisz, można powiedzieć, jak strażak, w lazurowej wodzie

Gwiazdę, taką po prostu aż ognistą. No i tak to jest…”.

22 sierpnia 2009

ZAKŁAD ANATOMII PATOLOGICZNEJ
CENTRALNEGO SZPITALA KLINICZNEGO
w Warszawie, ul. Banacha 1a

Wynik badania sekcyjnego

L.P. protokół D ..... / ..... 199.. R.

MANIFEST NIEŁATWEJ REZYGNACJI /czterdziestolatków/

To my! Od niedawna bogaci,
Czterdziestoletni faceci!
Jeszcze nie Tyci! Nie szpakowaci!
Ale już tacy nie bruneci.
To my! Naśladowcy huzarów,
Podobni z prędkością gromu,
Tylko, że czasem, bez okularów,
Nie można trafić do domu.
To nam, na hucznym bankiecie,
Za zaciśniętych mocno szczęk,
Wyrwie się prawda o świecie,
Cichy, bolesny jęk:

Koledzy! Dobre już było!
Koledzy! Przeszło już obok!
Pierwsza młodość i druga miłość
Koledzy! Mamy za sobą!
Koledzy! Już jest po walce!
A bój, koledzy, był srogi,
Młodzi wspinają się na palce...
Ustąpmy im z drogi...

To my! Do niedawna szczupli,
Najprzystojniejsi na świecie!
Karnet na basen i do siłowni
Zgubiliśmy gdzieś przy bufecie.
To nic! Że nas mają w pogardzie!
Kolego! Do góry głowa!
To sztuczne zęby gryzą najbardziej,
A włosy można farbować!

To nam! Z ramieniem na duszy
Uda się stworzyć zwarty szyk,
Strzelanie w kuperek zagłuszy
Głośny, radosny krzyk:

Koledzy! Było jak było!
Koledzy! Równać czwórkami!
Druga młodość i trzecia miłość,
Koledzy! Jeszcze przed nami!
Koledzy! Walka zaczęta!
A bój, koledzy, jest srogi,
Młodzi stąpają nam po piętach!
Podstawmy im nogi!

A jak potknie się szczeniak,
To cap go za dziób!
Nie godzien całować
Naszych starczych stóp!

Gliniarz z konikiem

Nazwę, hasło, tytuł wymyśla się po to, żeby coś znaczyły albo przynajmniej sugerowały. Tyle że to, co sugerują, jest często niezależne od intencji tego, który je wymyślił. Ot na przykład ja, gdybym dostał zaproszenie na zabawę w Domu Weselnym „Morfeusz” (są takie przynajmniej dwa – jeden pod Warszawą, drugi w województwie świętokrzyskim), pomyślałbym, że trzeba zabrać ze sobą piżamę i szczoteczkę do zębów, że w sali będą stały łóżka polowe dla gości, w centralnym miejscu szerokie łoże dla nowożeńców, nad nim makatka z napisem „Dobranoc Młodej Parze”, a orkiestra zamiast tradycyjnego *Już mi niosą suknię z welonem*, na początek wesela zagra *Ach śpij, kochanie*…

Na stronie internetowej Komendy Głównej Policji znalazłem cykl artykułów pod wspólnym tytułem *Gliniarz z konikiem*. Co to może znaczyć? Oprócz tego, że czytelnik może sobie pomyśleć, że gliniarzy dzieli się na dwie grupy: tych z konikiem i tych bez konika? Jakie znaczenie ukryto w tytule *Gliniarz z konikiem*? Podaję interpretacje, jakie mi się nasunęły, w kolejności ich nasuwania się:

– Cykl artykułów o formacjach konnych policji.

Ale w związku z tym, że jest tutaj mowa o „koniku” a nie „koniu”, pomyślałem, że może chodzi o:

– Reportaż o funkcjonariuszu, który dorabia sobie do pensji, pozując do zdjęć z kucykiem pod pijalnią wód w Krynicy.

Ale może to też być:

– Seria publikacji dotyczących powiązań jakiegoś policjanta z osobą nielegalnie handlującą biletami na imprezy sportowe i koncerty.

Jeszcze jedną interpretację tego tytułu zaproponowała mi moja przyjaciółka, ale w związku z tym, że nie mam pewności co do tego, że ten tekst czytają wyłącznie osoby dorosłe, pozostawię go dla siebie. Tymczasem… *Gliniarz z konikiem* to cykl artykułów poświęconych policjantom, którzy mają oryginalne zainteresowania: sportowcom, podróżnikom, kolekcjonerom, artystom amatorom! Ot, cała zagadka! Znalazłem tam opowieści o fantastycznych ludziach z niezwykłymi pasjami. Ale nie znalazłem historii mojego znajomego – aspiranta W. Nie znalazłem, więc tutaj dodaję.

Otóż W. już w cywilu miał oryginalne zainteresowania. Zbierał zdjęcia Maryli Rodowicz i angielskiego następcy tronu księcia Karola. Oddzielnie, nie musieli na tych zdjęciach być razem. Ale żeby nie było banalnie, zbierał tylko takie, na których widać lewy profil Maryli Rodowicz, a książę Karol jest w czapce. Kiedyś nawet wpadł na pomysł odwrócenia kryteriów i zaczął zbierać zdjęcia lewego profilu księcia Karola i Maryli Rodowicz w czapce, ale stwierdził, że to bez sensu. Po wstąpieniu do policji zaniedbał swoje kolekcjonerskie pasje, a kiedy znowu dały o sobie znać, postanowił jakoś je związać z formacją, w której służy. Zaczął kolekcjonować sygnały dźwiękowe wozów uprzywilejowanych.

Najpierw je nagrywał, a potem uczył się ich na pamięć. Ze swoją kolekcją musiał się ukrywać, a nawet musiał z niej zrezygnować, kiedy nieżyczliwi koledzy donieśli policyjnemu psychologowi, że W. po pracy

zamyka się w garażu i przez sześć godzin siedzi w wyjącym radiowozie. Kolejna pasja zrodziła się w nim, kiedy został aspirantem. Wpadł na pomysł, że będzie zbierał wszystko, co w swojej nazwie ma cząstkę „**spir**”. Ma już: 750 opakowań a**spir**yny (w tym jedno, które 22 marca 1931 roku napoczął Julian Tuwim), 3240 rysunków **spir**al matematycznych, 4 niesprawne re**spir**atory, 2 sprawne **spir**ometry i 478 etykiet z butelek po **spir**ytusie (w tym z jednej, którą 21 marca 1931 roku napoczął Julian Tuwim).

No dobrze, postać aspiranta W. wymyśliłem. Tak mi się spodobał tytuł *Gliniarz z konikiem*, że musiałem coś wymyślić. Tak naprawdę to jest nie W., tylko B., służy nie w policji, tylko w straży pożarnej, jest nie aspirantem, tylko sekcyjnym, i zbiera wszystko, co ma w nazwie cząstkę „**sek**”. **Sek**atory, **sek**undniki, pia**sek** i dziewczyny z wio**sek**.

Sierpień 2009 („Policja 997”)

Nazwać

Mam prywatny wykaz słów, których częste używanie potwornie mnie irytuje. Niedawno dopisałem do niego wyraz „popełniłem”. Dostaję gęsiej skórki, kiedy słyszę „popełniłem ten wiersz”, „popełniłem tę piosenkę”, „popełniłem ten film”, „popełniłem tę rolę”. Ciekaw jestem, czy w drugą stronę też to zaczęło działać? Czy na przykład skazani za jakieś ciężkie przestępstwa mówią „skomponowałem to morderstwo”, „stworzyłem to ciężkie uszkodzenie ciała”, „wykreowałem to włamanie”? No, to się pożaliłem na słowo, którego nie znoszę, a teraz z innych słów muszę coś popełnić.

Nazywaniem wszelkich zjawisk i rzeczy, słownym porządkowaniem świata kiedyś zajmowali się filozofowie i poeci. Dziś głównie działy marketingu i promocji różnych firm oraz publicyści różnych gazet. „Elegancki grill węglowy o klasycznym kształcie” – coś takiego usłyszałem w telewizji. To prawda, mam pewnego kolegę, o którym można śmiało powiedzieć, że jest elegancki jak grill węglowy. Ale klasyczny kształt? Czy klasyczny jest czarny półokrągły baniak z wyjmowanym rusztem, czy raczej „Grill Narodziny Wenus” składający się z dużej muszli, na której bezpośrednio układa się kiełbaski, oraz stalowego komina w kształcie nagiej kobiety?

Zbyt swobodnie używamy również pojęcia „pokolenie”. Ostatnio gazeta „Metro” wykorzystuje je w swojej kampanii. Na billboardach pojawiły się twarze młodych ludzi określanych „pokoleniem metra”. Rozumiem, że to zabieg promocyjny wykorzystujący skojarzenie tytułu gazety i środka lokomocji, w Polsce dostępnego na razie tylko w Warszawie. Czyli to są tacy ludzie, którzy już jeżdżą metrem i czytają gazety. Ale przecież za „pokolenie metra” może się uważać również mój dziadek, który pamięta moment podjęcia uchwały o jego budowie w 1925 roku, i moi rodzice, którzy o budowie metra słyszeli w latach pięćdziesiątych. Trzeba więc uszczegółowić – dziadek niech będzie „pokoleniem narodzin idei metra”, rodzice „pokoleniem wypaczenia idei metra”, a biorąc pod uwagę piorunujące tempo prac, moje wnuki będą pewnie nazywane „pokoleniem początku drugiej linii metra”. À propos – parę lat temu, na jednej ze stacji, na tablicy ogłoszeń, zobaczyłem informację o konkursie „Wybierz swoją ulubioną linię metra”. W związku z tym, że była tylko jedna, z niepokojem oczekiwałem na wyniki. Ale nie pamiętam, która z jednej linii metra wygrała.

Kolosalną karierę medialną zrobiło „pokolenie JP2” jako określenie ludzi wyrosłych na nauce i identyfikujących się z postacią papieża Jana Pawła II. Podejrzewam, że ktoś, kto w dobrej wierze użył po raz pierwszy tego sformułowania, nie przypuszczał, jakie zamieszanie może ono spowodować. Że zaraz znajdą się tacy, którzy zaczną mówić o „pokoleniu B16”, a nie wiadomo, na ile chodzi tutaj o wiernych uczniów papieża Benedykta XVI, a na ile o miłośników amerykańskiego lotnictwa wojskowego. A jak sobie poradzić w sytuacji, kiedy ktoś powie o sobie, że jest z pokolenia „J23”? Czy to znaczy, że chce, żeby go kojarzyć z Janem XXIII, czy agentem J23 Hansem Klossem? Zresztą może ktoś się identyfikować z obydwoma J23. To najlepszy dowód na potrzebę

powściągliwości w nazywaniu swojego pokolenia. Niech nazwy nadają nam pokolenia, które przyjdą po nas, ci, którzy spojrzą na nas z dystansu. Być może żadnego z wymyślonych przez nas określeń nie będą używać, może dla nich będziemy „pokoleniem eleganckiego grilla” albo „pokoleniem stadionowe lenie”? W tej drugiej nazwie chodzi o to, że jesteśmy generacją, która przy okazji przygotowań do mistrzostw Euro 2012 tak bardzo zajęła się budową stadionów, boisk sportowych, różnych „Orlików”, że kompletnie zapomniała o tym, że za kilkanaście, kilkadziesiąt lat ktoś po tych stadionach i boiskach musi biegać. No, kończymy czytanie, odkładamy gazetę i do roboty. Ródźmy dzieci. Szczególnie próbujmy płodzić zaradnych i wrażliwych filozofów i poetów. Filozofów i poetów, żeby jakoś ładnie nazwali nasze pokolenie, a zaradnych i wrażliwych, żeby na starość zapewnili nam wygodne utrzymanie.

Sierpień 2009 („Prime”)

Literatura obwolutowa

Niedocenianym typem współczesnej twórczości pisarskiej jest tak zwana literatura obwolutowa. Są to teksty, które pojawiają się na okładkach płyt czy książek. Sam kilka razy pisałem coś takiego i smuci mnie, że nikt na trud twórcy nie zwraca uwagi. A to naprawdę duży wysiłek napisać w kilku zdaniach o kimś albo o czymś tak, żeby kogoś innego zachęcić do kupna tej właśnie książki albo płyty. Przejrzałem kilkaset obwolut i okładek, i jestem pod wrażeniem. Uważam, że powinno się wydawać antologie, publikować zbiory. Niektóre z opisów są tak drobiazgowo analityczne, że musiały zaskakiwać samych bohaterów. Niejeden artysta dowiedział się z nich o swojej twórczości takich rzeczy, na które sam nigdy by nie wpadł. Po innych widać z kolei, że pisane są ostrożnie, z dystansem, a nawet można odnieść wrażenie, że piszący był na etacie w wydawnictwie i miał pisanie w zakresie obowiązków służbowych.

We współczesnej „literaturze obwolutowej” zdarzają się teksty, które są wyłącznie wytworem wyobraźni – czuje się, że autor nie widział, nie słyszał ani nie czytał tego, o czym pisze. A nie wszyscy mają wystarczająco dużo odwagi, by tak jak Maciej Stuhr na okładce płyty DVD Kabaretu Moralnego Niepokoju szczerze wyznać: „Nie widziałem jeszcze tej płyty. Można powiedzieć, że dawno czegoś tak dobrego nie widziałem”. Co więc

robić w takiej sytuacji? Chciałbym kolegom „literatom obwolutowym” podrzucić pewien pomysł. Otóż należy wznieść się na wyżyny ogólnikowości i pisać tak, żeby do wszystkiego pasowało. Oczywiście chwalić, bo przecież do tego zostało się wynajętym, ale chwalić możliwie profesjonalnie. Poniżej podaję wzór idealnego tekstu na okładkę płyty (książkami i filmami zajmę się kiedy indziej). A powstał on tak: sięgnąłem na półkę z czarnymi winylowymi płytami, zbieranymi jeszcze przez moich dziadków i rodziców, wybrałem spośród nich tylko polskie, a z nich z kolei te, na których było coś napisane; wylosowałem kilka i z każdego tekstu wybrałem jakiś fragment. Poniższy tekst jest w całości złożony z dosłownych cytatów z płyt (w kolejności cytowania): *Orkiestra uliczna z Chmielnej*, *Zakazane piosenki*, *Czesław Niemen i Akwarele*, *Jan Jakub Należyty – recital*, *Wały Jagiellońskie – Etykieta zastępcza*, *Grażyna Świtała – Moja miłość bez imienia*, *Marek i Vacek grają utwory romantyczne*, *Dedykacja* (aktorzy śpiewają wiersze polskich poetów z muzyką Stanisława Syrewicza). Jest to kompilacja fragmentów tekstów: Jacka Żmichowskiego, Bogdana Okulskiego, Lecha Nowickiego, Józefa Pielki, Jana Poprawy, Grażyny Świtały, Lucjana Kydryńskiego i Stanisława Syrewicza. Musiałem tylko dostosować rodzaj, czas i liczbę do swoich potrzeb. Przypuśćmy, że mam napisać coś o twórczości i nowej płycie pewnego wokalisty (gdyby to była wokalistka, używałbym formy „ona”, gdyby zespół – „oni”):

„Jego piosenki powstają na ulicy. Autentyczność jest w nich najcenniejsza… Któż ich nie zna? Kto ich nie nuci? Śpiewają je starsi, młodzież i dzieci, chociaż nikt nie włączył ich do programu szkolnego, a upływający czas nie jest sprzymierzeńcem. Śpiewa dla innych, ale jest sobą, tworzy dla wszystkich, ale zabiega o tego jednego – wrażliwego, myślącego, nieobojętnego… Stosuje własną formę do przekazania własnej

wypowiedzi. Tryska bogactwem inwencji. Skala jego możliwości jest nieograniczona… Jest i zagadkowy i świeży – a świeżość to dar na estradzie. Jego piosenki dają nie tylko radość, ale i radę: patrzmy uważnie. Dają wiele przyjemności (i to przyjemności niewykluczającej użytku z własnej inteligencji słuchacza) – ale też niemało mądrości. Inteligentnie powiedzianej prawdy nigdy za wiele… Ta płyta jest sumą artystycznych doświadczeń, wypadkową sukcesów i porażek. Obecnie możemy sami sprawdzić i zrozumieć entuzjazm krytyków i słuchaczy, tak szczelnie wypełniających największe i najsławniejsze sale koncertowe. Wykonawca i ja razem z nim dedykujemy Państwu tę płytę, a każda piosenka jest jakby autografem – czymś bardzo osobistym”. I wystarczy się tylko podpisać.

Proste? To się tylko tak wydaje. Wybrać odpowiednie fragmenty też trzeba umieć. Wyobraźmy sobie, że ktoś chce napisać słowo wstępne do polskiego wydania płyty kontrowersyjnego amerykańskiego rapera, który w swoich utworach zachęca do walki między rasami. I ten ktoś, kto ma napisać, trafia przypadkowo na płyty: *Złote pierścienie Kołobrzegu* i *Wołosatki – Harcerska Operacja Bieszczady 40*. Wychodzi coś takiego: „Jego piosenki przeżywają dziś, w warunkach pokojowego rozwoju, pełny rozkwit, otwierają szeroko bramy międzynarodowej przyjaźni. Ta płyta jest jego kolejnym sukcesem i przykładem żywotności kulturalnej kieleckiego środowiska harcerskiego”.

6 września 2009

Nie bądź taka mądra

Podczas próby koncertu kabaretowego usłyszałem rozmowę dwóch akustyków:

– Czesiu, co ostatnio nagłaśniałeś?

– Koncert Pendereckiego.

– A z takich poważnych rzeczy?

Oto kolejny dowód na to, że nie należy się za bardzo mądrzyć (jak mawiała babcia Stenia – mądrować). Takie pojęcia jak: „poważne”, „niepoważne”, „ambitne”, „nieambitne”, „dobre”, „złe”, „brzydkie”, „ładne”, „mądre”, „głupie” są względne i każdy ma prawo rozumieć je inaczej. Więcej, jedno drugiego nie musi wykluczać. Ja na przykład jestem uważany za człowieka wysokiego, ale każdy kolejny dzień zaczynam z niskich pobudek. Materac w moim łóżku jest na wysokości 25 cm od podłogi – nikt mi nie wmówi, że to jest wysoka pobudka.

Czasem się nie udaje. Nawet tutaj, w tym pisaniu, parę razy się zagalopowałem. Bo człowieka korci, żeby pokazać, że coś wie lepiej, na czymś się zna, że ma jakieś zdanie. Ale każdy powinien mieć coś takiego, co raz na jakiś czas powstrzyma go przed mądrzeniem się (mądrowaniem). Ja mam taką dedykację.

W czerwcu 2005 roku złożył mi ją na swojej książce Stanisław Tym: *Arturze, może to nie będzie elegancki wpis, ale furda elegancja, gdy chodzi o Poezję!*

Zadanie: wyprostuj tę niezręczność w dwuwierszu:
Nie bądź taka mądra,
Bo cię kopnę w jądra!

Jeśli ktoś czytając tę dedykację, pomyślał sobie, że jest w niej coś nieprzyzwoitego, to się myli. Proszę zajrzeć do Słownika Języka Polskiego – podaje sześć znaczeń słowa „jądro” (m.in. „centralna część atomu”, „wewnętrzna część ciała niebieskiego”, „istota rzeczy”, „ziarno znajdujące się w łupinie…”), więc jakakolwiek nieprzyzwoitość możliwa jest wyłącznie na poziomie interpretacji czytającego. Nie mam też zamiaru niczego prostować, bo w tym dwuwierszu nie ma żadnej niezręczności. A przesłanie w nim zawarte urosło do rangi mojego prywatnego motta i pomaga zachować równowagę. Kiedy już się wystarczająco ponadymam, nabzdyczę, poobrażam na cały świat, kiedy się napuszę i przygotuję do ataku, przypominam sobie ten wierszyk. I od razu mi lepiej, natychmiast schodzi ze mnie powietrze. I to nie tylko ze strachu, że przyjdzie Stanisław Tym i dosłownie zrealizuje swoją groźbę.

Zasłyszane w młodzieżowym radiu: – A teraz łączymy się z Wdową i porozmawiamy z pierwszą damą polskiego rapu.

W radiu nie słychać wielkich liter, więc ktoś niezorientowany mógł sobie pomyśleć, że to dwie różne osoby. Że gdzieś hen, hen, w małej chatce za siedmioma górami (czyli patrząc z Kasprowego od prawej, gdzieś tak za Krzesanicą) mieszka sobie uboga wdowa, która wynajmuje izbę pierwszej damie polskiego rapu. Nic podobnego, to właśnie artystka o pseudonimie Wdowa jest, zdaniem radiowego prezentera, pierwszą damą polskiego rapu.

Proszę, oskarża się hiphopowców, raperów, w ogóle całą młodzież o używanie brutalnego języka, a tutaj – „pierwsza dama”. Zachwyca mnie takie połączenie teoretycznie obcych sobie języków. O ile byłoby zabawniej, gdybyśmy byli trochę odważniejsi i nie bali się eksperymentów. Gdyby na przykład jakiś zdolny raper został rzecznikiem prasowym Narodowego Banku Polskiego. Albo żeby szef Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji mówiąc o Radzie Nadzorczej TVP, co jakiś czas posługiwał się słowami typu „ziomek”, „foczka”, „wozić się”. Kończę, bo odnoszę wrażenie, że zaczynam się mądrzyć (mądrować), a wiem, co mi grozi, jeśli nie przestanę.

4 października 2009

Brzoskwiniowy świerzop, gryka jak śnieg alabastrowa

Sprawa wydawałoby się błaha, a wywołuje emocje. Chodzi o kolory. Patrzę przez okno na coś, co ktoś nazwał „złotą polską jesienią”. Czyli „złote” to jest to szare, brudne, mokre i zgniłe? Kobiety twierdzą, że mężczyźni są w stanie nazwać tylko kilka kolorów, a i z poprawnym przyporządkowaniem tych kilku mają problemy.

– Kochanie, gdzie jest moja popielata marynarka?

– Ta zielona? W pomarańczowej szafie.

– Czyli w czerwonej?

Takie dialogi są na porządku dziennym w każdym polskim domu (pewnie w niepolskich też). Zainspirowany przez kolegę, który opowiadał o swoich kłopotach z nazwaniem koloru ściany w wyremontowanym mieszkaniu swojej koleżanki, postanowiłem przedyskutować sprawę nazewnictwa kolorów ze słuchaczami mojej audycji. Zajrzałem na stronę internetową producenta farb. To jest dopiero fantazja! Nie dość, że wszystkie zostały podzielone na: „popularne”, „żywe”, „świeże”, „ciepłe” i „stonowane”, to jeszcze jakie mają nazwy! Gdyby ich propozycje wprowadzić do codziennego użycia, przedstawiony powyżej dialog mógłby wyglądać tak:

– Kochanie, gdzie jest moja marynarka w kolorze popularnym „księżycowy pył”?

– Ta w kolorze „kanadyjska jodła”? W szafie koloru „pamiątka z Nepalu”.

– Czyli tej w kolorze „żywy karmazynowy przypływ”, przepraszam „świeży Party Surprise 1”?

Zapytałem słuchaczy o ich doświadczenia z określaniem barw, kolorów, o prywatne nazwy. Okazuje się, że jest to kwestia, której poświęcamy niemało uwagi. Istnieją w Internecie słowniki, specjalne programy pomagające mężczyźnie zrozumieć, o jakim kolorze mówi jego kobieta (można sobie wpisać na przykład „róż indyjski”, a program pokaże na ekranie, jak to wygląda). Oto fragmenty listów, które opisują codzienną ludzką udrękę z nazewnictwem barw, kolorów, odcieni:

Magda: A mnie kiedyś pani w sklepie próbowała sprzedać bluzkę w kolorze „zbity seledynek”.

Sylwia: Moj mąż jeździ samochodem koloru śliny:)) – srebrny metalik złamany seledynem.

Halina: Kiedyś grając w „ państwa-miasta”, w rubryce „kolory” wpisałam „ultramaryna”, na co oburzony kolega stwierdził:

– Aha, jasne! Może jeszcze ultrazocha!

Jarosław: Malarze w spółdzielni mieszkaniowej zapytani, na jaki kolor będzie malowana klatka schodowa, odpowiedzieli: – Rezydentny. Widząc moje zdziwienie, skonkretyzowali: – No taki, jaki akurat jest w magazynie.

Martyna: À propos kolorów – to, jak bardzo są one problematyczne, może obrazować następujące stwierdzenie mojej koleżanki (skądinąd

dobrej graficzki komputerowej): – Na dzisiejszą imprezę włożę chyba brązową małą czarną i kolorowe białe rajstopy…

Edgar: Pół roku temu, gdy z żoną wybieraliśmy farby do pomalowania pokoju, stojąc przed półkami uginającymi się pod puszkami z magicznymi kolorami o nazwach zwiewnych niczym letni poranek, stwierdziłem, że kolory powinny mieć również nazwy przemawiające do męskiej wyobraźni, na przykład: „jędrne piersi", „zgrabna Mulatka", „drobna Chinka".

Anna: W mojej prywatnej kolekcji kolorów znajdują się między innymi: „gaśnicen rot" (mieszkam u Niemca) oraz „żuczkowy". Proszę nie pytać, co to. Jako trzylatka miałam sandałki w tym kolorze. To chyba jakiś rodzaj turkusu.

Marta: Moja, czteroletnia wówczas, córka Martyna nie mogła znaleźć tenisówek. Gdy chciałam dowiedzieć się, o które tenisówki chodzi i zapytałam:

– Te seledynowe?

Martyna odrzekła z irytacją w głosie:

– Nie, te seledystare.

Tenisówki faktycznie były już zniszczone. Od tej pory funkcjonuje w naszej rodzinie kolor zieleni o odcieniu spranych tenisówek.

Katarzyna: W mojej rodzinie mamy własny kolor – „Kosmacza", czyli naszej wypłowiałej wyżlicy Loli. Coś pomiędzy słabą kawą z mlekiem a nieobranym korzeniem imbiru. Okazuje się, że niedawno właśnie kolorem „Kosmacza" pomalowaliśmy ściany sypialni.

Janek: Mój znajomy używa tylko dwóch nazw kolorów: „teges" i „nieteges". I o dziwo, udaje mu się dogadywać.

XXX: Kolega oświecił mnie pewnego razu, że istnieje więcej niż jeden kolor rozpoczynający się na literę „F”. W miejscowości, w której mieszka, oprócz oczywistego fioletowego istnieją jeszcze dwa – fest biały i fest czarny.

Andrzej: Kolega wymyślił kolor „agarzynowy”. Szukaliśmy go w różnych sklepach z farbami. Oczywiście nie znaleźliśmy, bo taki kolor nie istnieje, ale jedna ekspedientka w sklepie z materiałami budowlanymi powiedziała, że jeszcze sprawdzi „na magazynie”.

Rodacy! Nie dajmy się zwariować! To, że ktoś sobie wymyślił, że coś jest karmazynowe, wcale nie oznacza, że to samo nie może być dla nas lawendowym. To tylko kwestia umowy, której nikt nie ma prawa nam narzucać! Myślę, że puentą tej dyskusji i przykładem prawidłowej reakcji na przemoc nazewniczą w przypadku kolorów jest sytuacja, którą opisał pan Jurek. Można ją również uznać za potwierdzenie słynnej tezy, sformułowanej przez jednego z polskich premierów podczas jego exposé: „Żadne krzyki nas nie przekonają, że białe jest białe, a czarne jest czarne”.

Jurek: Dziadek mojego kolegi, kiedy jechaliśmy samochodem, podczas oczekiwania na zmianę światła na skrzyżowaniu powiedział: „Niebieskie, jedziemy!”.

11 października 2009

Męska teczka i pan Wodecki na pasztecikach

W radiu, w rozmowie ze słuchaczami, poruszyłem temat wnętrza męskiej teczki. Zawartość damskiej torebki została

omówiona przez publicystów, wyśmiana przez kabareciarzy, przebadana przez naukowców i opisana przez poetów. Andrzej Sikorowski poświęcił jej (damskiej torebce) wzruszającą piosenkę. Z jej (piosenki) końcowego fragmentu: „Jest chusteczka, bo czasem się płacze/List donikąd, bo zgubił się znaczek/I maskotka od kogoś na szczęście/A mnie tak przeczucie szepce/Że czasami w tej torebce/Gdzieś tam na dnie jest schowane moje zdjęcie” dowiadujemy się, że w każdej damskiej torebce powinno być zdjęcie Andrzeja Sikorowskiego. Męską teczką, torbą, męskim plecakiem nikt się jeszcze chyba poważnie nie zajął. Co prawda jedna ze słuchaczek napisała, że nie ma po co, bo męska teczka ma zawartość wyłącznie „oficjalno-zawodową” i w związku z tym pozbawiona jest elementu szaleństwa, nie ma duszy, ale zaryzykowałem i temat podjąłem. Chyba rzeczywiście bez większego sukcesu. Za puentę tych rozważań można uznać stwierdzenie jakiegoś pana: „W teczce noszę tylko jedno – bajzel”. Próba napisania, na podstawie listów Słuchaczy, poematu o męskiej teczce też chyba skończyła się marnie. Wyszło coś takiego:

W prawdziwej męskiej teczce
Musi być coś w buteleczce,
Laptop, telefon do Izy
(Butelka jest bez akcyzy),
Jakieś gumowe zwierzęta,
Śrubokręt (poprawnie „wkrętak”),
Scyzoryk, długopis, zegarek,
Klucze i sześć ładowarek,
Kawałek rogu kozicy,
Coś do czyszczenia matrycy.
W prawdziwej teczce mężczyzny
Są dwa komplety bielizny,
Portfel, słuchawki i wtem…
Przeciwzmarszczkowy krem!

Poemat jest niedokończony, ale już na tym etapie widać, że o damskiej torebce pisze się ładniej. W tej męskiej wersji powinienem umieścić jeszcze jeden element, który pojawiał się w co drugim liście. Kanapka, a częściej nawet kilka. Na pewno częściej niż długopis. Ktoś się nawet przyznał, że drugie śniadanie nosił razem z laptopem w specjalnej przegródce i że takie ściskanie kanapki laptopem powoduje jej spłaszczanie, a to z kolei ułatwia potem jedzenie. To jest pomysł. W fast foodach powinno się wprowadzić zestaw, na przykład pod nazwą EEM („Easy Eating Menu”): zimne frytki, ciepła cola i hamburger ściśnięty laptopem.

À propos jedzenia. W telewizji pokazali reporterską relację z obchodów jubileuszu baru Pasztecik w Szczecinie. Lokal powstał czterdzieści lat temu, domyślam się, że paszteciki podawane uczestnikom uroczystości powstały trochę później. Ale pewności nie mam, takiej informacji nie było. Była natomiast rozmowa z paniami pracującymi w barze – jedna z nich

pytana o klientów powiedziała, że przychodzą „…różni ludzie: i lekarze, i aktorzy nawet, i pan Wodecki był u nas na pasztecikach”. Hurra! Mam! Od dawna szukałem nowego zwrotu, którego mógłbym używać w sytuacji, kiedy ktoś mi opowiada jakieś niestworzone historie, coś zmyśla, fantazjuje. Dotychczas posługiwałem się sponiewieranym w reklamie świstakiem, który zawija sreberka. Od dziś będę mówił: – Tak, tak, oczywiście… I pan Wodecki był u was na pasztecikach.

25 października 2009

Światowy Dzień Nucenia

Jeden z portali internetowych poinformował mnie, że 9 listopada jest Światowym Dniem Gry Wstępnej. Wpadłem w popłoch, bo miałem nieco inne plany, no ale skoro światowy, to muszę się dostosować. Nie zdradzę szczegółów moich prywatnych obchodów, ale chwilkę przy tym święcie się zatrzymam. Interesuje mnie, kto wymyśla takie dni czegoś albo dni bez czegoś. Niektóre, zdaje się, są ustanawiane przez oficjalne czynniki, międzynarodowe instytucje. Do Światowego Dnia Gry Wstępnej nikt się nie przyznaje. Podedukujmy. Na pewno wymyśliła to kobieta. Gdyby wymyślił mężczyzna, byłby to najwyżej Światowy Kwadrans Gry Wstępnej, a gdyby to był w dodatku Polak, to jak wynika z badań seksuologów, byłyby to Światowe Dwie Minuty Gry Wstępnej. I dlaczego akurat 9 listopada? W imieniny Agrypina, Benigny, Dziwigora, Genowefy i Świecława? Z imion solenizantów nie wyciągam żadnego wniosku. Być może kluczem do rozwiązania zagadki jest fakt, że 9 listopada jest również Światowym Dniem Jakości i ktoś daje nam znać, że związki, które będą dbały o odpowiedni poziom gry wstępnej, będą się mogły ubiegać o małżeńskie lub partnerskie certyfikaty jakości „ISO”. 9 listopada to również Święto Konstytucji Nepalu. A jeżeli Nepal, to najwyższy szczyt świata, a jeżeli szczyt, to… Pokrętna interpretacja? No ale to bardziej się kojarzy z

grą wstępną niż na przykład wkroczenie wojsk rosyjskich do Warszawy 9 listopada 1794 roku. Tajemnica wyboru tego właśnie dnia pozostanie więc nierozwiązana, podobnie jak intencje pomysłodawców. Jeśli ktoś myślał, że taką inicjatywą zrobi coś dobrego dla skomplikowanych relacji damsko-męskich, to się mylił. Sprawdziłem już po – zdecydowana większość z moich kolegów, którzy wcześniej wiedzieli o tym święcie, nie spędziła tego dnia w domu. Trzech wyjechało w delegację, dwóch kładło płytki u teściów trzeciego (skończyli równo o północy), czterech pojechało wymieniać opony na zimowe i stało w olbrzymich kolejkach. Jedynym, który ten dzień spędził w domu razem ze swoją małżonką, był Marek. Ale to zrozumiałe, on był akurat w trakcie ostatnich przygotowań kondycyjnych do Maratonu Niepodległości.

Należy szukać zjawisk, które mogą poprawiać nasze kontakty, wprowadzać miłą atmosferę w małżeństwie, narzeczeństwie, związku. Powinny być miłe dla obu stron. Dlatego postuluję ustanowienie Światowego Dnia Nucenia w Trakcie Golenia, w Wannie i pod Prysznicem. Takie nucenie może być elementem wprowadzania w dobry humor na cały rozpoczynający się dzień i relaksu po dniu ciężkim. Piosenki mogą być formą flirtu (Woda taka ciepła, gąbka miękka taka/Wyjdę spod prysznica i dam ci buziaka), załatwiania konfliktów (Niech cię brzytwa zatnie, niech cię krem przydusi/Za to, żeś niemiły dla mojej mamusi). Ale też nie muszą nic znaczyć. Można posługiwać się pieśniami zasłyszanymi, ulubionymi, wspomnieniami z dzieciństwa. Nucić w łazience, sprawiając radość domownikom, powinien każdy, bez względu na wiek, status społeczny, wykształcenie. To przystoi każdemu. Podeprzeć się autorytetem? W książce *Awantury na tle powszechnego ciążenia* Tomasz Lem, wspominając swojego ojca, Stanisława, pisze: „Do repertuaru, który wyśpiewywał przy goleniu, należały ukraińskie czastuszki: o dziewczynie, która opluła

ukochanego, bo nie patrzył na nią tak, jak należało, o kochanku, który nie zaraził się cholerą, choć zmogła ona całą wieś, albo o innej dziewczynie, która ukochanego wykopała z grobu, żeby go przed ponownym pochówkiem porządnie wyszorować". Światowy Dzień Nucenia w Trakcie Golenia, w Wannie i pod Prysznicem powinien być obchodzony 10 listopada. Dlaczego? Po pierwsze – w 1918 roku Józef Piłsudski powrócił z więzienia w Magdeburgu i kto wie, czy rankiem tego dnia nie podśpiewywał sobie przy goleniu:

Hej, w przedziale kiepski nawiew,
A za oknem pada,
Hej powita mnie w Warszawie
Regencyjna Rada.
Trudno golić się w wagonie, Woda w oko prysła,
Będzie czekał na peronie
Lubomirski Zdzisław.

Po drugie – w 1928 roku urodził się Ennio Morricone. Po trzecie – gdyby się udało podnieść ten dzień do rangi święta państwowego, to razem z Światowym Dniem Gry Wstępnej i Świętem Niepodległości byłyby trzy dni wolnego.

Październik 2009 („Prime")

Patos i szacunek

Wielokrotnie zwracałem uwagę na niski poziom „upatosowienia” naszych czasów. I ogólnego braku szacunku. Wulgaryzmy – owszem, pomówienia – bardzo proszę, za przeproszeniem pierdoły – ile kto chce, ale jak trzeba coś z patosem i szacunkiem, to już bieda. Jak tak dalej pójdzie, za kilka lat nie będzie co recytować na akademiach szkolnych, a uroczystości wręczenia najwyższych odznaczeń państwowych będą prowadzić didżeje. Żaden współczesny poeta nie pochyla się nad trudem służby, nie pisze poważnie o codzienności żołnierza, policjanta, strażaka. Kiedyś było inaczej. Nawet literatura dziecięca uczyła podziwu dla munduru. Mam w swoich zbiorach wiersz *O żołnierzu* autorstwa Lucyny Krzemienieckiej (to ta pani, która napisała też *Z przygód krasnala Hałabały*). Oto fragment:

Styczeń drogę zaśnieżył przed idącym żołnierzem.
Bucik w śniegu się turla, idzie żołnierz na urlop.
Dostał urlop z kompanii za dobre sprawowanie.
Z chaty siostra już bieży – Witaj bracie żołnierzu!…
…Śnieg kotłuje, wiatr huczy, a ja, widzisz, się uczę.
Żołnierz siostrę uścisnął – Ucz się droga siostrzyczko,
Jam też w wojsku ludowym do nauki gotowy.

Nie umiałem nic dawniej – dziś maszyny naprawiam.
Mówią o mnie w kompanii: Jaśko dobry mechanik…

I można? Niby lekko, ale z patosem i szacunkiem. Postanowiłem zabrać się do roboty, żeby i po nas zostało w literaturze coś poważnego. Ostatnio dużo się mówi o różnych służbach. Niepoważnie się mówi. A to, że jakiś zabójczo przystojny agent wabi na pokuszenie biedne kobiety, a potem oddaje je prokuratorowi. Że ktoś kogoś podsłuchuje. Tymczasem codzienność służb jest inna. I ją należy opisać. Dlatego stworzyłem:

Pieśń o niełatwej służbie i o tym, że służba jest ważna, ale są rzeczy od niej ważniejsze
(na motywach i z cytatami z Majakowskiego oraz innych autorów)

Dosyć już żyliśmy w glorii
Praw stanowionych przez wroga:
Zajeździli kobyłę historii!
Noga
Noga!
Noga!
Kiedy silnik głośno huczy,
Gdy przepali się żarówka,
Kto przytuli? Kto pouczy?
Jeśli nie drogówka?
Idzie Grześ przez wieś,
Zboża wór na plecach ma,
A za Grzesiem CBŚ,
ABW i CBA.
Niech się dumny orzeł pręży,

Niech mu z dzioba zniknie trwoga –
Demokracji nikt nie zwycięży!
Noga!
Noga!
Noga!
Dobrze, że jest taka dzielna,
Dobrze, że jest taka śliczna
Nasza polska Służba Celna
I jej siostra – Straż Graniczna,
Gdyby Służba nie czuwała,
Straż nie pilnowała wizy,
Twoja stara by jarała
Szlugi bez akcyzy.
Nie śpiewa się o nich w piosenkach,
Nie modli się za nich do Boga.
Kto tam znów staje na rękach?
Noga!
Noga!
Noga!
Szeroko otwarte oczy
Ma wywiad i Straż Więzienna
I toczy się, toczy się, toczy
Niewdzięczna służba codzienna.
A gdy nadchodzi czas na harce,
Czas nagrody za wielkie czyny,
Wraca chłopiec w kominiarce
Do swojej dziewczyny.
I już orzeł pręży szpony,

Już namiętność zadmie w róg…
Niestety, taki zmęczony,
Że nie czuje nóg.
Funkcjonariuszu! Posłuchaj wróżby!
Masz to spisane na dłoni:
Niech ci miłość do służby
Życia nie przesłoni!
Bo kiedyś, po latach wielu
Westchniesz: Jak ten czas leci…
Usiądziesz w wygodnym fotelu,
Spojrzysz na swoje dzieci,
Rzucisz okiem na syna
I obleci cię strach…
Bo syn ci przypomina
Żółty wiślany piach,
A ta istotka drobna,
Córka – ideał kobiety,
Jest łudząco podobna
Do szwagra geodety.
Nie używaj zwrotu z „mać”,
Sam sobie jesteś winny,
O żonę trzeba dbać!
Jak nie, to zadba kto inny!
A jak się ciągle podsłuchy zakłada,
Szuka jakiejś mafii w zbożu,
To teraz nie ma co gadać
O nieprawym łożu.
Jak się w teczkach i menzurkach,

Grzebie w DNA Breżniewa,
To się nie ma co dziwić, że córka
Lewa!
Lewa!
Lewa!

Październik 2009 („Policja 997”)

Bezwypadkowy i garażowany

Nasz kraj zmierza w stronę dobrobytu. Takie wrażenie można odnieść, słuchając konferencji prasowych któregokolwiek z ministrów. Stadiony się budują, emerytury będą wyższe, świńska grypa nas nie dopadnie. Krótko mówiąc, Polska rośnie w siłę, a ludziom żyje się coraz dostatniej. Z kilkudziesięcioletnim opóźnieniem, ale jednak spełnia się marzenie towarzysza Edwarda Gierka ujawnione na Plenum KC PZPR w 1971 roku. Zaczynam się bać tego dostatku. Ze strachu zacząłem pisać ludową balladę ostrzegawczą:

Baczmy ino, baczmy, coby
Nie zadusił nas dobrobyt.

Kronikarska natura każe mi zajmować się zjawiskami, które ze względu na panoszący się przepych już wkrótce mogą zniknąć z naszego życia. Tak jest zawsze. Kiedy w sklepach można było wreszcie bez problemu dostać rajstopy, bezpowrotnie odeszły w zakamarki niepamięci (o ja cię! ale zwrot!) panie podnoszące oczka w rajstopach. Nie byłoby po nich śladu, gdyby nie wiersz mało znanego podkarpackiego poety. Oto fragment:

Repasacja albo Kobieta podnosząca oczka w Domu Handlowym w Brzozowie

Cała w uroczokruczych loczkach,
I cała w trzepotaniu powiek,
Kobieta podnosząca oczka
W Domu Handlowym w Brzozowie…

W czasach dobrobytu grupą narażoną na wyginięcie są też mężczyźni handlujący używanymi samochodami. Postanowiłem zawczasu zadziałać i utrwalić język, specyficzne poczucie humoru i niepowtarzalną atmosferę towarzyszącą kupowaniu na giełdzie, w autokomisie albo „z ogłoszenia". Za parę lat, kiedy wszystkich nas będzie stać na kupowanie nowych samochodów w salonach i wykłócać się będziemy jedynie o odcień bieżnika na oponie zimowej i wielkość naszych inicjałów grawerowanych w złocie pokrywającym kierownicę, tamte „giełdowe" rozmowy będą nie do odtworzenia.

Jak zwykle w takich przypadkach odwołałem się do Mądrości Narodu skoncentrowanej w słuchaczach mojej audycji. Zapytałem o doświadczenia, wspomnienia związane z zakupem używanego samochodu. Dostałem setki listów, fragmenty niektórych zacytuję poniżej. Bardzo często pojawiał się w nich motyw zachęty do kupna poprzez informację, kto był poprzednim właścicielem auta. Najczęściej mówi się, że to auto „po kobiecie", „po dziadku, który jeździł tylko do kościoła" (stąd niski przebieg), ale zdarzały się też „od starego Niemca, który tylko na zastrzyki jeździł".

Krzysztof: Szukałem auta sportowego. Dziwnym trafem za każdym razem auto było „po księdzu" i w dodatku garażowane.

Przemek: Spotkałem się z ciekawym zwrotem odnośnie do samochodu: garażowany, przeważnie na wolnym powietrzu.

I tu przechodzimy do rozmów o stanie technicznym auta:

Miłosz: Kupowaliśmy starego mercedesa. Na pytanie ojca: „Czy to cacko bierze olej?” pan szydząco spojrzał na tatę i odpowiedział „A co ma, k…a, dawać?”.

Jacek: Przesyłam zwrot powszechnie używany przez handlarzy, których sporo w mojej okolicy: „bity beretem” = bardzo lekko uszkodzony (moja interpretacja – uszkodzenia powstałe na skutek przetarcia samochodu beretem).

Jakub: Znajomy naprawiając samochód, rozbierał licznik i tam odnalazł karteczkę z napisem: „Ja cofnąłem o 80 tysięcy”.

XX: Jestem mechanikiem i z tego powodu znajomi dość często proszą mnie o konsultacje na temat upragnionego auta. Jednym z moich ulubionych dowcipów jest stwierdzenie: bierz go, jest w dobrym stanie, wszystkie cztery ćwiartki niebite. Miny sprzedających są naprawdę ciekawe w takich chwilach.

L: Komis, auto z ogłoszenia – bezwypadkowe. Jadę. Auto ma wyrwane przednie koła. Rozmowa:

– Miał być bezwypadkowy.

– Jest.

– Ale ma koła powyrywane…

– Ale bezwypadkowy…

– ?

– Bezwypadkowy, proszę pana, to jest jak nie było ofiar podczas zderzenia… A to jest „stuknięty”, a nie wypadkowy, bo nikt nie ucierpiał!

Inny słuchacz wyjaśnił, że „wypadek” jest dopiero wtedy, kiedy policja przyjeżdża, i że można mieć tysiąc stłuczek i bezwypadkowy samochód.

Nie chciałbym, żeby zjawisko, które tym tekstem utrwalam, kojarzyło się przyszłym pokoleniom z nieuczciwością. Nie zawsze tak jest. Na dowód list od pana Łukasza: „Znalazłem kupca na auto, które po wycieczce zostało w lesie, bo tam odmówiło współpracy. Wyśpiewałem wszystko: że bite, że krzywe, że poskręcane drucikami, bierze 2 l oleju na 100 km i ogólnie ledwo co trzyma się kół. Kupujący stwierdził: Nie szkodzi, to dla żony”. Szkoda, że pan Łukasz nie zapytał, kim żona jest z zawodu. Bo może na przykład jest pielęgniarką i za parę lat ten sam samochód będzie sprzedawany jako „po kobiecie, która tylko na zastrzyki jeździła”.

10 listopada 2009

Z cyklu „Moi znajomi”

Oskar

Teraz jest wiceprezesem zarządu Spółdzielni Mieszkaniowej Czołowych Działaczy Związkowych „Tak Nie Można”. Kiedyś był etatowym działaczem Związku Zawodowego Pracowników Pierwszej Zmiany „Druga Zmiana”. Brał udział w kilkunastu spektakularnych protestach pod kancelarią premiera i pod sejmem. Zresztą, w znajdującym się w pobliżu ogrodzie botanicznym do dziś można znaleźć ślady jego walki („Tu byłem z kolegami ze związku – Oskar”). W jego prywatnym ogrodzie można z kolei znaleźć ślady warszawskiego ogrodu botanicznego – na pamiątkę każdego pobytu w stolicy przywoził sobie jakąś roślinkę. Dzięki tej kolekcji (śnieżnik lśniący, cebulica syberyjska, różanecznik ostrokończysty, wrzosiec krwisty i lepiężnik różowy) wygrał konkurs „Najpiękniejszy Ogródek” ogłoszony przez kwartalnik „Najpiękniejszy Ogródek”. Ale Oskar był nieco zawiedziony, bo główną nagrodą była dwuosobowa wycieczka do ogrodu botanicznego w Warszawie. W dodatku wtedy był jeszcze kawalerem i matka nie zgodziła się, żeby pojechał z jakąś obcą kobietą. No to na weekend w ogrodzie botanicznym zaprosił kolegę z działającego przy ich zakładzie Zespołu Pieśni i Tańca „Oscylator”. Parę lat

później cały „Oscylator” śpiewał na weselu Oskara, a Marek został ojcem chrzestnym jego syna. Od tego czasu Oskar twierdzi, że najtrwalsze przyjaźnie rodzą się w ogrodach botanicznych.

– Cześć, jestem Oskar, możesz mnie znać z książek – tak się przedstawia każdemu, kto spotyka go po raz pierwszy. Robi wrażenie, ale tylko przez chwilę. Później okazuje się, że nie z książek, a z przewodników. Dokładnie z jednego – *Jarosław i okolice*. Mniej więcej w połowie tego pięćdziesięciostronicowego dzieła jest zdjęcie z podpisem *Kamienica Orsettich widziana z lotu ptaka*. Jeśli dobrze się przyjrzeć, to w podcieniach ledwo widać postać w żółtej czapeczce, turkusowej kurtce, z reklamówką w ręku. I on twierdzi, że to właśnie on. Ale z równym prawdopodobieństwem mógłby to być Ernest Hemingway idący do sklepu dziewiarskiego w Jarosławiu po dwa metry koronki. Oskar ma zawsze w portfelu tysiąc złotych w stuzłotowych banknotach. Zapytany, po co nosi przy sobie tyle pieniędzy, odpowiada:

– Dla bezpieczeństwa. Wyobraź sobie, że przypadkowo trafia mnie kula wystrzelona przez policjanta w kierunku uciekającego bandyty. Jeśli kula trafi w portfel, przebije dziewięć banknotów i zatrzyma się na dziesiątym – przeżyję. Gdybym nie miał portfela i dziesięciu stuzłotowych banknotów – na pewno bym zginął.

Ta teoria podsunęła mu też pewien pomysł. Postanowił napisać powieść kryminalną pod tytułem *Dziewięć przestrzelonych banknotów stuzłotowych*. Ktoś ze znajomych zasugerował, że może jeszcze bezpieczniej byłoby, gdyby nosił w portfelu tylko jeden banknot i stalową blaszkę, ale Oskar stanowczo zaprotestował. No bo jakby miał w takiej sytuacji brzmieć tytuł jego powieści? *Stalowa blaszka i jeden przestrzelony banknot stuzłotowy*? Przecież to grafomania! Zresztą pisanie powieści odkłada do emerytury,

teraz nie ma na to czasu. Sporadycznie tylko pisze wiersze. Dotychczas udało mu się napisać sześć wierszy Tuwima i dwa Broniewskiego.

Siedem lat temu stanął przed sądem podejrzewany o uszkodzenie fasady budynku kancelarii premiera w Warszawie. Razem z trzema innymi działaczami celnymi rzutami kamieni wygrawerowali na ścianie napis: „Oddajcie nasze pieniądze, złodzieje”. Podczas tej rozprawy, dokładnie po słowach prokuratora „Oskar żony nadal nie ma…”, postanowił się ożenić. Jego synek ma dziś pięć lat i chyba idzie w ślady ojca. Jego ulubioną zabawą jest palenie oponek z trzykołowych rowerków.

23 listopada 2009

Piec klaczy, czyli pięć kłączy

Informuję, że w grudniu 2009 roku powstał ROPIEL. Wiem, że co wrażliwsi mogli po pierwszym zdaniu zakończyć czytanie tego tekstu, ale mam nadzieję, że ci, którzy jeszcze czytają, przekażą tamtym, o co chodzi. Otóż to, co powstało, nie ma żadnego związku z medycyną, nie jest następstwem jakiejś przykrej zdrowotnej przypadłości. Nie jest to też nazwa spółki, która handluje ropą naftową i elektrycznością. To jest skrót od: Ruch Obrony Polskich Intensywnie Eliminowanych Liter. Chcemy się przeciwstawić, powszechnej w Internecie i komunikacji esemesowej, manierze wycinania ogonków, kresek i kropek, charakterystycznych dla naszego języka. Może Koziolek Matolek to dobre dwuczłonowe nazwisko dla niemieckiej eurodeputowanej, ale ten nasz to jest Koziołek Matołek! Tak jak Bołek i Łołek. W porządku, z tym przykładem może przesadziłem, ale ogólnie nie przesadzam – trzeba podjąć natychmiastowe działania! Powinniśmy, umieszczając jakiś złośliwy komentarz, odesłać do nadawcy list mejlowy, w którym jest napisane: „Wesolych Swiat zycza Los i Gaska ze Slaska. PS Maz Manki Maki wzial dla Baka paczki i drazek do kata” („Wesołych Świąt życzą Łoś i Gąska ze Śląska. PS Mąż Mańki Mąki wziął dla Bąka pączki i drążek do kąta). Powinniśmy tępić esemesy, których nadawca nie używa „ą”, „ę”, „ł”, „ń”, itd. Na przykład, kiedy ktoś wysyła

nam wiadomość, w której treść wpisuje staropolskie powiedzenie: „Nadal kakol w roze blada, zona krazy z wezem w ciazy” („Nadął kąkol w różę bladą, żona krąży z wężem w ciąży”) – reagujemy stanowczo, nawet wulgarnie, odpowiadając krótko, z wyraźnym „ę” na końcu wyrazu określającego to, w co nas może nadawca pocałować. Nie może być żadnym usprawiedliwieniem fakt, że ktoś ma komputer lub telefon, który nie ma polskich liter. To należy takiego żądać (nie: zadac) od operatorów sieci i producentów programów komputerowych!

Pierwsza akcja, którą ROPIEL będzie się starał spopularyzować, nosi nazwę „Cała Polska czyta: Dzięcioł”. Chodzi o powtarzanie nazwy polskiego ptaka przy każdej okazji i zwracanie uwagi na to, jak pięknie brzmią nasze „ę” i „ł”. Można słowa „Dzięcioł” używać zamiast powitania czy pożegnania, wtrącać w każdym momencie rozmowy (przykład: „Poproszę dwie, Dzięcioł, kawy i sernik”, „W pracach sejmowej komisji, Dzięcioł, hazardowej…”). Będziemy się starali o włączenie do akcji różnych organów państwa. Co niby stoi na przeszkodzie, żeby to słowo pojawiło się na którymś z powszechnie używanych dokumentów (PIT 8B Dzięcioł)? Dlaczego podczas oficjalnych uroczystości, zaraz po odegraniu hymnu państwowego, nie można zaintonować „Dzięcioł w drzewo stukał, dziewczę płakało”?

Spodziewamy się, że nazwa naszej akcji „Cała Polska czyta: Dzięcioł” może być przez niektórych kojarzona z nazwą innego przedsięwzięcia, którego celem jest popularyzowanie czytelnictwa wśród najmłodszych Polaków. Podobieństwo jest zupełnie przypadkowe i niezamierzone, ale całym sercem włączymy się w każdą szlachetną inicjatywę, która może ratować język polski przed bestialskim niszczeniem. Zaraz po zakończeniu akcji „Cała Polska czyta: Dzięcioł” ruszamy z projektem: „Nie ma spania bez czytania”. Mamy zamiar rozdać kilka milionów drewnianych drążków

o długości od metra do trzech metrów, służących do trącania w dowolną część ciała osób, które układając się do snu, nie przeczytają przynajmniej pięciu stron książki.

W imieniu Grupy Inicjatywnej ROPIEL

mgr Artur Andrus

14 grudnia 2009

279 KK op.24 no.2

Kino, literatura, teatr, kabaret od setek lat wykorzystują zasadę przeciwieństw. Wiadomo, że najlepiej można opowiedzieć historię, gdy umieści się ją w jakimś konflikcie. A konflikt jest najczytelniejszy, jeśli jego bohaterami są: mądry – głupi, gruby – chudy, wysoki – niski, czarny – biały, stary – młody, kobieta – mężczyzna, Polak – Rusek – Niemiec. Oj, przepraszam, to ostatnie tak mi się jakoś zaplątało, wprowadzając zamęt we wcześniej przedstawioną tezę. Podobno z zasady przeciwieństw korzystają również w swojej pracy operacyjnej policjanci. Chodzi oczywiście o „Złego” i „Dobrego” przesłuchujących przestępcę. To znaczy, w przypadku polskiej policji, „Dobrego” i „Udającego Złego”. Być może źli policjanci zdarzają się gdzieś w Ameryce, u nas są sami dobzi (to zdrobnienie od „dobrzy”), bo starając się o przyjęcie do służby, muszą mieć zaświadczenie od proboszcza albo referencje od staruszek przeprowadzonych przez jezdnię. W każdym razie motyw „Złego” i „Dobrego” jest już tak wyeksploatowany, że trzeba zastanowić się nad wprowadzeniem nowego. Filmy kryminalne bardzo tę metodę upowszechniły, więc teraz każdy przesłuchiwany może sam sobie ustalić schemat przesłuchania:

– O, teraz ten gruby rzuci krzesłem w ścianę, zresztą po to ma tam wymalowany taki kwadrat z napisem „Tu rzucać krzesłem”, po czym

powie, że idzie po Tyranozaura, który jako były ortopeda wie, jak łamać kości. A jak tamten wyjdzie, to ten drugi, blondynek, poczęstuje mnie papierosem mentolowym, powie, że rozumie, że ja ten samochód ukradłem tylko po to, żeby go sprzedać, a pieniądze przeznaczyć na dalszą edukację, że ma żonę podobną do mojej i wie, że byle czego one nie włożą, ale że jak się przyznam, to on mi pomoże znaleźć uczciwą pracę, a kto wie, czy się tak nie zaprzyjaźnimy, że po moim wyjściu z zakładu karnego, jak się już zresocjalizuję, pojedziemy razem na dyskotekę.

Proponuję, żeby „Złego” i „Dobrego” zastąpić „Smutnym” i „Wesołym”. Taki pan złodziej wchodzi na przesłuchanie, a tu w ciemnym pokoju z głośników sączy się *Sonata b-moll* Fryderyka Chopina. „Smutny” ubrany na czarno zadaje kolejne pytania, a po każdej głupiej bądź wymijającej odpowiedzi wydaje z siebie bolesny syk, sięga do leżącego przed nim, wydanego przez Komendę Główną Policji i dołączonego do miesięcznika „Policja 997”, tomiku *Milion łez na padół* i czyta:

Blizna przy bliźnie,
Na szramie szrama,
Człowiek człowieka
Umie okłamać,
Blizna przy bliźnie,
A serce łka
Dwa siedem dziewięć KK.

Po czym „Smutny” wstaje, wychodzi z pokoju, pod sufitem zapala się dyskotekowe kolorowe światło, wpada „Wesoły” i na melodię *Mazurka op.24 no.2* śpiewa:

Poszedł sobie Anioł Czarny,
Co cytuje Kodeks Karny,
Niech się tylko zamkną drzwi,
Ja ci włączę DVD,
Film o księżnej i o księciu…
Od roku do lat dziesięciu.

Nie jestem pewien skuteczności tej metody, bo to na razie założenia czysto teoretyczne. Ale podejrzewam, że takie codzienne, kilkugodzinne seanse muzyczno-literackie mogłyby złamać największych twardzieli. A jak się nie uda, zawsze można uznać, że to jest wkład polskiej policji w obchody Roku Chopinowskiego. Oczywiście obok „zabezpieczania” imprez w Filharmonii Narodowej i Teatrze Wielkim, bo przecież wiadomo, że nie wiadomo, co mogą zrobić tak zwani pseudomelomani podczas koncertów Blechacza, Pogorelicia czy Argerich.

Styczeń 2010 („Policja 997”)

Bard kolejowy

Kiedy jedyny syn moich przyjaciół oznajmił, że wybiera się na „teologię żywienia”, jego matce zrobiło się smutno. Że nie będzie miała wnuków. Kiedy się okazało, że źle spisał dane ze strony Politechniki Łódzkiej, że chodzi o „technologię żywienia”, odetchnęła z ulgą, a dumny ojciec wyjął z zakamarków biblioteczki podręcznik *Gorzelnictwo i drożdżownictwo* wydany przez Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne w 1980 roku. „Dzięki tej książce przetrwałem cały stan wojenny. Teraz tobie pomoże przetrwać studia” – powiedział drżącym ze wzruszenia głosem.

A swoją drogą, dlaczego na żadnej uczelni nie ma kierunku „teologia żywienia”? Czyżby Bóg nie jadał?

No i znalazłem się na zakręcie mojego życia zawodowego. To, co robię, zaczyna mnie uwierać. Poszukuję dla siebie innego miejsca. Próbuję wymyślić jakiś nowy gatunek twórczości, coś oryginalnego, w czym mógłbym się spełniać. Ale bądź tu mądry, jak ludzie już powymyślali takie rzeczy… W książce Jacka Hugo-Badera *Biała gorączka* jest wzmianka o zespole Krzyż Południa, który gra „rock starocerkiewno-słowiański”. To mi przypomniało, jak parę lat temu, w małym miasteczku na Pomorzu, widziałem koncert muzyki religijnej. Kilku młodych, przyodzianych w habity gitarzystów elektrycznych śpiewało pieśń „Pójdźmy wszyscy do

Jezusa, on na pewno czuje bluesa”. Parę lat później na ulicy w Ełku zobaczyłem dziesiątki plakatów reklamujących koncert chrześcijańskiej muzyki rockowej. Jeden zdjąłem ze słupa ogłoszeniowego i mam go do dziś. A oto, co jest na tym plakacie napisane (zachowuję oryginalną pisownię, bo jest oryginalna): „Ze wszystkich sił swoich czady i ballady. The Living Stones łoi na elektrycznych gitarach dla Najwyższego Pana. If You jeśli smoliłeś vódę, ciągnąłeś dragi, blablałeś się w brudnym sexsie i dalej nikt Cię nie chce, to spróbuj jeszcze Super Mocy Jezusa Chrystusa, która powali Cię na czachę Full Power…”. No więc w te rejony zapuszczać się nie będę, bo jak widać, co oryginalniejsze miejsca już pozajmowane.

Może zostanę bardem kolejowym? Co prawda wielu przede mną poruszało tę tematykę (*Na wszystkich dworcach świata*, *Siedzę na dworcu w Kansas City*, *Wsiąść do pociągu byle jakiego* i setki innych), ale ja mam pomysł na niebanalną formę prezentacji. Ubrany na czarno będę się pojawiał w wagonach restauracyjnych pociągów, które mają już ponad godzinę spóźnienia w związku z atakiem zimy. Stanę przy ladzie i na tyle głośno, żeby wszyscy słyszeli, za ostatnie pieniądze zamówię porcję strogonoffa z czerstwym chlebem. Koniecznie z czerstwym, bo brzmi jakoś bardziej egzystencjalnie i poetycko. Po chwili, zupełnie przypadkiem, przysiądzie się do mnie też ubrany na czarno gitarzysta, tyle że on nic nie zamówi, żeby było widać, że jeszcze uboższy. Wyjmie z futerału gitarę, zacznie grać, a ja zaśpiewam pieśń odwracającą uwagę od opóźnienia…

Za szybko mijają stacje,
Dworce losu człowieka,
Rodziny, dziewczyny i korporacje
Mogą poczekać.
Siarczyste mrozy nad światem
Niech niecierpliwość strącą,

Że zimno? A pamiętasz, jak latem
Było ci za gorąco?
Ref:
Nieprzypadkowo dobry Bóg
Stworzył kobietę z męskiego żebra,
Z czego innego stworzyć mógł…
Strogonoff proszę odebrać!
Nieprzypadkowo lata ptak
Pomiędzy ziemią a niebem,
Ty też polecieć możesz tak…
Strogonoff z czerstwym chlebem!

Przygotowuję cztery zestawy repertuarowe: *Interbard*, *Bard Regionalny*, *Tani Bard Kolejowy* i *Deutsche Bard Polska*.

18 stycznia 2010

Z cyklu „Moi znajomi”

Paweł

Zawodowo mu się nie wiedzie. Jako założyciel i redaktor naczelny pisma „Dziś Miś – Jutro Szakal Czaprakowy” promował metodę stresowego wychowywania dzieci. Bez przemocy, ale też bez ukrywania przed nimi ciemnych stron życia. Według tej teorii pierwszymi słowami, które powinien próbować wypowiedzieć kilkunastomiesięczny człowiek, nie są: „mama”, „tata”, „baba”, tylko: „komornik” i „przetarg”. Alfabet – oczywiście dziecko powinno się go uczyć, ale nie tak, jak dotychczas. Chodzi o kolejność liter – nie: „ABC”, tylko: „CBA”. Paweł opracował własną wersję elementarza i drukował ją w odcinkach: „To Ala, a to rękaw Ali. Ala ma Asa w rękawie”, „Kasia zbiera kasztany, a tato Kasi kosi kasę”. Pismo padło z powodu niskiej sprzedaży. Podobno gwoździem do trumny „Dziś Misia – Jutro Szakala Czaprakowego” była seria denerwujących zagadek dla przedszkolaków. Przytoczę dwie:

Oczy czarne, nos czerwony,
Włosy lekko potargane,

Stoi sobie w ogródeczku
Ośnieżony pan…

Oczywiście każde dziecko odpowie „bałwanek”, tymczasem na ostatniej stronie, w dziale „Rozwiązania” pada odpowiedź:

Ośnieżony pan… Kazimierz,
Któremu chłodno w zimie,
Taki już jego los
I życie jego marne,
Kazimierz ma zmarznięty nos,
Ale oczy czarne.

Albo coś takiego:

Całą jesień zbiera orzeszki
W parkach i na podwórkach,
Biega, skacze, ruda kitka.
Kto to taki? To…

Odpowiedź:

Pani Kazimiera,
Która jest ruda i orzechy zbiera.

Twórczość dla najmłodszych nie dawała mu pełnej satysfakcji. Postanowił spróbować w operze. Ukończył korespondencyjny kurs reżyserii operowej i zgłosił się do Teatru Wielkiego. Pomysły miał rewolucyjne – w roli Halki chciał obsadzić byłego bramkarza Jana Tomaszewskiego, planował też łączenie w jednym spektaklu oper

Moniuszki i Donizettiego. Zmiksował na przykład *Verbum nobile* i *Lukrecję Borgię*, w tej wersji aria Lukrecji zaczynać się miała od słów:

Dam ci ptaszka jakich mało,
Aż ci po nim spadną buty,
Dam ci ptaszka jakich mało,
A ten ptaszek jest zatruty.

Nikt nie uwierzył w możliwość sukcesu tego przedsięwzięcia. Po raz kolejny przeżył zawodowy zawód.

Po próbach operowych i upadku pisma dla dzieci uruchomił kancelarię porad prawnych. Ale też zbankrutowała. Być może dlatego, że na większość pytań, z którymi zwracali się do niego interesanci, udzielał jednej odpowiedzi: „Po wnikliwym przeanalizowaniu przedstawionego przypadku radzę wziąć adwokata”. Coraz mniej było chętnych do płacenia dwustu złotych za taką poradę. W akcie rozpaczy chciał się zatrudnić jako kierowca autobusu miejskiego, ale nie przeszedł testów psychologicznych. Niepotrzebnie przyznał się lekarzom, że zawsze kiedy ogląda zawody w skokach narciarskich, uporczywie myśli o swojej matce. Nie potrafi wyjaśnić dlaczego. Matka nigdy nie skakała, jest księgową w ubojni drobiu.

Prywatnie nie lepiej. Paweł jest singlem. Kobiety za nim szaleją, ale jak się odwraca, to już stoją spokojnie. Nie ma wielkich marzeń. Chciałby mieć dom, żonę, troje dzieci, drugi dom, drugą żonę, dwoje dzieci. I żeby matka wygrała Turniej Czterech Skoczni.

15 lutego 2010

Sowiecka uroda

Kiedy Marta mówi „dobrze wyglądasz”, wiadomo, że się przytyło. Okazuje się, że „dobrze” to nie zawsze komplement. Podobnie jak „sympatyczna”. Kiedy na dotyczące nowej narzeczonej pytanie: „Ładna?” otrzymujemy odpowiedź: „ Sympatyczna”, też raczej powodów do zadowolenia nie ma. W ramach badań nad „Niebanalną myślą ludzką skoncentrowaną w tej części świata” zapytałem słuchaczy „Trójki” o najbardziej zaskakujące komplementy, jakie usłyszeli pod swoim adresem albo jakich sami użyli w stosunku do kogoś innego. Oto efekt (dopiski w nawiasie moje):

Jarek: Chciałem kiedyś żonie powiedzieć jakiś nietypowy komplement. Nie mieszkamy w Polsce, chociaż oboje jesteśmy Polakami. Wymyśliłem, że powiem coś nawiązującego do naszego ojczystego kraju. Powiedziałem, że jest miła, inteligentna i ma sowiecką urodę”. Oczywiście miało być „słowiańską”.

(To rzeczywiście komplement wysokiego ryzyka, „sowiecka uroda” wskazuje moim zdaniem na fizyczne podobieństwo do Leonida Breżniewa albo Nikity Chruszczowa, mam nadzieję, że skończyło się dobrze).

Marta: Od mojego męża, który jest pasjonatem kolei, na początku naszej znajomości dostałam następującego esemesa: „Nigdy nie sądziłem, że jakaś dziewczyna będzie mi się podobała bardziej niż EP 09”.

(Pani Marta wyjaśniła, że EP 09 to normalnotorowa lokomotywa pasażerska).

Magda z Chorzowa: Kiedyś będąc w klubie, usłyszałam od pewnego mężczyzny bardzo miły komplement: „Ej ty, fajno żeś jest z ryja”.

(W nagłówku listu było napisane „Śląski komplement”).

W.: Zasłyszane – pan do pani: „Bardzo ładnie się pani nadwaga rozkłada”.

Ania z Torunia: Moja czteroletnia córeczka do mnie: „Pachniesz jak dobra kobieta”.

X: Moja mama – Kubanka – wróciła kiedyś do domu bardzo zadowolona. Na pytanie, co się zdarzyło, odpowiedziała, że jakiś młody mężczyzna powiedział jej, że jest jak historia Kuby – stara, ale ciekawa…

(Zastanawiam się, jakie skojarzenie wywołałoby porównanie kobiety do historii Polski? Stara, ale burzliwa? Stara, ale skomplikowana? Czy, jak twierdzą niektórzy politycy i publicyści – stara, zmanipulowana i niecnie wykorzystywana przez środowiska antypatriotyczne?).

Kasia: Zdenerwowałam się na kolegę, a on na to: „Kasiu, nie denerwuj się, złość piękności szkodzi, a ty nie masz czym szarżować”.

XX: Zdarzyło mi się usłyszeć od znajomego, że wyglądam z tyłu jak porsche boxter. Do dziś nie wiem, czy chodziło o styl, czy gabaryty – wolałam nie dopytywać.

(Interpretacji może być wiele – najprostsza to taka, że miała Pani specjalne miejsce na tablicę rejestracyjną i ładnie wystylizowane światła stopu. Ale nie narzekałbym na ten komplement, niech Pani sobie sprawdzi, jak wygląda nissan cube albo jak wyglądał wartburg. Poza tym proszę przeczytać notkę niżej).

Magda: Usłyszałam od swojego narzeczonego, że mam nos jak wloty powietrza w F-16. Zazdroszczę pani, która wygląda jak porsche.

Kasia: Mijałam dwóch panów, sądząc po strojach – robotników z pobliskiej budowy. Kiedy przechodziłam obok, jeden trącił drugiego, na co ten drugi:

– No co? Przecież to nie twój rocznik.

– No rocznik nie, ale model mój.

Ania: Usłyszałam kiedyś komplement po wyjściu od fryzjera. Mianowicie, że wyglądam tak ładnie, jak Leon Niemczyk w *Krzyżakach*.

(To akurat prawdziwy komplement, gorzej byłoby, gdyby po wyjściu od fryzjera usłyszała Pani, że wygląda jak Jurand ze Spychowa wracający z krzyżackiego zamku).

Marcin: Najoryginalniejszy komplement, jaki usłyszałem, brzmiał: „Jak na ciebie, to jest OK”.

Może należałoby wydać słownik niebanalnych komplementów? O ileż ciekawsze byłyby flirty, podrywy, rwania, gdyby zamiast banalnych i wyświechtanych: „śliczna jesteś”, „masz cudowne oczy”, zacząć używać chociażby tych zacytowanych powyżej. Albo ich kombinacji: „Pachniesz jak EP 09 i fajno żeś jest z ryja, ale nie masz czym szarżować, jak Leon

Niemczyk w *Krzyżakach*” (czyli, że pachnie prądem i ma ładną twarz, ale nie jeździ konno).

28 lutego 2010

Król Karol kupił królowej Karolinie

Ten językowy łamaniec, który zna każdy przedszkolak, przypomniałem sobie, słuchając zmagań reporterów radiowych relacjonujących wizytę „księcia Karola i księżnej Kornwalii”. Liczba językowych zasadzek czyhających na dziennikarzy była zatrważająca. „Książę Karol, pretendent do królewskiego tronu, reprezentant brytyjskiej korony, mąż księżnej Kornwalii, brnął przez przykryty szadzią i krą krajobraz krainy żubra w kierunku Kruszynian. Książę Karol kupił księżnej Kornwalii kryształową karafkę…”. Jestem przekonany, że po tej wizycie paru dziennikarzy zrezygnowało z wykonywania zawodu „z powodów logopedycznych”. To potworny stres dla kogoś, kto żyje z mówienia. Podobny przeżywała pewna pani zapowiadająca pociągi na Dworcu Centralnym w Warszawie. Stresowały ją żarty osób oczekujących na peronach. A ludzie sobie żartowali, bo z głośników wydobywał się następujący komunikat: „Pociąg Tanich Linii Kolejowych spółki Intersyty z Warszawy do Lublyna przez Dęblyn…”.

„Katedra Wiersza Użytkowego” Zakładu Usług Satyrycznych (w skrócie ZUS) prowadzi aktualnie dwa projekty twórcze. Jeden polega na opisywaniu wierszem efektów różnych reform. Na przykład reformę służby zdrowia skomentowałem wierszem *Już niedługo:*

Już niedługo mej niedoli,
Już niedługo ja pocierpię,
Marzec jest i ząb mnie boli,
A dentystę mam na sierpień.

Projekt drugi to opis ciekawych zjawisk artystycznych. W przygotowaniu jest cykl wierszy o operze, kabarecie i filmie. A zacząłem od wierszy poświęconych pantomimie.

Wiersz o tym, że są takie sytuacje, kiedy nie ma mima

Wiosna, lato, jesień, zima,
Mima nie ma, nie ma mima,
Niedźwiedź w gawrze słodko kima,
Mima nie ma, nie ma mima,
W Tatrach, Alpach oraz Hima-
lajach również nie ma mima,
U Szekspira, u Tuwima
Mima nie ma, nie ma mima,
A w Korei reżim Kima,
Mima nie ma, nie ma mima.
Pan Miedwiediew (dla przyjaciół Dima)
Wysłał list do ONZ,
Z pytaniem: Dlaczego nie ma mima?
Po rosyjsku: *Poczemu mim niet*?

Wiersz o tym, gdzie prawdziwi albo nieprawdziwi sportowcy spotykają pantomimę

Reprezentant Niemiec,
Panczenista Thuma Uwe,
Wracał na niemiecką ziemię
Z zawodów w Vancouver.
Wracał również Czech Hasiczka
(Srebrny medal w żarciu bobu).
Niemiecka celniczka
Zapytała obu:
– Panie Thuma, co pan tu ma?
Pan mi to pokaże lub…
Pan mitoman? Pana mina…
Pan mataczy! Pan żre bób!
Nagle zaszumiała klima,
Wyszedł zza niej Kamil Stoch
I powiedział:
– Pantomima!
Po niemiecku *Hände hoch*!

Oprócz niewątpliwej wartości artystycznej, te wiersze mogą być ćwiczeniem logopedycznym dla studentów dziennikarstwa, którzy kiedyś, relacjonując wizytę amerykańskiej aktorki Mimi Rogers, będą chcieli poinformować słuchaczy o elementach ubioru aktorki i o tym, że jej dzieci założyły szkolny teatr ruchu: „Mimi – mama milusińskich mimów, ma mimo omamów korale koloru koralowego”.

22 marca 2010

Pojednanie

Zamieszczony poniżej wiersz chciałbym zarekomendować organizatorom tegorocznej edycji Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego. Powinien być utworem obowiązkowym na każdym etapie konkursu. Jeśli tak się stanie, proszę o informację o datach występów, bo chciałbym na własne uszy usłyszeć, jak brzmi moje dzieło.

Zaśnij. Wygaśnij.
Rzucasz Eyjafjallajökull
Szary pył na nasze dni.
Spójrz na Reykjaneshryggur,
Jak spokojnie śpi.
Spójrz – Oræfajökull
Światu nie przeszkadza,
I z Kollóttadyngja
Nie ulata sadza.
Czasem tylko Grimsvötn
Mruknie po cichutku,
Po czym Vatnajökull
Spłynie łzami smutku.
Bądź jak Snæfellsjökull!

Śpij spokojnym snem.
Proszą Cię: Lufthansa, LOT i KLM.

Gdyby się okazało, że mój wiersz przekracza możliwości interpretacyjne polskich recytatorów, to się po prostu obrażę, spróbuję znaleźć tłumacza i zacznę pisać na rynek islandzki.

Dowiedziałem się, że jeśli chodzi o rolnictwo w Islandii, to jego podstawą jest hodowla owiec. Jeśli są owce i są góry, to wiadomo, że muszą też być górale. Zacznę więc od próby dostosowania klimatów naszej ludowej poezji podhalańskiej do warunków islandzkich. Albo od razu przystąpię do łączenia, tworzenia ludowej sztuki polsko-islandzkiej. Na przykład:

A ten Litlanesfoss piekny jak Siklawa,
Kieby z Kasprowego wypłynęła lawa,
Kieby popłynęła prosto przez granicę,
Hej, zdziwione pyski miałyby kozice.
Hej, duze zdziwienie miałyby na twazy,
Pirsy roz w racice cosik je tak pazy.
Skubie se kozica przypaloną trawę,
Z rogów jej się dymi, kieby na konklawe.
A islandzkiej owcy skraśniałyby lica
Kieby ją wypasał Magnús Gąsienica.

Władze Islandii zainteresowane uhonorowaniem mnie za zasługi dla polsko-islandzkiego pojednania (bo przecież trochę nam się kontakty popsuły, kiedy ich wulkan zamknął naszą przestrzeń powietrzną) proszone są o kontaktowanie się ze mną za pośrednictwem Ministerstwa Spraw

Zagranicznych. Jestem gotów przyjąć ambasadora w czwartek między 14.00 a 15.00.

26 kwietnia 2010

Luli, luli…

Encyklopedia twierdzi, że sen to stan funkcjonalny układu nerwowego, przeciwny do stanu czuwania, którego istotą jest czasowy zanik świadomości… Marzenia senne występują podczas snu delta i w fazie paradoksalnej, przy czym zapamiętywana jest treść marzeń występujących tylko podczas snu paradoksalnego. No, to teraz wszystko jasne. Tyle że encyklopedia nawet nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo sny niektórych ludzi mogą przekraczać granice normalnego paradoksu. Ktoś powie, że „normalny” i „paradoks” to dwa pojęcia wykluczające się? Nie zawsze, niekoniecznie, niecałkowicie. Podejrzewam, że istnieją paradoksy bardziej normalne i mniej normalne.

Kiedy kilka dni temu w hotelowym pokoju włączyłem telewizor około drugiej w nocy, jakaś ładna pani zaczęła mi uświadamiać, że każdy sen coś znaczy. Była przekonująca, ale nie do tego stopnia, żebym zdecydował się zadzwonić do niej za 3,66 z VAT-em. Natomiast zaintrygowała mnie na tyle, że postanowiłem zapisywać, co mi się śni, i sprawdzać, co to znaczy. Tylko gdzie sprawdzać? Najlepiej w senniku. Ale gdzie dostać jakiś porządny? W normalnej księgarni wcisnęli mi *Sennik współczesny* Konwickiego, ale już w drodze do domu zorientowałem się, że znaczenia śnienia złotego zęba albo aparatu ortodontycznego w nim nie znajdę.

Trafiło mi się na kiermaszu taniej książki. Porządna, gruba, przeceniona *Księga Snów* z interpretacją wszystkich możliwych marzeń.

No i się zaczęło. Sprawdziłem notatki. Sen pierwszy z 4 na 5 maja: wspinam się na drzewo, a potem z niego spadam. Według *Księgi Snów* (nic nie zmyślam, cytaty dosłowne):

– wdrapywać się na drzewo – niebawem stanie przed naszymi drzwiami ktoś, kto złoży propozycję zarobienia dużych pieniędzy (nie powinniśmy odmawiać),

– spadać z drzewa – może się zbliżać nieszczęście, nie wolno podejmować pochopnych decyzji, w tym przypadku lepiej grać na zwłokę.

No to co ja mam robić? Sprawdzajmy dalej – sen z 16 na 17 maja – żaba:

– widzieć żabę – spotkamy się z niedyskrecją ze strony osoby, która dotąd wzbudzała nasze zaufanie.

Ale czy to na pewno żaba? Bo może ropucha? Ja we śnie z tej odległości nie jestem w stanie rozpoznać. A jeżeli ropucha, to:

– obserwować ropuchę – zły znak, może wróżyć szkody i choroby.

W sumie jedno i drugie mało optymistyczne, ale jak się okazuje, nie wystarczy uważnie patrzeć, trzeba również słuchać, co się śni, bo:

– słyszeć rechot żab – za dobrą pracę czekają nas pochwały. No i już niby milej, ale z 17 na 18 maja śnił mi się facet grający na akordeonie. Też nie pamiętam jak, a to ważne, bo:

– słuchanie gry na akordeonie zapowiada przyjemną podróż,

– jeżeli gra nieudolnie, często się myli i fałszuje – należy się zastanowić nad stanem swoich nerwów i wyciszyć emocje.

I jeszcze tarot ma do powiedzenia coś na temat akordeonu:

– czasami taki sen dotyczy zwolnienia z pracy, szczególnie kiedy pojawia się w nim grający na akordeonie szef.

Dość tego! Są granice paradoksu! Jeszcze mi tego brakuje, żeby śnił mi się mój szef grający na akordeonie! No, chyba żeby równocześnie śpiewał jakieś ładne kołysanki:

Śpij, kochany, luli, luli,
Niech ci szczęście sny wymarzą,
Twój kierownik cię utuli,
O twój sen się martwi zarząd.

Trzeba spać czujnie. Jeśli chce się wiedzieć, co się w życiu zdarzy, należy uważnie patrzeć (na wszelki wypadek od paru dni nie zdejmuję okularów na noc), słuchać, notować. Najlepiej nie spać. Bo jeszcze się zaśnie i się prześpi sen. Zwłaszcza że człowiek zaczyna się tak przejmować swoimi snami, że wymykają mu się spod kontroli. Piętrzą się, komplikują… Którejś nocy śniło mi się dwustu tańczących księży (w tym trzydziestu biskupów), każdy trzymał w ręku biały kwiat i jadł gruszkę, a w tle wyraźnie było słychać kukułkę. I wszystko jest w *Księdze Snów* wytłumaczone, tyle że ja już się gubię. Pogubiłem się nawet w rozróżnianiu snu od jawy. Bo na przykład przeczytałem, że:

– dobra zabawa przy alkoholu i suto zastawionym stole – jest to znak szybkiego i łatwego pozbycia się sprzętów domowych (uwaga, możliwa kradzież).

I rzeczywiście, sprawdziło się co do słowa. Pierwsza część zrealizowała się w imieniny Norberta, druga – rozbity telewizor i zniknięcie laptopa – wyszła na jaw następnego ranka.

Może to kwestia braku uprawnień? Może, żeby interpretować sny, trzeba ukończyć jakieś specjalne szkolenia? Może wystarczy kurs członków

rad nadzorczych spółek Skarbu Państwa? Ale jednak jakieś przygotowanie trzeba mieć. A może zwrócić się o pomoc do kompetentnej Cyganki? Tylko gdzie teraz taką znaleźć? W andrzejki rozmawiałem ze słuchaczami mojej audycji na temat wiary we wróżby. Dostałem list od pana Krzyśka ze Szczecina: „Do mojego kolegi podeszła kiedyś Cyganka z propozycją powróżenia. Kolega, chcąc sprawdzić kompetencje wróżki, poprosił na wstępie, żeby powiedziała, jak on ma na imię. Cyganka spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała: Waldek. Rozbawiony kolega odpowiedział, że nie, bo ma na imię Piotrek. Cyganka bez zastanowienia:

– Po waszemu Piotrek, po naszemu Waldek.

Maj 2010 („Prime”)

Zeszyty pełne złotych myśli

W Internecie trafił na myśl Woody’ego Allena: „Moje życie jest żałosne. Ostatni raz byłem w kobiecie, zwiedzając Statuę Wolności” i stwierdził, że też tak chce. To znaczy, że też chce wymyślać takie mądre zdania, też chce być cytowany w Internecie, chce, żeby cały świat wiedział, że istnieje ktoś taki jak Jerzy Patrzyskos.

W sklepie papierniczym kupił gruby zeszyt z zamkiem w Malborku na okładce. To też miał być symbol. Przecież kiedyś będą mówić: „O, Jerzy Patrzyskos to był Wielki Mistrz. Mistrz Słowa”. Zaczął od przerabiania Woody’ego Allena, pierwsze zdanie, jakie wpisał do zeszytu, to było: „Moje życie jest żałosne. Ostatni raz byłem w kobiecie, zwiedzając kopalnię soli w Wieliczce”. Co zresztą prawdą wcale nie było, ale było bardziej prawdopodobne niż to ze Statuą Wolności. Ktoś, kto po latach będzie opisywał życie i twórczość Jerzego Patrzyskosa w książce *Patrzyskos non-fiction*, łatwo mógłby dowieść, że nigdy nie był w Nowym Jorku. Chyba że Statuę Wolności traktować symbolicznie i dać na dole strony przypis, który wyjaśniałby, że autor miał tak naprawdę na myśli budynek Urzędu Miejskiego w Białymstoku. Czyli że co? „Moje życie jest beznadziejne. Ostatni raz byłem w kobiecie, zwiedzając Urząd Miejski w

Białymstoku”? Patrzyskos stwierdził, że przerabianie cudzych myśli do niczego nie prowadzi. Zaczął spisywać swoje:

„Zauważyłem, że wywołuję w kobietach uczucia macierzyńskie. Ale, cholera, jak niewiele jest dwudziestoletnich seksownych kobiet, które bezinteresownie chciałyby być matkami pięćdziesięcioletnich łysych facetów z nadciśnieniem i nadwagą”.

„Kobieta jest jak… (i tu następuje seria wyrazów, wszystkie przekreślone) ~~rolety antywłamaniowe~~ ~~wzburzone morze~~ ~~kawa z mlekiem~~ ~~zepsuty aparat cyfrowy~~”.

I to jest ostatni wpis w zeszycie myśli Jerzego Patrzyskosa. Być może nie bez znaczenia była tu interwencja jego matki, która przeczytała te wpisy (pani Helena Patrzyskosowa z domu Mazowiecka ma taki zwyczaj, że czyta wszystko, co na okładce ma jakiś element związany z zakonem krzyżackim) i kazała mu się zająć czymś pożytecznym.

– Kobiety, kobiety… Na kobiety masz jeszcze czas. Chłopak do sześćdziesiątki nie powinien się wiązać. Zaraz cię jakaś usidli, zaraz jakieś dziecko się przytrafi i młodość masz z głowy.

– Mamo, ja wiem, co robię.

– Wiem, co robię! Wiem, co robię! To były ostatnie słowa twojego ojca weterynarza, który 1 maja 1949 roku, przed trybuną obwieszoną czerwonymi flagami, postanowił poprowadzić w pochodzie tuzin najdorodniejszych byków z hodowli imienia Wandy Wasilewskiej i Innych Atrakcyjnych Kobiet.

Pani Helena poszurała do swojego pokoju. Z szafki nocnej wyjęła zeszyt z rysunkiem zamku w Gniewie na okładce. Cały zapisany drobnym maczkiem, głównie wspomnieniami z wczasów i sanatoriów. Na pierwszej stronie dwie daty: „Grunwald 1410 – Ciechocinek 2010”. Na ostatniej kilka myśli. Poprzednia, z roku 1989 (pani Helena twierdziła, że myśląc raz na

dwadzieścia lat, i tak zawyża średnią krajową), brzmiała tak: „Rewolucja pożera własne dzieci. Ewolucja też, tyle że wolniej”. Kiedy po dzisiejszej rozmowie z synem dopisywała kolejną sentencję: „Mężczyźni są jak dzieci. Zazwyczaj jak chłopcy”, ze środka zeszytu wypadł wycinek z artykułem z lokalnego tygodnika „Między Sklepem a Przystankiem”. Zdjęcie pani Heleny i duży tytuł: *Patrzyskos Helena – mentalna siostra Woody’ego Allena*.

8 czerwca 2010

Inteligenckie Zabawy Towarzyskie

Gdybym był, tobym się dziwił

Panie Marszałku, Wysoka Izbo. Wnoszę o natychmiastowe dodanie do art. 45 Ustawy z dnia 20 czerwca 1997 „Prawo o ruchu drogowym” punktu w brzmieniu: „Kierującemu pojazdem zabrania się podczas jazdy słuchania radia, a w szczególności audycji…”.

Lista audycji, których słuchania należałoby zabronić, mogłaby być załącznikiem do ustawy. Mam kilka propozycji. Na jedną z nich trafiłem przypadkowo kilka dni temu. W ciągu pół godziny, w trakcie jazdy, przeszedłem trzy krótkie utraty przytomności. Oczywiście ktoś pomyśli, że chodzi o audycje komitetów wyborczych, o spory polityczne. Nie, to była audycja muzyczna, prezentująca stare polskie piosenki. Pierwszy raz utraciłem przytomność, kiedy po krótkim wstępie, po powitaniu ze słuchaczami, prowadzący powiedział:

– A teraz Olgierd Buczek zaśpiewa trzy piosenki. Będą to w kolejności: *Wieczorna fajka*, *Hanka* i *Niebieski gil*.

O czym były dwie pierwsze – nie wiem, ocknąłem się dopiero przy trzeciej, ale też tylko na chwilę, bo kiedy w *Niebieskim gilu*, nostalgicznej piosence o miłości, usłyszałem następujące słowa:

Na pewno nie myślisz już o mnie,
Nie ciebie już mi brak,
Chcę tylko sobie przypomnieć,
Jak śpiewa twój niebieski ptak…

znowu wpadłem w taki stan, że gdybym miał podłączone jakiekolwiek urządzenie rejestrujące funkcje życiowe, zapaliłyby się wszystkie możliwe kontrolki alarmowe. A to nie koniec. Pan Olgierd zaśpiewał jeszcze w tej samej audycji *Piosenkę Stacha Matysiaka*, która spowodowała kolejną zapaść mojego organizmu. Nie muszę chyba dodawać, że wszystkie trzy zapaści to zapaści z zachwytu dla ludzkiej myśli zawartej w tekstach piosenek – niebezpieczne dla uczestników ruchu drogowego, ale dodające barw naszej szarej rzeczywistości. No więc w jednej ze zwrotek *Piosenki Stacha Matysiaka* padają następujące słowa:

Pływałbym gondolą tam,
Na gitarze grałbym rzewnie,
Dziwiąc się, jak pięknie gram.

Ten zachwyt, w który wpadłem, pchnął mnie do wymyślenia zasad nowej inteligenckiej zabawy towarzyskiej. Świetna propozycja na nadchodzące wakacyjne wieczory. Gra się nazywa „Gdybym był, tobym się dziwił”. Liczba graczy dowolna, czas również. Siedzimy w kółku i po kolei wymyślamy wiersze zgodnie z powyższym wzorem. Czyli najpierw pada nazwa miasta, potem czynności, którą byśmy wykonywali, i fakt zadziwienia wykonywaniem tej czynności. Przykład:

Gdybym był w Paryżu, wysoko
Wieże zwiedzałbym wielgachne,

Pachniałbym Szanelem Koko,
Dziwiąc się, jak ładnie pachnę

albo:

Gdybym był w Jastarni, plaża,
Zwiedzałbym wojenną twierdzę,
Potem w czymś bym się wytarzał,
Dziwiąc się, że trochę śmierdzę.

Kilka dni temu przetestowałem zabawę podczas „Satyrykonu” w Legnicy. Sprawdza się. Na propozycje opisania wierszem „Gdybym był, tobym się dziwił” dwóch miast: Legnicy i Złotoryi, odpowiedziałem utworem:

Gdybym był w Legnicy z Frankiem,
Strasznie bym się z nim upijał,
Po czym dziwiłbym się rankiem,
Że to Złotoryja.

Wygrywa osoba, która swoim zdziwieniem najbardziej zadziwi innych uczestników zabawy. Rozgrywki kończy wspólne odśpiewanie hymnu na cześć młodości:

Tak szybko nam umyka świat,
Będzie nam żal młodości chwil,
Zostaną nam za parę lat:
Wieczorna fajka, Hanka i Niebieski gil.

20 czerwca 2010

Demaskatorski tekst o tym, jak się pisze humoreski do miesięcznika „Policja 997”

(Trzeba wyjść od jakiegoś szczegółu. A potem to już samo pójdzie, bo wszystko da się podciągnąć pod założony temat. Ot, na przykład leży przede mną skórka od arbuza. Arbuz, arbuz… Jak czytać od tyłu, to wychodzi „zubra”. Tylko kropki nad „z” brakuje i będzie „żubra”. Nie mam nic o żubrze, ale…)

W jednym z reportaży Jacka Hugo-Badera zamieszczonych w książce *W rajskiej dolinie wśród zielska* znalazłem coś o reniferach: „Ludy Północy wierzą, że renifery mają duszę. Kiedy koczownikowi urodzi się syn, najpierw pokazuje mu się renifera”. Piękny obyczaj. Godny propagowania wśród wszystkich ludów, nie tylko tych z Północy. Zwyczaj, który mógłby się stać tradycją związaną z zawodem wykonywanym przez rodziców dziecka.

(Wyraźne wiązanie tematu rozważań z tematyką gazety, do której się pisze…)

Na przykład rodzi się syn polskiemu policjantowi. Jeśli to funkcjonariusz zajmujący się tresurą psów albo służący w formacji konnej – nie ma kłopotu, wiadomo, że synowi pokazuje się najpierw psa lub konia. A jeśli to syn policjanta z drogówki albo funkcjonariusza z wydziału do spraw walki z przestępczością zorganizowaną?

(Nieudolna próba ucieczki od odpowiedzi na głupie pytanie…)

Najprościej pozostać przy formach sprawdzonych przez innych, czyli pokazać synowi renifera albo

(Próba udowodnienia, że to wszystko ma jakiś ślad sensu)

żubra, bo ten jest w Polsce łatwiej dostępny niż renifer.

(I proszę, do czegoś przydał się żubr, który się wziął z arbuza. Próba puenty…)

Nie wiem tylko, czy nie ucierpiałaby reputacja polskiej policji, gdyby media opisały grupy funkcjonariuszy błądzących po puszczach z niemowlakami i wypytujących miejscowych leśniczych, gdzie tu można dziecku żubra pokazać?

(Czasem taki temat nie udźwignie całego tekstu, można spokojnie wrzucić inny wątek, korzystając ze „zwrotów przejścia" od lat wykorzystywanych w literaturze. Ja posłużę się cytatem z Jeremiego Przybory…)

„To może nie na temat tych spraw, co tu się toczą…", ale jeden z moich kolegów kilka dni temu usłyszał na bazarze płynące z głośnika przepiękne słowa dyskotekowej piosenki:

Bo zraniłaś serce moje,
Proszę, opuść me pokoje.

Zachwycony pomysłem opisałem całe wnętrze mieszkania:

W związku z tym, że twarz ci puchnie,
Proszę, opuść moją kuchnię,

Bowiem limo masz na oku,
Proszę, opuść mój przedpokój.

Napisałem też coś branżowego dla czytelników miesięcznika „Policja 997”:

Bo mnie obraziłaś znowu,
Proszę, opuść mój radiowóz,
W związku z tym, że jesteś wariat,
Proszę, opuść komisariat,
Raniąc me uczucia ludzkie,
Wyjdź z komendy wojewódzkiej.

(Czytelnika przyzwyczajonego do wielowątkowości i chaotyczności tekstu nie zdziwi żadne zakończenie)

Wszystkiego najlepszego z okazji Święta Policji życzy autor. Do życzeń dołączają się Rząd, Kościół i Naród, czyli Oni, My i Jeszcze Paru.

Czerwiec 2010 („Policja 997”)

Wiersz, w którym autor wyraża swój zachwyt po otrzymaniu pierwszego mieszkania służbowego o powierzchni 17 m²

A my kochanie mamy dom...

Dom. To jednie powiedziane.
Mamy na razie jedną ścianę.
Resztę musimy dobudować...
Ale już mamy gdzie się chować,
O co się oprzeć, przy czym stać,
A tam - za ścianą - można spać.

Mamy krzesła i mamy stół
/właściwie to jest stołu pół,
Taki jest śmieszny, bo składany,
Można dostawić go do ściany
I usiąść przy nim, i coś pleść...
I można przy nim zasnąć.
I można przy nim pisać.
I można przy nim jeść./

To co, że setki tomów,
Że inni jadniej niż ja...
Nie można nie pisać o domu,
Gdy się go wreszcie ma.

/21.03.2000/

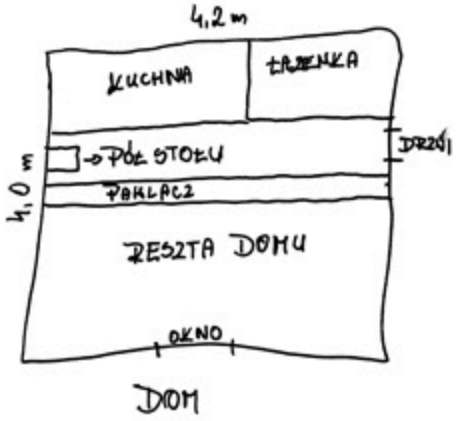

DOM

Namiastka beztroski

O babci Steni czasem coś publicznie opowiedziałem, czasem coś zmyśliłem, z rzadka wtrąciłem jakieś prawdziwe wspomnienie, ale zawsze jakoś pobieżnie i nieuważnie. A babcia Stenia zasługuje na wspomnienia niepobieżne i uważne. To była drobna, ale silna kobieta, z której twarzy, mimo różnych życiowych zawiłości, prawie nigdy nie znikał uśmiech. W czasie wojny i zaraz po niej samotnie wychowywała mojego tatę. Żeby jakoś dawać sobie radę, raz na parę miesięcy na kilka dni zostawiała dziecko pod opieką wuja Piotra i jechała kilkaset kilometrów, na Śląsk, żeby sprzedać to, co udało się na wsi wyhodować, i kupić to, czego na wsi nie było. Kiedy kilka lat temu pożegnaliśmy babcię Stenię, kiedy wracaliśmy z cmentarza, tata po raz pierwszy pokazał mi pewne miejsce przy drodze z Dynowa. To było to miejsce, przy którym czekał na każdy Jej powrót. Tata nie należy do osób, które łatwo się wzruszają, ale kiedy wspominał, jak z każdego wyjazdu przywoziła mu słodką bułkę, był tym samym stęsknionym małym chłopcem, czekającym na powrót mamy. Nie wiem, co to jest. Piosenka? Wiersz? Prośba? Modlitwa? Babci i tacie dedykuję.

Słodka bułka

Daleko od domu
I długo się jedzie,
Żeby sobie pomóc
W powojennej biedzie.
A on śpi tak błogo.
Zanim się obudzi,
Kamienistą drogą,
Do nieznanych ludzi.
Żeby jakoś przebiec
Przez miasta i wioski,
I wracać do ciebie
Z namiastką beztroski.

Słodka bułka dla synka,
Czułości odrobinka,
Za to, co już było,
Co go jeszcze spotka,
Bułka słodka.

Żeby tak przeskoczyć,
Jak najszybciej wrócić,
Takie małe oczy
Nie mogą się smucić.
Stoi zawsze boso
Gdzieś w połowie drogi,
Dalej nie poniosą
Takie małe nogi.

Słowa takie miłe,
Szczęście takie małe,
– Mamo, ja tęskniłem,
Mamo, ja czekałem.

Słodka bułka dla synka,
Czułości odrobinka,
Za to, co już było,
Co go jeszcze spotka,
Bułka słodka.

Ty, co rządzisz Ziemią, Niebem,
Panie Boże Szczerozłoty,
Nie nagradzaj tylko chlebem
Dziecięcej tęsknoty.
Bądź tak dobry, bądź tak miły,
Spójrz za Szczerozłotą Bramę,
Mamom dodaj trochę siły,
Zwłaszcza gdy są same.
Racz spojrzenie swoje czułe,
Zesłać na dół, tu pod chmurę,
Niech nie braknie słodkich bułek.
Dla synków. I córek.

5 lipca 2010

Po co ludzie noszą wąsy?

Przede wszystkim po to, żeby móc obiecać, że je zgolą, jak się coś wydarzy. Jest mi to całkowicie obojętne, czy trener reprezentacji Hiszpanii po wygranym mundialu zgoli, czy nie. Albo polityk po wygranych wyborach. Może to mieć znaczenie jedynie dla osób całujących się z jednym albo drugim, a chwilowo nie zamierzam. Jestem jednak o tym informowany, może nie na pierwszych stronach gazet i w pierwszych słowach relacji telewizyjnych, ale często, z nieskrywaną nadzieją, że będzie to dla mnie coś emocjonującego. Otóż nie jest. Bo też mi sztuka zgolić wąsy. Gdyby trener albo polityk złożyli obietnicę, że po wygranej zapuszczą drugą parę wąsów (to znaczy, każdy sobie zapuści drugą, w innym miejscu niż te istniejące dotychczas, na przykład na łokciu), może by mnie to zaintrygowało.

Miałem do niedawna kompleks hobbysty. Z zazdrością patrzyłem na ludzi, którzy oddają się jakiejś pasji, coś kolekcjonują, potrafią pół świata przejechać w poszukiwaniu konkretnego modelu gałki do ekspresu ciśnieniowego czy egzemplarza etykiety po plastrach opatrunkowych. No dobrze, żartuję, niektóre ekstrawagancje kolekcjonerskie to już przesada, ale są pasje wzbudzające mój autentyczny zachwyt. Tymczasem ja nic. Nie fotografuję, nie sklejam, nie zbieram, nie wymieniam się. Niedawno

kolekcja pojawiła się sama. Otóż dość często wyjeżdżam, prawie do każdej podróży przygotowuję się w pośpiechu, prawie zawsze jestem spóźniony. I w związku z tym w co drugą podróż zapominam zabrać przyborów do golenia. No i oczywiście na dworcu albo w miejscu, do którego się jedzie, trzeba kupić nowe. Mam tego już tyle, że chociażbym wygrał wszelkie możliwe mundiale i wybory, a nawet golił się bez wygrywania tychże – nie zużyję.

Rynek przyborów do golenia też się monopolizuje, unifikuje, globalizuje – prawie wszędzie na świecie są takie same golarki jednorazowe tych samych firm, ale kiedy uaktywniła się we mnie żyłka kolekcjonera, zauważyłem, że są jeszcze duże różnice w piankach do golenia. Oprócz tych robionych przez wielkie międzynarodowe koncerny, są ciągle dostępne produkty lokalne. Zazwyczaj najtańsze, broniące się na rynku wieloletnim przyzwyczajeniem mężczyzny, a zwłaszcza robotnika, chłopa i inteligenta niejednokrotnie pracującego. Mam już zatem pianki: włoską, szwedzką, słowacką, ukraińską, chorwacką. Wszystkie dostarczają podobnych wrażeń, człowiek się czuje, jakby się golił, nakładając na twarz lekko perfumowane odpady radioaktywne, ale kolekcja się rozrasta.

Mimowolne pojawienie się w moim domu tego zbioru spowodowało też, że przestałem się wreszcie obawiać, że nic po mnie nie zostanie. Zawarłem w testamencie zapis, że połowa mojego majątku ma być po mojej śmierci przeznaczona na utworzenie Muzeum Pianek i Żeli Do Golenia im. Nadieżdy Krupskiej (to ostatnio rzadko używana patronka, nie wiem dlaczego, ale kojarzy mi się z goleniem).

W telewizji pokazują przygotowania do rekonstrukcji bitwy pod Grunwaldem. Ciekawe, czy ktoś pamięta, że Grunwald Grunwaldem, ale to jest również Rok Chopinowski, że ONZ ogłosiło rok 2010 Międzynarodowym Rokiem Różnorodności Biologicznej, że trwa Rok

Turystyki Wodnej PTTK. A gdyby tak obchodzić razem? I symbolem tych uroczystości zrobić stojącego po kolana w wodzie Fryderyka Chopina, który trzyma w ręku dwa nagie miecze na znak zatroskania „aktualną tendencją zmniejszania się liczby gatunków na Ziemi”? O tym to nie pomyślą, ale tylko czekać, kiedy ktoś powie, że w dokumentach odnalezionych na Litwie zapisano, że książę Witold obiecał, że jak wygrają z Krzyżakami, to zgoli wąsy. Zawiszy Czarnemu.

19 lipca 2010

Niewyszukany befsztyk

Podarowała mi to radiowa koleżanka, specjalistka od polszczyzny. A koleżance przysłał to jeden ze słuchaczy. Od dnia, w którym rozmawialiśmy o tym na antenie, regularnie dostaję prośby o powtórzenie, przypomnienie, przesłanie. No więc niejako „na specjalne życzenie naszych radiosłuchaczy” przytoczę co ciekawsze fragmenty menu pewnej węgierskiej restauracji. Nazwy potraw są po polsku. To znaczy przynajmniej tak się do dziś wydaje właścicielom lokalu, którzy do ich tłumaczenia użyli internetowego „translatora” i zawierzyli mu bezgranicznie. W związku z tym, w tej restauracji mogą Państwo zjeść na przykład:

Był zrobiony z jedzeń jajecznych: 1) 3 wyciągnąć to z jajka, 2) grzybiczna jajecznica z 3 jajek.

Mączki rybne: 19) Karp szarpał, z przemieszanym garnirunkiem, 23) Sum szarpał, z odłamkami.

Był zrobiony z jedzeń wieprzowych: 34) Pociągnąć za wiatr z odłamkami, 35) Kotlet napełnił się owcą ser i palony knykieć pociągnęły, z przemieszanym garnirunkiem.

Cielę i był zrobiony z wołowiny jedzenia: 44) Cielę z Wiedniem przemieszało garnirunek, 47) Niewyszukany befsztyk z jajkiem sadzonym, odłamki.

Wyśmienite jedzenia: 62) Kałamarnica obchodzi dookoła Orly na sposób, z odłamkami, 64) Noga żabojada przyciągnęła, z przemieszanym garnirunkiem.

Potrawy: 65) Wołowina mięso duszone z jarzynami z łeb, 66) Flaki mięso duszone z jarzynami kopciło z knykciem, pietruszka ziemniak, 67) Przekrzywiać jądra i wspinać się na mięso duszone z jarzynami z łeb.

To oczywiście tylko wybór. Niektóre propozycje zniechęcające. Na przykład ciekaw jestem, jak wielu Polaków zamawia u nich jajecznicę grzybiczną? Niektóre przerażają – „palony knykieć” (przypomnę, że knykieć to „spojenie stawowe palca ręki, człon palca ręki”) mógłby posłużyć za tytuł powieści sensacyjnej, której akcja rozgrywa się w czasach inkwizycji. Jednocześnie wszystkie nazwy intrygujące. Człowiek, od lat zaskakujący personel każdej restauracji zamówieniem: „schabowy z ziemniakami i kapustą zasmażaną”, teraz zmuszony jest do wysiłku myślowego. Bo co to jest „noga żabojada”? W Polsce żabojadami nazywa się Francuzów. Menu dla kanibali? Można za „żabojada” uznać bociana. Noga bociana? Wygląda na suche i twarde, że o naszym narodowym sentymencie do tego ptaka nie wspomnę. Niektóre nazwy brzmią jak makabryczny opis polowania na składniki potraw. Na przykład „Karp szarpał” albo „Sum szarpał”. Sam bym szarpał, gdybym wiedział, że potem mam być przemieszany z garnirunkiem albo nie daj Boże z odłamkami! No właśnie, te odłamki to rzecz szczególnie zastanawiająca. Pan Irek, jeden z naszych słuchaczy, starał się to wyjaśnić na przykładzie „Niewyszukanego

befsztyku z jajkiem sadzonym, odłamki”. Otóż stwierdził, że prawdopodobnie „…ten cielak wszedł na pole minowe i po prostu nie chciało im się wyszukiwać tych odłamków w mięsiwie”. Być może jest to jakiś trop. Ale co z potrawą numer 62? Chodzi o ranną kałamarnicę chodzącą wokół paryskiego lotniska Orly?

Dawno żadna karta potraw nie wywołała takiego zainteresowania. Na miejscu polskich restauratorów zastanowiłbym się nad skorzystaniem z tego patentu. Może własne karty wrzucić do tłumaczącego na węgierski „translatora”, a potem wrócić do polskiego. Albo przejść przez jeszcze parę języków. Spróbowałem z czymś, co niedawno przez przypadek kupiłem w Zakopanem. „Oscypek z krowiego mleka” to wyszło po węgiersku: „Juh sajt tehéntejből”, z węgierskiego na filipiński: „Tupa keso mula sa gatas baka”, z filipińskiego na tajski: „ชีสแกะจากวัวนม” i z tajskiego na polski „Owiec ser z mleka krowiego”.

I jeszcze jedna uwaga. W przypadku niektórych potraw należy zamieszczać ostrzeżenia. Że się je na własną odpowiedzialność. Na przykład „67) Przekrzywiać jądra i wspinać się na mięso duszone z jarzynami z łeb”. Albo że należy do nich zamówić: „107) Naleśnik napełnił się czekoladą z drewna kasztanowego z opatrunkiem” (to z działu „Desery”).

27 lipca 2010

Karzące ramię sprawiedliwości

Superpolicjantka „Żyleta” uniewinniona – taki tytuł znalazłem w gazecie. I przeczytałem o sprawie Ewy Szklarskiej, którą złodziej samochodów posiadający status świadka koronnego pomówił o branie łapówek i pomaganie jego grupie. Sprawa trwała osiem lat, dopiero kilka dni temu sąd uniewinnił policjantkę. A wszystko zaczęło się od tego, że pan prokurator uwierzył zeznaniom niejakiego „Patyka”. I tutaj najciekawsze: „»Patyk« to jest ten sam świadek, który twierdzi, że kradł auto pod blokiem Marka Papały akurat w dniu zabójstwa generała i widział tam Ryszarda Boguckiego”.

Oj, panie prokuratorze (albo pani prokurator), to naprawdę miłe, że ludzie tak ufają ludziom. I jakie to szczęśliwe zbiegi okoliczności – pan złodziej kradnie samochód akurat w miejscu zamordowania generała policji, ale ma tak podzielną uwagę i tyle poczucia obowiązku obywatelskiego, że odrywa się na chwilę od roboty, żeby sprawdzić i zanotować w notesiku, kto tam wokół chodzi, bo a nuż kiedyś prokuratura będzie o to chciała zapytać. A jaki to wzór dla innych, już widzę lawinę tych skruszonych przestępców pomagających w oczyszczaniu świata ze zła:

– Ja, „Partacz” i „Lodołamacz” łomotaliśmy babcię w parku za to, że nie chciała nam oddać torebki z emeryturą, ale równocześnie rozglądaliśmy

się wokół, czy aby ktoś nie chce zrobić krzywdy komuś innemu, i zobaczyliśmy, że Kazimierz W., nauczyciel z miejscowej szkoły podstawowej, idzie z laptopem, w którym posiada wgrane nielegalne oprogramowanie. Dodatkowo chciałem poinformować szanownego pana prokuratora, że niejednokrotnie wręczałem łapówki nadkomisarzowi Andrzejowi B., który pomagał nam w łomotaniu staruszek w parku, a nawet nas do tego namawiał.

Skoro aż takie zaufanie potrafią wzbudzać u prokuratorów tego typu zeznania, to pewnie niejeden prokurator poprosi kiedyś skruszonego i współpracującego przestępcę, żeby był świadkiem na bierzmowaniu jego dziecka, a może nawet zacznie się wkrótce występować o nadawanie świadkom koronnym tytułów szlacheckich. Niestety u nas nikt nie nadaje, trzeba będzie pewnie poprosić królową angielską. Samo „koronny” już brzmi dumnie, a jak by brzmiało „Sir Patyk”, „Sir Kastet”, „Sir Jagnięcina”. Zanim ktoś stwierdzi, że piszę głupoty, sam napiszę, że owszem. Pewnie, że się nie znam, ale po prostu staram się na co dzień rozróżniać ufność od naiwności i oczekuję tego od innych. Zwłaszcza jeśli to może komuś zabrać kilka lat życia.

Może ten stan podenerwowania wynika z faktu, że mnie samego dosięgło ostatnio „karzące ramię sprawiedliwości”. Dygresja – pamiętam z dzieciństwa, że kilkakrotnie rodzice wymierzali mi sprawiedliwość za różne wyskoki, ale nigdy ramieniem, a przynajmniej ramię nie było częścią wymierzającą bezpośrednio. No więc „karzące ramię sprawiedliwości” dopadło mnie ostatnio i to dwukrotnie.

Najpierw przyszło wezwanie do uiszczenia „opłaty specjalnej” za nieopłacone parkowanie samochodu na ulicy w Warszawie. Nie przypominałem sobie faktu, więc spojrzałem na datę wykroczenia. Styczeń 2004! Kurczę, a ja głupi myślałem, że po takim czasie nawet kradzież z

włamaniem z bronią w ręku się przedawnia. Oj, jak się uniosłem! Jak się zbulwersowałem tym faktem prześladowania! Zacząłem wypisywać na kartce nazwiska autorytetów, które mogą się za mną ująć w tej sprawie, już widziałem te publikowane na pierwszych stronach gazet otwarte listy protestacyjne, demonstrację twórców pod budynkiem Ministerstwa Sprawiedliwości, moje zdjęcie w kajdankach na okładce miesięcznika „Łowiec Polski” (bo mam nadzieję, że myśliwi też by stanęli za mną murem), delegacje rolników śpiewających pieśni patriotyczne pod budynkiem Zarządu Dróg Miejskich w Warszawie – sprawcy tego prześladowania… Tak się nakręciłem tą atmosferą walki o prawa człowieka dyskryminowanego jakimiś zadawnionymi zobowiązaniami, że z całej siły rąbnąłem ręką w stół, powiedziałem głośno „Dość!” i… dokonałem przelewu wymienionej kwoty na wskazane konto.

A parę dni później przyszło zdjęcie z fotoradaru. I znowu poczułem się upokorzony. Nie koniecznością zapłacenia za przekroczenie prędkości. Ale, kurczę, tych z telewizji, z gazet, z Internetu ścigają albo aresztują: FBI, CIA, Interpol, Guardia di Finanza. A mnie dopada Straż Gminna w Kobylnicy. Ktoś złośliwy może powiedzieć – jaka gwiazda, takie FBI. Nie mam nic przeciwko Kobylnicy, obejrzałem w Internecie – miła, zielona gmina, ale czy miejscowe władze nie mogłyby, w trosce o lepsze samopoczucie karanych za przekroczenie prędkości, nawiązać jakiejś międzynarodowej współpracy?

– Wiesz, dostałem cztery punkty karne od Interpolu w Lyonie, oddział w Kobylnicy.

No, to jakoś brzmi!

Lipiec 2010 („Policja 997”)

Pomóż, redakcjo

Janusz P. pseudonim „Kiciu”,
Postrach panien i mężatek,
Chwalił się, że miał już w życiu
Szesnaście Mulatek.
– Miał szesnaście, lecz nie całe…
Twierdzi jego żona Ula.
– Cztery były całkiem białe,
A jeden był Mulat.

To nie jest opis erotycznych podbojów jakiegoś prawdziwego Janusza P. Bohater został wymyślony na potrzeby wiersza, którym rozpocząłem jeden z koncertów XVI Mazurskiego Lata Kabaretowego „Mulatka” w Ełku. Latem tematyka kontaktów damsko-męskich ze zwielokrotnioną mocą pcha się na wszelkie łamy, fale i ekrany. Każda gazeta, każda stacja radiowa czy telewizyjna radzi, uczy, przestrzega. Przed chwilą włączyłem telewizor, siedzą pani i pan, a pod nimi napis *Kobiece sprawy doktora Zająca*. Nawet nie włączałem głosu, bo i bez tego domyślałem się, o czym mogą rozmawiać.

Jesienią zresztą też nie będzie mniej tego typu opowieści, bo zaczną się wspomnienia, listy typu „Pomóż, redakcjo. Poznaliśmy się w Sopocie, po dwóch tygodniach ja wróciłam do Szczecina, on do Przemyśla. Czy nasze uczucie przetrwa?”.

Jakież to szczęście, że czytelnicy, słuchacze, widzowie, internauci mają kogo prosić o radę. Przygotowując się do pewnego programu, w którym komentuję archiwalne filmy oświatowe, trafiłem na list „Czytelniczki z Olsztyńskiego” do „Kobiety i Życia”. List z 1963 roku, któremu redakcja nadała tytuł *Męski savoir-vivre*:

Na terenie naszego zakładu pracy pracuje kilku panów i większa ilość pań. Panowie ci mają swoje niezłomne zasady grzecznościowe: mianowicie całują w rękę tylko mężatki. Prowadzi to do dość osobliwych sytuacji. Np. mężatką jest pewna 22-letnia osóbka z niewielkim zresztą wykształceniem i kwalifikacjami, zajmująca dość skromne stanowisko. Jeśli obok niej stoi osoba z wyższym wykształceniem, dużymi zasługami, w wieku „balzakowskim”, lecz niezamężna – młodą zaszczyca się pocałunkiem w rękę, starszej funduje się koleżeński uścisk dłoni. Gdy jedna z pań zwróciła koledze uwagę na nietakt takiego postępowania, spotkała się z bardzo nieuprzejmą odpowiedzią. Panowie ci są zresztą koło pięćdziesiątki i postępując tak, powołują się na przepisy „savoir-vivre’u”.

Moim zdaniem jest to wysoce oburzające: jak można w XX wieku „segregować” kobiety według ich stanu cywilnego, nie biorąc pod uwagę ich wykształcenia, stanowiska, walorów ludzkich i zawodowych. I skąd te obyczaje naszych panów? Wydrukujcie te uwagi, może ci panowie zmienią swoje poglądy.

Wydrukowali. Nie wiem, czy tamci panowie zmienili swoje poglądy, ale ja robię to natychmiast. Żeby choć trochę wynagrodzić upokorzenia wszystkim paniom „segregowanym” w XX wieku przez niektórych przedstawicieli mojej płci, postanawiam od dziś całować w rękę wyłącznie panny lub rozwódki z wykształceniem wyższym i dużymi walorami. A mężatkom będę fundował wyłącznie koleżeński uścisk dłoni.

Dopisałem ciąg dalszy wiersza:

Ula P. pseudonim „Gienia”,
Patrząc na zarysy Rysów,
Przywołała we wspomnieniach
Szesnastu Metysów.
– Ulka! Ulka! Rety! Rety!
Myślał Janusz, pijąc wino,
– Tylko jeden z nich był Metys
I jeden albinos.
Oj, znalazła się Metyska!
(Janusz P. już był na bani)
– Oni byli z Kościeliska!
Tyle że przebrani!
Dzieci wrzeszczą, wnuki krzyczą,
Wzdycha „Kiciu”, płacze „Gienia”,
Z wiekiem fakty się nie liczą,
Liczą się wspomnienia.

9 sierpnia 2010

Koniu

Media podają, że pod Pałacem Prezydenckim w Warszawie spotykają się Obrońcy i Przeciwnicy. Media jak zwykle upraszczają. Poszedłem i sprawdziłem. Z moich obserwacji wynika, że spotykają się tam również Obrońcy Obrońców (czyli Przeciwnicy Przeciwników), Obrońcy Przeciwników (niektórzy z nich są Przeciwnikami Obrońców), Obrońcy Przeciwników Obrońców i Przeciwnicy Obrońców Przeciwników Obrońców. I jeszcze parę grup dałoby się tam wyróżnić. A mnie jakoś z żadną z nich nie po drodze. Przy kolejnej wizycie pod pałacem zacząłem się uważnie rozglądać, żeby znaleźć jakiś punkt zaczepienia – kogoś albo coś, z czym albo z kim czułbym się tam dobrze. Spojrzałem na pomnik księcia Józefa Poniatowskiego. I zaiskrzyło! Nie między mną a księciem. Książę niby zasłużony, niby bohater, ale też coś by się w jego życiorysie nieciekawego znalazło. Biorąc pod uwagę hulaszczy tryb życia, można nawet zaryzykować twierdzenie, że był jednym z uczestników afery hazardowej po insurekcji kościuszkowskiej. Ale koń! Koń księcia Józefa! Cóż za majestat! Jaki spokój! Biorąc pod uwagę bitwy, w których brał udział, zrobił dla Ojczyzny znacznie więcej niż wielu z nas.

Staram się pod pomnikiem bywać codziennie i choćby przez kilka minut popatrzeć w oczy temu koniu (to jest odmiana uświęcona rodzinną

tradycją, dziadek zawsze mówił „daj koniu owsa”, nie „koniowi”). Słyszę czasem złośliwe komentarze osób, które widzą faceta stojącego pod pomnikiem i wzdychającego do konia, ale nie zwracam na to uwagi. Nie można się wstydzić prawdziwego uczucia. Nawet jeśli ono kiedyś minie, zostanie nam na pamiątkę:

Ballada o wyważonym koniu księcia Józefa

Zanim cię wywiodą w pole,
Krzyż ci dadzą albo broń,
Popatrz – stoi na cokole
Wyważony koń.
On się na to patrzeć wstydzi,
Bo spod wyważonej grzywy
Koń to wszystko wokół widzi
Z innej perspektywy.

Ref:
Koniu nisko zwisa ogon,
Koń się trochę zna na życie,
Temu koniu wszyscy mogą
Cmoknąć przy kopycie.

Jakiś bunt się w koniu budzi,
Z niepokojem patrzy w dal,
Tylko ludzi, tylko ludzi,
Tylko ludzi żal.
Zanim ruszysz do ataku,
Zanim pierwszy stos zapłonie,

Może byś se tak, rodaku,
Porozmawiał z koniem?

Ref:
Koniu nisko zwisa ogon,
Koń ma jakąś taką głębię,
Temu koniu wszyscy mogą
Poszczotkować w kłębie.

Chcesz, to ganiaj się po błoniach,
Bij się, jeśli chcesz się bić,
Ale odczep się od konia,
Dajże koniu żyć!
W tym tkwi całej sprawy sedno:
Też mu ciążą nasze losy,
Koniu nie jest wszystko jedno,
Tylko ma już dosyć!

Ref:
Koniu nisko zwisa ogon,
Inne sprawy ma na głowie,
Temu koniu wszyscy mogą
Skoczyć na pokrowiec.

24 sierpnia 2010

Odrobina czułości

Proszę sobie wpisać do wyszukiwarki internetowej słowa „sentencja” i „czułość”, a od razu dowiedzą się Państwo, co na temat czułości powiedzieli: Gabriel Garcia Marquez, Albert Camus, Zofia Nałkowska i Katarzyna Nosowska. A jak się dokładniej poszuka, to może i wypowiedzi Winstona Churchilla się znajdą. Ale dlaczego ja z czułością wyskakuję w tekście pisanym do branżowego miesięcznika dla policji? A niby dlaczego nie? Na ślady czułości trafia się w miejscach i sytuacjach, po których nigdy by się człowiek tego nie spodziewał.

Ja trafiłem w wycinkach prasowych z lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Przeglądam właśnie stare gazety, mające mi pomóc naszkicować tło czasów, o których opowiadam w pewnym programie telewizyjnym. Wśród wielu wiadomości o brakach w handlu i ogólnie trudnościach bytowych, nieżyczliwości urzędników i kłopotach służby zdrowia trafiłem na dowody ludzkiej czułości nawet w tak ciężkich czasach. „Express Ilustrowany” z 1962 roku w tekście *Mile wspominają* informuje: „Nic tak nie cieszy przedsiębiorstwa usługowego jak uznanie jego klientów. Do łódzkiej Izby Wytrzeźwień często nadchodzą pocztówki z pozdrowieniami. Ostatnio nadeszły dwie takie: pierwsza została wysłana z Żegiestowa (z restauracji Słoneczko) – podpisana »Grono bywalców«, druga dowodzi o dobrej

sławie naszej izby nawet za granicą; jej nadawcą był Niemiec, mieszkaniec Berlina”.

Czyż to nie wzruszający przejaw ludzkiej czułości? Wiem, teraz już prawie nikt nie wysyła pocztówek, ale co stoi na przeszkodzie, żeby po powrocie do domu zalogować się na jakimś komunikatorze i za jego pośrednictwem wysłać do łódzkiej Izby Wytrzeźwień krótki komunikat: „Już jestem. Pamiętam” uzupełniony obrazkiem uśmiechniętej buźki? I jak miłe musi być otrzymanie wiadomości zwrotnej zaczynającej się obrazkiem twarzyczki mrugającej prawym okiem, z tekstem: „Czuwamy. Tęsknimy”.

Ten sam „Express Ilustrowany” drukował *Komunikaty MO*. Nawet tutaj znalazłem ślady czułości. Oto dwa komunikaty z 1963 roku:

„Komenda Dzielnicowa Milicji Obywatelskiej Łódź Górna jest w posiadaniu półbutów męskich koloru brązowego, tzw. traktorów, które zostały skradzione nieznanej osobie w okolicy ul. Słowackiego. Osoba poszkodowana proszona jest o zgłoszenie się do Komendy Dzielnicowej MO Łódź Górna przy ul. Wólczańskiej nr 250, pokój nr 31, w godz. od 8 do 16, celem odebrania swej własności”.

„Komenda Dzielnicowa Łódź Górna jest w posiadaniu rowerku dziecinnego koloru zielonego bez numeru o uszkodzonym pedale i dzwonku”.

Przepraszam, musiałem na chwilę przerwać pisanie, bo się poryczałem ze wzruszenia. Przecież to jest temat na wiersz:

Nie wiem, co mam począć ze sobą,
Wszystkie ranki i wieczory
Tęsknię za Tobą, Nieznana Osobo,
Której skradziono brązowe traktory.
Życie pełne łez, rozterek

Odebrało ciepło słonku,
Przyjdź, bo tu czeka zielony rowerek
O uszkodzonym pedale i dzwonku.

Dowiedziałem się, że policja wprowadza program komputerowy nazywany „e-posterunkiem”. Błagam wszystkich, od których to zależy, żeby ta używana przez polskich policjantów cywilizacyjna zdobycz była również nośnikiem czułości. W jaki sposób? A chociażby taki, żeby zaraz po zalogowaniu pojawiała się na ekranie jakaś sentencja. Wypowiedzi filozofów: Heraklita z Efezu i Talesa z Miletu, poety Jana z Czarnolasu i bramkarza Jana Tomaszewskiego z Łodzi, można znaleźć w Internecie. Ja oddaję do użytku swoją: „Milion czułych pocałunków czeka na e-posterunku”. Na początek wystarczy.

Sierpień 2010 („Policja 997”)

Mimozami?

Chciałem porozmawiać ze słuchaczami na temat ich prywatnych znaków zbliżającej się jesieni. Parę lat temu takie logo jesieni wymyślił w *Przechowalni* Andrzej Poniedzielski. To był

„bocian tyłem”. Ale temat się zmienił, bo rozmowę zdominowała analiza tekstu piosenki, którą rozpocząłem audycję. A było to słynne *Wspomnienie* Juliana Tuwima, zaśpiewane przez Czesława Niemena.

Mimozami jesień się zaczyna,
Złotawa krucha i miła,
To ty, to ty jesteś ta dziewczyna,
Która do mnie na ulicę wychodziła…

Zaczęło się od rozważań na temat: skąd u nas mimozy? Najpierw zareagował pan Jacek: „Mimozy były sadzone na wybrzeżu Morza Śródziemnego. W międzywojniu, we wrześniu sprowadzano je do Polski pociągami i pojawiały się masowo w kwiaciarniach…”, zaraz potem pani Joanna: „Jestem po filologii polskiej, na zajęciach z poetyki wspólnie z grupą zastanawialiśmy się, o co chodziło Tuwimowi z tymi mimozami jesienią. Teraz pracuję w Instytucie Genetyki Roślin (!!!), nie mogłam się powstrzymać i spytałam specjalistów o te rośliny. No i wszystko się

wyjaśniło – polskie mimozy to nawłocie, wszyscy raczej kojarzą te rośliny. W stanie dzikim rosną na łąkach, nieużytkach, w zaniedbanych ogrodach lub wzdłuż kolejowych torów”…

Kilka osób przysłało zdjęcia nawłoci. Nie dziwię się Tuwimowi, że użył nazwy „mimoza”. Bo „Nawłociami jesień się zaczyna”? „Mimoza” brzmi dużo lepiej, choć wprowadza więcej zamętu. Od razu ktoś zwrócił uwagę, że może poeta napisał „Mi Mozami jesień się zaczyna”. Ale to niemożliwe. Po pierwsze poeta napisałby „Mnie Mozami”, po drugie Moza – rzeka płynąca przez Francję, Belgię i Holandię, jest jedna, więc byłoby „Mnie Mozą jesień się zaczyna”… Ktoś inny wymyślił, że może było: „Mimo Zami”? A Zami to jeden z Gumisiów, bohater bajki dla dzieci. Ale to już za daleko idące wnioski.

Przypomniała mi się również opowieść z innej audycji. Rozmawialiśmy o piosenkach, na które sami byliśmy podrywani albo którymi chcieliśmy kogoś poderwać. Pewna pani była podrywana właśnie na *Wspomnienie*. Podrywający specjalnie nauczył się grać na gitarze, sprowokował intymną sytuację, zapalił świece i w tym poetyckim nastroju zanucił: „Mozambik, jesień się zaczyna”… Po prostu źle dosłyszał i tak sobie spisał początek utworu. Ale jeśli się zastanowić… To ma sens… Mozambik to państwo w południowej Afryce. A dokąd odlatują polskie bociany? W Internecie znalazłem stronę, na której śledzono lot bocianów na podstawie danych z nadajników satelitarnych. Leciały przez Mozambik! Nie wpadłoby mi do głowy poprawianie tekstów wybitnych poetów, ale może na podstawie najnowszych odkryć dokonanych z wykorzystaniem techniki satelitarnej należałoby dalszy ciąg wiersza Juliana Tuwima jakoś rozbudować? Do:

Od twoich listów pachniało w sieni,
Gdym wracał zdyszany ze szkoły,

A po ulicach w lekkiej jesieni,
Fruwały za mną jasne anioły…

dopisałbym:

Świat nagle się cały zazłocił,
Aniołów było bez liku,
Na stole stał napar z nawłoci,
Bociany już gdzieś w Mozambiku…

Ktoś powie, że kalam. To tylko żarty. Ale z podbudową edukacyjną. Bo na przykład przemyciłem w wierszu informację o naparze z nawłoci, który może służyć do przemywania skóry z trądzikiem młodzieńczym. Ma też inne, jeszcze mniej poetyckie zastosowania, ale to proszę sobie samodzielnie doczytać albo zapytać o to ojców bonifratrów. A jeśli chodzi o symbole zbliżającej się jesieni, to nie tylko „bocian tyłem”, mimoza, czyli nawłoć, ale również uczeń wracający ze szkoły. Koniecznie zdyszany.

6 września 2010

Wiersz wyszczuplający

Wiem, że nieładnie jest podsłuchiwać. Ale tej rozmowy nie podsłuchać się nie dało. Mówiły tak głośno, że prawdopodobnie było je słychać w trzech sąsiednich kawiarniach. Obsługa naszego lokalu starała się je zagłuszać, coraz głośniej odkręcając potencjometr odtwarzacza muzyki. Ale najwidoczniej ich potencjometry były sprzęgnięte z tamtym. Pracujący nieopodal operator młota pneumatycznego przerwał pracę ze względu na zbyt duży hałas dobiegający z wnętrza kawiarni.

Trzy przyjaciółki. Koło trzydziestki. Okraszały swoją rozmowę rekwizytami wyciąganymi po kolei z torebek.

Trochę podkoloryzowałem, kilka rzeczy wymyśliłem, dodałem „Głos Rozsądku dobiegający z nieznanej przestrzeni”. Coraz częściej słyszę głosy dobiegające z nieznanych przestrzeni. Z tym że rzadko są to głosy rozsądku. A na podstawie kawiarnianej rozmowy trzech przyjaciółek powstał:

Wiersz wyszczuplający

Wyszczuplające rajstopy
Z księżycowego drutu,
Ujędrniające izotopy,

Odchudzające wkładki do butów,
Pastylki Slim Edition Strong,
Baton zbożowy Lekki Kęs,
Wyszczuplający krem do rąk,
Odchudzający tusz do rzęs,
Zestaw ćwiczeń: „Rześki ranek”,
Zielnik: „Jedz dębową korę”,
„Dieta sióstr karmelitanek”,
„Chudnij z Ojcem Dyrektorem”,
Jęczmień, lipa, żeń-szeń, mięta,
Książka: *Szczupłe w dobrym guście*,
Wspomnienia żony byłego prezydenta:
„Dwie kampanie na kapuście”,
Trzy tygodnie w SPA w Nairobi,
Grupa Wsparcia „Szczupłe Foki”,
Callanetics, aerobik,
Joga, stretching, nordic walking,
Flakon organicznej pary,
Fińskie zioła na zaparcia,
Przyciemniane okulary,
Żeby nie widzieć żarcia.

Za kilogramy upokorzeń,
Zanim nas całkiem trafi szlag,
Zlikwiduj, dobry Panie Boże,
Główny Urząd Miar i Wag!
Za każdy gram, za łzy kobiety,
Za trud i jego efekt marny

Daj nam faceta – suplement diety:
Pachnący, czarny, muskularny…
Coś seksownego w niskim głosie,
Silny, zwinniejszy od pantery,
I… Metr osiemdziesiąt osiem
Na osiemdziesiąt cztery.

(*Głos Rozsądku dobiegający z nieznanej przestrzeni*):

Niestety!
Los zazwyczaj niesie
Rozczarowania spore:
Łyse, chrapiące, w za dużym dresie,
Zrośnięte z telewizorem,
Paszcza w ciągłym rozziewie,
Bo właśnie to wstało, żeby coś zjeść,
I… Metr sześćdziesiąt dziewięć
Na dziewięćdziesiąt sześć.

14 września 2010

„Radiówka” i „internetówka”

Tak to chyba trzeba nazywać. Kiedyś wystarczyła jedna nazwa – „prasówka” – ale teraz źródeł informacji jest tyle, że trzeba też rozszerzać zbiór nazw określających je, wymyślać nowe. To, co dzisiaj opisuję, to tematy, na które trafiłem w radiu i Internecie.

Zacznijmy od radia. Konkurs promujący nową książkę. Akcja kryminału rozgrywa się w Poznaniu, w tekście pojawiają się słowa zaczerpnięte z poznańskiej gwary. Prowadzący audycję zadają słuchaczom pytanie: „Co to jest fyrtel?”. Po chwili dowiadujemy się, że „fyrtel” w gwarze poznańskiej to dzielnica, część miasta. Autor prawidłowej odpowiedzi dostaje w nagrodę książkę, ale prezenter cytuje jeszcze inne fragmenty listów mejlowych od słuchaczy i mówi:

– Ależ ludzie mają fantazję! Ewa napisała, że „fyrtel” to zły ginekolog…

Dawno już zwracałem uwagę na fakt, że w trosce o zainteresowanie językiem należy co jakiś czas zmieniać znaczenie pewnych słów, intrygować, zachęcać do zabawy. Na początek proponuję wprowadzenie do obiegu nowego słowa: „scesja”. To jest scysja podczas sesji zakończona cesją praw na rzecz secesjonistów. A swoją drogą, czy to nie oryginalny

pomysł, żeby słowami zaczerpniętymi z gwary poznańskiej nazywać złych lekarzy różnych specjalności? „Szkiet” – zły ortopeda, „biniol” – zły dermatolog, „galart” – zły kardiolog, „marsel” – zły chirurg, „gzik”… Oj, bo się zagalopuję…

W audycjach radiowych od kilku tygodni pojawia się pewna piosenka. Chyba o miłości. W pierwszej zwrotce jest jeszcze spokojnie:

Twój zapach, pomimo że śpisz,
Powoduje, że mi się śnisz.
Twój oddech, pomimo że śpisz,
Powoduje, że mi się śnisz…

Dla pełnej jasności – śpiewa mężczyzna. Ktoś złośliwy już mógłby drążyć temat zapachu i oddechu. I wymyślać bzdety, typu:

Twój zapach, pomimo że jasno,
Powoduje, że nie mogę zasnąć,
Twój oddech, pomimo że czosnek,
Powoduje, że sny mam radosne…

Ja nie drążę. Nie chcę psuć lirycznego nastroju, który jest w tej piosence. Pierwsza zwrotka, jak już wspomniałem, jest spokojna, natomiast druga wzbudza we mnie pewien niepokój:

Twój uśmiech, pomimo że śpisz,
Powoduje, że mi się śnisz.
Twój taniec, pomimo że śpisz,
Powoduje, że mi się śnisz…

Rozumiem jeszcze uśmiechanie się przez sen. Ale taniec? To już jakaś ekstremalna forma lunatyzmu albo zespołu niespokojnych nóg. No dobrze, czepiam się. Jeden z bohaterów słynnej polskiej komedii powiedziałby: *Ty, Kaźmierz, czep się lepiej swojej baby.* I miałby rację.

A teraz coś z Internetu. W tekście dla Wirtualnej Polski z 24.8.2010 profesor Jadwiga Staniszkis ujawnia czytelnikom „…cechy, po których można poznać byłych ubeków (i – generalnie – byłych i aktualnych ludzi służb). Po pierwsze, natychmiast się spoufalają i – nieproszeni – zaczynają do ciebie mówić po imieniu: »Pani Jadwigo«”…

Ożeż ty! Przepraszam, to nie było do pani profesor, to był ogólny wyraz wzburzenia. Po prostu przypomniało mi się, że miałem kiedyś kolegę, który zwracał się do mnie per „Pani Jadwigo”, ale myślałem, że to tylko głupie żarty. Jednak ten socjalizm był wredny. Wredny i głupi, bo co można powiedzieć o systemie, który zużycie papieru toaletowego przeliczał na g ł o w ę obywatela?

20 września 2010

Butelki, włączniki, recepcja, ręczniki

Są takie wynalazki, które utrudniają codzienne życie. I chodzi o, wydawałoby się, drobiazgi. Nierozwiązywalne. Kiedyś takim symbolicznym wręcz zjawiskiem był skup butelek. Ileż tekstów kabaretowych powstało na temat niemożności rozwiązania tego problemu! Czy po winie są zwrotne, czy nie, czy małe po piwie, czy tylko z karteczką, że się te butelki kupiło w sklepie, w którym się oddaje, zielone tak, brązowe – nie. Nie wiem, jak ten skup funkcjonuje dzisiaj, bo po prostu wrzucam do pojemnika na szkło i od kilkudziesięciu lat nie mam już potrzeby zarabiania w ten sposób na życie, ale pamiętam, że kiedyś było to nie lada przedsięwzięcie. Domyślić się, które akurat przyjmują, a których nie. Gdyby nie życzliwość cioci Sławci w sklepie spożywczym i znajomości w restauracji Kaskada, dzięki którym przyjmowano ode mnie nawet te butelki, których chwilowo nie chciał przyjmować cały Układ Warszawski, szybko bym się zniechęcił i zajął głupotami. Na przykład odrabianiem lekcji albo sportem. A tak, w czasach socjalizmu, z trudem, bo z trudem, ale uczyłem się podstaw kapitalizmu.

Jerzy Dobrowolski opisuje w swoich pamiętnikach inny patent, który mu utrudniał życie. Chodzi o włączniki światła i dzwonka, które na klatkach schodowych socjalistycznych bloków były zawsze identyczne i

zawsze umieszczane obok siebie. Człowiek nigdy nie wiedział, czy to, co naciśnie, wywoła jasność na klatce schodowej, czy wściekłość kogoś, do kogo zadzwoni się o drugiej w nocy. Oczywiście, można było porównywać – przycisk do światła był jeden na piętrze, przycisków dzwonków kilka, i na logikę ten bliżej drzwi powinien być od dzwonka, ten dalej – od światła. Ale to się nie zawsze sprawdzało i na ten właściwy i tak trudno było trafić. Zwłaszcza po ciemku. Potem wymyślono wypukłe, dotykowo rozróżnialne znaczki – żarówkę albo dzwonek. Tylko co z tego, jeśli nic nie stało na przeszkodzie, żeby włącznik z żarówką uruchamiał dzwonek i odwrotnie? Albo były dwie żarówki. I domyśl się, która dzwoni, a która świeci?! Albo, jak pisze Dobrowolski: „…na jednym jest wytłoczony wizerunek palącej się żarówki, która przypomina dzwoniący dzwonek, a na drugiej coś jakby dzwonek, który można rzeczywiście wziąć za żarówkę”... I to głupie uczucie, kiedy się niechcący zadzwoniło (bo jak się niechcący zaświeciło, to jeszcze pół biedy). Uciekać czy stać i przepraszać? Oczywiście, że uciekać, bo przecież powiedzenie „Przepraszam, chciałem włączyć światło” u wyrwanego ze snu gospodarza wywoła tylko wściekłość. On tu mieszka od trzydziestu lat i jemu się nigdy nie myli, i każdy idiota by wiedział, że ten od lewej jest od światła. Piszę o tym dlatego, że niedawno byłem w całkiem nowym domu, w którym pewnie nawet ochroniarz i administrator mają marmurowe zęby, a z przyciskami dalej nie można sobie poradzić. Owszem, podświetlone, żeby łatwiej było je znaleźć w ciemności. Ale takie same i tak samo podświetlone!

Hotele. Spędzam w nich z racji zawodowych podróży kilka miesięcy w roku. I dwa patenty od lat są nie do zmiany. Pierwszy – numer telefonu do recepcji. Zazwyczaj obok aparatu telefonicznego albo wręcz na nim są nadrukowane numery, ale kilka razy w roku trafiam do hoteli, w których ich nie ma. Ani na aparacie, ani na kartce obok. Zaczyna się od przeglądania

wszystkich druków wyłożonych na stoliku obok łóżka. Informator o podróżach, zaproszenie do SPA, trening nordic walking, repertuar teatru awangardowego Przegryziona Wiśnia, Pismo Święte. Wszystko jest. A numerów telefonów nie ma! Z doświadczenia wiem, że najczęściej do recepcji dzwoni się przez 100, 101, 3, 6, 900. Więc próbuję. A jak nie działa, to wypadałoby szukać pomocy, dzwoniąc po innych pokojach. Tu jest prościej, bo to zazwyczaj numer pokoju, chociaż bywa też, że wykręca się numer piętra i pokoju, czasem dodając „0” – na przykład 2038 to pokój 38 na drugim piętrze. Kończy się zwykle tak, że wsiadam do windy, zjeżdżam na dół i pytam w recepcji: „Przepraszam, jaki jest do państwa numer?”.

Druga zmora hotelowa to ręczniki. Identyczne. Pobyt dwóch osób w pokoju zaczyna się od ustalania: „Mój wisi wyżej, twój niżej, mój na kaloryferze, twój na lustrze, mój rozwieszony prosto, twój złożony w łabędzia”. Wiem, gdyby były innego koloru, byłoby nieestetycznie, byłby kłopot z praniem, bo przecież trzeba oddzielnie białe, oddzielnie kolory. Ale wystarczy naszyć na każdym jedną literkę identyfikacyjną. I wtedy wiadomo, że ten z literą „P” to „Pan”, a ten z literą „P” to „Pani”.

29 września 2010

Naród jak ława…

…z wierzchu czasem drewno, pod spodem zabawa

W to, że jesteśmy narodem twórczym, nikt chyba nie wątpi. A nawet narodem cudotwórczym. Co wymyślimy, to po prostu istne cudo. I nie chodzi mi tylko o twórczość moich wybitnych kolegów – Mickiewicza, Sienkiewicza, Reymonta, Norwida. Chodzi o narodową twórczość codzienną. Dowód na talent i niebanalne poczucie humoru. Mamy w sobie taki imperatyw twórczy, że jeżeli można coś dorysować, zamalować, utrącić, przekrzywić – na pewno to zrobimy. Na przykład dorysować wąsy na plakacie wyborczym. Najchętniej kobiecie. Albo na billboardzie zamalować na czarno co drugi ząb przystojnemu mężczyźnie, który reklamuje coś, co powoduje, że się uśmiecha. A jak przejść obojętnie obok tablicy z nazwą miejscowości „Chojnik” i nie dorysować kreseczki nad „o”? Kreseczka nad „o” znienacka pojawiająca się w haśle „Wybieram wodę” też zmienia odbiór kampanii, w której uśmiechnięte buźki promują picie wody mineralnej. Albo (to widziałem niedawno) jak tu nie zamalować ogonka przy „ą” na tabliczce z napisem „Kącik wypoczynkowy”? I już człowiek widzi osiłka w kapturze na głowie, który w jednej ręce trzyma topór, ale drugą gilgoce skazańca, równocześnie stopami wykonując masaż

tajski. A ileż radości daje człowiekowi chwila, kiedy na tablicy przy wjeździe do miejscowości Spała dopisze sobie „ś?”, a przy wyjeździe dorysuje „m.”… W windzie wisi kartka, administracja informuje o przeprowadzanym remoncie klatek schodowych i na końcu „Za powstałe uciążliwości serdecznie przepraszamy”. Dopisane flamastrem krótkie „OK” świadczy, że przeprosiny zostały przyjęte.

Krakowska aktorka Halina Kwiatkowska spisała anegdoty, których w swoim prywatnym i zawodowym życiu była świadkiem. Podczas audycji o kabarecie „Jama Michalika”, w którym pani Halina przez wiele lat występowała, zacytowała m.in. taką:

„Otrzymywaliśmy mnóstwo zaproszeń na występy, co dawało nam dodatkowe zarobki. Mieliśmy ze sobą taką umowę, że na pierwszym miejscu stawiamy zawsze teatr, a na drugim kabaret. Tymczasem Marta Stebnicka często występowała w swoich muzycznych recitalach, co kolidowało z naszymi dodatkowymi występami. Postanowiliśmy się z nią rozmówić. Każdy z nas przedstawił argumenty przeciw jej postępowaniu. Przyszła kolej na Wiktora Sadeckiego: „Marteczko, ja wiem, jak kochasz swoje piękne recitale, śpiewaj sobie te piosenki, doskonale cię rozumiem”. Rzucił się na niego nerwus Marian Cebulski: „Co ty, Wiktor, przecież miałeś na ten temat zupełnie inne zdanie!”. A Wiktor na to spokojnie: „Bo ja mam dwa zdania”.

No więc ja mam chyba tak samo. Z jednej strony wolałbym, żeby było jak u naszych zachodnich sąsiadów, że jak ktoś coś nazwie, narysuje, ustawi, to żeby tak było. Ale z drugiej, brakowałoby mi tej kreseczki nad „o”, dopisanego „ś?”, „m.” czy „OK”. Ktoś powie, że wandalizm. Owszem, ale z jaką fantazją! Chyba że ta moja jest jakoś nad wyraz… O właśnie, nad jaki wyraz może być fantazja? Nad wyraz ubolewania, nad wyraz współczucia, nad wyraz troski… Skoro już poszło w zabawę językową –

podsłuchane w radiu. Nieważne którym. Ojciec prowadzący odbiera telefon, zdążył się tylko przywitać ze słuchaczką, która jak najszybciej chce powiedzieć, co ma do powiedzenia, i zniknąć z anteny. Ostatni fragment rozmowy brzmiał więc tak:

– A skąd pani do nas dzwoni?

– Z Bogiem.

No i proszę, gdyby człowiek nie słuchał radia, nie miałby pojęcia, że w Polsce jest miejscowość Bogmy.

Wrzesień 2010 („Prime”)

Połączyć

Wszędzie było o Grunwaldzie. I słusznie. Teraz przycichło. Niesłusznie. Bo jak można marnować potencjał, który wytworzył się podczas obchodów sześćsetnej rocznicy bitwy? Logistycznie uroczystości wyszły podobno średnio. Niektórzy twierdzą, że ostatni uczestnicy rekonstrukcji wyjeżdżali z pól Grunwaldu w połowie września, bo dopiero wtedy odkorkowało się skrzyżowanie drogi lokalnej z krajową „siódemką". Ale trudności nie zwalniają nas z obowiązku skorzystania z okazji! Przecież gdyby za to wziął się jakiś fachowiec od show-biznesu, taka rekonstrukcja zjeździłaby wzdłuż i wszerz całą Polskę. Dni miast, gmin, odpusty – bitwa pod Grunwaldem na polach bitwy pod Gorlicami, bitwa pod Grunwaldem na rzecz szpitala miejskiego w Piotrkowie Trybunalskim. Jeździłyby różne składy, w zależności od zamożności organizatora – konie prawdziwe albo ze sklejki, Jagiełło amator albo dowolny aktor z serialu *Plebania* (w tym, dla ekstrawaganckich, w roli Jagiełły – babcia Józia). Trasę sponsorowałby deweloper budujący apartamentowce będące miniaturą zamku w Malborku. W ramach wspólnych przedsięwzięć instytucji kultury odbyłaby się „Bitwa pod Grunwaldem w Żelazowej Woli, czyli Fryderyk Chopin kontra Krzyżaki i Bemole" (rodzina Ottona von Bemola wspierała finansowo zakon krzyżacki). A całość zakończyłaby się w grudniu wielką galą „Bitwa

pod Grunwaldem na lodzie”, widowiskiem, w którym zwycięzcę wybierałaby publiczność, wysyłając esemesy.

W „Gazecie Krakowskiej” z 11 lipca znalazłem wywiad z historykiem, profesorem Janem Ciechanowskim. Oczywiście o Grunwaldzie. Pytanie dziennikarza: „W tym roku oprócz pięknej rocznicy bitwy pod Grunwaldem czeka nas jeszcze jedna ważna uroczystość: 30. rocznica podpisania porozumień sierpniowych. Prof. Samsonowicz stawia nawet tezę, że bez zwycięstwa nad Krzyżakami nie byłoby Solidarności. Czy to nie jest zbyt naciągane?”. Profesor Ciechanowski odpowiada dyplomatycznie, że on by tych rocznic nie porównywał, ale ja, magister Andrus, dziwię się, że prof. Samsonowicz poprzestał tylko na tym porównaniu. Moim zdaniem, gdyby to Krzyżacy zwyciężyli w 1410, dzisiaj nie byłoby Narodowego Funduszu Zdrowia, Polskiego Związku Piłki Nożnej i teleturnieju *Jaka to melodia?*

Wracajmy do wywiadu z profesorem Ciechanowskim. Dziennikarz, w kontekście między innymi rekonstrukcji bitwy pod Grunwaldem, pyta: „Czy mity narodowe są aż tak ważne, by poświęcać na nie tyle energii i pieniędzy z budżetu?”. Profesor odpowiada: „Naród, który nie zna swojej historii, ginie. Na pewno lepiej, że ludzie bawią się w odtwarzanie Grunwaldu, niż gdyby spędzali czas na piciu wódki”. Oj, widać, że pan profesor od dawna poza krajem, bo już zapomniał, że my to jedno z drugim potrafimy świetnie łączyć. Bo jak pisał poeta (Andrzej Poniedzielski):

Koń, szabelka i butelka
To Polaka miłość wielka.
Niech nam Bozia jeszcze zdrówko da
I dzieweczkę, co do laseczka szła i szła,

I szła, i szła, i szła, i szła, i szła, i szła…

Umiejętnością łączenia, w tym również rzeczy teoretycznie niełączalnych, możemy się szczycić. Zrobiłbym z tego nasz narodowy produkt eksportowy. Zacząłem pisać reklamowy poemat na temat umiejętności łączenia:

Jak połączyć ciotkę z Kresów
Z przedszkolem i mafią?
Ty się tym nie interesuj,
Niektórzy potrafią.
Jak połączyć grzechotnika
Z mokrą krową w czasie burzy?
Ty już lepiej w to nie wnikaj,
Potrafią niektórzy.
Jak połączyć gwizdek z listkiem?
Jak podłączyć psa do pnączy?
Polska, czyli: Wszystko z Wszystkiem
My ci tu połączym!
Oko z nosem, z uchem palec,
Czarne z białym, stare, młode.
Polska! Zapraszamy, ale
Ze swoim przewodem.

4 października 2010

Poezja w służbie Narodu

Zwrócono mi uwagę, że powinienem włączyć się w nurt przygotowań do wyborów samorządowych. Nie jako kandydat,

nie po stronie którejkolwiek z partii. Po prostu zachęcać ludzi do uczestnictwa w wyborach, do działalności na rzecz swoich małych ojczyzn.

Biała mewo, leć daleko stąd,
Z lotu ptaka spójrz na samo – rząd…
Na ramieniu siądź panu staroście
I zapytaj:
Coście, starosto, tacy smutni? No coście?

Nie jestem pewien, czy ta cytowana powyżej *Pieśń o brakach w budżetach samorządów terytorialnych* zachęci do kandydowania na różne odpowiedzialne funkcje. Powinno być raczej coś w stylu:

Bez wad i bez braków żadnych
Ładna radna, radny ładny,
Zdrowe nerki, zdrowe płucka,
Radny powiatowy zdrowy,
Zdrowa radna wojewódzka…

Parę dni temu prowadziłem galę Kongresu Zarządów Spółek Giełdowych. Ważni prezesi ważnych firm dyskutowali w gronie najważniejszych ekonomistów na temat (zanotowałem sobie): *Przyszłość gospodarki: wolny rynek czy państwowy interwencjonizm?*. W programie konferencji tematy wykładów: *Czy zawodność rynku implikuje niezawodność regulacji?, W jakich obszarach regulacje mogą mieć przewagę nad rynkiem?, Etatyzm*

– *incydent wywołany kryzysem czy nowa doktryna ekonomiczna?, Interwencja państwa a hazard moralny społeczeństwa*. Banalne pytania, łatwe odpowiedzi… Ale mnie przede wszystkim zafascynowała poetyckość tych sformułowań. Przecież to jest wymarzony materiał na erotyk. Proszę bardzo:

Erotyk mroczny – wolny rynek czy państwowy interwencjonizm?

Zaszumiał za oknami wrzos,
Dom cały ucichł po kolacji,
Wśród nocnej ciszy niesie się głos:
– Czy zawodność rynku implikuje niezawodność regulacji?
W lesie leszczyna cicho gnie się,
Noc siada cicho za kominkiem,
Wśród nocnej ciszy głos się niesie:
– W jakich obszarach regulacje mogą mieć przewagę nad rynkiem?
Srebra, co tęsknią za przepychem,
I porcelana – niegdyś śliczna,
Głośne oddechy i szepty ciche:
– Etatyzm – incydent wywołany kryzysem czy nowa doktryna ekonomiczna?
Wiatr psotnik nagle drzwi uchyli,

A tam – namiętne bezeceństwa…
Krupier z żoną wojewody, czyli:
– Interwencja państwa a hazard moralny społeczeństwa.

Zastanawiam się, czy czytając moje wiersze, Edward Stachura podtrzymałby dzisiaj twierdzenie, że *Wszystko jest poezja*?

12 października 2010

Łyczek, łyczek, Fryderyczek

Korzystając z ogólnie dostępnych i prawem dozwolonych środków, człowiek wprowadza się czasem w stan wyższej konieczności zakomunikowania czegoś całemu światu. Bywają to komunikaty o dość ważkiej treści, typu: „A jednak się kręci” albo „Kości zostały rzucone”. Najczęściej jednak wyryczenie światu prosto w twarz dotyczy czegoś dużo mniej ważnego. W późny sobotni wieczór, w Poznaniu, w przejściu podziemnym pod rondem, natknąłem się na grupkę młodych ludzi. Do każdego z nich można było zastosować opis z piosenki mistrza Przybory: „…oj, nie wraca ci on z kina”. A jeden najbardziej „oj, nie wracał”. I właśnie ten postanawiał śpiewem obwieszczać światu wszystko, co widzi. Ale co mógł widzieć w przejściu podziemnym pod rondem w Poznaniu? Kawiarenkę internetową, punkt Xero i automat sprzedający frytki. Z kawiarenką było akurat najłatwiej. Zaryczał na melodię *Kawiarenek*: „Kawiarenki, aaa, kawiarenki, aaa…”, po czym już bez melodii dorzucił: „dlaczego, k…wa, zamknięte?!”. Nie próbując nawet odpowiadać na zadane przez siebie pytanie, nie licząc na odpowiedź któregoś z towarzyszy „oj, niewracających ci z kina”, zajął się obwieszczaniem, że widzi: „Ksero! Ksero! Kseero! Kseero! Kseero!” (na melodię zaśpiewu stadionowego) i „Frytki, frytki, frytki, frytki” (na melodię *Szła dzieweczka do laseczka*).

Forma przekazu nie jest tu istotna, ważna jest treść – nadszedł taki moment w życiu człowieka, kiedy musi pokazać, że ma jakieś zdanie na temat każdego elementu otaczającego go świata. Miałem ochotę iść za nimi w okolice najbliższej budki z kebabem, bo byłem ciekaw, czy ryczący wpadnie na pomysł, żeby wyryczeć: „Kochane kebaby! Ach te kebaby! Człek by je łyżkami jadł! Tęgi chłop, co lekką ręką łamie sztaby, względem kebaby jest tak jak dziecko całkiem słaby…”. Miałem ochotę, ale nie miałem odwagi, bo jeszcze by zauważyli, że się im przyglądam, na melodię *Kawiarenek* zaryczeliby „Coś nie pasi? Aaa…” i kto wie, jak by się to skończyło. A poza tym nie podejrzewam, żeby ryczący znał piosenkę *Baby, ach te baby* i był w stanie wyryczeć aż tyle słów za jednym razem.

I jeszcze wiadomość z ostatniej chwili:

Warszawa. „Ławeczki Chopina” ustawione na Trakcie Królewskim cieszą się niesłabnącym powodzeniem. I to nie tylko wśród japońskich turystów odwiedzających polską stolicę. Otóż grupa mieszkańców Warszawy, która karnety do filharmonii wymieniła na wejściówki do pobliskich sklepów nocnych, włączyła się w obchody Roku Chopinowskiego i postanowiła zorganizować własną wersję Konkursu Chopinowskiego pod nazwą „Łyczek, łyczek, Fryderyczek”. Zabawa polega na tym, że zawodnik siada na ławeczce, trzymając w ręku najtańsze wino jabłkowo-siarkowe nazywane w środowisku Żelazową Wolą. Na hasło „Start” uruchamia się muzykę i przełyk zawodnika. Zabawa polega na ustaleniu, na ile „gulnięć” wystarczają *Etiuda c-moll op.10 nr 12* czy *Polonez A-dur op.40 nr 1*. Organizatorzy zawodów zorientowali się szybko, że liczba „gulnięć” jest niezależna od utworu, który akurat gra ławeczka, bardziej zależy od osobistych predyspozycji i doświadczenia zawodnika. Zaczęli więc oceniać „ogólny wyraz artystyczny” takiej prezentacji. Czyli:

sposób trzymania butelki, dopasowanie wyrazu twarzy do nastroju utworu, koncentrację na wykonaniu i sposób jego zakończenia. Dotychczas najwyższe noty otrzymał Rudy Rycho z Muranowa, który jako jedyny wystąpił w smokingu. To jest tak zwany Smoking Wawelski, który Rychowi przysłała ciotka z Krakowa. Zawodnik zdobył sobie również uznanie jurorów tym, że *Mazurka op.17 nr 4* zakończył telemarkiem. Każdy z laureatów konkursu „Łyczek, łyczek, Fryderyczek” na własną rękę poszukuje sponsora nagrody na całym Krakowskim Przedmieściu. Szczególnie często można ich spotkać w okolicy kościoła, w którym spoczywa serce bohatera tej akcji.

18 października 2010

Sierpowy Choziajnowa

Przejęzyczenie prezydenta Komorowskiego, który podczas koncertu laureatów XVI Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego, mówiąc o muzyce naszego wybitnego kompozytora, zamiast „armaty ukryte w kwiatach” powiedział „armaty ukryte w krzakach”, przewałkowano na wszelkich możliwych forach internetowych. Jedni drwili, inni usprawiedliwiali i pocieszali, byli tacy, którzy dorabiali zaskakujące teorie na temat drugiego dna tego sformułowania. Ja się zachwyciłem. Bo uważam, że każde przejęzyczenie wnosi coś nowego, powoduje, że coś oklepanego staje się nieoklepane albo przynajmniej zaczyna się to oklepywać z innej strony. A jeśli jeszcze powie to ktoś z urzędowym majestatem… Należy niezwłocznie wykorzystać okazję i zrobić lekkie zamieszanie. Na przykład w literaturze. Weźmy *Redutę Ordona*:

> Nam strzelać nie kazano. – Wstąpiłem na działo
> I spojrzałem na pole; dwieście armat grzmiało.
> Patrzę dookoła niby jastrząb jaki
> Naszych dział nie widać, jeno same krzaki,
> Artyleryi ruskiej ciągną się szeregi,
> Prosto, długo, daleko, jako morza brzegi;
> I widziałem ich wodza; przybiegł, mieczem skinął,

A miecz jak armata – porosły leszczyną,
I kiedy wódz zakrzyknął: „Ura! Do ataku!”,
Ruscy swoje armaty wyciągnęli z krzaków…

Pisałem o Rudym Rychu z Muranowa, który *Mazurka op.17 nr 4* Fryderyka Chopina zakończył telemarkiem? Pisałem. Oczywiście, że Rudego Rycha wymyśliłem, ale jak się okazuje, terminologia sportowa użyta w kontekście Konkursu Chopinowskiego była jak najbardziej na miejscu. Mam paru znajomych i sam się do nich zaliczam (uważam się za jednego z lepszych swoich znajomych), którzy nie będąc melomanami, na ogłoszenie werdyktu jury czekali z wypiekami na twarzy i emocjami nie mniejszymi niż te towarzyszące nocnym walkom Gołoty czy porannym skokom Małysza. Zresztą jedna z widzek TVP Kultura przyznała, że ostatnio tak bardzo się denerwowała podczas zawodów w Planicy, kiedy nasz Adam skakał po złoto. Zapowiadając transmisje z konkursu, TVP Kultura też odwoływała się do języka sportu – pojawiały się obrazki pianisty nad klawiaturą, a lektor tonem sprawozdawcy sportowego mówił o koncentracji, skupieniu, energii itp. Prześmieszne. Nie znam wyników oglądalności wieczoru finałowego Konkursu Chopinowskiego, ale życzę TVP Kultura, żeby się okazało, że widzów było nie mniej niż podczas jazdy Kubicy. I że wspaniałe dośrodkowanie dyrygującego Antoniego Wita do Daniiła Trifonowa oglądało parę milionów Polaków. Mam nadzieję, że ze sportu wykorzysta się tylko dobre skojarzenia, bo jakoś głupio by mi było, gdyby fotelami wyrwanymi z szacownego parkietu Filharmonii Narodowej zaczęli się okładać kibice Wundera i fani Bożanowa. Oczywiście od razu pojawiły się spory na temat tego, czy Awdiejewa powinna wygrać. Najwięcej na ten temat mieli do powiedzenia: „brunecik22mazowsze”, „ITIgoHome”, „papa_rapa_17”, „Eu.Geniusz.Sieradz” i „bialykozaczek19”. Swoją drogą, może by tak organizatorzy Konkursu Chopinowskiego

pomyśleli przy okazji następnej edycji o powołaniu dwóch jury. To drugie wyłonić spośród najczęściej wypowiadających się na temat konkursu w Internecie. Wtedy będzie można porównać opinię Marthy Argerich i na przykład „biodra_bizona_77”. Zresztą nie można wykluczyć, że pod tym pseudonimem ukrywa się jakiś wybitny znawca muzyki Chopina i spór o nagrodę dla rosyjskiej pianistki stałby się jeszcze bardziej zaciekły. I zdecydowanie wolę takie spory niż nieszczere licytowanie się, kto jest bardziej odpowiedzialny za „język nienawiści” w polskiej polityce.

À propos „wolę”. Usłyszałem w radiu piosenkę zespołu Golec uOrkiestra. Z następującym refrenem:

…Nie chcę żadnej sławy i mamony,
Wolę swoje ciepłe kalesony…

O ile dobrze rozumiem, autor tekstu sugeruje, że nie zależy mu na sławie, nie chce pieniędzy, woli kalesony. W przypadku zespołu żyjącego z występów to deklaracja dość ryzykowna. Bo jak mogą to zrozumieć organizatorzy różnych imprez? Taka stawka? Nie w pieniądzach, tylko w kalesonach? Trzy kartony kalesonów za występ na dniach miasta? I wagon kalesonów za „event” dla firmy farmaceutycznej? W dalszej części refrenu znajdujemy rozwinięcie tej myśli, potwierdzenie niechęci do blichtru, do pozorów „wielkiego świata”:

…Nie chcę oczu kamer i poklasku,
Wolę z tobą kochać się o brzasku…

Autor ujawnia porę doby, w której bohater piosenki prawdopodobnie na chwilę zdejmuje kalesony. Nie ma tego już w piosence, ale dopisałem sobie dalszy ciąg opowieści:

…A jak już opuszczę twoje łoże,
Wtedy kalesony znowu włożę,
Ale już nie tamte, nie te stare,
Bo mam na niedzielę drugą parę…

Jeśli ktoś myśli, że to stek bzdur i że tych dwóch wątków nie powinno się łączyć w jednym tekście, niech najpierw sprawdzi, ile złośliwych uwag pod adresem laureatki XVI Konkursu Chopinowskiego zamieściły na różnych forach internetowych „kalesony_chopina”.

25 października 2010

Kontrabasistka patrząca w wannę

Prezenterzy i dziennikarze co jakiś czas wprowadzają do obiegu słowo bądź sformułowanie, które zaczyna być zmorą. Parę lat temu tak się spopularyzowało „jakby”. Pamiętam wypowiedzi m.in. Stefanii Grodzieńskiej i Wojciecha Młynarskiego, w których żartowali sobie z zasłyszanych: „Jestem jakby reżyserem tego spektaklu”, „To był jakby mój ojciec”. Teraz upowszechnia się „tutaj postawimy kropkę”. Może nie jest aż tak irytujące jak „jakby”, ale zaczyna mnie denerwować. Jak nie ma pomysłu na zakończenie rozmowy, nie ma jak jej podsumować, mówi się „tutaj postawimy kropkę”. I sprawa załatwiona. Słyszałem już audycję, w czasie której stawiano kilka kropek – każda kilkuminutowa rozmowa kończyła się „postawieniem kropki”, po którym następowała piosenka. Miałem ochotę zadzwonić i zaproponować, żeby może stawiać przecinki, jeśli rozmowa będzie jeszcze kontynuowana, albo w przerwie nadawać piosenki też z kropką związane. O czarnej krowie w kropki bordo albo *Biedroneczki są w kropeczki*. Ale mi przeszło i nie zadzwoniłem. A może to „stawianie kropki” jest jakąś formą Gombrowiczowskiego „Koniec i bomba, a kto czytał ten trąba”? Tylko w tym przypadku – kto słuchał albo oglądał.

Że też pokolenia poetów nie wpadły na to, na co wpadli w XXI wieku prezenterzy radiowi i telewizyjni! Zamiast się męczyć w poszukiwaniu odpowiedniej puenty utworu, wystarczyłoby napisać:

> …Sucha kostucha, ta Miss Wykidajło
> Wyłączy nam prąd, zamknie szopkę,
> Pchajmy więc taczki obłędu jak Byron
> I tu postawimy kropkę.
> (Agnieszka Osiecka, *Niech żyje bal*)

lub

> …Więc może byśmy tak, najmilsza,
> Wpadli na dzień do Tomaszowa?
> A potem zwiedzimy całą Europkę…
> I tu postawimy kropkę.
> (Julian Tuwim, *Przy okrągłym stole*)

Ale, ale, hola, hola! Zabrnąłem w rejony, na których zupełnie się nie znam. Czyli w poezję. Z wiekiem staję się coraz mniej wrażliwy na metafory, wszystko zaczynam odbierać wprost, coraz rzadziej potrafię odpowiedzieć na pytanie: „Co poeta (malarz, fotograf, kompozytor) miał na myśli?”. Oto dowód: kilka razy dziennie przejeżdżam obok reklamy hurtowni artykułów budowlanych i sanitarnych. Na zdjęciu piękna, długowłosa i niekrócejnoga dziewczyna z kontrabasem w ręku przez otwarte drzwi patrzy na białą wannę. No i jak to rozumieć? Na szczęście mam fachową literaturę. Na przykład *Księgę Snów,* która tłumaczy, jak interpretować pewne symbole. Tylko że nie ma w niej haseł „kontrabas” i „wanna”. No to poprzestańmy na tym, co jest. „Otwarte drzwi – będzie okazja do poznania wpływowych ludzi…”. „Piękna dziewczyna – w domu

wszystko ułoży się jak najlepiej…”. No i wszystko byłoby jasne, gdyby nie to, że ta kontrabasistka patrząca w wannę wcale mi się nie śni. Ja ją widuję na billboardzie. A śni mi się saksofonistka altowa patrząca w półokrągłą kabinę prysznicową „dziewięćdziesiątkę” z hydromasażem. No i tutaj postawimy jakby dwukropek…

3 listopada 2010

Brylanty w Hajnówce

Może już o tym wspominałem. No to wspomnę jeszcze raz. W czasach, kiedy listonosz przynosił do domu emeryturę (bo czy teraz nadal przynosi, nie wiem), moja znajoma miała zwyczaj wkładania wszystkich otrzymanych banknotów do książki. Właściwie do różnych książek. A że miała również zwyczaj pożyczania książek, zdarzyło się, że któregoś dnia cała emerytura zniknęła. Po rodzinnej awanturze szanowna emerytka postanowiła się poprawić. Nie, żeby zaraz zrezygnowała z wkładania emerytury do książki. Tylko ustaliła, do której konkretnie – *Wszystkie pieniądze świata* Anatola Potemkowskiego. Od tej chwili już nigdy problemów z odnalezieniem pieniędzy nie było. Wspomnienie tej historii podsunęło mi myśl, żeby ze słuchaczami porozmawiać o skrytkach, pojemnikach i schowkach domowych. Jak się okazuje, chowanie pieniędzy w książkach jest czymś nagminnym. I nieprzypadkowe są tytuły: „Ja przechowuję fundusze w książce pt. *Twórcze niepokoje codzienności* pewnej pani filozof. Do dzisiaj nikt się nie domyślił, a przecież nietrudno! Paweł”.

Oj, mamy my fantazję – biżuteria w pudełkach po nasionkach roślin albo nasionka roślin w pudełkach po biżuterii, igły i nici w blaszanych opakowaniach po ciastkach. Chociaż na przykład pani Agnieszka napisała:

„Przechowuję igły, nici i inne krawieckie akcesoria w drewnianej skrzyneczce po niwelatorze geologicznym – bardzo praktyczne”. Nie wątpię. Może to pomysł na oryginalny prezent ślubny? „Tu macie niwelator geologiczny, a skrzyneczkę wykorzystacie sobie na igły i nici”.

I oczywiście słoiki. Do gwoździ, nakrętek, śrubek… „A ja przechowuję kakao w słoiczku po kawie, melisę w słoiczku po ince, oregano w słoiczku po keczupie i po suszonych pomidorach, bazylię w słoiczku po żurawinie, tabletki do zmywarki w pokrywce od pudełka po butach, a moje córki (niedaleko pada jabłko od jabłoni…) spinki w pudełku po balsamie do ciała, gumki i bransoletki w pudełku po odżywce do włosów, a ubranka dla lalek w drewnianej kostce edukacyjnej. Właśnie mam bardzo ładne puste pudełko po kawie i szukam dla niego zastosowania… Magda”. Może na przykład kawę w nim przechowywać? Nie, to zbyt ekstrawaganckie.

Klucze oczywiście najczęściej pod wycieraczką. I to niejednokrotnie zdarzały się przypadki pozostawiania w drzwiach kartki z informacją: „Klucz jest pod wycieraczką”. Ale mistrzostwem świata w kategorii „Niebanalna skrytka” jest coś, co opisał pan Leszek z Bochni: „Dziadek jakiś czas mieszkał z nami, tuż po wprowadzeniu się do nowego domu. Otoczenie domu było nieuporządkowane. W kącie działki rosły wysokie krzaki i chwasty, które dziadek nazywał »Bieszczadami«. Pewnego dnia wracamy do domu, w którym powinien być dziadek. Tymczasem wybrał się na spacer. My nie mamy klucza. Kłopot. Podchodzimy do drzwi wejściowych, a tam kartka napisana przez dziadka: »Klucz w Bieszczadach«. Żaden złodziej by nie znalazł…”. Metodę dziadka pana Leszka natychmiast zacząłem stosować u siebie w domu. Musiałem tylko trochę popracować nad kodem, żeby nie było zbyt łatwo. Bo jak się napisze „Klucz pod Płockiem”, średnio rozgarnięty złodziej może skojarzyć brzmieniowo Płock z płotem. „PIN na Alasce” też zbyt łatwe. Zwłaszcza

jeśli laska będzie wisiała gdzieś na widoku. „Pieniądze w Budapeszcie” – od razu pójdzie do psa. No więc wyjeżdżając w podróż służbową, napisałem: „Pieniądze na Podkarpaciu, paszport w Illinois, karty i PIN-y w Kaszubskim Parku Krajobrazowym, biżuteria w Hradec Kralove”. Po czym doszedłem do wniosku, że to jeszcze za łatwe, bo złodziej może się koncentrować na szukaniu tego, na czym mu najbardziej zależy. Zatem niech się głowi nie tylko gdzie, ale i co schowałem przed nim. Zmieniłem na: „Wierzba przy drodze, Kopernik we Fromborku, Słońce nad stadniną, Drang nach Osten”. I kartkę zostawiłem na stole. Tyle że zapomniałem z domownikami ustalić, co to wszystko znaczy. Sam też zapomniałem. Karty do bankomatu szukamy już trzeci tydzień.

9 listopada 2010

Ballada o Baronie, Niedźwiedziu i Czarnej Helenie

W radiowej „Trójce” świętowaliśmy niedawno 1500. wydanie Listy Przebojów. Byli goście, był koncert, tort i coś do tortu, bo był bankiet. Marek Niedźwiecki i Piotr Baron, gospodarze listy, zaprosili mnie do współprowadzenia części koncertowej. Postanowiłem przygotować jakiś prezent, coś niebanalnego, bo przecież nie przyniosę im tysiąca pięciuset róż. Po pierwsze drogo, po drugie co oni sobie o mnie pomyślą? Ale ważniejsze, że drogo. Postanowiłem coś napisać. Do melodii typowej warszawskiej ballady podwórzowej dopisałem tekst, którego bohaterami są Prawdziwy Baron, Prawdziwy Niedźwiedź oraz brutalna Czarna Helena. Już wiadomo, skąd Baron i Niedźwiedź w tekście tej piosenki, miłośnicy Listy Przebojów „Trójki” wiedzą też, kim jest ta trzecia postać. Niewtajemniczonym wyjaśniam – Halinka (Helen, Hela, Helena) jest żywą maskotką listy i równie żywym jej dobrym duchem. Przyjmuje telefony od słuchaczy, czasem pojawia się na antenie, cichutkim głosem coś zapowie i szybko ucieka. Kwintesencja delikatności, skromności i płochości. Jej głosik stał się ozdobą kilku wydań piosenki, którą dziennikarze „Trójki” nagrywają na każde Boże Narodzenie, czyli tzw. Karpia.

Ale wracając do ballady – na początku koncertu odśpiewałem jej fragment i miałem nadzieję, że to mój ostatni z nią kontakt. A tu ballada trafia do zestawu do głosowania na listę. Zmobilizowało mnie to do dokończenia tekstu, w studiu zainstalowanym w kawalerce Łukasza Borowieckiego (basisty, który w tym utworze gra na akordeonie) nagraliśmy to… I się zaczęło! Po tygodniu ballada jest na pierwszym miejscu listy przebojów. Trochę zaczynam się bać o moich kolegów prezenterów listy, bo jak tak dalej pójdzie, to inni prezenterzy innych list będą sobie stroić z nich żarty. Proszę – Kings of Leon, Acid Drinkers, Grzegorz Turnau, Carlos Santana, Gorillaz, Katie Melua… I wyprzedza ich ballada dziadowska? Jak się dowiedziałem, to największy „skok” w historii listy i najkrótszy jej utwór. Mam nadzieję, że Słuchacze Trójki celnie zinterpretują ten wygłup i spowodują, że ta ballada stanie się historyczna również ze względu na „najszybszy spadek w historii listy”. Jako autor i wykonawca tej pieśni bardzo Państwa o to proszę. Nie żebym miał coś przeciwko – bardzo mi się ten kawałek podoba, uważam, że wart jest grania chociażby ze względu na krwiste postaci bohaterów. Ale jak ja będę mógł spojrzeć w oczy panu Stingowi, kiedy wypomni mi kiedyś, że w 1502. wydaniu Listy Przebojów „Trójki” ja byłem na pierwszym miejscu, a on na dziewiątym?

Tekst ballady przytaczam poniżej. Dla słuchaczy „Trójki” to będzie pamiątka z jubileuszu listy, dla słuchaczy innych stacji – przypomnienie formy, którą szczególnie lubię. Może udałoby się przywrócić tradycję śpiewania po podwórkach ballad o niezwykłych wydarzeniach i oryginalnych postaciach? Kiedyś to było powszechne. Trochę taki „prarap”. Tylko tamci raperzy chodzili po swoich blokowiskach z akordeonem, mandoliną, gitarą…

Na Myśliwieckiej, przy Czerniakowskiej,
Jak w Łazienkowske się wjedzie,
Mieszkali sobie stworzenia boskie:
Baron z prawdziwem Niedźwiedziem.
Chodzili sobie w lato upalne
Na Agrykole zielone,
Takie dwa byty transcendentalne:
Niedźwiedź z prawdziwem Baronem.
Niedźwiedź miał trochę miodu na paszczy,
A Baron oczy przekrwione,
Bo żywot wiedli strasznie hulaszczy
Niedźwiedź z prawdziwem Baronem.
I przehulaliby cały pałac,
Wszystko by zżarła gangrena,
Gdyby za twarz ich nie przytrzymała
Pewna brutalna Helena.
Czarna Helena hoduje bluszcza,
Sadzi begonie w donice,
Tylko na stadion nikt jej nie wpuszcza,
Bo się jej bojom kibice.
Czarna Helena ma dużo wdzięku
I innych zalet ma parę,
Wianek na głowie, badylek w ręku,
A przed niom bieży o(O)wczarek.
Słuchajcie, ludzie, ballady mojej,
Co już skończona jest prawie,
Mieszkajom sobie zgodnie we troje
Na Myśliwieckiej w Warszawie,

Czy ciepła wiosna i kwitną kwiaty,
Czy mokra jesień ponura:
Baron prawdziwy, Niedźwiedź wąsaty
Oraz Helena Wichura.

16 listopada 2010

Pamiątka z Kahlenbergu

Sposób na jesienną depresję? Wstać o 6.00, włączyć telewizor i czekać na prognozę pogody. Uwielbiam ten moment, kiedy (nieludzko o tej porze pobudzony) prezenter zapowiada:

– A teraz widok na molo w Sopocie.

A tu mgła.

– To może Bukowina Tatrzańska?

Mgła. I już wiem, co będzie dalej. Tarnów, Kielce, Gdynia, Katowice… Podejrzewam, że jesienią, dla zaoszczędzenia pieniędzy, te telewizje trochę nas oszukują. Mają gdzieś obok studia stanowisko do wytwarzania sztucznej mgły, pokazują ciągle tę samą, tylko podpisy na ekranie się zmieniają. Wałbrzych, Lublin, Świnoujście, Suwałki… O właśnie, pamiętam z dzieciństwa, w radiu nadawali taką piosenkę *A w województwie suwalskim mgła*. Województwa suwalskiego już nie ma, a mgła pozostała. To znaczy może nie ta sama, mgła nowa, mgła na miarę naszych czasów i możliwości. Ale jest.

Kilka dni temu byłem z przyjaciółmi w Wiedniu. Zwiedzamy Kahlenberg – wzgórze, z którego król Jan III Sobieski wyruszył na decydujące starcie w bitwie z Turkami. Stojąc na tarasie widokowym, można stamtąd oglądać piękną panoramę Wiednia. Podobno. Bo mgła. I

teraz można podziwiać co najwyżej piękne barierki tarasu widokowego. Ewa, mimo wszystko, robi zdjęcia. Będziemy mieli pamiątkę w postaci fotografii braku panoramy Wiednia. Przypomina mi to, o czym natychmiast wszystkim opowiadam, pobyt Ireny na safari w Afryce. Po powrocie przynosi do redakcji albumy ze zdjęciami, pod jednym z nich podpis: „Największe na świecie skupisko flamingów”. Ale na fotografii nie widać żadnego. Pytam więc:

– Irena, a gdzie tu jest jakikolwiek flaming?

– Oj, bo one gdzieś akurat odleciały…

W tym momencie, w którym opowiadałem historię Ireny i jej safari, Ewa fotografowała. To znaczy, miała fotografować, ale przez przypadek włączyła kamerę i nagrała kilka sekund filmu. Bardzo oryginalnego. Teraz naszą pamiątką z pobytu pod Wiedniem jest następujące ujęcie: nikogo i niczego nie widać, mgła absolutna i w tej mgle niesie się mój głos:

– Irena, a gdzie tu jest jakikolwiek flaming?

Przywiozłem sobie z Wiednia coś jeszcze. Zdjęcie tablicy wmurowanej w fasadę jednego z domów. Na tablicy napis: „W tym domu Wolfgang Amadeusz Mozart w dniu 27.8.1778, podczas swojej trzeciej podróży do Pragi, nie nocował”.

Bądźmy wtórni, ale nie głupi. Skorzystajmy z tego patentu! Powywieszajmy po całej Warszawie tabliczki z napisami, gdzie czego nie robił Fryderyk Chopin. Przecież to ożywi gospodarczo naszą stolicę. Japońscy turyści, którzy objadą Warszawę od Białołęki („W tym domu Fryderyk Chopin nie jadł”) po Ursynów („W tym bloku Fryderyk Chopin nie kiwnął palcem”, „Na tej stacji metra Fryderyk Chopin koni nie poił”), zgłodnieją, zachce im się pić, będą musieli zostać o jeden dzień dłużej w hotelu. Czysty zysk. Albo gdzie czego nie robił Kopernik w Toruniu, Karol Wojtyła w Wadowicach, Artur Rubinstein w Łodzi. Trzeba tylko umówić

się z przewodnikami, żeby treści tych tabliczek nikt nie tłumaczył. Ważne, żeby dużymi literami były napisane nazwiska bohaterów.

Podobno pewna niemiecka telewizja, przed rozpoczęciem emisji regularnego programu, przez kilka miesięcy nadawała całodobowo sygnał kontrolny w postaci widoku akwarium z rybkami. I kiedy ruszył już normalny program, taki z filmami, wiadomościami, itp. – oglądalność znacznie spadła. Ja to rozumiem. Gdyby w tej, którą ja oglądam, przestali nadawać transmisję z mgły w Zabrzu czy Płocku, przez całą jesień nie włączałbym telewizora.

23 listopada 2010

Zima przyszła. Święta idą

Ludzie traktują mnie mało poważnie. Kilka dni temu byłem na spotkaniu z młodymi dziennikarzami. Zaraz po jeden z nich podszedł i zlecił mi następujące zadanie: – Niech pan na blogu napisze coś o informatyku, który przyjeżdża na konferencję „Media Student”.

Padło jeszcze zamówienie, żebym użył pewnego słowa. Nie zapisałem sobie i teraz nie pamiętam, czy to miał być „tranzystor”, czy „transformator”. I że niby jak? Że ja teraz napiszę coś w stylu:

> Wreszcie biało, wreszcie czysto,
> Piękna zima i tranzystor,
> Przysypało drzewa, kwiaty,
> Jedzie, jedzie informatyk,
> Brnie przez zaspy traktor z trudem,
> Gdyż w Warszawie „Media Student”.
> Poczekajmy, wróci lato,
> Słońce, plaża, transformator.

Nie ma mowy! W życiu czegoś takiego nie napiszę i nie zamieszczę na blogu. Ludzie traktują mnie mało poważnie. Jeszcze raz przeczytałem wierszyk i doszedłem do wniosku, że ludzie mają rację. Jaka twórczość,

takie traktowanie. Z tego wiersza może być jedynie taka korzyść, że zdanie „Brnie przez zaspy traktor z trudem” trafi do podręczników z ćwiczeniami logopedycznymi.

Nie szukałem, sam się znalazł. Piosenkowy przebój na tę zimę. Jest na nowej płycie Ireny Santor. Utwór numer sześć, śpiewany w duecie ze Stanisławem Soyką. Tekst Agnieszki Osieckiej, odnaleziony i podarowany pani Irenie przez Magdę Umer. Proszę sobie przeczytać refren (a jeszcze lepiej zdobyć i posłuchać w całości):

Od czasu do czasu jest zima,
Raz na rok, albo na dwa,
Nie narzekajmy na klimat
I bierzmy, co los nam da.

Dzięki Bogu z wyborami uporamy się jeszcze przed świętami. Proszę sobie wyobrazić, że radnych, burmistrzów i prezydentów mielibyśmy wybierać akurat 26 grudnia. Kandydaci na plakatach obiecywaliby „Więcej sianka” i „Żłóbek dla każdego”, twierdziliby, że „Kutia jest najważniejsza”, nawoływali: „Nie róbmy polityki, róbmy kluski z makiem”. Komitety wyborcze prześcigałyby się w wymyślaniu najoryginalniejszych form zdobywania głosów. Na przykład 24 grudnia po osiedlach chodziliby kandydaci na radnych przebrani za Trzech Królów – Atosa, Portosa i Aramisa (mało kto wie, że bohaterowie powieści Aleksandra Dumasa w rzeczywistości zostali później królami: Atos – Francji, Portos – Hiszpanii, a Aramis Królem Dopalaczy). No więc ci trzej kandydaci, jako Trzej Królowie, chodziliby po domach, śpiewając „Wśród nocnej ciszy o Twój głos się rozchodzi”. Doszłoby pewnie do skandalu, ponieważ ciszę wyborczą przerwałyby koń, krowa i owca, szczerze mówiąc, co myślą o gminnym weterynarzu walczącym w drugiej turze wyborów o stanowisko

prezydenta miasta. Na szczęście będziemy to mieli za sobą i święta będzie można już spędzać bez kontekstu wyborczego. No może tylko w niektórych, tych najbardziej zaangażowanych domach będzie się ten kontekst pojawiał. Na przykład kiedy żona zwróci się do męża:

– Tadeusz, wygrałeś wybory, idź zabij karpia…

30 listopada 2010

Maksymalny reset zimy

Zajmą się tym językoznawcy. Ja tylko zwrócę uwagę, że się pojawiło. Otóż koledzy dziennikarze coraz częściej używają sformułowania „reset stosunków”. W *Słowniku wyrazów obcych* (że to nie nasz wyraz, jakoś od razu się domyśliłem) znalazłem informacje – „reset” to „ponowne uruchomienie systemu operacyjnego komputera bez wyłączania go z sieci; także klawisz umożliwiający wykonanie tej operacji”. Zaczerpnięte z terminologii informatycznej, zaczęło być używane w innym znaczeniu. Chyba najbardziej spopularyzowało się u nas stwierdzenie o „resecie stosunków polsko-rosyjskich”. Ostatnio trafiłem też na informację, że „prezydent Miedwiediew liczy na reset w stosunkach z USA”. „Reset” nie jest dla mnie pojęciem nowym. Już od kilku lat używam komputera (proszę, w jak subtelny sposób, w tekście poświęconym ciekawostkom językowym, można przemycić informację o nowoczesności i zamożności autora). Także z innym rozumieniem tego słowa spotkałem się już jakiś czas temu. Mam kolegę, który w co drugi weekend „resetuje się” w warszawskich barach. I jeśli tamten polityczny „reset” ma mieć coś wspólnego z tym gastronomicznym, to czarno to widzę. Proszę zauważyć, że w tych opisanych dotychczas przypadkach jedną ze stron „resetowania” jest Rosja. Biorąc pod uwagę alkoholowe tradycje, umiejętności i przygotowanie

organizmów naszych wschodnich sąsiadów, taki reset dla drugiej strony (dla nas, a jeszcze bardziej dla Amerykanów) może się zakończyć „delete'em" albo defragmentacją dysku.

Nie politycy, nie piosenkarki i aktorzy – najpopularniejszymi osobami w kraju są w ostatnich dniach rzecznicy i szefowie firm zajmujących się odśnieżaniem i posypywaniem. Stoją dumnie na tle ocieplonych budynków swoich siedzib i patrząc prosto w kamerę, informują społeczeństwo, że wyjechało tyle a tyle pługopiaskarek, które tyle a tyle kilometrów dróg posypują piaskosolą, a na osiedlodzielnicach od tylu i tylu roboczogodzin pracuje tylu i tylu ludzi z łopatoszuflami, odzianych w specjalne kufajkokombinezony. Jeden z takich dyrektorów poinformował mnie na przykład, że będą się starać „maksymalnie minimalizować skutki opadów śniegu". Mam nadzieję, że podległe mu służby dobrze zrozumieją komunikat, bo jeśli przez pomyłkę zaczną „minimalnie maksymalizować skutki opadów śniegu", to się spod niego nie wygrzebiemy do marca.

A co tu mądrego o śniegu powiedzieć? Skorzystam z „Metody Józka". Józek, kiedy dzwoni, ma zwyczaj dodawania paru zbędnych zdań, żeby udowodnić (może komuś, kto siedzi obok niego i słucha), że jest jak najbardziej kompetentny i ma coś do powiedzenia. Oto przykład takiej rozmowy:

Ja: Halo…

Józek: No witam ciebie serdecznie. Ty pewnie w czasie jakiejś próby…

Ja: Yyyy…

Józek: No tak, próbować trzeba, bo jak się nie spróbuje, to potem kiepsko wychodzi, zwłaszcza w telewizji.

Ja: Yyyy…

Józek: A widziałem cię ostatnio w telewizji. Jakiś taki młody byłeś. To chyba stare nagranie było?

Ja: Józek, przepraszam cię, jestem za granicą. I rzeczywiście mam próbę. Nie pogadamy teraz, bo za chwilę zaczynamy występ. Odezwę się, jak wrócę z Wiednia.

Józek: No tak. Wiedeń to Austria.

A na koniec okazuje się, że Józek zadzwonił, żeby mnie poinformować, że zadzwoni za dwa, trzy tygodnie i wtedy umówimy się na spotkanie za dwa miesiące.

No więc wracając do śniegu. Pada. Bo zima. A jak się odgarnie, to albo spadnie nowy, albo nie spadnie. Jak spadnie, to czasem więcej, czasem mniej. Taki biały. Bo zima. No to pada. W Berlinie też. A Berlin to Niemcy.

7 grudnia 2010

I co, panie ministrze? Powietrze, kurna, czystsze?

Żeby władza miała świadomość, że lud patrzy jej na ręce, od kilku tygodni wysyłam najważniejszym osobom w państwie pocztówki z dwoma krótkimi pytaniami. Na przykład: „I co, panie premierze? Pada, kurna, śnieżek?”. Do prezesa największej partii opozycyjnej, w dniu kiedy nas zasypało, a teoretycznie była jeszcze jesień, napisałem: „I co, panie prezesie? Złota, kurna, ta jesień?”.

Z treści pierwszego pytania jasno wynika, że jest retoryczne, że nie oczekuję żadnej odpowiedzi, drugie ma sugerować, że my, społeczeństwo, winą za złą pogodę obarczamy adresata listu. Słowo „kurna” ma podnosić emocjonalną wartość przekazu, ma sugerować, że społeczeństwo jest zdenerwowane.

Taką sobie wymyśliłem akcję protestacyjną. Uważam, że każdy obywatel powinien swojej władzy prosto w oczy mówić, co mu się nie podoba. I ja odważnie mówię, wysyłając pocztówki. Nie ukrywam, że trochę się przy tym napracuję, bo strasznie niewygodnie w gumowych rękawicach nakleja się na taką małą kartkę literki wycięte z gazet, jest trochę zachodu z tym, żeby każdą taką kartkę wysłać z innego miasta w Polsce, ale niech wiedzą, co ja o nich wszystkich myślę. Ja, Kazimiera

Wypierz-Spódnicka, bo przecież każdą taką wyklejankę odważnie podpisuję.

Kiedy oglądam relacje z uroczystości powitania jakiejś ważnej osoby przyjeżdżającej do nas albo naszej witanej gdzieś, najbardziej intryguje mnie sam początek takiej wizyty. O czym te ważne osoby rozmawiają „w pierwszych słowach”? Bo zaraz później, już w oficjalnych wystąpieniach, to wiadomo – o „dobrych wzajemnych kontaktach i nadziejach na ich rozwój”, o „trudnej przeszłości, która powinna być punktem wyjścia do dobrej przyszłości”, itp. Ale o czym w tym pierwszym momencie? Zaraz po wyjściu z samochodu i uściśnięciu sobie rąk? Bo chyba tylko tak:

– No co tam? Co tam? Jak się leciało?

– Najważniejsze, że szybko. Zresztą z lotniska tutaj, do pałacu, też jakoś śmignęliśmy. Ktoś mi kiedyś mówił, że Warszawa zakorkowana, a tu po drodze nigdzie nie staliśmy.

– Taaa… Jakoś tak chłodno… Coś tak zawieje czasem… Chociaż w sumie jeszcze ciepło jak na grudzień.

– No, no, no… A jak wy sobie z gołębiami radzicie? Bo tu u was, widzę, nie brudzą, a u mnie przed pałacem brudzą…

– To zapraszam do środka…

Chciałbym przeczytać kiedyś książkę, w której ktoś ze świadków spisałby te pierwsze zdania z powitań najważniejszych tego świata. Bo może się mylę? Może to wcale nie są takie rozmowy o niczym? Może prezydenci, odgrywając scenkę rytualnego powitania, od razu przystępują do załatwiania najistotniejszych spraw? I na przykład patrząc z uśmiechem na gołębie, mówią:

– No dzień dobry, to po ile gaz?

– Trzysta pięćdziesiąt dolarów za tysiąc metrów sześciennych.

– Trzysta dwadzieścia.

– Dobra.

– To zapraszam do środka…

13 grudnia 2010

Od kręgosłupa

Człowiek chciałby po prostu pojeździć na nartach. Pozachwycać się widokami, powdychać świeże górskie powietrze. I nic więcej. Nie da się. Jestem pewien, że polski dentysta, zjeżdżając ze stoku we włoskich Dolomitach, przez chwilę zastanowi się, czy tutaj więcej roboty niż u nas w sezonie zimowym i jak tu jest z refundacją wyrywania górnych jedynek z NFZ-u. Może wyjaśnię poprzednie zdanie – nie chodzi o to, czy da się górne jedynki wyrwać z NFZ-u, tylko czy NFZ zapłaci, jak się je komuś wyrwie?

Polski piekarz przyjrzy się uważnie bułce podawanej w górskiej restauracji, policjant pomyśli, czy ta włoska policja narciarska wcześniej idzie na emeryturę, bo przecież po piętnastu latach ścigania przestępców na stoku na pewno wysiadają im kolana. Nauczycielka języka obcego, która miała nadzieję na chwilowe oderwanie od szarej codzienności, wróci do niej natychmiast za sprawą usłyszanego nagle:

– Sorry, this leżak is frei? Mogę?

Mam taką nadzieję, że ludzie, nawet w czasie narciarskich urlopów, nie mogą się tak całkiem oderwać od swoich codziennych zajęć. Mam nadzieję, bo nie wierzę, że tylko ze mną jest coś nie tak. Bo ze mną jest tak – ktoś mówi: – Słuchajcie, może dzisiaj pojeździmy na Pradalago?

A ja już mam:

A na Pradalago, a na Pradalago
Jakaś ładna panna
Wyjechała nago.
Ratownicy górscy
Narobili wrzasku:
– Żeby chociaż, żeby chociaż,
Wyjechała w kasku!

Albo ktoś mówi: – Słuchajcie, którą trasą jedzie się do Folgaridy?
A ja:

A pod Folgaridą
Na prośbę Knesetu
Zabroniono Żydom
Budowy meczetu.
Najtrafniej to ujął
Mario Franco Brodzo:
– Bo najpierw budują,
A potem nie chodzą.

Albo ktoś: – Podobno świetnie są przygotowane stoki w Pinzolo. I mało ludzi.
A ja natychmiast:

Fryzjerzy w Pinzolo
Nie najlepiej golą,
– Ale – stwierdził Mario Brodzo
– Są niepowtarzalni całkiem,

Otóż dzieci im się rodzą
Od razu z przedziałkiem.

Pomyślałem, że po powrocie do domu powinienem z tym pójść do jakiegoś lekarza. Ale już ja ich znam! Oni się nie znają. Jak nie wiedzą, co to jest, to jak zwykle powiedzą, że to na tle nerwowym albo od kręgosłupa.

21 grudnia 2010

KOMITET DO SPRAW RADIA I TELEWIZJI
„POLSKIE RADIO I TELEWIZJA"
Program III

Warszawa, dn. .....

Wiersz, w którym autor życzy owszem Wesołych,
ale przede wszystkim Prawdziwych Świąt.

Niech ja wypatrzą dzieci,
I niech to będzie gwiazdka,
Która sama zaświeci,
Bez podłączania do gniazdka.

Niech przyjdą śpiewać kolędy
Chłopacy z tamtej wioski.
Niech nie śpiewają boysbandy,
Czy zespół latynoski.
Na Twoje czciogodne uszki
Maleńki Panie Boże,
Niechże nie grają pastuszki
Na cyntezatorze.

Niech w domu będzie mama,
Niech się umija w tłumie,
Niech ciasta piecze sama,
Bo tylko Ona umie.

Niech ktoś odrzyska nadzieję,
I niech ktoś o kimś pamięta,
Bo przecież ... Dzisiaj w Betlejem...
To takie miłe święta ...

Niech będą szczere życzenia,
Choinka niech będzie z lasu,
Życzę Bożego Narodzenia,
A nie Merego Christmasu!

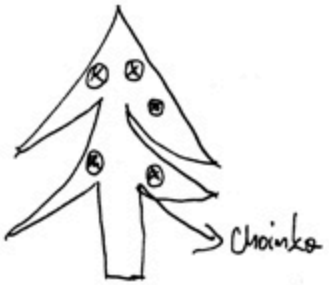

/ grudzień 2000 /

PR-18-210. Zam. 3189 - PWHDA/S/Dz

GrZGraf. 350 - 31.1.74 - 3000

Oby nam się!

Z życzeniami kłopot. Jedne zbyt banalne, inne za bardzo nachalne. Dochodzi jeszcze problem szczerości. Bo jeśli ludzie, którzy za sobą przez cały rok nie przepadają, życzą sobie szczęścia, zdrowia, wszelkiej pomyślności tylko dlatego, że znaleźli się nagle przy jednym wigilijnym stole, to ja za takie życzenia serdecznie dziękuję. W takiej sytuacji lepiej nie życzyć żadnego konkretu, pozostać przy starym, wypróbowanym „oby nam się". Po pierwsze – każdy może sobie sam „dożyczyć", co by mu się, po drugie – słowo „nam" sugeruje, że nie mamy na myśli niczego złego, bo życzymy temu komuś tego samego, czego życzymy sobie. Chociaż nie do końca. Bo jeśli po „oby nam się" w domyśle pozostaje „ciśnienie podniosło", to dla nadciśnieniowca nie najlepsze życzenia.

Z pytaniami nie łatwiej. O coś przy wigilijnej kolacji pytać trzeba, ale zestaw pytań najczęściej zadawanych też nie należy do zbyt imponujących. Wszystkie typu: „Ależ ty wyrosłaś, no co tam?", „Kiedy ty nam, Haniu, narzeczonego jakiegoś przedstawisz?"… Zresztą kiedy Hania przedstawi jakiegoś narzeczonego, niczego to nie załatwia, bo wtedy zaczyna się „A ślub kiedy?". A kiedy ten jakiś narzeczony zostanie już jakimś mężem: „A dzidziusia kiedy będziecie mieli?".

Jak reagować? Można agresywnie. Na przykład na denerwujące pytanie „Kiedy ślub?” odpowiedzieć pytaniem: „A kiedy nam ciocia narzeczonego przedstawi?”. Niektórzy potraktują to jako żart, ale wujek Marek zastanowi się, czy przypadkiem czegoś nie wiemy i czy aby jego żona przy okazji inauguracji szóstego krzyżyka nie zaczyna przeżywać drugiej młodości. I święta z głowy.

Żeby nie zaogniać, ale urozmaicić, należałoby w takich sytuacjach posługiwać się pytaniami zaczerpniętymi. Z literatury, filmu. Uniwersalne i bezpieczne pytanie pojawia się w *Misiu* Stanisławów: Barei i Tyma. W scenie zebrania potępiającego kradzież parówek na planie filmowym ona – Aleksandra Kozeł, dowiedziawszy się, że on – Stanisław Paluch zajmuje się zawodowo rozwożeniem węgla, pyta: – A nie boi się pan tak węgla wozić?

Przetestuję w czasie tegorocznych świąt. Ciekaw jestem reakcji cioci Maryni, kiedy podczas łamania się opłatkiem powiem:

– Ciociu, dużo zdrowia, szczęścia i pomyślności. A nie boi się pan tak węgla wozić?

Na pulpicie komputera zostawiam sobie czasem zapis jakiejś znalezionej w Internecie wiadomości, której nie chce mi się czytać w danej chwili, ale być może będzie mi się chciało kiedy indziej. Dzisiaj zachciało mi się otworzyć jedną z nich. Wiadomość sprzed kilku miesięcy, opatrzona dramatycznym tytułem: *Książę Filip ma problem – nie rosną mu trufle*, brzmi tak: „Mąż królowej brytyjskiej, Elżbiety II, książę Filip, poprosił włoskich ekspertów, by pomogli mu uratować poletko w rezydencji Sandringham, na którym chciał uprawiać czarne trufle. Od trzech lat na działce księcia nie wyrosła żadna trufla. W 2007 roku książę Filip posadził w królewskiej posiadłości w hrabstwie Norfolk drzewa, a wokół ich korzeni – sadzonki trufli. Gdy jednak oczekiwane od dawna grzyby nie pojawiły

się, zaprosił do Sandringham włoskich specjalistów na czele z burmistrzem miejscowości Acqualagna w regionie Marche, słynącym z trufli.

Eksperci zbadali teren i sprawdzili sadzonki, a teraz pracują nad raportem dla księcia Filipa. – Wyślemy raport za kilka tygodni. Książę poprosił nas, byśmy pomogli mu w tym przedsięwzięciu.

– Ufa nam i powierzył nam sukces swej uprawy – powiedział burmistrz z włoskiego »zagłębia« trufli, Andrea Pierotti”.

Życzenie komuś szczęścia, zdrowia, pomyślności, miłości może być odebrane jako ingerencja w zbyt intymne sprawy. Tym najbliższym mogę, ale tym dalszym? Trochę się krępuję. Wiem! Wypróbuję w tym roku metodę życzenia nie wprost. Czyli tak „opłotkami z opłatkiem”. Cioci Irenie, żeby wujka Kazika biodro nie bolało, kuzynowi Grześkowi, żeby jego żona Marta szczęśliwie doktorat zrobiła, jego żonie Marcie, żeby Bartkowi, koledze jej męża Grześka, dzieci zdrowo rosły i pociechę przynosiły jemu i jego żonie Ewie, której rodzice niech w szczęściu doczekają prawnuków… A Państwu życzę, żeby księciu Filipowi trufle wyrosły. Albo lepiej żeby Państwu wyrosły trufle księcia Filipa. I niech każdemu trufle wyrosną w jego ulubionym miejscu!

24 grudnia 2010

Radosna radość radości

Zdaje się, że już minął, jak to kiedyś nazwał mój ulubiony poeta, „kiermasz dobroci i nastroju”. Kolejny dopiero za rok, no może kilka straganów otworzy się gdzieś w okolicy Wielkanocy. W jednym z kolorowych pism, które zamiast sianka leżą teraz na każdym wigilijnym stole, znalazłem opis miłego zdarzenia. Aktorzy, dziennikarze, sportowcy, politycy wcielili się w kelnerów i sprawili mnóstwo r a d o ś c i dzieciom, podejmując je obiadem w jednej z warszawskich restauracji. Dziennikarska relacja z tego zdarzenia miała na celu podkreślenie r a d o s n e g o charakteru zdarzenia. Już w tytule znajdujemy informację, że to był „Obiad pełen r a d o ś c i”, a podpisy pod zdjęciami nie pozostawiają żadnych wątpliwości – było jej co niemiara. Pod jednym znalazłem tekst: „Tamara Arciuch rozbawiała zarówno dziewczynki, jak i chłopców”. To rozróżnienie płci miało, jak się domyślam, być wyrazem podziwu dla pani Tamary, bo przecież zazwyczaj to, co bawi dziewczynki, niespecjalnie bawi chłopców. Nie wiem, jakie doświadczenia ma autor (autorka?) tego tekstu, ale chciałem uspokoić – przychodzi taki moment w życiu, kiedy pojawiają się zjawiska, które cieszą równocześnie dziewczynki i chłopców.

A pod innym zdjęciem podpis: „Mateusz Damięcki nie ma jeszcze dzieci, ale potrafi je rozśmieszać”. A to ci dopiero! Słyszałem o

motorniczym z Krakowa, który nie ma jeszcze własnego tramwaju, ale już potrafi go prowadzić, ale żeby nie mieć dzieci, ale potrafić je rozśmieszać? Precyzyjnie ten opis zdjęcia powinien brzmieć tak: „Mateusz Damięcki nie ma jeszcze dzieci, zarówno dziewczynek, jak i chłopców, ale potrafi rozśmieszać zarówno je, jak i ich”.

Być może dająca się wyczuć w tonie tej wypowiedzi lekka złośliwość jest spowodowana strachem. Otóż od paru lat pracuję w rozrywce. To, co robię zawodowo, ma służyć rozśmieszaniu Państwa, dostarczaniu odrobiny r a d o ś c i. A tu konkurencja coraz większa. Kiedy przed świętami usłyszałem w radiu reklamę *Biblii na wesoło*, wpadłem w panikę. Tu już nie ma żartów! To znaczy są. Wszędzie. Może trzeba więc szukać zajęcia w innym segmencie rynku? Mam już nawet pomysł na biznes. Budowa i wynajem sal. Wszelkiego typu. Weselnych, bankietowych, widowiskowych, posiedzeń, prób, gimnastycznych, katechetycznych… Tylko nie wiem, czy to się opłaca. U nas rynek wynajmu sal jest dopiero w powijakach. To nie to, co na przykład w Wielkiej Brytanii. Widziałem w telewizji – tam już w drugi dzień świąt ludzie stali całą noc, żeby o szóstej rano szturmować punkty wynajmu, obwieszone plakatami „Sale – 70%”.

Powoli wracamy do normalności. Jeszcze tylko kilka dni i nie będziemy ogłuszani natłokiem życzeń kierowanych szczerze z każdej stacji benzynowej, przychodni i hurtowni. Muszę przyznać, że część z tych, które dotarły do mnie w czasie tegorocznego „kiermaszu dobroci i nastroju”, zostaną w pamięci na długo. Robią wrażenie. Na przykład jedna telewizja proponowała, żebym na święta do niej dołączył, kupując jej dekoder. „Poczuj mocne uderzenie w 3D!!!” – brzmiała zachęta. A w programie, w którym śpiewano piosenki stylizowane na kolędy, piosenkarz stylizowany na górala, siedząc obok pani w bluzce stylizowanej na ładną, mową stylizowaną na góralską mówił: „Zyce wom, zebyście długo w tym nowym

roku 2011 zyli…”. Może to stres, może go kapelusz uwierał i w związku z tym szyk w zdaniu się poprzestawiał, ale naprawdę tak powiedział. To ja, uderzając ciupagą w prawy kierpec, życzę Państwu, żebyście żyli znacznie dłużej.

4 stycznia 2011

Kraina Filcu?

Hej, nie ma rady na to,
Chodzi wódka za tatą,
Taka z niej bestia chytra.
Na przedzie tata drepta,
A za nim o pół metra
Tupta sobie pół litra…

Tak się zaczynała spisana przez Andrzeja Waligórskiego opowieść o pewnej przypadłości, którą u swojego tatki zauważyły małe dzieci. Pod koniec utworu dowiadujemy się, że jego bohater został gruntownie przebadany przez różne „kliniki i urzędy”, i…

…Wyszła taka konkluzja:
W wyniku tych analiz:
U tatki to realizm
A u innych – aluzja!

Na jednej z głównych ulic Warszawy wisi szyld, a na nim napis: „Kraina Filcu”. Realizm? Czy aluzja? Słowo „kraina” kieruje od razu w stronę bajki: „Dawno, dawno temu, za siedmioma rzekami, za siedmioma górami, czyli za Koninem, w którym w ostatnich wyborach lewica zdobyła siedem mandatów w radzie miejskiej, była sobie Kraina Filcu. Rządziła nią księżniczka Walonka. Tak naprawdę miała na imię Grażyna, ale Walonką

nazwali ją poddani ze względu na temperament. Waliła berłem po głowach, kiedy wpadała w furię”…

Ze źródeł zbliżonych do wiarygodnych dowiedziałem się, że filc dzieli się na bity i tkany. No więc jeśli się okaże, że Warszawa jest stolicą Krainy Filcu Bitego? To już aluzja za aluzją. Zresztą, jeśli tkanego, to też nie lepiej, bo tkany robi się m.in. z koziej sierści. Koza, no tak, wszystko jasne… Aluzja na aluzji.

Aluzja ma to do siebie, że każdy odczytuje ją jak chce. Nawet tam, gdzie jej nie ma. Więc, żeby dać Państwu możliwość pogłówkowania, poszukania, ponawymyślania, o kim to lub o czym, publikuję poniżej fragment poematu *Aluzja czy realizm?*

Proszę cywila i żołnierza,
Kraina Filcu i Paździerza,
Proszę chamstwa i kultury,
Kraina Dykty i Tektury,
Kozie, kotu, owcy i psu
Kraina Pustaka i Kartongipsu.

Mamy tendencję do mówienia o sobie nie najlepiej. I pewnie momentami słusznie. Ale pojawia się nagle coś takiego jak Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy i… Moim zdaniem Jurkowi Owsiakowi (pozwalam sobie pisać o Nim po imieniu i nazwisku, bo poznaliśmy się już dawno temu w Rozgłośni Harcerskiej) należy się pomnik chociażby za to, że daje nam szansę, żebyśmy sami o sobie dobrze pomyśleli. I jeszcze za to, że dzięki Orkiestrze nie powstają w Polsce żenujące żarty typu „Przychodzi baba do lekarza, a lekarz nie ma sprzętu”. Pomnik może stać na przykład w Świebodzinie. Nie musi być duży – facet w żółtej koszuli i czerwonych okularach wysokości 33 metrów i rozpiętości ramion 25 metrów. Byle

powstał za życia Jurka, bo wtedy On na pewno zlicytuje statuje (wiem, że powinno być „statuę”, ale nie byłoby tego żartobliwego rymu „zlicytuje – statuje”), a pieniądze przekaże na pomoc dzieciom.

W czasie finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy jeden z internautów podrzucił pomysł, żebym przekazał coś na licytację. Z przyjemnością zaproponowałem, że jeśli ktoś to kupi, to chętnie oprowadzę po radiu przy Myśliwieckiej i zafunduję obiad w radiowej stołówce. Nie mam wątpliwości, że cel jest szczytny, więc i tutaj zareklamuję – gdyby ktoś chciał wziąć udział w tej licytacji, to jest ona w zakładce WOŚP na Allegro.

W chwili, kiedy pisałem te słowa, ktoś zadeklarował, że zapłaci ponad 1000 złotych. No to ja deklaruję, że obiad będzie się składał z dwóch dań i kompot nawet dorzucę!

A na zakończenie wszystkich kwestujących w ramach Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy chciałbym pozdrowić od kwestujących 1 i 2 listopada na warszawskich Powązkach. Ja tam bywam od kilku lat. No cóż, każdy kwestuje zgodnie z wyrazem twarzy i temperamentem.

12 stycznia 2011

Skrót

Jeszcze nie jest po mnie. Bo, cytując Jonasza Koftę, dopiero „kiedy się dziwić przestanę, będzie po mnie”. Oto wykaz najświeższych zdziwień. Czytam: „Tomasz Adamek we wrześniu 2011 roku zmierzy się we Wrocławiu z Władimirem Kliczką – poinformował obóz polskiego pięściarza. Spełnią się moje bokserskie marzenia – skomentował tę wiadomość »Góral«”. Nie wpadło mi wcześniej do głowy, że można ze sobą połączyć dwa słowa: „boks” i „marzenie”. Od dzisiaj będę wiedział, że „marzenie” nie musi być czymś delikatnym, łagodnym, kruchym. To są przesądy, które wpoili nam pozbawieni kontaktu z rzeczywistością poeci. Można marzyć o tym, żeby kogoś rzucić na dechy, można marzyć o nokaucie. Być może nawet są to marzenia, które towarzyszą sportowcom specjalizującym się w innych dyscyplinach? Kto wie, czy na przykład Justyna Kowalczyk nie ma „bokserskich marzeń”? To znaczy, że chciałaby w przyszłym roku na zawodach w Libercu w sprincie techniką dowolną ścigać się z Władimirem Kliczką. „Marzenia bokserskie” mogą wychodzić poza sport. Na przykład pan Miecio z województwa podkarpackiego, borykający się z problemami finansowymi wywołanymi kredytem bankowym, ma takie „bokserskie marzenie”, żeby komornik, który właśnie

zabrał mu telewizor, spróbował kiedyś bez asysty policji zabrać coś Władimirowi Kliczce.

Kłopot z marzeniami zaczyna się wtedy, kiedy zaczynają się spełniać. Młodzi rosyjscy hokeiści zostali mistrzami świata. Nie udźwignęli jednak bezmiaru radości… Nie wiem, czy kiedykolwiek ktokolwiek „udźwignął bezmiar” – to chyba też pozostałość po jakichś poetyckich eksperymentach, ale skoro mi się tak napisało, to nie ma się co z tego wycofywać. No więc, nie udźwignęli bezmiaru radości spowodowanego spełnieniem marzenia i tak bardzo świętowali zwycięstwo, że następnego dnia nie wpuszczono ich do samolotu, którym mieli wracać do domu. Telewizja poprosiła mnie o skomentowanie tego wydarzenia („może być dowcipnie” – powiedziała pani, która zadzwoniła w tej sprawie). Widocznie kojarzę się telewizji z Rosją, hokejem albo nadużywaniem alkoholu. Nie wnikając w szczegóły, zabrałem się za przygotowania do wypowiedzi. Poczytałem, zanotowałem i stwierdziłem, że:

„Bezpośrednio po meczu napastnik drużyny rosyjskiej Jewgienij Kuzniecow powiedział dziennikarzom: – Mamy rosyjski charakter i dlatego nigdy się nie poddajemy. Więc może stan, w jakim następnego dnia znaleźli się młodzi hokeiści, jest kolejnym etapem »rosyjskiego charakteru«? A może to nawet »słowiański charakter«, bo już widzę, jak wyglądaliby polscy hokeiści, gdyby wracali do kraju z tytułem mistrza świata. Poza tym chciałem zwrócić uwagę na wiek i płeć bohaterów tego skandalu. To są mężczyźni poniżej dwudziestego roku życia. Mężczyzna w tym wieku nie potrafi jeszcze kulturalnie cieszyć się swoim zwycięstwem. W ogóle mężczyźni z natury nie potrafią kulturalnie się cieszyć. Dlatego proponowałbym, żeby wprowadzić odpowiedni przepis, który spowoduje, że w przyszłości mistrzami świata w hokeju na lodzie w kategorii do lat

dwudziestu będą mogły zostawać wyłącznie kobiety, które ukończyły pięćdziesiąty rok życia”.

Nie wiem, czy udało się dowcipnie, ale wypowiedź się ukazała. Z tym że zachowałem się jak kompletny amator, a przecież już nie raz wypowiadałem się na przeróżne tematy, o których nie mam zielonego pojęcia. Powinienem wiedzieć, że nieważne co, ważne jak długo. Całej mojej wypowiedzi widz telewizyjny nie dałby rady wysłuchać, więc w materiale pojawił się jej skrót, cytuję: „…to nawet »słowiański charakter«, bo już widzę, jakby wyglądali polscy hokeiści, gdyby wracali do kraju z tytułem mistrza świata”.

Żeby nie wyszło, że piszę to w tonie pretensji. Po prostu, przypominam sobie i Państwu, na czym polega skrót telewizyjny. I że trzeba być czujnym, bo czasem nadane w telewizji „Daj pan spokój!” może być zarówno częścią wypowiedzi kierowcy, który twierdzi, że „zima znów zaskoczyła drogowców”, jak i laudacji na cześć laureata literackiej Nagrody Nobla, bo jedenasta zwrotka jednego z jego wierszy, z tomiku *Hałda pełna chałup*, brzmi:

Szaryś domu, staryś, szaryś,
Gdzieżeś poszłaś? Mojaś Maryś?
Szaraś łzo w zielonym oku,
– Weź pan smutek…
– Daj pan spokój!

17 stycznia 2011

Izwiestno kardinału

Miałem może dziesięć lat… Nie miałem piwnicy, więc trudno było o klub, ale kumpel radio zniósł, bo mieszkał piętro wyżej… Przepraszam, zaciągnęło mnie w piosenkę Perfectu, a miało być o czymś zupełnie innym. No więc – miałem może dziesięć lat, kiedy po raz pierwszy oglądałem przygody D'Artagnana i jego przyjaciół muszkieterów. Zdaje się, że w tym wieku to norma, że nie zwraca się uwagi na pewne szczegóły, ale teraz mi wstyd, że nie zaniepokoiło mnie, kiedy dowódca muszkieterów francuskiego króla wydawał komendę:

– *Muszkietiory korola! K boju!*

Z drugiej strony, żadnego niepokoju nie wywoływało we mnie również to, że w filmie o Winnetou jednym z najczęściej powtarzanych słów było *Achtung!* Jak widać, z wiekiem człowiek zaczyna się czepiać byle czego i we wszystkim węszy jakiś podstęp.

W jednej z pierwszych scen pierwszego odcinka *D'Artagnana i trzech muszkieterów* – radzieckiego serialu na podstawie powieści Aleksandra Dumasa – wędrowna trupa teatralna śpiewa pieśń o szpiegach kardynała Richelieu. Opowieść o tym, że kardynał wie o wszystkim, co się dzieje w jego kraju (*Izwiestno kardinału*). Oto bardzo dowolne tłumaczenie tej pieśni:

W każdym rogu czai się
Setka szpiegów Richelieu,
Idziesz szybko czy pomału –
Izwiestno kardinału.
Szpiedzy tutaj, szpiedzy tam,
W każdej z najpodlejszych bram,
Ciało zbliży się ku ciału –
Izwiestno kardinału.
Ptaki, pijaki, wrogowie, koledzy,
Szpiedzy, szpiedzy, wszyscy szpiedzy,
Panna, która cię kochała,
Już u kardynała.

Zdaje się kiedyś już o tym wspominałem – jadąc przez Niemcy, zwróciłem uwagę na tablice ustawiane przy wjazdach do miast i miasteczek. Otóż na wielu z nich, oprócz nazwy miejscowości, umieszczona jest informacja, z czego to miasto słynie. A, że to „miasto piekarzy", „miasto ceramiki", „miasto wina", itp. Miły zwyczaj. My wyspecjalizowaliśmy się w czymś innym. Co trzecia miejscowość w Polsce to „miasto monitorowane". Domyślam się, że takie ostrzeżenie ma za zadanie zniechęcić różnych złoczyńców, poinformować ich, że w tym mieście (albo gminie, bo „gmin monitorowanych" też sporo widziałem) nie opłaca się czynić zła, bo na pewno ktoś to zauważy. Że jeżeli już, to lepiej pojechać parę kilometrów dalej, do miasta, które nie jest monitorowane, i tam poszaleć.

Złoczyńca też człowiek, więc uważam, że uczciwe byłoby informowanie ewentualnych zainteresowanych, w jakich godzinach prowadzi się obserwację albo że „miasto monitorowane od kościoła do urzędu gminy, z pominięciem ośrodka zdrowia, w którym i tak nic nie ma".

Tak jak zrobił mój sąsiad, który na ogrodzeniu pod tabliczką z wizerunkiem psa i napisem „Ja dobiegam do bramki w 5 sekund, a ty?” dowiesił drugą, z informacją: „Tabliczka wyżej nieaktualna. Dzisiaj mam już 14 lat i dobiegam do bramki, jeśli mi się chce, jeśli akurat nie jem, albo nie śpię”.

A piosenkę z serialu *D’Artagnan i trzej muszkieterowie* można przerobić na nasze potrzeby:

Jeśliś pił i leżał w rowie,
Nie uciekaj, tylko stój tu!
Wójt i tak się zaraz dowie,
Wot, izwiestno wójtu!
Wójt o wszystkich wszystko wie,
Więcej wie niż ONZ,
Wie, że ojciec Bóg wie gdzie
I że mnie paznokieć z palca zszedł…

24 stycznia 2011

Z działu: Ogłoszenia i Dopiski

W bloku, w którym mieszkają moi znajomi, podczas każdej wizyty uważnie wypatruję nowych publikacji administratora. Niedawno w okolicy zsypów na śmieci pojawiła się notatka przypominająca zasady korzystania z tego wynalazku. Zachwyciła mnie preambuła (pisownia oryginalna): „Szanowny Mieszkańcu!!! Zsyp jest częścią twojego domu – proszę traktuj go tak samo jak traktujesz SWOJE MIESZKANIE”. Nie wiem, czy to nie zbyt daleko idąca propozycja, ale spróbuję. Zacznę od zaproszenia znajomych na kawę do zsypu. I na pewno spędzimy tam następnego sylwestra. Gdyby ten tekst pisał pewien wybitny ekonomista, na pewno wykorzystałby okazję i dorzucił komentarz, że przy takiej polityce gospodarczej rządu większość Polaków następnego sylwestra spędzi w zsypie. Ale tego tekstu nie pisze pewien wybitny ekonomista, więc takich dygresji nie będzie.

Nie wiem, czy napis umieszczony na drzwiach windy „Winda nieczynna. Najbliższa winda w bloku obok” jest prawdziwy. Nie widziałem, znam tylko z opowieści. Natomiast na własne oczy widziałem, a nawet sfotografowałem własnym aparatem napis urzędowy na drzwiach windy: „Sprawdź, czy za drzwiami jest kabina” i dopisane flamastrem: „Bo raz nie było i spadłem”. I chociaż powinienem publicznie potępiać

dewastację mienia wspólnego, która następuje poprzez mazanie czegoś na drzwiach windy, to nie mogę nie zachwycić się geniuszem ludzkim wyrażonym w takim mazaniu. Poza tym, zwracam uwagę na fakt, że to działanie w afekcie. Mazanie, które jest dowcipną odpowiedzią na mazanie. I jeszcze jedno – takie dopisanie własnego przeżycia do informacji o zagrożeniu powoduje, że to ostrzeżenie staje się bardziej sugestywne. Tabliczka: „Uwaga! U góry pracują!”, dopisek: „Straszne melepety i czasem coś im z rąk wypada”. Tabliczka: „Niezatrudnionym wstęp wzbroniony”, dopisek: „A o zatrudnieniu bez znajomości nie ma mowy”. Naklejka: „Rozmowa z kierowcą w czasie jazdy zabroniona”, dopisek: „A poza jazdą nie ma z nim o czym gadać. To mój mąż”.

Jeden z moich sąsiadów umieścił na drzwiach pewien znany symbol. Tyle że w lekko zmienionej formie. Mianowicie napis, który 6 stycznia wykaligrafował kredą nad wejściem do mieszkania, wygląda tak: „K+M+B+A+D+2011”. Najbardziej rozpowszechnioną, choć podobno niezbyt trafną, interpretacją znaczenia liter „K+M+B” są imiona Trzech Królów: Kacpra, Melchiora i Baltazara. Sąsiadowi prawdopodobnie chodziło o dodanie łacińskiego skrótu Anno Domini, ale ktoś niezorientowany może dojść do wniosku, że w tym roku w naszej parafii powiększono liczbę królów do pięciu. A może nawet, w związku z wprowadzeniem ustawy o przynajmniej trzydziestopięcioprocentowym udziale kobiet na listach wyborczych, te dwie ostatnie to królowe? Kacper + Melchior + Baltazar + Anita + Danuta?

9 lutego 2011

Wystarczy wcześnie wyjść do pracy…

…i późno wrócić. Świeczki się wypalą, czekoladki rozpuszczą, a mężczyzna/kobieta życia… będzie głośno chrapać – to jedna z propozycji, jaką złożyli słuchacze mojej audycji, kiedy poprosiłem o pomoc w sprawie dosłownego „obejścia” walentynek. Czyli jak je obejść, żeby się z nimi nie spotkać. Zaproponowałem, że w zamian za dobry pomysł możemy wspólnie napisać piosenkę. To zresztą już tradycja (krótka, bo to dopiero drugi raz), że kiedy goszczę w audycji olsztyński zespół „Czerwony Tulipan”, piszemy piosenkę na zamówienie słuchaczy. Im zlecenie dziwniejsze, tym lepiej. Ja mam mniej więcej godzinę na napisanie tekstu, kompozytor pół godziny na wymyślenie muzyki i wieczorem prezentujemy to podczas kabaretowego występu w Piwnicy pod Harendą.

Zamówienie było zaskakujące. Najpierw pan Maciek z Krakowa zażyczył sobie, żeby to była piosenka „o Czerwonym Kapturku, który spotyka na pustyni zakochane żuki gnojarze i odchodzi obojętnie”. Pan Paweł (domyślam się, że z Warszawy) dorzucił:

„Byłbym przeszczęśliwy, gdyby ta piosenka była o śryżu. Nie ma piosenki o śryżu, a śryż jest bardzo piękny, zwłaszcza ten na Wiśle, przepływający obok Zamku Królewskiego. Nikt jeszcze nie śpiewał o śryżu”. A dokończył pan Tomek: „Proponuję do śryżu dodać jeszcze odrobinę firnu i szadzi…”.

Powstało coś, co zawiera olbrzymią dawkę wiedzy. Po pierwsze – każdy, kto to usłyszał albo przeczytał, musi od razu sprawdzić w encyklopedii, co to takiego „śryż” i „firn”. I czegoś nowego się dowie. Po drugie – specjaliści różnych dziedzin, zwłaszcza medycyny, mogą sobie ten przypadek dołączyć do badań na temat działania ludzkiego mózgu w stanie wyższej konieczności. Jakie rzeczy można ze sobą pokojarzyć, kiedy się coś ludziom obieca. A to wszystko przez walentynki!

Piosenka o tym, co się liczy

Szukałem w Moskwie, szukałem w Paryżu,
Nigdzie nie było takiego śryżu,
Nigdzie nie było takiego, gdyż
Najcudowniejszy jest polski śryż!
Ref:
Suche oczy i suchą skórę
Ma na pustyni Czerwony Kapturek,
W przyszłość nie patrzy niechętnie…
Widzi, jak chodzą po piasku w parze
Dwa zakochane żuki gnojarze…
Odchodzi obojętnie.

Owsiak z Małyszem i Janda z Wajdą
Rymu do „firnu” raczej nie znajdą,
Lecz po co niby przy firnie trwać,
Jeśli piękniejsza jest polska szadź?
Ref:
Suche oczy i suchą skórę
Ma na pustyni Czerwony Kapturek,

W przyszłość nie patrzy niechętnie…
Widzi, jak chodzą po piasku w parze
Dwa zakochane żuki gnojarze…
Odchodzi obojętnie.

Żuk żukowi odwłok gładzi,
Z lewej strony lekkie kłucie,
W skwarze, w śryżu, w firnie, w szadzi
Liczy się uczucie.
Żuk żukowi patrzy w oczy,
Żuk nie dośpi i nie doje,
Bo nieważne, co się toczy,
Ważne, że we dwoje.

22 lutego 2011

Wirtualny Życzliwy

Słońca i ciepła! Ciepła i słońca! Niechże kilka promieni życie moje odmieni! – wołała baronowa Marlene von Kopf bis Fuss, biegając po ośnieżonym jeszcze ogrodzie pałacu, w którym wcześniej od zmysłów odeszli: jej ojciec, dziadek męża i dwoje znajomych tegoż dziadka. Baron z niejakim niesmakiem na swojej i tak już mało interesującej twarzy patrzył na oszalałe harce małżonki.

– Byle do kwietnia – westchnął i usiadł w fotelu zgodnie z wielowiekową tradycją. Od pokoleń w rodzinie von Kopf bis Fuss zaraz po westchnieniu zawsze się siadało. Baron wsparł prawą dłoń na lasce z rękojeścią rzeźbioną w żmijowy pysk. Z pyska wystawał jęzor gada, który, gdy się trąciło, uruchamiał pozytywkę wygrywającą najpopularniejsze melodie bawarskich pałaców, takie jak: „Gdy nasz lokaj pija tokaj, dziewczęta kuchenne przechodzą gehennę”, „Panna Gertruda ma ładne uda” czy świadcząca o początkach zainteresowania bawarskiej arystokracji językiem angielskim: „Koniuszy, koniuszy, szanuj swoje oczy, bo nie zauważysz, jak cię jaka klacz kopnie very much”.

– Słońca i ciepła! Ciepła i słońca! – niosło się po ogrodzie. Baron wstał, podszedł do okna i z jeszcze większym niesmakiem spojrzał na leciwą już

małżonkę, biegającą po lutowym śniegu w samym tylko koronkowym peniuarze po poprzednim mężu.

– Przeziębi się – pomyślał baron i miał rację…

Przedstawiłem Państwu fragment nigdzie dotąd i nigdy potem niepublikowanej powieści mojego autorstwa pod tytułem *Żałuj, Marleno*. Zresztą nie mogło to być nigdzie publikowane, bo wspomniana powieść składa się wyłącznie z tego fragmentu. Obawiam się, że dopóki nie zrobi się wystarczająco ciepło i jasno, mogą mi do głowy wpadać wyłącznie takie rzeczy. Mało pocieszający jest fakt, że podobny stan ducha dotyczy wielu bliźnich. Choćby wśród swoich znajomych zauważam różne dziwne zachowania, wywołane brakiem dostatecznej dawki promieni słonecznych. Paweł z Ewą wieczorami wyszukują w Internecie archiwalne materiały telewizji radzieckiej i oglądają nagrania z pogrzebów Breżniewa, Czernienki i Andropowa. Marek chadza do sklepów papierniczych i wącha zeszyty w kratkę. Bartek postanowił znaleźć sobie jakieś hobby – zaczął kolekcjonować wszelkiego rodzaju towary wyprodukowane w Chinach.

No dobrze, nie jestem pewien, czy opisane wyżej zachowania są spowodowane jedynie zbyt małym nasłonecznieniem. No dobrze, przyznam się, że je sobie wymyśliłem. Ale poważnie zacząłem sprawdzać jak ludzie radzą sobie w trudnych chwilach, gdzie szukają pomocy. Oczywiście u terapeutów. A gdzie szukają terapeutów? Oczywiście w Internecie.

Na forum internetowym poświęconym depresji znalazłem zapis pewnej rozmowy i kolejny przykład tak zwanej Wirtualnej Życzliwości. Ktoś prosi o polecenie dobrego terapeuty. Ktoś inny poleca pana X, zachwalając jego wiedzę, praktykę, wygadanie, duże poczucie humoru. Kolejna osoba ma nieco inne zdanie na temat tego psychologa. Mówi, że chodziła do niego na terapię przez pół roku, ale nie odpowiada jej jego poczucie humoru, czuła

się niekomfortowo, gdy się z niej naśmiewał… I tu włącza się „Wirtualny Życzliwy” z dobrym słowem: „Ty się ciesz, wiesz, jak niewielu jest takich, którzy potrafią być zabawni przez pół roku?”.

Wiem, ale spróbuję. Tyle że w związku z nastrojem wywołanym umiarkowanym nasłonecznieniem i zbyt niską temperaturą powietrza będę się starał być zabawny dopiero od kwietnia do września. Cierpliwości.

1 marca 2011

Znaczy… Kobiety

Z przedszkola pamiętam tylko fragment piosenki: „Dzień Kobiet, Dzień Kobiet, niech każdy się dowie, że dzisiaj święto dziewczynek”… Wiem jeszcze, że wśród tych dziewczynek była wymieniona pani kucharka. Ale nie wiem, dlaczego w przedszkolnej akademii z okazji Dnia Kobiet występowałem w czapce górnika. Zresztą w tej samej czapce występowałem na akademii z okazji Święta Pracy i Dnia Matki. Bieda była, widocznie bieszczadzkie przedszkole nie mogło szastać pieniędzmi na nowe kostiumy do każdego przedstawienia.

W podstawówce sam nie występowałem. Dni Kobiet obsługiwał dyżurny kolega, grzeczny blondynek w odprasowanym garniturku i kartonowym cylindrze, który śpiewając *Będziesz moją panią*, wywoływał eksplozję macierzyńskich uczuć u kobiet, które dotychczas nie były jego matkami. Nauczycielek, pań woźnych, pani sekretarki. Ja w podstawówkowym repertuarze miałem rolę starego młynarza z piosenki:

Cztery córki miał tata,
Stary młynarz ze Zgierza,
Każda piękna, bogata,
Każda chciała żołnierza…

Nic nie mówiłem, nie śpiewałem, kręciłem się tylko z workiem na plecach i podkręcałem przyklejonego wąsa. Jak widać wtedy istniał taki stereotyp młynarza ze Zgierza – worek na plecach i przyklejone wąsy. Ale ta piosenka chyba nie była wykonywana na Dzień Kobiet. Raczej, ze względu na przedmiot pożądań młynarzówien, na Dzień Wojska Polskiego.

Rolę z liceum pamiętam doskonale. Składałem kobietom następujące życzenia: „Przyjmijcie, drogie panie, bukiet najserdeczniejszych życzeń, przewiązanych czerwoną wstążką naszej męskiej wdzięczności”. Autor scenariusza akademii, polonista, który wymyślił ten zgrabny zwrot, tak był nim zachwycony, że używał go wielokrotnie, lekko tylko dostosowując do okoliczności. Na przykład w Dniu Nauczyciela bukiet życzeń przewiązany był „czerwoną wstążką naszej uczniowskiej wdzięczności”. Gdyby to były inne czasy, na pewno pojawiłaby się na przykład „wstążka chrześcijańskiej wdzięczności”. Nie jestem tylko pewien, czy byłaby czerwona.

Nadszedł czas spłacenia długu. Postanowiłem wreszcie napisać coś od siebie. Nie przypuszczam, żeby miało to być wykonywane na akademiach szkolnych, ale pieśń powstała. Wykonywałem ją z kolegami podczas Kabaretowego Dnia Kobiet. Wersja do śpiewania była nieco inna – były refreny, trochę zmieniona kolejność zwrotek, tutaj przedstawiam wersję do czytania:

Nie ma kobiet niedobrych,
Tak jak nie ma kobiet słabych,
Drzewa przegryzają bobry,
Mężczyzn rozgryzają baby…
Znaczy… Kobiety.
Nie ma kobiet niemiłych,
Tak jak nie ma kobiet płaskich,
Gdyby takie nawet były,

Najważniejsze zawsze laski…
Znaczy… Kobiety.

Choć mnie ciągasz na mielizny,
Wpędzasz mnie na dno rozpaczy,
To kobieta dla mężczyzny
Bardzo dużo znaczy!

Niedaleko Legnicy,
W górę od Jeleniej Góry,
W poniemieckiej kamienicy
Mieszka stary grawer, który
Znaczy kobiety.
Graweruje pośladek
W słonko, drzewko i obłoczek,
Napis: „Tutaj byłem, Władek”
Oraz kilkadziesiąt foczek…
Znaczy… Kobiety.

Spójrz! Stoimy jak tygrysy,
Które czają się do skoku:
Jeden siwy, drugi łysy,
Trzech z wadami wzroku.
Macho, playboy i pierdoła,
I ci trzej, co widzą słabo,
Życzą chórem: bądź wesoła,
Ukochana polska babo!

Bądź, kobieto, przyjacielem!
I wyciągaj ty mnie ze dna,
Bo kobieta znaczy wiele!
Najchętniej niejedna!

8 marca 2011

Żałuj, Marleno

odc. 2

Zachęcony olbrzymim zainteresowaniem czytelników (pięć osób, w tym brat i matka), postanowiłem pisać dalszy ciąg powieści *Żałuj, Marleno*.

Promienie wiosennego słońca, których tak tęsknie zza doświadczonych powiek wypatrywała baronowa Marlene von Kopf bis Fuss, nie docierały również do pokoju służby. Johann, stary kamerdyner, który gdyby urodził się dwieście lat później, na pewno byłby kimś wyjątkowo wrednym, bo i teraz był, oddawał się swojej ulubionej rozrywce. Lewą ręką rył nożem wyżłobienie w stole, prawą bazgrał coś w grubej książce.

– Johann! – coraz słabszy głos barona niósł się po pałacu od blisko czterdziestu minut.

– Goń się, leszczu! – regularnie odpowiadał Johann, nie przerywając żłobienia i bazgrania. Nie okazywał takim zachowaniem szacunku należnego swojemu pracodawcy, co bolało tym bardziej, że istniało podejrzenie, iż baron może być ojcem Johanna. Podobnie zresztą jak wszystkich innych kamerdynerów w promieniu trzydziestu mil pruskich od pałacu, w którym zamieszkiwał.

– Johann!

Baron von Kopf bis Fuss uważany był za biologicznego twórcę kadry pracującej współcześnie w bawarskich dworach, dzięki czemu ta część Bawarii nigdy nie musiała się uciekać do kolonizowania dalekich krajów i wykorzystywania siły niewolniczej. Po prostu przyjeżdżało się do barona i informowało, że za piętnaście, szesnaście lat będzie się potrzebowało tylu to a tylu osób służby. Jedyne, czego baron nie mógł zaplanować, to płeć dziecka, dlatego też w bawarskich dworach tak dużo było kobiet kamerdynerek i koniuszek czy mężczyzn praczy.

– Johann!

– Goń się leszczu! – Johann po raz pierwszy zastanowił się nad tym, co przed chwilą powiedział, i uśmiechnął się szeroko. Po pierwsze, nie miał pojęcia, skąd zna takie określenia, po drugie, wyobraził sobie barona von Kopf bis Fuss biegającego po pałacu w przebraniu słodkowodnej ryby z rodziny karpiowatych, która dojrzewa płciowo w wieku od czterech do siedmiu lat i trze się na płyciznach w maju i czerwcu. Nie zaskoczyło go, że tyle wie o leszczu. Korzystając z postępującej bezradności dziwaczejącej na starość bawarskiej arystokracji, Johann wykradał z pałacowej biblioteki dziesiątki książek i wprost pochłaniał je, zdobywając coraz nowsze wiadomości o świecie. Musiał to robić w tajemnicy, gdyż baron dbał o jak najniższy poziom wykształcenia swojej służby, bojąc się wybuchu rewolucji. Kiedy Johann był jeszcze małym chłopcem i okazało się, że ma talent do muzyki, baron odebrał mu własnoręcznie wystrugane skrzypce i sam zaczął na nich grać ulubione bawarskie piosenki, na przykład: „Przy bawarskim winie troski nikną z głowy, niech nam się rozwinie przemysł motorowy”.

– Johann!

Talentu literackiego nie dało się Johanna pozbawić. Chłonie i oddaje. Czyta i pisze. Chce, żeby jego słowa dotarły do ludzi. Ale że na razie nie może liczyć na życzliwość żadnego wydawcy (bo kto wydrukuje coś, co napisał kamerdyner?), wpadł na inny oryginalny pomysł. Otóż do książek z biblioteki barona dopisuje własne fragmenty. Teraz właśnie do *Kapitału* Marksa dodaje opisy przyrody:

„Skąd bowiem płyną złudzenia systemu monetarnego? Bo przecież nie z tych pszenicznych łanów kłaniających się nisko surowemu kamiennemu obliczu protestanckiej świątyni! Z tego, że nie dostrzegał on, że złoto i srebro wyobrażają, jako pieniądz, pewien społeczny stosunek produkcji, ale w formie rzeczy naturalnych, o osobliwych własnościach społecznych. Tak jak własnością wron jest brunatność zbliżającej się burzy przerywana jasnością gromu poszukującego dostępu do krystalicznej wody górskiego potoku, szemrzącego ledwo słyszalne…”.

– Johann!

14 marca 2011

Inteligenckie zabawy podróżnicze

To może być przełom. W antropologii kulturowej. A zwłaszcza w folklorystyce. Odkryłem mechanizm powstawania przyśpiewek ludowych. Otóż większość tych niejednokrotnie nieprzyzwoitych piosenek wzięła się z równocześnie występujących: niechęci do pracy i chęci utrzymania kontaktu ze światem. Skąd wiem? Bo mam to samo. Nazbierało mi się od groma zaległości. Postanowiłem więc, że w najbliższym czasie będę podróżował wyłącznie pociągami. Bo nie traci się czasu, bo można popracować. A potem zawsze ten sam rytuał: wchodzę do przedziału, uruchamiam komputer i… po robocie. Bo najpierw trzeba poczekać, aż pani z kawą przyjdzie, potem wypić kawę, przeczytać gazetę… Po gazecie się zaczyna. Biorę telefon komórkowy i z tęsknoty za światem zaczynam znajomym rozsyłać wierszyki:

W fabryce maszyn,
Późnym wieczorem,
Stara baba ludzi straszy
Karburatorem.
Karburator ma na drągu,
Spojrzenie ma krowie,

Pozdrowienia z pociągu,
Jestem już w Tarnowie.

To z ostatniej podróży. A w czasie poprzednich, w inne rejony kraju, powstały:

A w Jeleniej Górze
Tańczyła przy rurze
Piękna Manuela Pseudonim „Gazela”.
Strasznie się męczyła
Nieboga dziewczyna,
Bo to był gazociąg
Z Cieplic do Berlina.

Mały kundelek z Wronek
Ma taki dziwny ogonek
W miejscu, gdzie psy z Kieleckiego
Mają coś całkiem innego.

Jak się zwiedza miasto Krzyż,
Trzeba być ostrożnym, gdyż
W maju było takie słońce,
Że poparzyło jednego obrońcę,
A w październiku
Dwóch przeciwników.

Nie będę ukrywał, że publikuję tylko te przyzwoitsze przyśpiewki podróżnicze. Większość nadaje się do prezentacji wyłącznie w bardzo zaprzyjaźnionym i wyrozumiałym gronie.

Znajomi próbują się jakoś bronić. Wysyłają zamówienia na wiersze z użyciem słów, które teoretycznie mogą mnie na pewien czas wyłączyć z tej zabawy. Dostałem na przykład wiadomość o treści: „Cwaniaczku, napisz coś z rymem do Zimbabwe!”. Moje tłumaczenia, że przecież do Rzeszowa nie jedzie się przez Zimbabwe (chociaż widoki na Podkarpaciu momentami podobne), kończyły się wyzwiskami typu: „Cienias!”. No to proszę:

Mężczyźni w Zimbabwe
Niedawno spostrzegli,
Że brakuje im bab we
Władzach różnych szczebli.
Parlament zatrzymał,
A prezydent schował,
Dosyć tych dyrdymał,
Wjeżdżam do Rzeszowa.

I tak mija szósta godzina podróży. A robota czeka. Na szczęście w przyszłym tygodniu trochę nadrobię, bo czeka mnie długa jazda pociągiem do Gdańska… „Kapela cygańska jechała do Gdańska”… Kurczę, tak się nie da żyć!

23 marca 2011

Najstarsi górale i lot do bratanicy

Kiedy słyszę, że „najstarsi górale nie pamiętają takich tłumów w Zakopanem”, a w związku z zakończeniem sportowej kariery Adama Małysza słyszałem to kilka razy dziennie w każdym programie radiowym i telewizyjnym, scyzoryk by mi się w kieszeni otwierał, gdybym go tam nosił. Po pierwsze nikt nie powie, którzy to konkretnie najstarsi górale nie pamiętają, bo tak naprawdę nikt ich o to nie spytał. Gdyby któryś z dziennikarzy zadał sobie trud zdobycia listy najstarszych mieszkańców Podhala i porozmawiał z nimi, może by się okazało, że na przykład dziewięćdziesięcioszścioletni Jędrek Gąsienica i Józek Byrcyn rzeczywiście nie pamiętają, ale Jasiek Trebunia, który w tym roku kończy dziewięćdziesiąt osiem, pamięta. Takie uogólnianie powoduje, że najstarszych górali postrzega się w innych regionach kraju jako ludzi, którzy mają problemy z pamięcią. A tymczasem „takich tłumów w Zakopanem” nie pamiętają też najstarsi Kurpie, Kaszubi czy Ślązacy. Z pamięcią najstarszych górali natomiast wcale nie jest tak źle. Ja co prawda mogę uchodzić co najwyżej za górala niskopiennego, bo wychowałem się w Bieszczadach, ale przypominam sobie, że dziadek – bieszczadzki góral, leżąc na łożu śmierci, pamiętał jeszcze i przekazał nam to jako swoją

ostatnią wolę, żeby od sąsiadów odebrać kosę, którą pożyczył im zaraz po wojnie.

A jeżeli już ktoś chce trzymać się mieszkańców Podhala, pomijając zamieszkujących inne rejony kraju, to dlaczego odwoływać się tylko do pamięci najstarszych górali? Przecież można powiedzieć, że „takich tłumów w Zakopanem nie słyszeli pięćdziesięcioletni górale”. Czyli odwołać się do słuchu mężczyzn w średnim wieku. Albo: „takich tłumów w Zakopanem nie wyobrażały sobie najmłodsze góralki”. No to akurat jest niemożliwe, bo młode góralki mają nieograniczoną wyobraźnię, o czym opowiadał mi jeden z kolegów, który podróżuje po kraju w celach badawczych, teoretycznie jako przedstawiciel handlowy producenta napojów orzeźwiających.

À propos podróży. W jednym z dzienników znalazłem relację z uruchomienia bezpośredniego połączenia lotniczego na trasie Kraków – Kijów. Z tekstu wynika, że będą z niego korzystali głównie podróżujący w celach biznesowych, ale (cytuję słowo w słowo): „Wśród pasażerów pierwszego lotu był również pan Roman, który wcześniej do Kijowa podróżował drogą lądową. – 800 kilometrów w autobusie sprawiało, że jak dojeżdżałem do miasta, to byłem wykończony. Teraz mam zamiar tryskać energią, bo w końcu lecę do mojej bratanicy – mówi…”. Uważam, że dział marketingu ukraińskiego przewoźnika powinien się porozumieć z panem Romanem i wykupić od niego prawa do tej wypowiedzi, wykorzystując ją jako hasło reklamowe: „AeroSvit – będziesz tryskał energią, bo w końcu lecisz do bratanicy”.

29 marca 2011

Żałuj, Marleno

odc. 3

Królowa zjedzą jabłko? – czarne oczka jasnowłosego chłopca patrzyły z ufnością w popielaty dekolt wytwornej damy, której nie przeszkadzało nawet to, że dzieciak nie rozróżnia tytułów arystokratycznych i monarszych. Bo niby kto miał go tego nauczyć? Koniuszek był synem koniuszego i koniuszyny, która od czasu, kiedy w pobliżu zaczęto budować kolej żelazną, zażądała, żeby tak jej nie nazywać. Każdego ranka, odziany w marynarskie ubranko, zjawiał się w pałacowym parku, żeby o rosie pobiegać sobie z patyczkiem. Aportowania patyków nauczył nawet Kreislera – jednego z ulubionych ogierów baronowej von Kopf bis Fuss. Ileż radości dawało tej niewesołej już kobiecie patrzenie na zabawę tych dwóch – trzyletniego konia i dwudziestodziewięcioletniego chłopca! Koniuszek popluwał patyczek, rzucał nim w kierunku lasu, wydawał komendę:

– Gdzie patyczek? – tyle że po niemiecku, czyli:

– *Wo ist der Zweig?*

Kreisler galopując, znikał w zaroślach. Po dwudziestu minutach wracał, ciągnąc za sobą na specjalnej uprzęży kilka pni świeżo ściętych i

pozbawionych gałęzi drzew. Nie zwracając uwagi na baronową i Koniuszka, udawał się w kierunku pobliskiego tartaku, który tak naprawdę był przykrywką dla konspiracyjnej działalności miejscowego komunisty.

– Jabłko? W kwietniu? Oj, ty żartownisiu! Przecież jeszcze nie ma jabłek! – Baronowa poczochrała bujną czuprynę chłopca, dziwnie się tym faktem ekscytując i nie wiedząc, że prosty lud dawno już wymyślił sposoby przechowywania przez zimę twardych owoców i że to jabłko było zeszłoroczne.

– Królowa spróbują, naprawdę smaczne! – nie rezygnował z kuszenia Koniuszek, równocześnie odwracając uwagę schorowanej, ale jeszcze nieostatecznie, baronowej od Kreislera, który właśnie udawał się po kolejną partię drzewa.

– Ja dla królowej specjalnie schowałem. – Serce baronowej biło coraz szybciej, a rozum krzyczał: „To tylko jabłko!”. – Chociaż ojciec mówili, że królowa nie takie rzeczy jedzą i od zwykłego chłopca nie wezmą byle jabłka, i że nawet nie mam co go myć, bo się zmarnuje…

– Ależ… Dlaczegóż? Toż miłeż, mój chłopczeż, żeś chciałż mi przyjemność uczynić temż jabłkiemż… – baronowa von Kopf bis Fuss ważyła słowa, równocześnie stylizując swoją wypowiedź na język starobawarski, żeby nie być później posądzana przez okoliczną arystokrację o zbytnie spoufalanie się z potomstwem służby. Niechętnie hamowała swój zastały nieco, ale w każdej chwili gotowy do rozruszania temperament.

Hej, w bawarskim lesie
Drzewo rąbią drwale,
Hej, jak mnie poniesie,
To się spoufalę.

Nie wiedzieć czemu, właśnie w tej chwili przypomniała sobie tę starą kołysankę, którą nuciła jej matka – baronowa Irmina Ganze-Haselnüsse, kiedy przez kilka wieczorów sama musiała ją usypiać, bo niania poszła w świat z siedmioma Cyganami, z których tylko trzech okazało się potem Romami.

Tymczasem w gabinecie barona von Kopf bis Fuss trwały w najlepsze niemącone niczym ciemność i cisza. Nikogo tam nie było. Baron był w drodze na spotkanie z komisarzem bawarskiej policji portugalskiego pochodzenia Bohumilem Kohoutkiem, który obiecał wyjaśnić sprawę tajemniczych kradzieży drewna z pałacowego parku. Komisarz był pewien szybkiego zakończenia śledztwa – jego ludzie na miejscu nielegalnej wycinki drzew znaleźli zagadkowy dowód – trzy nadgryzione kostki cukru i zużyte wędzidło.

11 kwietnia 2011

Diridonda

Jeżeli to prawda, że tłumaczenia są jak kobiety – jeśli piękne, to niewierne, jeśli wierne, to niepiękne, to moje należy uznać za piękne. Bo wierne na pewno nie. Tłumaczenie z języka, który się zna, to żadna sztuka. Prawdziwe wyzwanie to przetłumaczyć na język polski coś, czego człowiek nie rozumie, czego może się tylko domyślać. Chęć spolszczenia tej piosenki chodziła za mną od kilku lat. Po raz pierwszy pokazali mi ją w Internecie moi słowaccy przyjaciele. Tyle że to już było tłumaczenie. Słowacka wersja pewnego chorwackiego przeboju. Przez nią dotarłem do oryginału. I się zakochałem. W klimacie, a jeszcze bardziej w teledysku. Proszę sobie zobaczyć. Jest na Youtubie. Wystarczy wpisać *Diridonda*. Proszę obejrzeć obie wersje – słowacka poraża urodą wykonania i żywiołowością publiczności (ma dopisane, że pochodzi z programu *Repete*), chorwacka zachwyca wszystkim. Wykonawcy pierwowzoru, Novi Fosili, nazywani są „chorwacką Abbą”. Internet twierdzi, że *Diridondę* zaśpiewali na festiwalu w Splicie w 1977 roku. Sądząc po teledysku, chodzi o podryw. Na moje wyczucie, po polsku mogłoby to iść tak:

Po białym winie, mój Boże,
Czerwone miałam oczy,
On mnie prowadził nad morze

I mierzwił mój warkoczyk.
Nie był niegrzeczny i grzeczny nie był zbyt,
Splot był słoneczny, słoneczny był Split,
Mierzwił, czarował, całował
I śpiewał aż po świt:
Diri, diri, din, di, diri, din, donda,
Ukrast cu te, znaj, moja mala bjonda,
Diri, diri, din, di, diri, din, donda,
Voljet cu te ja, moja mala bjonda.
Wszystkie koszule z rozcięciem,
Bo zarost miał na klatce,
Mówił, że dziadek był księciem,
A zęby ma po matce,
Że ten zegarek przywieźli mu z Chin,
Ma pod Zadarem rozlewnię białych win,
I czy ja w sumie rozumiem,
Co znaczy „diri din”?
Diri, diri, din, di, diri, din, donda,
Ukrast cu te, znaj, moja mala bjonda,
Diri, diri, din, di, diri, din, donda,
Voljet cu te ja, moja mala bjonda.

Nie tłumaczyłem refrenu, bo pięknie brzmi w oryginale, ale jeśli ktoś jest bardzo ciekaw treści, to moim zdaniem refren jest odpowiednikiem naszego:

Jak długo na Wawelu Zygmunta bije dzwon,
Dzwoń, dzwoń, dzwoń dzwoneczku,
Mój stepowy, dzwoń, dzwoń, dzwoń.

19 kwietnia 2011

Siedem cudów świata, czterej pancerni i siedmiu wspaniałych

W centrum Warszawy potrzeba na to około pięciu minut. Kiedy na taki czas opuści się samochód, po powrocie, za wycieraczkami, znajduje się na kilku niedużych kartkach propozycje na dalszy ciąg wieczoru, ilustrowane fotografiami kobiet z dekoltem obejmującym 100 procent powierzchni ciała. Przeczytałem zdanie, które napisałem przed chwilą, i doszedłem do wniosku, że mógłbym nie tworzyć takich zawijasów i wprost napisać, że chodzi o zdjęcia gołych pań. No więc dobrze – za wycieraczkami samochodów znajduje się zdjęcia gołych pań z ich numerami telefonów.

Oczywiście wyłącznie w celach badawczych i kolekcjonerskich (nie wiem po co to zastrzeżenie – i tak większość czytelników nie uwierzy, że to tylko takie specyficzne rozszerzenie pasji filatelistycznej, że klasery z tymi ulotkami będę kiedyś w spadku chciał przekazać wnukom)… Wyłącznie we wspomnianych celach zbieram te ulotki, przeglądam je, analizuję i co jakiś czas trafiam na perełkę. Czasy banalnych „Niesamowita czarnowłosa Nicoletta wyjazdy 24h” z niewyraźną, odbitą na kserokopiarce fotografią, której jakość techniczna nie pozwalała nawet na określenie płci Nicoletty, że o ocenie urody nie wspomnę, już dawno się skończyły. Teraz walczy się również formą zaproszenia! Zdjęcia bardzo wyraźne, a teksty… Uwaga!

Cytuję znaleziony na jednej z ulotek (zachowując oryginalną pisownię): „Siedem cudów świata, każda z dziewczyn nago lata, przyjedź rozbaw te landrynki, jest muzyka, miłość drinki…”.

Teraz krótka przerwa na odzyskanie przez czytelnika przytomności. Już? No więc wierszyk jak wierszyk, ale promocyjną i informacyjną maestrią tego tekstu powinni się zająć fachowcy różnych dziedzin, ktoś mógłby się doktoryzować, pisząc pracę o tej ulotce. Bo jest tutaj wszystko: dokładne dane o liczbie składających propozycję, wychwalenie ich zalet (w tym przypadku urody), opis sposobu świadczenia usługi, zaproszenie, skojarzenie bohaterek tego przekazu z czymś przyjemnym (tutaj – słodyczami) i skonkretyzowanie oferty.

Opierając się na tym schemacie, starałem się wymyślić hasła reklamujące inne branże. „Czterej pancerni, każdy wolno chodzi w czerni, zadzwoń, zamów po frykasie, jest muzyka, smutek, zasięg”. Bzdura! Komu wpadnie do głowy, że to reklama zakładu pogrzebowego oferującego budowę betonowych grobowców rodzinnych zbrojonych drutem żebrowanym fi 6 mm, z instalacją hi-fi i możliwością dostępu do wi-fi wewnątrz grobowca?

Albo: „Siedmiu wspaniałych, każdy biega w ciuszkach białych, przyjdź lub wezwij Prince Polo, są chirurdzy jest urolog”. No, już czytelniej. Można się domyślić, że chodzi o przychodnię chirurgiczno-urologiczną „Prince Polo”. A właśnie! Domyślić! Trzeba dążyć do takiej perfekcji w przekazie, żeby odbiorca nie musiał się domyślać, żeby wiedział na pewno.

Kilka dni temu zobaczyłem w telewizji materiał, który zapowiadał możliwość refundowania przez Narodowy Fundusz Zdrowia kosztów porodów domowych. Wypowiadali się różni fachowcy, między innymi lekarz ginekolog, który swoją wypowiedź zaczął od słów: „Jako człowiek,

który na sali porodowej zjadł zęby”… Ale… Przez przypadek? Czy pan doktor lubi?

4 maja 2011

Żałuj, Marleno

odc. 4

Kiedy komisarz Kohoutek zaczynał intensywnie myśleć, nad jego głowę zlatywały stada ptaków. I to nie w przenośni. Niezwykły był widok tego bawarskiego policjanta, który kroczył po brukowanych ulicach Bambergu, a nad nim, w jednym wielkim zjednoczonym ornitologicznym kluczu – setki wróbli, szpaków, kruków, szczygłów, bażantów, a nawet zaganiacz mały. Widok był niezwykły nie tylko ze względu na sam fakt krążenia, ale również dlatego, że ptaki krążąc nad głową komisarza, nie rezygnowały z realizowania naturalnych potrzeb fizjologicznych, co skutkowało tym, że komisarz Kohoutek po każdorazowym seansie intensywnego myślenia musiał się udać do pralni i łaźni. W łaźni z kolei, we mgle pary wodnej nasączonej wonnymi olejkami, ukazywała się Kohoutkowi jego matka, co nie było niczym dziwnym, gdyż matka jego była starszą łaziebną w Społecznym Towarzystwie Łaźni i Pralni Arystokratycznych w Bambergu.

– Przestańże, Bohumilku, tyle myśleć, bo się kiedyś tego nie dopierze – ciepły bas matki przypominał dorosłemu już komisarzowi najpiękniejsze dni dzieciństwa spędzone w łaźni i pralni.

– Nie mogę, mamo. Płacą mi za to – skłamał Kohoutek, gdyż od pół roku nie dostawał pensji.

Policja bawarska znajdowała się w trudnej sytuacji finansowej. W czynnej służbie zostali już tylko ci, którzy kochali tę robotę, ale każdy musiał dodatkowo zarabiać gdzieś na utrzymanie. Komisarz Karl Vordergrenze zaczął wytwarzać witraże, na których uwieczniał kryminalne zagadki Bawarii, inspektor Joachim Kurzspass zajął się warzeniem piwa o smaku kiełbasy i ważeniem kiełbasy o smaku piwa, a ich szef, nadkomisarz Otto von Hannerolle, poprzysiągł, że nie odejdzie z branży, i zaczął tworzyć zalążek nowoczesnego sekretariatu dziekanatu na miejscowym uniwersytecie. Wymyślony przez tego bawarskiego policjanta styl pracy sekretariatu dziekanatu przyjął się znakomicie i przez setki lat miał być szczególnie popularny na wyższych uczelniach Europy Środkowo-Wschodniej.

Bohumil Kohoutek dorywczo zajmował się świadczeniem usług dla miejscowej arystokracji. Nie było to nic pasjonującego – konwojowanie biżuterii i dzieł sztuki, straszenie dzieci, łomotanie służby. Zlecenie, które otrzymał od barona von Kopf bis Fuss, otwierało przed nim nowe możliwości. Kohoutek był coraz bliższy rozwiązania zagadki kradzieży drewna z pałacowego parku.

Johann – stary kamerdyner barona, od lat będący na usługach bawarskiej policji, zebrał dla komisarza materiał porównawczy. Odciśnięte w pszczelim wosku ślady zgryzów wszystkich domowników, służby, zwierząt hodowlanych i okolicznej ludności. Łącznie czternaście tysięcy pięćset sześćdziesiąt siedem odcisków. Po dokładnym porównaniu próbek z odciskami zębów, które zostały na trzech nadgryzionych kostkach cukru znalezionych na miejscu kradzieży drewna, krąg podejrzanych znacznie się zawęził. Identyczne ślady zębów w woskowych odciskach zostawili:

Kreisler – jeden z ulubionych ogierów baronowej von Kopf bis Fuss, Hilda – jedna z jej ulubionych siostrzenic, oraz baron Hermann von Hand bis Mund – wielka miłość baronowej z czasów wczesnej młodości, za którym aktualnie baronowa nie przepadała, chociażby dlatego, że od niedawna nie żył.

– Do pałacu! Ale mi tu pełną chyżością nóg tej szkapiny! – zachwycając się urodą języka niemieckiego, a zwłaszcza bawarskiego dialektu, krzyknął do policyjnego dorożkarza komisarz Kohoutek. Przez całą drogę nad dorożką krążyła samotna synogarlica. To znak, że komisarz myślał, ale już nie tak intensywnie.

9 maja 2011

SRM

(syndrom rodzica maturalnego)

Nie mam dostępu do tych danych, ale ciekaw jestem, czy przypadkiem w okresie matur w aptekach nie notuje się nagłego wzrostu sprzedaży środków uspokajających? I nie chodzi o samych maturzystów. Albo dla nich to żadne przeżycie, albo telewizje manipulują – 90 procent wychodzących z sal egzaminacyjnych ma promienny uśmiech na twarzy. Natomiast warto by było w tym samym czasie porównywać wyrazy twarzy maturzystów z wyrazami twarzy ich rodziców. Tu już może być zauważalna różnica.

Zapytałem słuchaczy mojej audycji o ich doświadczenia, poprosiłem o radę dla innych rodziców, których pociechy właśnie teraz zdają maturę. Dygresja – trzeba będzie kiedyś dokładniej się zastanowić, dlaczego dzieci nazywa się „pociechami”? Przecież bywają różne. I gdyby ich rodzice nie posługiwali się wyłącznie językowymi stereotypami, być może mówiliby tak:

– Mam pięcioro dzieci, w tym jedną pociechę, troje utrapień i jedno tsunami.

Wracajmy do losu rodziców maturzysty. Jak przeżyć taki stres? Jak nie zwariować? W czasie radiowej dyskusji pojawiły się różne propozycje – od przymusowego wysyłania rodziców na zagraniczne wakacje w czasie trwania matur, przez organizowanie grup wsparcia (tak, żeby mogli siedzieć razem i trzymać się za ręce), uruchamianie specjalnych portali typu www.ojciecmaturzysty.pl, aż do organizowania zawodów sportowych, zwłaszcza pojedynków bokserskich.

Te podane przed chwilą są wymyślone, ale na dowód, że nie jest to problem błahy, że matura dziecka naprawdę ma wpływ na zachowanie się człowieka, zacytuję kilka fragmentów listów:

Mateusz: Rodzice podczas mojej matury systematycznie pili herbatki ziołowe na uspokojenie, a tata dodatkowo (ku zdumieniu mamy) odnalazł w sobie pasję do sadzenia kwiatów.

Maturzystka: Informuję, że najskuteczniejszym sposobem na nerwy przedmaturalne okazało się wysłanie mamy na beatyfikację do Rzymu. Wyjazd kilka dni wcześniej, żeby można się było pouczyć, i powrót po. Rewelacja. Zdaję kolejne. Mama w Barcelonie.

Monika: A ja w trakcie matury oznajmiłam rodzicom, że jestem w ciąży. Momentalnie przestali się stresować maturą:-). Dzisiaj, jako mama dziewczynki w pierwszej klasie LO, zastanawiam się, czy nie można byłoby uznać mojej córce tego, iż jedną maturę już zdawała, i z tego powodu dać jej za dwa lata jakieś fory?

Michał: Zapracowany ojciec jakieś dwa tygodnie po mojej maturze mówi: Ty, chodź, siądziemy do matematyki, żebyś przynajmniej to zdał.

Ja: Yyy…? Już po maturach.

Ojciec: Yyy… Widziałeś, jak Wisła grała wczoraj?

Waldek: Kiedy uczyłem się do matury, moja kochająca i pełna optymizmu babcia, widząc mnie ślęczącego nad książkami, z rozbrajającą szczerością stwierdziła: – Po co ty się, wnusiu, uczysz? Przecież i tak nie zdasz. Dodam tylko, że zrobiłem babci na złość i zdałem.

Podsumowując: picie herbatki i prace w ogródku, wyjazd na beatyfikację do Rzymu (albo Barcelony), niespodziewana ciąża córki (nagłe ojcostwo syna), zapracowanie – to są metody już sprawdzone i godne polecenia. Mam wredny charakter i korci mnie, żeby lansować model wymyślony przez babcię pana Waldka. Najlepszym sposobem na pozbycie się własnego stresu jest stresowanie uczącego się dziecka. Albo można skorzystać ze światłych porad wybitnych poetów. I trawestując myśl Jeremiego Przybory, który w piosence *W czasie deszczu dzieci się nudzą* stwierdzał, że:

Więc tu trzeba by zalecić:
w czasie deszczu nie mieć dzieci!…

po prostu

Dobrą radę dam wam ja tu:
Nie być ojcem w czasie matur!
Żeby wszystko poszło gładko,
W czasie matur nie być matką!…

Zrzec się praw rodzicielskich na maj, ruszyć w miasto, wrócić w czerwcu i wynagrodzić to nadmiarem miłości wyrażonym w banknotach

emitowanych przez Narodowy Bank Polski, gdyż są one prawnym środkiem płatniczym w Polsce.

16 maja 2011

Noc Muzeów

Czy w czasach finansowego kryzysu i szalejącego bezrobocia można zostać upokorzonym propozycją pracy? Można. Ja zostałem. Kilkanaście dni temu odbieram telefon, miły głos pyta:

– Czy ma pan wolną sobotę czternastego maja?

– Mam.

– To proponujemy panu występ w ramach Nocy Muzeów.

To już? Czterdziestoletni facet z ledwie kilkunastoletnim stażem w show-biznesie? Noc Muzeów? Ale przyjąłem. I było miło.

Przy okazji występu zobaczyłem, jak olbrzymią popularnością cieszy się ta inicjatywa. W nocy z 14 na 15 maja centrum Warszawy było zakorkowane bardziej niż okolice cmentarza na Powązkach 1 i 2 listopada. Może trochę inna była też atmosfera towarzysząca temu zgromadzeniu: 1 listopada nie widziałem pod Powązkami ubranych na zielono młodych ludzi grających na bębnach. A tutaj byli. Swoją drogą do tych listopadowych uroczystości też mogliby się włączyć. Tylko ubrać się na czarno, grać wolniej, ciszej, mniej skoczne kawałki.

Ale wracając do Nocy Muzeów. Pomysł świetny. I nie zgadzam się z krytykami, którzy twierdzą, że to namawianie ludzi do tego, żeby tylko raz w roku przyszli do muzeum. Po pierwsze – lepiej raz w roku niż wcale, po

drugie – ja mam tak, że jak coś zwiedzam w środku nocy, to zazwyczaj na drugi dzień mam tylko mgliste wspomnienie tego, że byłem poza domem. Ale gdzie i co widziałem – nie wiem. Podejrzewam, że wielu uczestników nocnego zwiedzania ma podobnie i następnym razem, wchodząc w dzień do muzeum zwiedzanego kiedyś w nocy, nawet nie pomyśli, że już tutaj byli.

Ale skąd ta popularność? Czy to dlatego, że za darmo, czy dlatego, że w nocy?

Jakkolwiek brzmiałaby odpowiedź na to pytanie, należałoby skorzystać z sukcesu Nocy Muzeów i natychmiast wymyślić następne. Noc Podatków – powiedzieć społeczeństwu, że można w każdym urzędzie skarbowym, w nocy, za darmo, zapłacić podatki od ukrywanych wcześniej dochodów. Albo Noc Higieny – za darmo, w nocy, można się umyć. Akurat Noc Higieny można połączyć z Nocą Muzeów. Przenośne kabiny prysznicowe ustawić przed każdym muzeum. Oczywiście z liczbą Nocy Czegoś nie można przesadzić, bo w końcu trzeba będzie również organizować Noce Snu, czyli Noce Nocy, w czasie których uczestnicy innych Nocy będą się wreszcie mogli wyspać.

Już do tej inicjatywy podłączają się różne instytucje. Można było zwiedzać sejm, banki, Giełdę Papierów Wartościowych. Nie miałem wcześniej pojęcia, że są to instytucje muzealne. Nie zdziwiłbym się, gdyby w przyszłym roku do obchodów dołączyły się kluby nocne. „Taniec erotyczny dwudziestolecia międzywojennego. Tylko u nas oryginalne tancerki!”. Tyle że kluby nocne Noc Muzeów powinny organizować w dzień. Bo co to za atrakcja przyjść do klubu nocnego w nocy?

Jeszcze raz chciałbym autorom pogratulować pomysłu. Miarą jego wartości może być chociażby to, że hasło Noc Muzeów trafia do języka potocznego. Oto zapis mojej rozmowy z sąsiadem rodziców, panem Markiem. Pan Marek z żoną w ogródku, ja wychodzę.

– Dzień dobry, panie Marku.

– A, dzień dobry. A dokąd to, panie Arturze?

– Idę na Noc Muzeów. Pan się nie wybiera?

(*Pan Marek wymownie spogląda na żonę*)

– A po co? Wystarczy, że wejdę do sypialni.

24 maja 2011

Halina i Marek

Kiedy ciocia Halina użyje już wszelkich możliwych epitetów pod adresem swojego męża, kiedy opowie, jaki to beznadziejny

facet, ojciec, dziadek, że ona nie wie, jakim cudem on tę trójkę dzieci spłodził, bo nawet w tym był fatalny, a zresztą od dawna w ogóle nie ma o czym gadać, bo ostatni raz to było w czasie strajków w Gdańsku w sierpniu 1980 roku, że mogła za „nie takich” wyjść, bo „nie tacy” się o nią starali, że życie jej zmarnował… Kiedy wymieni już cały „Atlas zwierząt wrednych i niesympatycznych z pyska”, kiedy widać, że coś jeszcze by powiedziała, ale już nie ma pomysłu na inwektywy, nabiera powietrza w płuca, robi krótką pauzę i dorzuca: „A ten jego brat jest taki sam!”. Nie ma to żadnego związku z treścią wypowiedzi, ale puentuje każdą.

Z kolei wujek Marek, kiedy jest w dobrym nastroju wywołanym zazwyczaj spożyciem napoju o pewnej zawartości alkoholu, opowieść o swojej żonie zaczyna od żartobliwego sformułowania podkreślającego zmiany, które zaszły w wyglądzie cioci Haliny w ciągu trzydziestu siedmiu lat ich pożycia. To sformułowanie brzmi tak: „Moja żona, moja żona, moja bardzo wielka żona”. A w przypływie odwagi pozwala sobie czasem na żart w stylu: „Halina, wiesz, że mogą mnie oskarżyć o bigamię? W siedemdziesiątym czwartym ważyłaś dokładnie połowę tego, co teraz.

Ciebie jest już dwie”. Odpowiedź cioci Haliny na te zaczepki zawsze jest taka sama: „Jeśli to prawda, że człowiek umiera, kiedy przestaje działać jego mózg, to od dawna jestem wdową”.

Zdarza się jednak, że bywają dla siebie mili. Zdarza się, że spokojnie rozmawiają. Głównie o tym, co zobaczyli w telewizji. A zwłaszcza o tym, czego nie rozumieją. Na przykład wujek Marek nie rozumie pewnej reklamy. Znany aktor podchodzi do wypasionego samochodu. Próbuje otworzyć drzwi, ale okazuje się, że są zatrzaśnięte, a kluczyki są w środku. Mówi: „Nie wszystko w życiu da się przewidzieć”. Idzie, po drodze wiąże sznurowadło, opierając nogę na drabinie, na której stoi kominiarz, i znowu mówi: „Dlatego szczęściu czasem trzeba pomóc”. Jeszcze chowa się pod parasolem przed wodą, którą z balkonu wylałaby na niego jakaś babka, i wchodzi do banku. I już. Po reklamie. „I że niby o co chodzi? Idzie do banku, bo tam mają zapasowe kluczyki do jego samochodu? Czy że bank świadczy usługi w otwieraniu zatrzaśniętych drzwi samochodowych? Albo postanowił, że chrzani tamten i idzie po kredyt, żeby kupić sobie nowy?”.

Ciocia Halina w TVP Kultura (zaciął jej się pilot od telewizora) zobaczyła faceta, który przez piętnaście minut rzucał ziemniakami w perkusję. Włączyła już w trakcie, gdzieś przy drugim worku, więc nie wie, jak się to dziwo nazywało. Poczekała do końca, ale nic więcej się nie zdarzyło. To znaczy jeszcze ze trzy worki ziemniaków wyrzucił na perkusję i zniknął. A ciotka tak z tym została. Z pilotem w ręku i szeroko otwartymi oczami. Może przed programem tłumaczyli, co to miało oznaczać? Bo jedyna myśl, jaka ciśnie się na usta po obejrzeniu tego dziwactwa, to taka, że pewnie ten jego brat jest taki sam!

6 czerwca 2011

Motto, tyle że nijak mające się do tekstu poniżej.
Wszystko jest dla ludzi. Nawet karma dla psów
(Wujek Marek w rozmowie z ciocią Haliną,
odpowiadając na pytanie „Gdzie ta puszka?”)

Pompowany smok

Zbliżająca się wielkimi krokami kanikuła – pora beztroskiej radości, utrwalonej na jakiś czas ochoczą opalenizną, która w słotne wieczory będzie jakoby krzyczeć: „Było lato!”… Przepraszam, to efekty pisania kiczowatych powieści typu *Żałuj*, *Marleno*. Można prościej:

Wakacje, które niewątpliwie są jednym z przyjemniejszych fragmentów ludzkiego życia, niosą ze sobą również małe troski. Jedną z tych moich wakacyjnych trosk jest zakup prezentów dla bliskich. Jeśli bliscy są razem ze mną na wakacjach, troski nie ma. Kiedy słyszę: „O, jaki śliczny pierścionek z delfinem!”, kupuję i mam z głowy. Na bezczelne: „Wujek, kupisz pompowanego smoka?” mogę równie bezczelnie odpowiedzieć: „W pierwszym tygodniu urlopu kupiłem ci dziewięćdziesiąt sześć gofrów, że o rurkach z kremem nie wspomnę. Sam jesteś pompowany smok, to po co ci jeszcze jeden?”.

Gorzej, jeśli bliscy są daleko. To znaczy, że wypoczywam w gronie obcych, obojętnych mi ludzi, z którymi bardzo miło mi się spędza czas, i w

ostatnim dniu turnusu, wyrywając się z objęć Jolanty, która trzymając w zębach hawajskie kwiaty, już ósmą godzinę tańczy ze mną przytulaną wersję *Zorby*, biegnę do nocnego sklepu z pamiątkami, bo przypomniałem sobie, że tak naprawdę to ja bardzo tęsknię za tymi, którzy zostali w domu. No i wyraz tęsknoty powinien przybrać jakąś materialną postać. I tutaj zaczyna się koszmar! Bo przecież wiem, że wszystkie piasko-muszelko-żaglowco-kotwico-butelki wylądują w koszu albo w zakamarkach piwnicy. Że nikt z moich bliskich nie będzie nosił jesienią kapelusza z napisem: „Ale Jaja! Mielno 2011”, albo koszulki z zapewnieniem: „W pewnym sensie jestem ratownikiem. Chociaż pływać nie umiem. Przyjdź dzisiaj wieczorem do mojego namiotu, a sama się przekonasz, laleczko. Rewal 2011”.

Pewnym ułatwieniem mogą być w tym przypadku pasje. I nawet jeśli się ich nie ma, dla ułatwienia życia innym powinno się je wymyślić. Parę dni temu usłyszałem w radiu pana, który z każdej swojej podróży przywozi dzwonki. Porcelanowe, drewniane, metalowe. I cieszy się, kiedy dzwonki dostaje w prezencie od znajomych. No! I czy to nie mogłoby być tak, że brat jest szczęśliwy, kiedy po każdej mojej podróży dostaje dzwonek? A ojciec lokalne, nieaktualne czasopisma? A mama przyprawy? Wiem, że w Mielnie kupiłbym pewnie takie same, jakie mama kupiłaby sobie sama w Sanoku, ale liczy się sam fakt pamięci i radość otrzymania kolejnego egzemplarza pieprzu ziarnistego do kolekcji. Dobrze byłoby też, żeby ktoś kolekcjonował takie małe buteleczki szamponu i płynu do kąpieli, hotelowe igielniki i długopisy, chusteczki odświeżające i ciastka różnych linii lotniczych i kolejowych.

Tylko uwaga! Pomysł kolekcjonerski powinien być w miarę ogólny. Nie należy wymyślać utrudniających szczegółów. Bo co mi z tego, że ktoś zbiera figurki słonia, jeśli od razu zaznaczy, że to musi być pomarańczowy słoń z trąbą, która dotyka lekko uniesionej lewej tylnej nogi? I koniecznie

musi mieć przymkniętą prawą powiekę. Albo model lokomotywy, ale pod warunkiem, że to będzie rumuński parowóz produkowany do 1934 roku z dodatkową węglarką, na której widać ślady po pociskach niemieckich karabinów maszynowych z 1944 roku układające się w literę „Z” jak „Zorro”.

Ze mną mają łatwo. Wiedzą, że największą radość sprawią mi, przywożąc z wakacji ważny i wymienialny na złotówki banknot dowolnego banku centralnego, dowolnego kraju. Kolekcjonuję banknoty o najwyższych nominałach. Z wakacji na Mazurach, nad Bałtykiem czy w Tatrach mogą oczywiście przywieźć coś wyemitowanego przez Narodowy Bank Polski. Liczy się pamięć.

20 czerwca 2011

Dogasający grill

W Darmstadt istnieje instytucja, z której nazwą ma problem większość polskich mediów. Po niemiecku nazywa się Deutsches Polen Institut, u nas trafiłem już na następujące tłumaczenia: Niemiecki Instytut Kultury Polskiej, Niemiecki Instytut Spraw Polskich, Instytut Niemiecko-Polski oraz – tę nazwę zobaczyłem kilka dni temu w gazecie i ona mnie najbardziej cieszy – Niemiecki Instytut Polski. Nie ukrywam, że cieszy mnie głównie ze względu na polski skrót powstający po zestawieniu ze sobą pierwszych liter tych trzech wyrazów. I oczywiście natychmiast zacząłem wymyślać kolejne nazwy dla nieistniejących, ale możliwych instytucji. Polski Instytut Turecki (PIT), Czeski Instytut Tunezyjski (CIT), Polski Ewentualnie Słowiański Ekwiwalent Liechtensteinu (PESEL).

Fakt, że zaczynam zajmować się głupotami w stylu wymyślania skrótów nazw instytucji, które miałyby jakiś związek z systemem podatkowym w Polsce, świadczy jednoznacznie o rozpoczęciu sezonu wakacyjnego. Już wymyślam zajęcia na długie wakacyjne wieczory, które mogłyby odwieść współtowarzyszy mojego wypoczynku od grania na gitarze strojonej jeszcze w fabryce i śpiewania „czegoś, co wszyscy znają”, czym najczęściej okazuje się „A wszystko te czarne oczy, czarny chleb, czarna kawa…”.

Skrótami długo nie pociągnę. Jeden wieczór. To może na drugi zaproponuję wymyślanie rymowanych haseł ostrzegawczych dla przedstawicieli różnych zawodów. Na przykład: „Kuśnierz! Bo uśniesz!”, „Lekarz! Bo się doczekasz!”, „Rymarz! Bo w twarz otrzymasz!”, „Grabarz! Bo sobie nagrabisz!”. Ostatnie się nie rymuje, ale jest tak związane z charakterem zawodu, że odpuściłbym rym na rzecz trafności ostrzeżenia.

Trzeci wieczór to będą nieznane wiersze różnych poetów. Ja już zacząłem. Na gali Festiwalu „Dwa Teatry” w Sopocie wygłosiłem kilka wierszy z nieopublikowanego dotychczas tomiku *Wyspiański 2011*.

Niech powieją dla potomnych
Lepsze od tych naszych wiatry,
Teatr mój widzę ogromny!
A nawet Dwa Teatry!

A do sesji wakacyjnej mam przygotowany taki:

Poezjo precz!!! Jesteś tyranem!!
Szlachetnych zżarłaś już tylu!
Do tego wniosku doszliśmy z Marianem
Przy dogasającym grillu.

„Dogasający grill” brzmi na tyle niepokojąco, że powinien często pojawiać się w wierszach. Nie tylko w tych nieznanych, rzekomo pisanych przez Wyspiańskiego. Zbiorę je we wspólny tomik *Na stację benzynową i z powrotem* i wydam jako pamiątkę po lecie 2011.

Niemy świadek tamtych chwil,
Dogasający grill.

Albo weselej, na ludową nutę: Szumi hen zielona trawa,

Hop dziś dziś, hop sa sa,
Maryś jeszcze całkiem żwawa,
A Jaśkowi grill dogasa.

27 czerwca 2011

Kabriolet dla każdego!

Kiedy słyszę, że kolejny raz „żądamy”, „zgłaszamy stanowczy sprzeciw” i „wywieramy presję”, bo Rosja a to zamknie możliwość eksportowania naszego mięsa (bo podejrzane), a to stwierdza, że nasze warzywa być może są zatrute, przypomina mi się jedna z *Bajeczek babci Pimpusiowej*. Andrzej Waligórski napisał to wiele lat temu. I ciągle aktualne:

> *Raz ordynarny niedźwiedź, kucnąwszy na łące, W dość niewybredny sposób podtarł się zającem. Zając się potem żonie chwalił przy obiedzie:*
> *– Wiesz, stara, nawiązałem współpracę z niedźwiedziem!*

Krytykować każdy potrafi, ale może poradzę, co zrobić? Otóż proponuję „stanowcze i zdecydowane” działanie. Na przykład ogłosić embargo na gaz z Rosji! Państwowa Straż Pożarna powinna zabronić dostarczania do Polski rosyjskiego gazu. Bo może wybuchnąć!

Być może rację miał W.I. Lenin, twierdząc, że nawet kucharka może rządzić państwem. Kucharka – być może – ale prezenter radiowy nie powinien! Bo gdyby poważnie potraktować pomysł, który złożyłem

powyżej, to szybko musielibyśmy znaleźć jakiś patent na ogrzewanie mieszkań zgniłymi pomidorami i ogórkami.

Na szczęście większość Polaków ma na głowie zupełnie inne problemy. Parę dni temu, kiedy otworzyła mi się strona startowa pewnego portalu informacyjnego, pierwsze, co zobaczyłem, to duże hasło: „Najlepsze kabriolety do 10 tysięcy złotych. Letni luksus na każdą kieszeń”. I tutaj też „stanowczo i zdecydowanie” zażądałbym od władz państwowych zagwarantowania każdemu obywatelowi naszego kraju prawa do kabrioletu. Może nawet wprowadzić stosowne zmiany w konstytucji? Artykuł 1 rozdziału I zostawiłbym bez zmian: „Rzeczpospolita Polska jest dobrem wspólnym wszystkich obywateli”, ale już artykuł 2 powinien brzmieć na przykład tak: „Każdy obywatel ma prawo do jednego kabrioletu do 10 tysięcy złotych, który jest jego osobistym dobrem, niewchodzącym w skład wspólnego dobra. Dobra?”.

Można dać firmom i instytucjom prawo wypłacania wynagrodzeń w kabrioletach. Ale tylko takich „do 10 tysięcy złotych”. Żeby było sprawiedliwie. I wtedy wiadomo, że miesięczna pensja europosła to trzy kabriolety, a średnia płaca w Polsce to jedna trzecia kabrioletu miesięcznie.

Państwo powinno spełniać marzenia swoich obywateli w taki sposób, w jaki oni tego chcą, a nie korzystając z utartych, często skompromitowanych metod. Weźmy takie pieniądze. Przecież, gdyby tylko zapytać Polaków, większość na pewno odpowie, że nie one są najważniejsze i że pieniądze szczęścia nie dają. A nikomu jakoś nie wpadło do głowy, żeby sprawdzić, czy kabriolety też nie dają szczęścia? Fakt, że po jakimś czasie może się okazać, że i ten model się zużyje, zacznie się mówienie, że „kabriolety nie śmierdzą”, ktoś wpadnie na pomysł „prania brudnych kabrioletów”. Ale dopóki tak nie jest – spróbujmy.

A co do ludzkich marzeń. Telewizja nadaje na żywo relację z ośrodka pomocy dla osób z uzależnieniami. W programie udział biorą: ksiądz – dyrektor tej placówki, pracownicy ośrodka i podopieczni. Ksiądz mówi:

– Chodzi o to, żeby pomóc im mocno stanąć na dwóch nogach! Żeby mogli głęboko odetchnąć dwoma płucami…

Głos z boku:

– Zna ksiądz coś o dwóch wątrobach?

4 lipca 2011

ELEKTROWNIA
TURÓW

ŻEBY SIĘ SOBĄ ZAUROCZYĆ / dwugłos /

Ja mam, rzekomo, trochę wdzięku,
Ty masz jaskrawo smutne oczy,
Znajdzie się zatem jakiś powód,
Żeby się sobą zauroczyć.

I żeby to zauroczenie,
Ująć w banalnie wielkie słowa,
Żeby się sobą porachnycać,
Żeby się sobą rozkoszować.

Ja Cię odszukam bez kłopotu
W tłumie tak zwanych „zwykłych ludzi",
Potem się Tobą będę cieszyć,
A Ty się przy mnie nie zanudzisz.

Znajdziemy powód, by być z sobą,
Żadnych wymagań, planów żadnych,
Ty będziesz piękna ... A Ty mądry ...
Ty będziesz dobra ... A Ty fajny ...

A potem sam się znajdzie powód,
By zwątpić, czy to się opłaca,
Znajdziemy powód, by odchodzić,
I to powodów, żeby wracać.

Gdzie nie zajrzymy, będzie Tadnie,
Bo zamieszkamy pośród ogrodów,
Znajdziemy powód, by być razem,
Albo będziemy bez powodu.

/ luty 1997 /

Żałuj, Marleno

odc. 5

Dorożka bawarskiej policji, wściekle pędząca w stronę pałacu barona von Kopf bis Fuss, wzbudzała powszechne zainteresowanie mieszkańców Bambergu. Sklepikarze, restauratorzy, bankierzy, arystokracja i reszta niesklasyfikowanego społeczeństwa, wszyscy wybiegali przed budynki, w których akurat się znajdowali (sklepikarze przed sklepy, restauratorzy przed restauracje, bankierzy przed banki, arystokracja przed sklepy, restauracje i banki) z okrzykiem „Matko!” na ustach, tyle że po niemiecku. Ten jeden gromki, niosący się przez całe miasto okrzyk powodował z kolei, że z okien domostw, oderwane od codziennych zajęć, z pytaniem „Czego?” wychylały się bawarskie matki. Właśnie pośród takiego niezwykłego chóru, rytmicznie skandującego: „Matko! Czego? Czego? Matko! Matko! Matko! Czego? Czego?” mknął zadowolony z rozwiązania zagadki kradzieży drewna z pałacowego parku, a jednocześnie wstrząśnięty swoim odkryciem komisarz Kohoutek.

Tymczasem baronowa Marlene von Kopf bis Fuss z balkonu apartamentu w domu zdrojowym Astoria rzucała pierwsze, niepewne jeszcze zachwytu, spojrzenia na kurort, do którego przed godziną zaledwie

zawitała w poszukiwaniu ukojenia swoich starganych życiem nerwów. Taki był oficjalny powód jej podróży do wód, na nieco inny wskazywała treść bileciku umieszczonego pośród trzystu pąsowych róż rozrzuconych pod perłowym fortepianem. „Będę o 21.00. Twój Zdrajca”.

Pod tym tajemniczym pseudonimem ukrywał się Igor Siergiejewicz Katapultow – były carski oficer, który za drobne pieniądze świadczył usługi szpiegowskie wszystkim możliwym wywiadom wszystkich możliwych mocarstw, a na starość (szpiedzy przechodzą na emeryturę w wieku 35 lat) za miejsce swego zasłużonego odpoczynku wybrał Bawarię. Baronowa miała słabość do mężczyzn pozbawionych honoru. Na ślub ze swoim aktualnym mężem zdecydowała się natychmiast, kiedy tylko dowiedziała się, że ten w obronie jej czci wyzwał na pojedynek jednego z kawalerzystów generała Kreuzerschillera, po czym możliwość zastąpienia siebie w tym pojedynku sprzedał za duże pieniądze znajomemu arystokracie, który był niespełna rozumu i pisał wiersze.

Keiserkirche i Astoria
To bawarskie sanatoria,
Ej, Bawario! Z lotu ptaka
Już nie jesteś piękna taka,
Bo twój widok łzy wyciska
Jak się ciebie widzi z bliska…

– niosło się z koncertowej muszli wybudowanej na końcu promenady, przy sanatorium dla bawarskich muzyków i śpiewaków operetkowych.

Owa pieśń jeszcze romantyczniej nastrajała baronową. W chwilach takich natychmiast zaczynała zadawać sobie fundamentalne pytania typu: „Być? Czy mieć?”. I po dłuższym zastanowieniu zawsze dochodziła do

wniosku, że najlepiej: „Być na tyle, żeby jeszcze mieć, i mieć na tyle, żeby móc być”.

Okrzyki: „Matko! Czego?” spotykające się z rzadka z pobożnymi odpowiedziami w stylu: „Całej ludzkości” czy „Nadziei uciśnionych” jeszcze nie ucichły, kiedy w pałacu trwała już ożywiona rozmowa:

– Dawno?! – komisarz Kohoutek nie krył zdenerwowania.

– Wczoraj, a bo co?! – baron von Kopf bis Fuss nie krył zażenowania nieskrywanym zdenerwowaniem komisarza Kohoutka.

– To baronowa kradnie drewno! Ale nie sama!

11 lipca 2011

Palio w Tarnobrzegu

Co drugie toskańskie miasteczko ma „muzeum tortur”. Przyjrzałem się uważnie twarzom Toskańczyków. Na pierwszy rzut oka nie wyglądają na ludzi, którzy wyżywają się w łamaniu, wyrywaniu, wydłubywaniu, przypiekaniu i dźganiu. Być może pozory mylą, a może to po prostu zagrywka propagandowa. Chcą pokazać, że to nie jest tak, że żyją tu sobie spokojnie od wieków, ciesząc się błękitnym niebem, jasnym słońcem, zajadając makarony i popijając wino z własnych winnic. Że ich przodkowie zajmowali się tym, czym zajmuje się cały „cywilizowany świat”. Czyli wyrywaniem, przypiekaniem, odcinaniem, dźganiem i wydłubywaniem.

Podejrzewam, że to tylko atrakcja turystyczna. Po wakacjach „muzea tortur” zamieniane są na żłobki, kluby fitness i sale wykładowe Uniwersytetu Trzeciego Wieku.

Wiem, że to żadna nowość, że w Polsce też takie istnieją, ale żadnego jeszcze nie zwiedziłem. Powód jest prozaiczny – z natury jestem oszczędny, a „muzea tortur” nie sprzedają biletów ze zniżką dla dziennikarzy. Niesłusznie – dziennikarze powinni mieć całoroczne darmowe karnety wstępu do wszystkich „muzeów tortur” na świecie. Żeby wiedzieli… przepraszam… żebyśmy wiedzieli, jak to się może dla nich… przepraszam – dla nas – skończyć. Mogę się tylko domyślać, że w sali „tortur

fizycznych” są wszystkie sprzęty do łamania, wypalania i wydłubywania, a w sali „tortur psychicznych” wyświetla się większość polskich komedii nakręconych w ostatnich latach.

Kiedy w przewodniku turystycznym trafiam na wzmiankę, że drzwi wschodnie do baptysterium we Florencji „Michał Anioł uważał za tak piękne, iż mogłyby służyć za wrota raju”, zaczyna coś we mnie wzbierać i wylewa się cytatem: „A w Krużewnikach był?!”.

I nie robi na mnie żadnego wrażenia stwierdzenie, że „Ghiberti pracował nad nimi 27 lat z największym oddaniem i największą miłością”. U mnie w mieszkaniu głupie drzwi do łazienki pan Krzysztof zakładał przez cztery miesiące, a potem regulował przez pół roku!!! A były już gotowe! Gdyby musiał je najpierw samodzielnie „z największym oddaniem i największą miłością” wyrzeźbić w płycie wiórowej i wykończyć okleiną drewnopodobną, trzy pokolenia moich spadkobierców wchodziłyby do łazienki, odchylając gustowną zasłonkę wykonaną z dwóch spiętych agrafkami ręczników, na których widnieją: pani w stroju kąpielowym i napis „Miss Energetyki 2008” oraz logo Otwartego Funduszu Emerytalnego z hasłem „Ty dbaj o higienę, my zadbamy o twoją emeryturę”.

To, co we mnie wzbiera, a następnie się wylewa, to narodowa duma i poczucie krzywdy. Mówi się, że podręczniki historii piszą zwycięzcy. Oni powinni mieć również prawo pisania przewodników turystycznych. Tymczasem wystarczy sięgnąć po *Florencja i Toskania* wydawnictwa „National Geographic”, żeby wpaść w zdumienie! Nic o bitwie pod Cedynią, o Sobieskim pod Wiedniem, o kluczu pod wycieraczką… (Zaskoczony czytelnik pomyśli, że to głupie z tym kluczem, zaskoczony autor też tak pomyślał, ale postanowił to zostawić, bo a nuż kogoś rozśmieszy, a gdyby nie zostawił, to by na pewno nie rozśmieszyło).

Marnym słowem przewodnik *Florencja i Toskania* nie wspomina o powstrzymaniu bolszewickiej zarazy, o „Solidarności” i obaleniu komunizmu!!! Tylko o antycznej kulturze, freskach, mozaikach, przepychu i bogactwie, jedzeniu, niepowtarzalnej urodzie toskańskich miasteczek. Wstyd!

Jako przedstawiciel zwycięskiego narodu postanowiłem działać. Już trzeci dzień zaklejam we wspomnianym przewodniku nazwy toskańskich miejscowości i atrakcji turystycznych karteczkami z nazwami polskimi. I to na chybił trafił, bo każde z naszych miast, każda z naszych wsi, wszystkie polskie kościoły, dworki, dworce i podwórce godne są najwyższego zachwytu. Od razu mi lepiej, kiedy w przewodniku *Świnoujście i Podkarpacie* (wcześniej *Florencja i Toskania*) czytam: „Jedzenie jest namiętnością Mazowszan (było *Toskańczyków*), którą przybysze mogą z łatwością podzielać. Obiad na zarośniętym bluszczem tarasie czy kolacja pod rozgwieżdżonym, nadbałtyckim *(*było *śródziemnomorskim*) niebem powinny stać się wspomnieniem tak samo cennym jak najlepsze muzea i galerie”.

Dalej już nie będę ujawniał, o jakie, w oryginale, miejscowości chodziło, ale naprawdę, poza nazwami, każde słowo pochodzi z przewodnika po Toskanii. I pasuje jak ulał:

„Wystarczy rzut oka na sylwetkę Warszawy i las zabytkowych, kamiennych wież, aby zrozumieć, dlaczego miasteczko czasami nazywa się średniowiecznym Manhattanem”.

„Bełchatów to tak urocze miasto na wzgórzu, że chciałoby się je zapakować i zabrać do domu. Zawieszone na wąskim, wulkanicznym wypiętrzeniu oferuje piękną sztukę i architekturę, rozległe widoki na Łódzczyznę i wzgórza pobliskiej Częstochowszczyzny, aksamitne

czerwone wino, swobodną atmosferę oraz jeden z najwyżej cenionych renesansowych kościołów w całym regionie”.

„Według legendy Leszno założyli Waldemar i Aschio, synowie Remusa – stąd w mieście stoją posągi wilczycy, która wykarmiła mitycznych założycieli Konina, Romulusa i Janinę. W rzeczywistości Grajewo, tak samo jak Zamość, było początkowo osadą etruską, z której w początkach I w. rozwinęła się kolonia rzymska Radom”.

Wiem, że to ostatnie przerobione trochę niestaranne, ale skończył mi się klej. Włoski! Nasz „grunwaldzki” nigdy by mi tego nie zrobił!

26 lipca 2011

Kuracjuszka, hyc do łóżka!

Przejrzałem teksty, które zamieściłem tutaj w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Nuda!!! Żarty o przewodnikach turystycznych, powieść o bawarskiej baronowej kradnącej drewno z pałacowego parku, coś o grillu, o Nocy Muzeów… Kto to będzie czytał?! Kogo takie rzeczy interesują?! A wystarczy zajrzeć do popularnych pism społeczno-kulturalno-politycznych (weźmy „Przekrój” i „Wprost”) i podejrzeć, o czym piszą koledzy. Proszę bardzo, cytuję: *Miłość w koloratce* (Kobiety i dzieci księży), *Boom erotyczny – seks po polsku*, *Starość radość* (erotyczna). To są tematy!

Sam się rzuciłem w lekturę i już wiem, że podobno co dziesiąty ksiądz w Polsce ma dziecko, że „podczas pobytu w sanatorium flirtuje 60 proc. kuracjuszy. Niemal tyle samo całuje się, a co trzeci odbywa stosunek seksualny”. I kiedy już wydawało mi się, że jak na jeden tydzień tych sensacji wystarczy, wszystkie gazety opublikowały wyniki badań CBOS-u, z których dowiadujemy się, że „22 proc. Polaków deklaruje, że zdarzyło się im flirtować z osobą będącą w stałym związku; 19 proc. flirtowało, samemu mając stałego partnera. 10 proc. badanych przyznaje się do zdrady. Najwięcej romansów (34 proc.) ma początek w pracy”.

I co ja mam teraz biedny począć z taką wiedzą? Na razie wpadłem na pomysł wykorzystania tego typu informacji w przyszłorocznej maturze z

matematyki. Małe dzieci można zmuszać do liczenia kasztanów, nieco starszym można jeszcze mącić umysły zadaniami typu: „Dwa pociągi wyruszają równocześnie, pierwszy ze stacji A do B, drugi z B do A. Pierwszy jedzie z prędkością 45 km/h, ale będzie stał 50 minut w Nasielsku; a drugi z zawrotną prędkością 60 km/h, ale z pseudokibicami wracającymi z meczu ekstraklasy, w związku z czym gdzieś w trasie na pewno będzie półgodzinna naparzanka z policją. O ile wzrosną ceny biletów PKP w przyszłym roku?”.

Ale maturzystom należą się bardziej emocjonujące tematy! Takie, które zestresowanego młodego człowieka mogą wprowadzić w stan ekscytacji (żeby nie powiedzieć – podniecenia). Niech to będzie rzeczywiście egzamin dojrzałości. Moje propozycje:

Pani Ewa i ksiądz Marek w tym samym przedziale jadą do tego samego sanatorium. Pani Ewa ma kłopoty z kręgosłupem, ksiądz Marek jest w stałym związku i nie chodzi tu o związek wyznaniowy. Na podstawie danych publikowanych ostatnio w tygodnikach oblicz prawdopodobieństwo faktu, że ksiądz Marek i pani Ewa będą flirtowali w Polanicy.

Marysia, Ania, Beata, Mariusz i Grzegorz pracują w jednej firmie. W domu zdrojowym Mały Żubr w Świeradowie. Tylko Marysia i Grzegorz mają stałych partnerów (ale poza domem zdrojowym). Biorąc pod uwagę fakt, że 34 proc. romansów ma początek w pracy, 60 proc. kuracjuszy się całuje, co trzeci odbywa stosunek seksualny w sanatorium, a w domu zdrojowym Mały Żubr podczas jednego turnusu mieszka 85 pacjentów, oblicz prawdopodobieństwo romansu pomiędzy każdym z wymienionych (w tym również między Marysią i Anią, Marysią i Beatą, Anią i Beatą oraz Mariuszem i Grzegorzem) i możliwość całowania się każdego z nich z którymś z kuracjuszy na przełomie lipca i sierpnia. W obliczeniach

uwzględnij fakt, że zdarzają się stosunki seksualne, podczas których ludzie się całują.

Wiem, że na podstawie takich danych można konstruować jeszcze odważniejsze zadania. Powoli! Zacznijmy od łagodnych, jak się młodzież przyzwyczai, znudzi, Centralna Komisja Egzaminacyjna zacznie szukać nowych pomysłów do szokowania.

Aha! Zestresowanych faktem, że wakacje mijają, a tu nic, informuję, że są jeszcze wolne miejsca w Busku-Zdroju i Ciechocinku. Żeby nie tracić czasu, ustalmy znak rozpoznawczy – książka w prawej ręce. Może ustalmy, jaka. Proponuję *Tajemnice inicjacji seksualnej. Zanim powiesz: tak*. Tylko zabrać okulary z domu i tak trzymać książkę, żeby tytuł był wyraźnie widoczny! Bo podobno po sanatoriach krążą też tacy, którzy wciskają ludziom książkę: *Tajemnice integracji monetarnej. Zanim powiesz: tak*. Ci kandydują, tych podrywać nie radzę.

2 sierpnia 2011

Żałuj, Marleno

odc. 6

Zjem!

– Ratunku!

– Mniam!

– Pomocy!

Pokojówka stojąca pod drzwiami apartamentu baronowej Marlene von Kopf bis Fuss z zażenowaniem wsłuchiwała się w odgłosy wydostające się z jego wnętrza. Znała je doskonale, gdyż regularnie dochodziły one z każdego pokoju każdej bawarskiej arystokratki, samotnie wypoczywającej w domu zdrojowym Astoria. Dokładniej z każdego, do którego uprzednio wszedł Igor Siergiejewicz Katapultow – emerytowany carski oficer, dorabiający w tym kurorcie do szpiegowskiej emerytury. Oficjalnie jako „animator towarzyski”. Katapultow był mężczyzną uniwersalnej urody, z łatwością więc łamał serca wszystkich bawarskich baronowych, grafiń czy księżnych. W ciągu sześciu lat wytężonej posługi nie udało mu się zdobyć względów tylko jednej – ale grafini von Heizung nie była prawdziwą Bawarką, więc nic dziwnego, że się na mężczyznach nie znała.

– Ogryzę do kostek, wyssam szpik!

– Wyssę, poruczniku! Wyssę! – baronowa, czuła na punkcie poprawności niemczyzny, a zwłaszcza bawarszczyzny, poprawiła tym samym teatralnym tonem, którym wykrzykiwała:

– Ojej! Któż mnie uratuje, któż?!

Bawarska arystokratka i były szpieg wszystkich możliwych mocarstw już czwartą godzinę spędzali na wymyślonej przez Katapultowa grze towarzyskiej „Kanibal ante portas!”. Zasada była prosta – dama nieśmiało wystawiała przez uchylone drzwi jakiś fragment swojego ciała, a stojący za nimi (drzwiami) mężczyzna miał udawać, że ten paluszek, nadgarstek, łokieć, kolanko czy stópkę zje. Wygrywała osoba, która pierwsza krzyknęła „Stop!”, ale oryginalne w tej zabawie było to, że nagrodę otrzymywał ten, kto przegrał, czyli za każdym razem porucznik Katapultow. Arystokratki zawsze się w końcu poddawały. Rekordzistką była księżna Irene von Genossenschaft, „Stop!” krzyknęła dopiero w trzecim dniu zabawy, namówiona do tego przez sanatoryjnego lekarza, który włączył się do gry, wezwany przez zaniepokojony personel domu zdrojowego.

Zwycięzca mógł żądać dowolnej nagrody, ale porucznik Katapultow, jak na carskiego oficera i szpiega wszystkich możliwych mocarstw przystało, zachowywał się honorowo – brał tylko pieniądze.

– Stop! – okrzyk kończący zabawę nieco zaskoczył doskonale znającego możliwości baronowej Igora Siergiejewicza. Zaskoczył, ale nie zmartwił.

– W takim razie zdążę jeszcze do apartamentu numer osiem. Księżna Melanie zu Grenzschutz już trzy dni temu podała liścik z zaproszeniem na konsumpcję kolejnych części ciała, o których ostatnio zapomniała – pomyślał wierszem, po czym zawstydził się swojego cynizmu. Przecież jeszcze nie skończył tutaj, a już myślami był tam. To nieprofesjonalne.

– Poruczniku, muszę coś panu wyznać – drżące wargi baronowej Marlene von Kopf bis Fuss pobladły, zwiastując ogłoszenie jakiejś straszliwej prawdy. – Ja kradnę drzewo z parku mojego pałacu. W tajemnicy przed mężem, którego nadal kocham!

– Ależ baro… – okrzyk wyrywający się na rubinowe usta Igora Siergiejewicza Katapultowa przerwały: najpierw bolesny grymas, a następnie strużka krwi, która pojawiła się w kąciku. Porucznik padł twarzą do dywanu zasłanego uprzednio różami. W jego wyjątkowo atrakcyjnych, nawet w tej sytuacji, plecach tkwiła strzałka posmarowana kurarą. Baronowa natychmiast rozpoznała ją po zapachu, gdyż jej ojciec był znanym w Bawarii miłośnikiem południowoamerykańskich trucizn. W otwartych drzwiach apartamentu, z indiańską dmuchawką w dłoni, stała pokojówka.

– Pani baronowa muszą uciekać! Oni są już blisko! – krzyknęła, odrzucając dmuchawkę prosto na fortepian. Ta spadła na klawisze w sposób tak niezwykły, że spod uchylonej klapy zabytkowego instrumentu same poniosły się pierwsze nuty piosenki, którą baronowej śpiewała niania pochodząca z daleka, bo aż z Lubeki:

> Czerwone maliny i czarne porzeczki,
> Przed przeznaczeniem nie ma ucieczki,
> Bo w chaszczach czyha na warkocz dziewczyński
> Dragon szlezwicko-holsztyński.

– Baronowa nie przypominają sobie teraz pierdół, tylko zmykają czem prędzej! – popędzała zniecierpliwiona pokojówka.

Wychodząc z apartamentu, Marlene von Kopf bis Fuss zauważyła, że pod drzwiami leży ktoś jeszcze. Pokojówka. To ta, która podsłuchiwała jej

zabawę z porucznikiem. Też miała strzałkę z kurarą w plecach, ale niżej niż porucznik Katapultow.

Baronowa uznała, że porucznik estetyczniej został trafiony i ładniej leży. W tej chwili uświadomiła sobie, że to jeden z najładniej leżących poruczników, jakich widziała w swoim, niekrótkim przecież, życiu. Zrobiło jej się przykro, że nie powiedziała tego Igorowi Siergiejewiczowi za jego życia, bo na pewno byłoby mu przyjemnie. A mówienie mu teraz czegokolwiek uznała za stratę czasu, którego, zgodnie ze słowami pokojówki, było coraz mniej. Chłodnym spojrzeniem jeszcze raz omiotła wnętrze apartamentu, w którym przeżyła tyle pięknych chwil, po czym wybiegła tak jak stała, bo tak jak siedziała albo jak tak leżała, to nie umiała wybiec.

Na schodach, którymi w pośpiechu zbiegali w dół, regularnie, co cztery stopnie, leżały kolejne pokojówki z tajemniczymi strzałkami w plecach. Marlene nie dziwił ten widok. Podobny znała z dzieciństwa – w pałacu jej ojca na schodach często leżała służba odurzona różnymi substancjami. Bardziej dziwiło ją coś innego.

– Ta pokojówka ma głos podobny do kogoś, kogo znam… Wiem! Koniuszek! Syn koniuszego i koniuszyny!

12 września 2011

Przyznać się

Wśród kanadyjskich drwali od pokoleń krąży powiedzenie, że „prawdziwy mężczyzna musi mieć się do czego przyznać”. Gdyby przypadkiem ten tekst czytał jakiś kanadyjski drwal i nie znałby tego powiedzenia, to… Ono jest używane tylko przez niektórych drwali… Leworęcznych… Tych, którzy do 1963 roku prowadzili wycinkę w Kolumbii Brytyjskiej… No dobrze, przyznam się – pasuje mi do tekstu, więc zamiast szukać w Internecie, czy coś na temat „przyznawania się” powiedzieli Bernard Shaw albo Margaret Thatcher, sam je sobie wymyśliłem.

Zatem rozszerzając zasób obowiązkowych osiągnięć każdego mężczyzny, ustalmy, że oprócz zbudowanego domu, zasadzonego drzewa, spłodzonego syna, powinien jeszcze mieć coś na sumieniu. Jakiś mały grzeszek, do którego w odpowiednim momencie swojego życia powinien się umieć przyznać. I nie można tego łączyć! Czasami dom jest fatalnie zbudowany – zimny, grzyb na ścianach, tynk się sypie, drzewo rośnie krzywo i próchnieje, ma się takiego syna, że po każdej wywiadówce idzie się prosto do najbliższego laboratorium wykonującego testy DNA, żeby jeszcze raz sprawdzić, „…bo to aż niemożliwe, żeby był mój”… Ale tego

zestawu nie ruszamy! Dom, drzewo i syn to zbyt poważne! Chodzi o to, żeby każdy mężczyzna umiał się przyznać do czegoś błahego.

Nie bez znaczenia jest również forma, w jakiej się przyznaje. Jacek Fedorowicz w książce *Ja jako wykopalisko* szczerze wyznaje, że w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku, w czasie studiów w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Gdańsku, razem z kolegami – przyszłymi malarzami, grafikami – podrabiali numerki obiadowe do stołówki studenckiej. Cytat z książki: „Złota era malowania numerków minęła, gdy kucharki w stołówce wzięły się na sposób i śliniły każdy numerek wręczany przez plastyka… My odpowiedzieliśmy na te szykany chińskim tuszem niezmywalnym, kłopot bywał tylko wtedy, gdy kolor tuszu właściwy danemu miesiącowi był nie do zdobycia. Pewnego razu Włod podał numerek z poprzedniego miesiąca.

– Niedobry – orzekła kucharka.

– Jak to niedobry?! – oburzył się Włod. – Przecież sam go malowałem!”.

To teraz moje wspomnienie z czasów studenckich. Na zaliczenie zajęć z psychologii mieliśmy w grupach przygotować badanie związane z mediami. Nasza trzyosobowa grupka – Tarik, Tygrys… Przepraszam, mogą państwo pomyśleć, że studiowałem z bohaterami wojennych wypraw na Bizancjum w VII w. n.e. Nic podobnego – Tarik to imię, Tygrys ksywka. No więc Tarik, Tygrys i ja mieliśmy sprawdzić, jak ludzie na ulicy będą odpowiadali na pytanie o wpływ Kościoła na politykę w Polsce, w zależności od tego, komu takiej odpowiedzi udzielają. Wygląd pytającego miał jednoznacznie sugerować, kim jesteśmy. Chodziliśmy z wypożyczonym sprzętem reporterskim. Jednego dnia Tygrys pytał jako reporter Polskiego Radia, następnego – Tarik, którego kolor skóry po tacie mógł sugerować, że przyjechał z daleka (chociaż tak naprawdę z Łodzi), udawał reportera

angielskiego radia, wreszcie ja, w pożyczonej od znajomego księdza koszuli z koloratką, pytałem jako reporter sekcji polskiej Radia Watykańskiego.

Kiedy projekt badania przedstawiliśmy pani doktor prowadzącej zajęcia z psychologii, zachwyciła się naszą pomysłowością. A kiedy zachwyt minął? Podczas prezentacji wyników. Bo nie ukrywajmy – zadowoleni z samego pomysłu nie przemęczyliśmy się jego realizacją. Do całościowego opracowania wytypowaliśmy Tygrysa. Tyle że nie sprawdziliśmy tego, co chce powiedzieć! No to potem ze zdumieniem słuchaliśmy, że:

– sześćdziesiąt dwa i pół procent badanych, czyli pięć osób, odpowiedziało…

Do głowy nam nie wpadło, że jemu nie wpadnie, żeby wynik pomnożyć! Wystarczyłoby przez sto. Dostaliśmy piątkę za pomysł i dwóję za wykonanie. Uczciwość zawsze z człowieka wyjdzie. Tylko dlaczego w najmniej oczekiwanym momencie? Czyli na przykład w czasie studiów?

Każdy prawdziwy mężczyzna,
Jeśli być mężczyzną chce,
Musi mieć się do czego przyznać.
To może być na przykład, że:
Strząsał popiół do doniczek,
Podglądał sąsiadkę,
Wyżerał dziecku słodycze
I depilował klatkę.
Że kłamał, że z Jolką to nigdy nie,
Że czasem jak baba beczy,
Że płakał w kinie na *Królu Lwie*
I że nie znosi meczy.

I że jak był u matki,
(Bo matka była chora),
Użył do depilacji klatki
Jej depilatora.
I że w drogerii Pachnący Kruk
Jest już chyba spalony,
Bo jak brał plastry do depilacji nóg
I kłamał, że to dla żony,
Sprzedawca tak się pochylił
I nie ściszając głosu,
Powiedział:
– Panie Marku, przyszedł świetny peeling.
Seria dla komandosów.

4 października 2011

Żałuj, Marleno

odc. 7

Pędzili, tak jak wiatr bawarski po szczytach gór potrafi pędzić w jesienne zawieruchy. Baronowa przodem, Koniuszek za nią, od czasu do czasu narzucając tempo biegu skórzanym biczykiem.

– W prawo, baronowo, baronowo, w prawo, w te chaszcze, w chaszcze te – syn Koniuszego i Koniuszyny cierpiał na przypadłość określaną przez bawarskich medyków jako Muedezweimalgesagtsyndrom. Kiedy był wycieńczony fizycznie, dwa razy powtarzał ten sam komunikat, zmieniając tylko szyk wyrazów w zdaniu.

– Za nic nie wejdę nocą w chaszcze z mężczyzną z niższej klasy… – stanowczo zaczęła protestować baronowa Marlene von Kopf bis Fuss, ale na widok skórzanego biczyka stanowczość znacznie słabła. – Ale w te chaszcze? Czy w tamte? Bom się pogubiła?

– W te chaszcze, baronowo, baronowo, w chaszcze te. Pohukiwania sów zachęcały do jeszcze szybszego biegu, a cała ta przedziwna sytuacja była jakoby żywcem wzięta z kołysanki, którą w dzieciństwie nad Koniuszkiem śpiewałaby niańka, gdyby było na nią stać jego rodziców:

W środku lasu bawarskiego
Pohukuje sowa,
Biegnie z synem koniuszego
Pani baronowa,
Huhu, huhu, aaha, aaha,
Łodiridi, łodiridi dyna,
Łodiridi dyna, u ha!

Bieg, przerywany tylko z rzadka lekkim strzałem biczyka, trwał jeszcze kilkadziesiąt minut. I kiedy wydawało się, że nadchodzi kres możliwości fizycznych niestarej jeszcze, ale prowadzącej niehigieniczny tryb życia baronowej, Koniuszek krzyknął:

– To tutaj, baronowo, baronowo, tutaj to.

Drewniana chatka na środku polany. Małe okrągłe okienko, przypominające z daleka buźkę uśmiechniętego chłopca, być może o imieniu Klaus, jaśniało światłem naftowej lampy. Przed chatą kicał zajączek z dzwoneczkiem przywiązanym do szyi czerwoną kokardką. Tak zabawnie odkicywał w stronę lasu, przewracał się na plecy i wracał w pobliże chaty. Dopiero kiedy podeszli bliżej, baronowa zauważyła, że zajączek porusza się na smyczy, a smycz jest koloru nocy.

– Przecież… – baronowa już wiedziała, skąd zna to zwierzę – to zajączek księżnej Irene von Genossenschaft…

Sytuacja stawała się coraz bardziej tajemnicza. I nie wyjaśniło jej jeszcze otwarcie drzwi chaty, które swoim skrzypnięciem na sekundę wywołało uśmiech na twarzy baronowej, przypominało bowiem odgłos, jaki wydawał jej małżonek baron, zbliżając się w każdy drugi czwartek miesiąca do jej łoża. Dopiero kiedy wzrok baronowej przyzwyczaił się do

jaskrawego światła naftowej lampy, ujrzała widok niezwykły – na małej powierzchni tej leśnej chatki zebrano żeński kwiat arystokracji bawarskiej.

Stały, siedziały lub leżały znane jej z uroczystych przyjęć i pobytu w sanatorium – baronowe, księżne, grafinie… W sumie czterdzieści sześć kobiet, które łączyły ze sobą: „von” albo „zu” w nazwisku i, o czym jeszcze Marlene nie wiedziała, intymne kontakty z porucznikiem Katapultowem.

– Ja żem je wszystkie uratował. Je wszystkie żem uratował ja…

24 października 2011

Kanarki i siano

Przed wystawą sklepu zoologicznego oglądałem kanarki. Rzadko mówię do siebie na głos, ale tym razem powiedziałem:

– Samica osiemnaście złotych, samiec trzydzieści dziewięć. Ciekawe, dlaczego samiec dwa razy droższy?

– Bo potem tańszy w utrzymaniu.

Nie spodziewałem się odpowiedzi, a jednak padła. Z prawej strony. Z ust mężczyzny, który wyglądał na takiego, który wie, co mówi. Przynajmniej na temat oszczędnego utrzymywania. Rzadko dochodzą mnie głosy rzeczy martwych, ale tym razem wyraźnie słyszałem, jak jego przykusa i przytarta marynarka skanduje: „Bierut! Bierut!”.

Pewnie hodowcy kanarków mają jakieś inne wytłumaczenie, ale to, które niechcący usłyszałem pod sklepem zoologicznym, nie jest takie głupie. No bo właściwie, co takiemu samcowi potrzebne jest do życia? Szary (kiedyś czarny) podkoszulek z napisem „W górach jest wszystko, co kocham 1985”, spodnie dżinsowe z nogawkami za długimi, zwiniętymi w harmonijkę i poszarpanymi z tyłu, ale z przodu jeszcze dobre, buty w kolorze uniwersalnego podłoża, czyli takie, które się nie brudzą, a jak się brudzą, to i tak nie widać, z podeszwami i obcasami startymi jednostronnie

tak, że przy szybszym marszu traci się równowagę. A na zimę kurtka z kieszeniami. Kolor i fason nieważne, ważne kieszenie.

Z jedzeniem też mały kłopot – parówki raz na jakiś czas można przełamać czymś ekskluzywnym typu mortadela (w porywach pasztet). Jak jest jakaś ekstra okazja: hot dog na stacji benzynowej albo wyprawa na kebab do centrum. To na rocznicę ślubu, wtedy można nawet elegancko się ubrać – pod kurtkę, na podkoszulek „W górach jest wszystko, co kocham 1985", zarzuca się żółty polar „Widoczni na drodze 1993". A może samice są dwa razy tańsze w zakupie, bo przy takich nawykach rzadko kiedy jedna samica wytrzyma długo z jednym samcem? Czyli już w planach marketingowych zakłada się dwie kanarzyce na jednego kanarka?

Od paru lat czuję się zaprzyjaźniony z kabaretem „Czarny Kot Rudy" Teatru Polskiego w Szczecinie. Jak się dowiedziałem, właśnie wystawiają program pod jakże intrygującym tytułem *Koniom i zakochanym siano pachnie inaczej*. A jak się dowiedziałem? Tak, że zadzwonił dyrektor Adam Opatowicz i zapytał, czy znam się na sianie? Nikt, kto ma dyplom magistra dziennikarstwa, nigdy w życiu się nie przyzna, że się na czymś nie zna. No to powiedziałem, że się znam. No to on powiedział, żebym coś napisał. No to napisałem:

Pochwała siana

Siano w stodołach i siano w stogach,
I niby jedno, a liczba mnoga!
Bo po to rolnik skosi i zbierze,
Żeby samotnie nie leżeć.
Siano kuszące, siano urocze,
Siano – zagłębie miliona poczęć,
Siano – wspomnienie wiejskich wakacji,

Pachnący symbol rządów sianacji,
(Bo sam Piłsudski karmił Kasztankę
Legionowym siankiem).
I teraz puenta, panie, panowie,
Też na sianie osnuta:
Już lepiej mieć siano w głowie
Niż słomę w butach.
Bo z sianem w głowie łatwiej się żyje,
Jak mawiał brat Ignacego Loyoli:
„Głową pełną siana muru nie przebijesz,
Ale przynajmniej nie boli”.

7 listopada 2011

Czarna Helena po roku

Ludzie uwielbiają jubileusze. Moi znajomi we wrześniu obchodzili dziesiątą rocznicę pierwszego przyprowadzenia dziecka z drugiego przedszkola. W pierwszym Maciuś nie był długo, bo wyrzucono go za hakerstwo. Włamał się do komputera szefowej kuchni i wprowadził drobne zmiany w jadłospisie, dzięki którym jego grupa, „Maślaki”, przez dwa tygodnie jadła wyłącznie racuchy z czekoladą, a „Mrówki”, „Marchewki” i „Melatoninki” (grupa starszaków o wydłużonym czasie leżakowania) musiały się zadowolić bułką i zupą mleczną bez cukru.

Jeśli przyjmiemy, że człowiekiem sum, a ludzie uwielbiają jubileusze, to jeśli nic, co humanum nie jest mi obce, ergo powinienem też uwielbiać jubileusze, cogito.

Rok temu, 12.11.2010, nieoczekiwanie znalazłem się na pierwszym miejscu Listy Przebojów Programu Trzeciego. Stylizowana na warszawski folklor *Ballada o Baronie, Niedźwiedziu i Czarnej Helenie*, która była prezentem dla moich kolegów na jubileusz listy, spowodowała niemałe zamieszanie. „Notowanie 1502.” mam wydrukowane i oprawione w złotą ramkę. Carlos Santana na 5., Sting na 9., Phil Collins na 20. Ja na 1. Nie podejrzewam, żeby szybko coś takiego się powtórzyło, więc postanowiłem obejść sobie pierwszą rocznicę pierwszego miejsca. A obchodzę tak, że

napisałem ciąg dalszy tej opowieści. Nazywa się to *Czarna Helena po roku*, pewnie czytelniejsze będzie dla słuchaczy radiowej „Trójki”, bo tam, na korytarzach rozgłośni przy ulicy Myśliwieckiej, rozgrywa się akcja tej opowieści, ale mam nadzieję, że słuchacze innych stacji, nawet nie odczytując wszystkich aluzji, przynajmniej się uśmiechną.

Chociaż już dawno skończone żniwa,
Choć odleciały żurawie,
Czarna Helena nadal przebywa
Na Myśliwieckiej w Warszawie.
Hoduje sobie kwiatki w pokoju,
Interesuje sie dżinsem,
I nagle… Bach! Na liście przebojów
Wygrywa z Philem Collinsem.
Sukces nie zepsuł jej ani deczko
I nie zmieniła sie ona,
Nadal brutalnie, twardom piąsteczkom,
Trzyma jednego Barona.
I wielka sława też jej nie kusi,
Choć świat sie o niej dowiedział,
Bo wie, że przecież pilnować musi
Transcendentnego Niedźwiedzia.
I jeszcze paru takich, że rany,
Czarna Helena też niańczy,
Na przykład Hendryk wysportowany,
Co na rowerze zatańczy.
Albo też Wojtek, co gra muzyke
I językami on włada,
Który z postury z tamtem Hendrykiem

Na rower raczej nie wsiada.
Na Myśliwiecke spogląda z góry
I sie uśmiecha pod nosem
Baśka, co w niebie zagęszcza chmury
Zabranem stąd papierosem.
Czarna Helena będzie ostojom,
Świata pilnować będzie stąd,
A z kibicami, co sie jej bojom,
Może obalić każdy rząd.

15 listopada 2011

Dusza Kobusza

Największą zaletą mojego zawodu jest możliwość poznania ludzi, których raczej krępowałbym się zaczepić na ulicy, mówiąc: „Bardzo panią/pana lubię, możemy godzinkę porozmawiać?”. Natomiast to, że przychodzę do nich z mikrofonem, w sprawach zawodowych, powoduje, że kontaktem z nimi mogę „się napawać” również prywatnie. Jedną z takich osób, których znajomością „napawam się” od lat, jest Jan Kobuszewski. Gdybym powiedział, że z panem Jankiem byliśmy kiedyś razem na dyskotece w namiocie na plaży w Kołobrzegu, nikt mi nie uwierzy, ale tak było naprawdę. Kiedyś to opiszę dokładniej, na razie widok Jana Kobuszewskiego w miejscu, w którym wszyscy pląsają w rytm *Angel In The Night*, niech rozpala wyobraźnię tych, którzy takich podniet potrzebują.

Kilka dni temu w warszawskim teatrze Kwadrat odbył się benefis *Dusza Kobusza*. Świętowaliśmy 55 lat zawodowej kariery pana Janka. Znalazłem się w gronie osób, które wychodząc na scenę w togach, stając przy mównicy, miały poważnie przeanalizować wybrany fragment życia zawodowego Szanownego Jubilata. Oto fragmenty mojego wykładu:

JAN KOBUSZEWSKI – „TEATR MÓJ WIDZĘ WYSOKI”

Kolorowych jarmarków,
Blaszanych zegarków,
Pierzastych kogucików,
Baloników na druciku.
Motyli drewnianych,
Koników bujanych…

Któż z nas, przynajmniej raz w życiu nie zanucił tej piosenki? A z drugiej strony któż zastanowił się nad jej sensem i komu wpadło do głowy, że przynajmniej niektóre z tych pobudzających wyobraźnię zwrotów to opowieść o talencie aktorskim Jana Kobuszewskiego? Bo ileż to razy był dla nas, swojej ukochanej publiczności, pierzastym kogucikiem, motylem drewnianym czy konikiem bujanym? Człowiek, którego za pierwszym razem nie przyjęto do szkoły teatralnej z powodu zbyt okazałego wzrostu, od pięćdziesięciu pięciu lat udowadnia, że teatr swój widzi wysoki.

A kogóż mógł mieć na myśli Jan Chęciński, pisząc libretto do opery komicznej Stanisława Moniuszki *Verbum Nobile*, w arii Marcina umieszczając takie oto słowa:

Dam ci ptaszka, jakich mało, ziemski glob ci, panie, zna,
Ma on postać okazałą i wąsiki piękne ma?

Potwierdzeń wielkości talentu Szanownego Jubilata jest mnóstwo. Może być nim na przykład uwielbienie ludu, wyrażone w wierszu nieznanego autora, na który niedawno, zupełnie przypadkowo, trafiłem:

Ballada o szewcu z ronda Waszyngtona

Jest szewc przy rondzie Waszyngtona,
Zabawny, panie, niech ja skonam!

Klienci, panie, powiadają,
Wesoły, że buty spadają!
Zaśpiewa coś z Wesołej Wdówki,
To odklejają się zelówki.
I mówią, że ten zakład szewski
Prowadzi drugi Kobuszewski.…

Puenta tego prostego wiersza podsunęła mi pewną myśl. Dlaczego tak duży, dumny europejski naród ma mieć tylko jednego Jana Kobuszewskiego? Dlaczego nie wprowadzić funkcji Jana Kobuszewskiego w co poważniejszych instytucjach? Zacznijmy od Warszawy, ukochanego miasta Szanownego Jubilata: Jan Kobuszewski Uniwersytetu Warszawskiego, Jan Kobuszewski Centrum Nauki Kopernik, Jan Kobuszewski Stadionu Narodowego, Jan Kobuszewski Archidiecezji Warszawskiej…

A może tak na przykład… Za sto pięćdziesiąt lat:

Oczy zwrócone na Warszawę,
Warszawa w świetle reflektorów,
W teatrze Kwadrat trwa konklawe,
Konklawe warszawskich aktorów…
Warszawa dziś podszyta wiatrem,
Balkon teatru już otwarty,
I biały dym nad tym teatrem,
Wychodzi Jan XXIV…
I śpiewa
Gdy kina „Przyszłość” neon z trudem się zapala
I na portierni spać się kładzie nocny stróż…

12 grudnia 2011

Jarzębino czerwona

Dopadła mnie przykra myśl, że chyba na niczym się nie znam. Mimo że należę do grupy słabych narciarzy, a słabi narciarze znają się na wszystkim. Wystarczy posłuchać – w kolejce do wyciągu, na krzesełku, w restauracji na stoku:

– Wcale nie ratrakowali.

– Ratrakowali, ale wieczorem, a w nocy jeszcze śnieg padał, to tak jakby nie ratrakowali.

– Ale już nie będzie padało, bo wiatr jest i przepędzi te chmury. Słońce będzie. Tylko jak będzie nad chmurą, to może go nie być widać, ale jak chmura będzie nad słońcem, to będzie słońce.

– A w Austrii to i wiatr był, i słońca nie było, i cztery dni taka chmura była, ale tam ratrakowali.

– Teraz tutaj sami Polacy, to dlatego nie ratrakują. Jak na święta przyjadą Włosi, to na pewno będą ratrakowali.

Dla mniej zorientowanych – „ratrakowanie” to przygotowanie stoku, wygładzenie, wyrównanie powierzchni, równomierne rozprowadzenie śniegu… To znaczy tak mi się wydaje, bo chyba się nie znam. Na pewno „ratrakuje się”, używając ratraków. A co to są ratraki? Proszę sobie

sprawdzić w Internecie. Teraz pomyślałem, że mogłoby to być słowo przydatne w ćwiczeniach logopedycznych dla osób niewymawiających „r”:

Po powrocie do rezerwy,
Po rozruchach w Iraku,
Sierżant Ryszard, brat Minerwy,
Robił na ratraku.
Ryszard ryczał: „Z drogi, durnie!
Zaraz porozrywam garba!”.
Ruszał, rył tyrolskie turnie,
W przerwie gryzł rabarbar.
Raz rabarbar, a raz ser,
Ratrak tak mu zszargał nerwy,
Że już teraz głoskę „r”
Wymawia bez przerwy:
„Krór Karor kupił krórowej Karorinie korare kororu korarowego”.

Ale wróćmy do słabych narciarzy. Uważam, że ich wszechstronną wiedzę powinno się wykorzystać. Na pewno podpowiedzieliby, jak sobie poradzić z kryzysem w Europie. Być może ta odpowiedź ograniczałaby się do krótkiego: „Ratrakować!”, ale to i tak konkretniejsze od wszystkiego, co dotychczas ustalili liderzy krajów Unii Europejskiej. Dlaczego nikt nie wpadł na pomysł zaproszenia grupy słabych narciarzy na szczyt Merkel – Sarkozy? O! Na szczytach znają się jak mało kto! Słyszałem w telewizji, że dla ratowania europejskiej gospodarki wprowadzono „sześciopak”. Sądząc po oddechach wyczuwalnych w kabinie kolejki, słabi narciarze niejeden sześciopak mają już za sobą.

A jeśli chodzi o smutny wniosek, że chyba na niczym się nie znam – całe szczęście, że doszedłem do niego właśnie teraz. Jeszcze jest czas, żeby

się na czymś poznać, żeby to nadrobić. Zaczynam od spraw najistotniejszych.

W biografii księdza Jana Twardowskiego *Ksiądz Paradoks* jest fragment, w którym autorka opisuje przyjaźnie poety. Profesor Gustaw Wuttke, wybitny geograf i przyrodnik, chadzał z księdzem na spacery po lesie, uczył go nazw roślin i zwierząt…

„Czasem profesor zadawał księdzu pytania. Na przykład o rolę jarzębiny w życiu ptaków. Jeśli nie było odpowiedzi, martwił się:

– Jak ty sobie dasz radę w życiu? Przecież nawet na jarzębinie się nie znasz”.

Wziąłem sobie do serca przestrogę profesora Wuttke i już trzeci dzień siedzę w bibliotece. No i na przykład informacja, że to, co wszyscy popularnie nazywamy „jarzębiną”, to tylko „owoce pozorne” jarzębu pospolitego, pchnęła mnie do dopisania czwartej zwrotki popularnej piosenki o dziewczynie, która nie wie, czy ma wybrać dzielnego tokarza, czy kowala zucha, i o radę prosi jarzębinę czerwoną:

Jeden kusi władzą,
Drugi ma grunty orne,
Cóż mi więc poradzą
Owoce twe pozorne?
Jarzębino czerwona, gałązki pochyl swe,
Jarzębino czerwona, niech tokarz ciebie zje.

Bo jarzębina zawiera dużo witaminy P, a ta ma działanie przeciwobrzękowe.

19 grudnia 2011

Pszenica w bajmie

Jeden stwierdził, że „Wszystko jest poezją”, drugi dorzucił, że „Śpiewać każdy może”, i teraz ponosimy tego konsekwencje. Jeśli jeszcze mogę się zgodzić, żeby w święta każdy mógł sobie do woli pośpiewać, o tyle twórczość poetycka pod hasłem „Wszystko jest kolędą” czy „Szansa na pastorałkę” budzi mój zdecydowany sprzeciw.

Hej, hej, hej, sokoły,
Do stajenki, pod choinki, pod jemioły,
Hej, sokole! Opuść gniazdko!
Prowadź, betlejemska gwiazdko.

Z młodej piersi się wyrwało
W wielkim bólu i rozterce
I kolędę zaśpiewało
U wizytek na pasterce.

Tego typu repertuar to stały element spotkań świąteczno-imieninowych z wujkiem Adamem i ciocią Ewą.

W pewnym momencie zaczynają się ogólnorodzinne dyskusje.

– Dlaczego to niby Bajm śpiewa w telewizji *Gdy śliczna panna*? Co to, nie ma zespołów o bardziej kojarzących się ze świętami nazwach i podkreślających rodzinny charakter Bożego Narodzenia? A Bracia? A Sistars? A Brathanki? A Stare Dobre Małżeństwo?…

Lekko przebudzony dziadek Michał dorzuca:

– A Andrzej i Eliza? A Romuald i Roman?

W obronie Bajmu staje ciotka Marta, która przypomina, że na Lubelszczyźnie „bajm” to tradycyjne naczynie do przyrządzania kutii. Jest nawet taka ludowa piosenka:

Idzie Jasiek od dzwonnicy,
Ty Marysiu buzi daj mu,
A potem pszenicy
Dosypże do bajmu.

Marek, który właśnie habilituje się na uniwersytecie i rehabilituje po powrocie z nart, stara się podnieść wartość intelektualną życzeń, katując babcię sformułowaniami typu: „Zdrowia, szczęścia, pomyślności i mniej synkretyzmu w przyszłym roku”. Marek walczy o wzrost czytelnictwa w rodzinie i dlatego od lat każdemu wręcza książkę. Każdego roku inną, ale wszystkim tę samą. W tym roku pod choinką położył czternaście egzemplarzy historii miłości pięknej aktorki filmowej i wybitnego reżysera, pod jakże wymownym tytułem *Połączył ich pierwszy klaps*.

No dobrze, to teraz życzenia. Do tych moich zainspirował mnie napis, który zobaczyłem w osiedlowej aptece: „Superokazja świąteczna: Plastry dla całej rodziny!”. Życzę Państwu, żeby się nie przydały. Ani w święta, ani w całym nowym roku.

24 grudnia 2011

Za wesoło jest

Kolega lekarz, któremu powiedziałem, że mam pisać do „Gazety Lekarskiej”, zadał dwa pytania: – A ty się na tym znasz? I to będzie wesołe?

Gdybym pisał o czymś, na czym się znam, znaczyłoby, że idę na łatwiznę. A ja tak nie chcę. Chociaż medycyna nie jest czymś zupełnie mi obcym. Przez kilka lat pisywałem regularnie do pisma dla policji, a policzyłem, że na razie, statystycznie, mam częstszy kontakt ze służbą zdrowia niż z organami ścigania. O, proszę – już użyłem fachowego sformułowania – „organami”! Czyli się znam. A czy wesołe? Wiem, że niektórzy na siłę próbują udowadniać, że ludzkie niedomaganie może być czymś radosnym. Pamiętam, jakie wrażenie kilka lat temu zrobiła na mnie propozycja z pewnego programu telewizyjnego. Zadzwonił pan i powiedział, że właśnie uruchamiają nowy „projekt”, który polega na tym, że w każdym odcinku jakaś gwiazda, jakiś celebryta, opowiada o przebytej przez siebie chorobie, a fachowiec – lekarz wyjaśnia, na czym ta choroba polega, skąd się bierze, jak z nią walczyć, jak jej przeciwdziałać. Oczywiście, do przedsięwzięcia dorobiona była cała ideologia. Że to o poważnych sprawach, ale na wesoło, że niby rozrywka, ale jaka edukacja! Grzecznie odmówiłem, tłumacząc, że nie przeszedłem zbyt wielu chorób na tyle ciekawych, aby chcieć o nich opowiadać w telewizji. Ale wiem, że

program się odbył. Widziałem jeden odcinek, w którym znany piosenkarz pokazywał zdjęcie swojej endoprotezy i zaśpiewał przebój o parostatku. Nie wiem dokładnie, jaki był klucz doboru piosenki ilustrującej opowieść o endoprotezie, bo z programu wynikało, że nie ma jej w związku z parostatkiem, ale być może po prostu nie miał w swoim repertuarze wystarczająco wesołej piosenki o wypadku samochodowym.

Teraz żałuję, że się nie zgodziłem. Minęło trochę czasu i zauważam, że zaczyna się u mnie pojawiać coraz więcej dolegliwości, o których na pewno z przyjemnością usłyszałoby wielu telewidzów. Zwłaszcza ci, którzy za mną nie przepadają.

Może Światowa Organizacja Zdrowia powinna opublikować „S-BI”, czyli „Show-Business Illness” – wykaz chorób, którymi celebryci mogliby się chwalić w telewizji i kolorowej prasie? Lekarze braliby wtedy udział w regulowaniu tego rynku, bo wiadomo, że jeśli ktoś opowiada o banalnym zapaleniu migdałków, to albo początkująca gwiazda, albo już się kończy. Przypadłości o najciekawszych nazwach i mające swoje źródło w naprawdę hulaszczym trybie życia byłyby zarezerwowane dla tych na topie, a publikowane w Internecie zestawienia „Kto ma co?” wywoływałyby natychmiast dyskusje na forach internetowych pod hasłem „Kto ma co od kogo?”. Przepraszam, to dopiero początek naszej znajomości, a już mnie poniosło w zbyt odważne żarty. Ale poniosło mnie, bo sobie przypomniałem tamtą propozycję telewizyjną i pomyślałem, że to tylko kwestia czasu, a na pewno ktoś wymyśli coś jeszcze odważniejszego.

A tak w ogóle to za wesoło jest. W książce, w podpisie do zdjęcia, na którym uwieczniona została rodzina pewnego poety, o jego babci napisano: „A usta ułożyły się jej w podkówkę charakterystyczną dla ludzi, którzy zapomnieli włożyć sztuczną szczękę”. Odnoszę wrażenie, że wokół, zwłaszcza w telewizji, coraz więcej jest takich, których usta układają się w

uśmiech charakterystyczny dla ludzi, którzy włożyli sztuczną szczękę, zapominając, że już tam jest jedna. Też sztuczna. Uśmiechają się do mnie za często i zupełnie bez powodu.

Za wesoło jest. Idę ja sobie kiedyś ulicą Floriańską w Krakowie, a od strony rynku zbliża się do mnie demonstracja. Zdaje się, że to jakaś szlachetna akcja, słuszny wyraz sprzeciwu wobec łamania praw chorych – tego dotyczyły hasła na transparentach. Na jednym zobaczyłem napis: „Stowarzyszenie Wesoły Diabetyk”. Rozumiem szlachetną intencję – chodzi o to, żeby diabetykowi, mimo różnych problemów, z którymi codziennie się boryka, żyło się radośnie. Ale czy my nie nadużywamy przymiotnika „wesoły” i jemu podobnych? Mam nadzieję, że to się nie przeniesie na całe środowisko medyczne. Nie wiem, czy chciałbym się leczyć w przychodni, w której przyjmują: „żartobliwy ortopeda”, „jowialny dermatolog” czy „psotny okulista”.

No, za wesoło jest. Spróbuję, żeby przynajmniej tutaj, w moich tekstach, nie było za wesoło. Wesołych Świąt!

Grudzień 2011 („Gazeta Lekarska”)

W kwiecie wieku

Mam kolejną zdobycz z kategorii „Zastosowanie przymiotnika »wesoły«”. Do „Zajęć plastycznych dla dzieci – Klub Wesołego Pędzelka” i „Stowarzyszenia Wesoły Diabetyk” dołączam wypatrzone gdzieś pod Warszawą „Przedszkole Wesoły Tygrysek”. Mignął mi tylko przed oczami baner reklamujący taką placówkę edukacyjną, ale nie zdziwiłoby mnie, gdyby reklamowała się hasłem „Przedszkole Wesoły Tygrysek wychowa Twoje dziecko na prawdziwego Lwa Podstawówki, a może nawet Szakala Gimnazjum”.

Ciekaw jestem, czy miałby ktoś na tyle odwagi, żeby zaeksperymentować i w nazwie przedszkola użyć przymiotnika „smutny”? „Przedszkole Smutny Wilk”? To też bohater wielu bajek – zazwyczaj kończyły się dla niego rozpruwaniem brzucha (*Czerwony Kapturek*, *O wilku i siedmiu koźlątkach*), więc wielu powodów do radości nie miał. Albo inne określenie: „Przedszkole Przerażona Koza” (ta z bajki o koźlątkach, kiedy przyszła i nie zastała małych, na pewno się przeraziła). I jaki byłby efekt marketingowy wprowadzenia takich nazw? Oj, już ja nie widzę tych kolejek rodziców, ustawiających się nocą pod przedszkolem, żeby zdobyć miejsce dla swojej pociechy.

Chociaż pomysł nie jest całkiem absurdalny. Powinna istnieć jakaś struktura edukacyjna delikatnie, bez pośpiechu, ale jednak wprowadzająca maluchy w świat realny, tłumacząca im, że nie wszystko w życiu jest takie skoczne, radosne i przyjazne. Ktoś zaraz powie – same się kiedyś dowiedzą. Owszem, ale gdyby były do tego odpowiednio przygotowane, może łatwiej by to znosiły. Dlatego postuluję powoływanie placówek, które miałyby wprowadzać elementy zimnego chowu w cieplarnianych warunkach. Na przykład raz w tygodniu przedszkolaki z „Wesołego Tygryska” miałyby obowiązkowe zajęcia w „Przerażonej Kozie”, w czasie których dowiadywałyby się, dlaczego „Stary niedźwiedź mocno śpi”.

À propos! W związku z przekroczeniem pewnego życiowego progu, otrzymałem ostatnio sporo życzeń. Niektóre zawierały w sobie element pocieszenia. Na przykład kilka osób powiedziało mi, że teraz jestem „Mężczyzną w kwiecie wieku”. Ale żadna nie miała odwagi powiedzieć, o jaki konkretnie kwiat chodzi. Zacząłem się sobie uważnie pod tym kątem przyglądać, i:

Patrzę na swoje dwa odnóża,
Jedno tulipan, drugie róża,
I choć się o tym pisać wstydzę,
Anturium także w sobie widzę,
Skutkiem przebytej świeżo grypy
Klatka piersiowa to kwiat lipy,
Goździk wystaje mi spod płaszcza,
Na wysokości ust lwia paszcza,
I coraz większy bez nad czołem,
A w mózgu – fiołek.
Choć krztyny żalu we mnie nie ma,
Są na mnie znaki, że czas mija,

Jeszcze to nie jest chryzantema,
Już dawno nie jest to lelija,
Na szyi ślady po kaczeńcu,
W oczach – po niezabudkach drobnych,
Jeszcze to nie jest Wyrób Wieńców,
A już nie Szkółka Roślin Ozdobnych…

Poszperałem w publikacjach fachowych i dowiedziałem się, że: „Najstarsze znane skamieniałości kwiatu odkryto w północnych Chinach… Znalezisko pochodzi sprzed 125 milionów lat, z okresu kredy. Sugeruje, że być może ówczesne rośliny zakwitały w wodzie. Kwiat, o którym mowa, miał około pół metra wysokości i wystawał nieco ponad powierzchnię wody. Jego nasiona prawdopodobnie były roznoszone przez wodę i kiełkowały na płyciznach…”. No to jeśli tak, to:

Jeszcze nie stary, już nie młody,
Wystaję nad powierzchnię wody,
Hej, w kwiecie wieku jam mężczyzna!
Czasem kiełkuję na płyciznach,
Niektórzy mają mnie za zgreda,
Ale to jeszcze nie jest kreda!
Choć czółko już miejscami łyse,
Wesoły! Bywa, że Tygrysek!

3 stycznia 2012

Żałuj, Marleno

odc. 8

Dzień czterdziestu siedmiu porwanych bawarskich arystokratek niewiele różnił się od tego, który przeżywały na wolności. Zaraz po przebudzeniu zaczynały się malować i nacierać wonnościami, po południu przez chwilę czytały, i to właściwie wszystko. Oczywiście nie robiły tego same. Koniuszek zdawał sobie sprawę z tego, kogo porywa, i że utrzymanie więzionych w dobrym stanie jest ponad możliwości jednego człowieka. Zaraz po porwaniu baronowej, księżnej czy grafini wracał więc do pałacu, dokradał trochę biblioteki i kosmetyków oraz doporywał służącą. Czterdzieści siedem służących zajmowało drugą izbę leśnej chaty. Taką samą w wielkości, ale bez okna i innych wygód.

Dramat zaczynał się wieczorem. Arystokratki pozbawione pałacowych czy sanatoryjnych rozrywek, w tym towarzystwa adoratorów (zwłaszcza porucznika Katapultowa), rozklejały się i zaczynały śpiewać rzewne piosenki w stylu:

W izbie zaniedbanej chatki
Krwawią nasze czułe dusze,

Wszystkieśmy arystokratki,
Wszystkie porwał nas Koniuszek…

Baronową Marlene von Kopf bis Fuss denerwowały te lamenty. Była kobietą czynu i od pierwszej chwili, kiedy tylko uświadomiła sobie, że to nie ratunek, a uwięzienie, szukała sposobu, jak się stąd wyrwać. Zwróciła uwagę na stojącą w kącie przystojną kobietę. Też nie uczestniczyła w tych żałosnych zawodzeniach…

Gorzko z tego pić kielicha,
Patrząc w jego oczy rybie,
Bo Koniuszek na cześć czyha
Lub przynajmniej dybie…

– A któraś z was ma jeszcze chociaż resztkę czci? – wyrwało się w myśli baronowej von Kopf bis Fuss. Sformułowanie „resztka czci” przypomniało jej kołysankę, którą nad łóżeczkiem śpiewała niania, wyrzucona potem za nieprzyzwoite treści przemycane w kołysankach:

Resztka czci w powodzi grzechu,
Wróble się nie boją stracha,
Jedzie, jedzie szwadron Czechów,
Czym ja im pomacham?

Baronowa ponownie przyjrzała się tamtej kobiecie. Właściwie niczym się nie wyróżniała. Gdyby nie kruczoczarne włosy, ciemna karnacja i wielokolorowa suknia, gdyby nie to, że mówiąc świetnie po bawarsku, do każdego słowa dodawała końcówkę „os”, nikt by się nie zorientował, że nie pochodzi stąd. Nazywała się Isabel Gonzalez Clemente, a historię jej życia można opisywać w księgach.

Urodziła się w biednej, rzemieślniczej rodzinie, w hiszpańskim Toledo. Wtedy jeszcze nazywała się po prostu Francisca Carrillo. Razem z pierwszym mężem, który zmarł tuż przed ślubem, ale ona sama przysięgła mu miłość, wierność i uczciwość małżeńską, i że go nie opuści, prowadziła przy Calle de Canos de Oro, pod numerem 7, mały warsztat produkujący noże. Była pierwszą kobietą specjalizującą się w tym fachu. Wyjątkowo zdolną. Opracowała chemiczną metodę kopiowania na ostrzach noży dzieł sztuki. I to właśnie dzięki tej umiejętności trafiła w wyższe sfery. Za wykonanie kompletu noży do ryb z ostrzami, na których widniały kopie obrazów El Greca, arcybiskup Toledo załatwił na królewskim dworze tytuł arystokratyczny dla tej biednej, owdowiałej jeszcze przed ślubem kobiety. Zmieniła nazwisko, otrzymała herb (lis obwąchujący krzak malin) i zaczęła nowe życie. Niestety, sielanka nie trwała długo. Isabel została jedną z ofiar przemocy gramatycznej, z której w tamtych czasach słynęło Toledo. Grupki chuliganów, inspirowanych przez nacjonalistyczne władze, niszczyły osoby, które odmieniały nazwę miasta. A Isabel odważnie mówiła „o moralnej biedzie w Toledzie", że „rządy zgredów szkodzą Toledu". Postąpili z nią strasznie. Wywieźli na taczce gnoju aż za wieś Lipce, oddaloną o prawie trzy tysiące kilometrów. Wieźli ponad pół roku, po czym zostawili na rozstaju dróg z kąśliwym komentarzem: „Stąd do Toleda wrócić się nie da".

Te przeżycia tylko wzmocniły Isabel. Wstała, oczyściła się trochę i ruszyła w drogę powrotną. W Bawarii znalazła prawdziwą miłość – przejeżdżał drogą baron Heinrich von Lipstick, więc została jego żoną.

– Zrobisz z grzebienia nóż? – spytała szeptem baronowa von Kopf bis Fuss.

– Jakos jestos twardos to się udos. – Na twarzy Isabel Gonzalez Clemente pojawił się tajemniczy uśmiech, na twarzy baronowej Marlene –

wyraz zakłopotania. Dopiero po godzinie dotarło do niej, że Isabel powiedziała: „Jak jest twardy, to się uda”.

30 stycznia 2012

Poezja Opadających Powiek

Określenie „zmęczenie twórcze” można rozumieć na różne sposoby. Może dotyczyć artysty, który pracuje w pośpiechu, pod presją, bez chwili odpoczynku, w związku z czym produkuje dzieła wątpliwej jakości. Ma w ciągu dwóch dni napisać dwanaście piosenek o miłości na nową płytę zespołu „Dalej Nie Idę”. Wiadomo, że refren dziesiątej będzie wyglądał mniej więcej tak:

> To już, popatrz kochanie,
> Nasza miłość dziesiąta,
> Żyliśmy w bałaganie…
> Ona posprząta.

Ale „zmęczenie twórcze” może też oznaczać taki rodzaj zmęczenia, które jest twórcze, czyli jest zaczynem czegoś, co w stanie wypoczęcia by nie powstało. I właśnie niedawno byłem świadkiem takiego. Kolega próbował nakłonić do snu swoją małą córeczkę. Zaśpiewał kołysankę – nic. Przeczytał wszystkie drukowane bajki – nic. Sam zasypiał – córeczka budziła go słodkim:

– Tatusiu, wymyśl bajkę!

Nasza kilkuosobowa grupka, z żoną tego nieszczęśnika na czele, zbliżyła się do uchylonych drzwi dziecięcego pokoju. Usłyszeliśmy słaby głos krańcowo wycieńczonego kolegi. Opowiadał wymyśloną przez siebie bajkę:

– Dawno, dawno temu, tu gdzie teraz jest Chomiczówka, mieszkała rodzina Chomiczków. Mama Chomiczka, tatuś Chomiczek i córeczka Chomiczka. Któregoś dnia córeczka Chomiczka zapytała tatusia: „A dlaczego to, gdzie my mieszkamy, nazywa się Chomiczówka?”. Tatuś odpowiedział, że dawno, dawno temu mieszkał tutaj pewien sprytny kogucik, który zbierał ziarenka i zakopywał je w ziemi, czyli je chomikował. Na pamiątkę tego chomikowania ziemię, w której zakopywał ziarenka, nazwano Chomiczówką. Małej Chomiczce spodobała się ta historia, postanowiła też zostawić po sobie jakąś pamiątkę. Zbierała ziarenka, zakopywała je w ziemi. I tam teraz jest Okęcie…”.

Po tych słowach rozległ się głośny chrap tatusia. Dziecko już nie prosiło o kolejną bajkę, ale nie zasnęło do rana, leżąc z szeroko otwartymi ustami. Następnego dnia, w przedszkolu, było osowiałe i z nikim nie chciało rozmawiać. My, dorośli świadkowie tego zdarzenia, też długo nie mogliśmy się otrząsnąć po tym, co usłyszeliśmy. „Zmęczenie twórcze”. Wypoczęty by tego nie wymyślił.

Do niedawna byłem z siebie dumny. Doszedłem do wniosku, że udało mi się wspiąć na wyżyny planowanego kiczu w kolejnych odcinkach *Żałuj, Marleno* – historii życia bawarskiej baronowej. Spokorniałem, kiedy w książce Magdaleny Samozwaniec *Z pamiętnika niemłodej już mężatki* trafiłem na fragment opisu pewnego filmu, który autorka zobaczyła w Paryżu: „…była to historia chłopca, który kocha młodziutką dziewczynę, a nie mając pieniędzy, by się z nią ożenić, wyjeżdża do Paryża i tam podrywa… bogate staruszki. Historia kończy się tragicznie, bo kiedy

młodzieniec zebrał już odpowiednią sumę pieniędzy i wraca, by ożenić się z ukochaną, to ta oznajmia mu, że są bardzo bogaci. Jej babcia wygrała na loterii i ofiarowała jej duży posag. Nie zostają oni bogaci ani małżeństwem, gdyż w babci ukochanej chłopiec rozpoznaje swoją ostatnią staruszkę, której notabene ukradł złoty medalion, by dać go dziewczynie. Chłopiec popełnia samobójstwo, zażywając proszki nasenne, a babcia, idąc za trumną, szepce rozpaczliwie:

– Dlaczego to zrobiłeś, przecież mogliśmy być tacy szczęśliwi!!”.

No przepraszam, ale coś takiego musiał wymyślić ktoś, kto po trzech nieprzespanych osobiście nocach i czterogodzinnym treningu wioślarskim próbował ułożyć do snu sześcioro wychowywanych bezstresowo dzieci, będących akurat w trakcie kinderbalu.

15 lutego 2012

Dwa zupełnie ze sobą niezwiązane tematy w jednym tekście, bo kto mi zabroni?

Pan rzecznik policji, kiedy informuje społeczeństwo o schwytaniu sprawców jakiegoś przestępstwa, często używa określenia: „Były to osoby dobrze znane policji”. Czyli jak?

– Cześć, Policja!

– O, cześć „Zakapior”, co tam u siostry?

– Jutro wpadnie do ciebie na komendę, przyniesie trochę grzybów, bo nazbierała.

Bo jeżeli „Zakapior” jest dobrze znany policji, to i jego siostra chyba też? No dobrze, wiem, że „dobrze znany” to nie to samo, co „dobry znajomy”, jak zwykle czepiam się słów.

Ale ciekawi mnie na przykład, czy jeżeli osoba „jest dobrze znana policji”, to również „policja jest dobrze znana” tej osobie? Bo może dlatego bywa tak, że mimo tej znajomości, przepraszam – „znaności”, osoba znana jest dość długo poszukiwana. A powinno to być dużo prostsze. Na pewno policja ma numer tej osoby w swojej książce telefonicznej.

– Cześć, „Zakapior”, to ciebie szukam?

– Nie, no co ty, Policja? Pewnie jakiejś innej dobrze ci znanej osoby, ja w czwartek spędzałem wieczór w towarzystwie osób niedobrze ci znanych, ale jak chcesz, to was ze sobą poznam.

– To może innym razem, bo teraz jestem w toku przeprowadzanych czynności śledczych. A swoją drogą, skąd wiesz, że chodzi mi o czwartek?

– Już ja cię dobrze znam, Policja.

– No to na razie, będę jeszcze dzwoniła.

Zmiana tematu. Myślałem, że już wyrosłem z zainteresowania takimi wydawnictwami, ale okazuje się, że nie całkiem. Zobaczyłem na stacji benzynowej. Na zdjęciu atrakcyjne ciało w stroju kąpielowym i napis: „Jędrne pośladki, o jakich marzysz”. Stojąc obok regału z czasopismami, przeglądając na zmianę miesięcznik „Perły Muzyki Klasycznej” i kwartalnik „Zwycięskie Batalie”, odczekałem, aż ze stacji wyjdzie wycieczka szkolna. Przecież nie narażę się na szczeniackie komentarze typu:

– Patrzcie! Facet z telewizji kupuje „Jędrne pośladki, o jakich marzysz”!

Wyszli. Odłożyłem „Perły” i „Batalie”, chwyciłem „Pośladki”, zgarnąłem z półki sześć batonów, żeby przed sprzedawcą zakryć nimi tytuł, uchylając tylko kod kreskowy, zapłaciłem gotówką, żeby nie zostawiać żadnych śladów tej transakcji, rozpakowałem batona, żeby nikt z obsługi nie pomyślał, że bardziej interesuje mnie ta gazetka, spokojnie wsiadłem do samochodu i z piskiem opon odjechałem ze stacji. Właściwie nie całkiem odjechałem. Schowałem się za myjnią. Zerwałem folię i… Baton ugrzązł mi w przełyku. To jest zestaw ćwiczeń! „Jędrne pośladki, o jakich marzysz”? Czyli komuś wpadło do głowy, że mogę marzyć o s w o i c h jędrnych pośladkach? Dewianci! Z tych nerwów na następnej stacji dokupiłem batonów! Przepraszam, ktoś może dojść do wniosku, że to jest

tekst o d… Maryni. No właśnie nie! Nie Maryni. Ta Maryni być może byłaby jędrna.

21 lutego 2012

Złota Blaga 2012

Wśród tysięcy rankingów ogłaszanych przez setki gazet, portali, stacji radiowych i telewizyjnych brakuje mi jednego. Na najbardziej fałszywy zawód świata. Gala Złota Blaga 2012, wręczanie statuetek (złota laga w kształcie litery B), transmisja w telewizji, łzy wzruszenia laureata i podziękowania dla rodziny, która zawsze wspierała go i mobilizowała do rozwijania swojego talentu. W części artystycznej piosenkarz, który otrzymał Diamentową Blagę za całokształt twórczości, a zwłaszcza za wmówienie swoim dotychczasowym pięciu żonom, że ślubuje im wierność i że ich nie opuści aż do śmierci, odśpiewa *Czy te oczy mogą kłamać?*, szczególnie mocno akcentując wyraz „chyba” we fragmencie tekstu „chyba nie”.

Domyślam się, jakie mogłyby być nominacje. Na pewno wielu za najbardziej fałszywy zawód świata uznałoby politykę. A ja mam inną propozycję. Poeta. Potrafi kłamać jak nikt.

W książce *Broniewski – miłość, wódka, polityka* często pojawiają się opisy sercowych zawirowań tego wybitnego poety. Jest na przykład opowieść o tym, jak odrzucony przez swoją kuzynkę Halszkę, zraniony nieodwzajemnieniem uczuć, ruszył odreagować „w miasto”: „…poszedł na wódkę i dziwki. Kupił spotkanym na ulicy dziewczynom bukiet róż, potem

pili wódkę w jakiejś dorożkarskiej knajpie i tańczyli na ulicy. »Wreszcie z jedną z nich popełniłem pospieszne cudzołóstwo na ławce w Alejach Ujazdowskich« – zanotował.

W liście wysłanym następnego dnia do Halszki przedstawił wszystko zdecydowanie bardziej romantycznie. Pisał o samotnej włóczędze bez świadomości, jękliwym dźwięku skrzypiec, który mu towarzyszył, morfinie, którą zażył, by zapomnieć… »Sekunda bezmiernego żalu i głupia, ciężka, męska, łza. Skrzypce załkały i zamilkły…« – pisał, dziękując za pocałunki (»które mi się należały«) i dobroć (»której nie jestem wart«)".

No, to już ja sobie wyobrażam, co wcześniej robił taki Juliusz Słowacki, jeśli następnego dnia rano napisał:

Dzisiaj samotny – dzisiaj bez nadziei
Błądząc po skałach… wszystkie moje smutki
Zbiegły się razem do białej stokrotki,
Co była siostrą stokrotek w alei.
Rwałem ją… listki leciały w błękicie
Aż na jezioro, ze skały, gdziem siedział,
I wiesz, co listek ostatni powiedział?
Luba, że jeszcze kochasz mnie nad życie.

Taaa… Rwał stokrotki… Listki leciały w błękicie… Zaraz! A może to nie jest kwestia wykonywanego zawodu, tylko płci? Zajrzałem do tomiku Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej:

Gąsienica
zwija się i klęczy
na dzikim winem obrosłej poręczy.
Przez twardym włosem zjeżone obręcze własnego ciała

przepycha się, przemyca
z trudu zzieleniała…

Że co? Że w chwili rozpaczy poszła oglądać gąsienice? Sprawdziłem u Konopnickiej. Jeszcze ostrzej:

Wyszedł żuczek na słoneczko
W zielonym płaszczyku.
Nie bierzże mnie za skrzydełka,
Miły mój chłopczyku.

Jękliwe skrzypce, stokrotki, gąsienice, żuczki w zielonych płaszczykach. Fałsz! Obłuda! Blaga!

Z drugiej jednak strony, poeci powinni wygrywać w plebiscycie na najszczerszy zawód świata. Przecież Broniewski mógł nie notować tego, jak spędził noc po odrzuceniu przez Halszkę. Większość znanych mi lekarzy, nauczycieli, ślusarzy, deweloperów nie zapisuje takich wyznań. Nawet w telefonie komórkowym imienia poznanej właśnie dziewczyny nie wpiszą wprost, tylko ukryją pod kryptonimem „Serwis pralek Magdalenka”. Broniewski, gdyby wtedy miał telefon komórkowy, na pewno pod numerem wpisałby coś w stylu: „Ziuta – wódka w knajpie dorożkarskiej i szybka ławka w Alejach”. Tylko poeci naprawdę szczerze potrafią napisać o sobie. Ot, na przykład Gałczyński w *Śmierci poety*:

Po co dziewki uwodził,
nocą domy nachodził,
sen rwąc dzieciątek;
i po co „Pod Zegarem”
lał w brzucho wino stare
świątek i piątek?

Czyli, że jakie wnioski? Żadnych. Niech piszą jak chcą. Szczerze, nieszczerze, ale jak najpiękniej. A odbiorca niech sobie interpretuje jak chce, ale niech nie przesadza z czytaniem między wierszami, bo w końcu każdy poemat będzie wyglądał mniej więcej tak:

Szloch mego smutku i żalu ułuda
(No to wiadomo, że po prostu wóda).
Ja tu nad Wisłą, ty gdzieś tam, nad Wołgą
(Czyli że poszedł do salonu Go-Go).
Koncert tęsknoty na skrzypce i fagot
(Czyli dwie rude tańczą przed nim nago).
Błękitu listek o mnie ci opowie
(Bił się z ochroniarzem, obudził się w rowie).

7 marca 2012

Przychodzi Maria Skłodowska-Curie do lekarza…

…a lekarz mówi: – Miło, że pani przyszła, jestem bardzo rad.

Teraz powinienem zrobić długą przerwę na reakcję. I raczej nie spodziewam się wybuchu śmiechu, tylko serii pytań, od krótkich: „Co?” po bardziej rozbudowane: „Czego on się najadł?”. Przyznaję, to ja wymyśliłem ten „żart”, chciałbym się z niego wyspowiadać i obiecać poprawę. Ale mam coś na swoje usprawiedliwienie. Otóż na chwilę przed wyjściem na scenę zorientowałem się, że to akademia ku czci, że wszyscy mówią wyłącznie o Marii Skłodowskiej-Curie. A ja co? Wyjdę i zaśpiewam „Piłem w Spale, spałem w Pile”? I wmówię ludziom, że bohaterem tej piosenki jest daleki krewny Piotra Curie?

Wymóg aktualności, „bycia à propos”, „podwiązania się” pod jakiś temat prowadzi człowieka na manowce. Że też spóźniłem się z tym żartem o Skłodowskiej u lekarza! Przecież gdybym wymyślił to rok wcześniej, objeździłbym wszystkie wsie i miasteczka z programem „Rad nierad, czyli wieczór żartów na rok Marii Skłodowskiej-Curie”. Zresztą ten jeden „à propos” wystarczyłby na całość programu – reszta mogłaby dotyczyć dowolnych tematów. Wystarczyłoby powiedzieć: „Wszyscy przecież wiemy, że nasza wielka noblistka była kobietą z dużym poczuciem humoru i na pewno rozbawiłby ją dowcip o tym, jak facet łowi ryby i nagle wychyla się żabka…”. Jeśli jeszcze na finał zaśpiewałoby się jakąś piosenkę, w której pojawia się imię Maria (choćby przedwojenny przebój: „Z tą Marysią

to pociecha, zawsze do mnie się uśmiecha, zawsze mignie oczkiem, zawsze kręci boczkiem, że aż hej!”), to już można liczyć na międzynarodowe dotacje. Piosenka zresztą jest do wykorzystania jako finał w czasie programu na rok: Dąbrowskiej, Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, Konopnickiej. Na rok Szymborskiej wystarczy lekka przeróbka („Z tą Wisławką to pociecha…”) i też zadziała.

Że sobie zmyślam? Tylko trochę. Na przykład w roku Miłosza odbył się wieczór kabaretowy pod tytułem *Miłosz ci wszystko wybaczy*. To może jakieś pomysły na ten rok? Rok Kraszewskiego? Ot, na przykład „I Ogólnopolski Festiwal Kra Szewski”, czyli zawody rzemieślników naprawiających obuwie w naśladowaniu dźwięków wydawanych przez ptaki. Albo wyścigi „Starych Baś”, czyli oswojonych wiewiórek w podeszłym wieku.

Jeszcze pomysł na scenografię: centralnie powinien wisieć portret patrona roku, jeśli to program rozrywkowy, to na portrecie musi się znajdować jakiś żartobliwy element. Na przykład Kraszewski ze starą wiewiórką, stylizowany na *Damę z łasiczką*, albo Miłosz grający na trąbce. Proszę nie pytać, dlaczego. Bo tak samo nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, skąd mi się wziął pomysł na dowcip o Skłodowskiej u lekarza, który był bardzo rad.

Pod portretem motto. To może być cytat z bohatera widowiska. Ale najlepiej taki, którym można obskoczyć parę lat. Weźmy z Kraszewskiego: „Nie ma miłości, gdzie są tajemnice” – jak ulał pasuje do roku Miłosza, Konopnickiej i wielu innych. Gdyby ktoś chciał bardzo oryginalnie – proponuję swoje. Kiedyś, w jakimś wywiadzie, powiedziałem mniej więcej coś takiego: „Jak się człowiek za bardzo szczerzy do życia, to w końcu od tego życia może dostać w zęby”. Wiem, że zaczęło to funkcjonować w obiegu publicznym, a niedawno do mnie wróciło. Pan dziennikarz

przeprowadzając ze mną wywiad do gazety, powiedział (naprawdę tego nie zmyśliłem): „Czytałem kiedyś cytowane pańskie słowa, że: »Żyje się tak, jak się szczerzy do życia zęby«”. Uważam, że to bardziej intrygujące od mojego oryginału i idealnie pasuje jako motto roku Prusa, Żeromskiego, Sienkiewicza…

15 marca 2012

„A płuca sprawdziłeś?”

Taki napis widziałem na plakacie, który wisiał w Ośrodku Zdrowia w Solinie. Pamiętam z dzieciństwa. Atrakcyjna kobieta i przystojny mężczyzna, ich wargi już prawie się złączyły w namiętnym pocałunku, i wtedy ona rzuca to zasadnicze pytanie. Oczywiście, w główce ciekawskiego dziesięciolatka, zmierzającego szybko w stronę kilkunastolectwa… Przepraszam, głupi wyraz wymyśliłem, nie brzmi najlepiej, użyjmy innego… W główce ciekawskiego dziesięciolatka, zmierzającego szybko w stronę kilkunastoletniości drogą wyznaczaną hormonami, pojawiło się natychmiast pytanie: „I co było dalej?”. Jakoś nie przypuszczam, żeby ta para zrezygnowała z pocałunku i zdecydowała, że ciąg dalszy nastąpi dopiero wtedy, kiedy on przyniesie zdjęcie rentgenowskie i wyniki konsultacji pulmonologicznej. Zresztą nawet nie znałem takiego słowa, nie miałem pojęcia, że poza „lekarz” istnieje jeszcze jakiś „pulmonolog”. Wiedziałem, że jest lekarz, jest dentysta, a w Lesku jest pediatra.

Od tego czasu, ile razy widziałem w telewizji komunistycznych dygnitarzy, którzy wpijali się sobie w usta podczas powitań na lotniskach, zastanawiałem się, czy oni płuca sprawdzili? Przywódca Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Erich Honecker, był pod tym względem chyba

najodważniejszy – całował bez opamiętania. No, chyba że w ten sposób wyrażał swoje bezgraniczne zaufanie do zagranicznych przyjaciół?

Był też taki plakat, na którym ona mówi do niego: „Z pijanym nie tańczę”. Już wtedy pojawiały się złośliwe dopiski: „Na trzeźwo bym nie poprosił”. Chociaż może to nie była złośliwość? Może to forma samoobrony mężczyzn? Bo proszę zauważyć – to facet był podejrzewany o chorobę płuc, którą chce zarazić (na szczęście ostrożną) kobietę. To facet był pijany i rwał się do tańca. Nie pamiętam z tamtych lat żadnego plakatu prozdrowotnego, którego negatywną bohaterką byłaby kobieta.

Temat plakatów wywołał we mnie smutną refleksję o zanikaniu tradycji redagowania gazetek ściennych w przychodniach i szpitalach. Jeszcze gdzieniegdzie są, ale z moich obserwacji wynika, że stają się one wyłącznie tablicami ogłoszeń. A wolałbym, żeby tak jak dawniej były formą działalności artystycznej, wywoływały emocje, zmuszały do myślenia. Wiem, że w dobie Internetu i specjalnych kanałów telewizyjnych poświęconych zdrowiu coraz trudniej namówić ludzi, żeby raz w tygodniu zajrzeli do pobliskiej przychodni i zobaczyli, co nowego na gazetce. Trudno sobie wyobrazić, że gdzieś pod osiedlowym sklepem usłyszy się:

– Pani Kaczanowska, pani szybko biegnie do przychodni. Wywiesili rewelacyjny komiks o półpaścu i szósty odcinek pamiętników naszej dentystki *Szczerze się szczerzę*, pod tytułem *Kły w kształcie serca*.

Ale wierzę, że można. Należy tylko zadbać, żeby gazetki miały charakter indywidualny, niepowtarzalny i twórczy.

Co stoi na przeszkodzie, żeby każda miała swój tytuł? Służę przykładami: „Kurier Dermatologii”, „IEI, czyli Ilustrowany Ekspres Interny”, „Dzień Dobry, Tu Proktologia”, „Życie Patomorfologii”…

Żeby co tydzień był ogłaszany konkurs na najładniej wypisaną receptę, w którym najstaranniejszy lekarz wygrywa długopis ze zdjęciem i

autografem dyrektora regionalnego oddziału Narodowego Funduszu Zdrowia. Pacjenci mogliby pisać kuplety na melodię *Felek Zdankiewicz to chłopak morowy*. O, i przy okazji, w kąciku historycznym, można by wyjaśnić, co to było „powietrze morowe”. A kuplety, wzorem dawnych piosenek kolonijnych, powinny się zaczynać od słów „A nasz” lub „A nasza”, co jeszcze bardziej podkreślałoby przywiązanie pacjentów do służby zdrowia. Przykład:

A nasz ortopeda,
Chociaż chłopak dziarski,
Rady sobie nie da,
Bo sezon narciarski,
Dlatego w wanienkach
Gipsu mu donasza
Salowa Helenka,
Która też „a nasza”!
Ojra, tarira ojra…

Konkurs rysunkowy na autoportret pielęgniarki „W czepku urodzona”, reportaż o ordynatorze neurologii, który w wolnym czasie wykonuje witraże na bezcieniowe lampy operacyjne.

I jeszcze jedno. Koniecznie wszystkie gazetki powinny mieć kącik, w którym publikowane byłyby komiksy, opisujące ciąg dalszy historii z plakatów sprzed kilkudziesięciu lat. Na przykład, że ten od płuc zrobił badania, ale nie znalazł już tamtej dziewczyny, bo zgubił gdzieś karteczkę z adresem, a telefonu nie miała. Z rozpaczy zaczął pić. Aż którejś nocy wypatrzył ją na dansingu, kiedy odmawiała tańca jakiemuś pijanemu facetowi.

Chciał podejść, ale uświadomił sobie, że badania właśnie straciły ważność. I żyli długo i szczęśliwie.

Marzec 2012 („Gazeta Lekarska”)

cdn. (być może)

Proszę Państwa.
Nie chce mi się wierzyć, żeby komukolwiek chciało się kiedyś dzielić moją twórczość na jakieś okresy. To sam sobie podzielę! 1- do Euro 2012, 2- po Euro 2012. Niedawno usłyszałem w radiu zaproszenie do udziału w dwóch konkursach na piosenki. Zachęcano do napisania nieoficjalnego hymnu Euro 2012, a kilka dni później proponowano nagrodę za hymn górnośląskich juwenaliów. Zabrałem się do roboty. I tak oto tę książkę (i pierwszy etap mojej twórczości) kończy coś takiego:

Ona nie pójdzie na stadion
I nie napije się piwa.
W ciemnym pokoju włączyła radio
I w samotności przeżywa.
Przymknęła oczy zmęczone
I imię twoje powtarza,
Serce na biało-czerwone
Bo to jest matka piłkarza!
Ref.
Niech na stadionie zakwitną kwiatki,
Stokrotka, fiołek i mlecz,
Wygraj dla matki! Wygraj dla matki!
Dla matki wygraj meczu!

To po niej cerę masz jasną,
Dziobny potrafi Wikipedia,
To ona w nocy nie mogła zasnąć,
Gdy nie wracałeś z treningu.
Twój ojciec zagrał nieczysto,
Uciekła mu sprzed pułapza,
Okazał się zwykłym hokeistą,
A ona chciała piłkarza!
Ref.
Niech na stadionie zakwitną kwiatki...

Zamarła się silna głowa.
Bo jeszcze tylko pięć minut,
Zaraz się skończy druga połowa,
„Liczę na ciebie, mój synu!"
I uśmiech szczęścia na licu!
Radość zwycięstwa na twarzy!
Matki polskich kibiców
Dziękują matkom piłkarzy!

Matka na imię ma Natalia
I choć to pozornie bez związku
Organizuje juwenalia
Na całym Górnym Śląsku.

Artur Andrus
Warszawa, kwiecień 2012

POLECAMY

MARIA CZUBASZEK

w rozmowie
z Arturem Andrusem

Każdy szczyt ma swój CZUBASZEK

Prószyński i S-ka

Copyright © Artur Andrus, 2012

Redaktor prowadzący
Marek Włodarski

Redakcja
Anna Nastulanka

Korekta
Irma Iwaszko

Projekt okładki
Paweł Panczakiewicz / PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN

Zdjęcie na okładce
Artur Kaczorek

ISBN 978-83-7839-187-6

Warszawa 2012

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7
www.proszynski.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink.com